KALENDARZ

RODZINY POLSKIEJ

NA ROK PAŃSKI

1954

L.P.

VERITAS

KALENDARZ RODZINY POLSKIEJ NA ROK PAŃSKI 1954



WIARY NAM NIE WYDRĄ

KALENDARZ

RODZINY POLSKIEJ

NA ROK PAŃSKI
1954





KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY
VERITAS



JOSEPH FELIX GAWLINA
ARCHIEPISCOPUS TIT. MADYTENSIS
SOLIO PONTIFICIO ASSISTENS

Prot. N. 1430/53

ROMA 8. 9. 53.
Via delle Botteghe Oscure 15
Tel. 65.347



Kalendarzowi Rodziny Polskiej

przesyłam z głębi serca płynące pozdrowienie i błogosławieństwo.

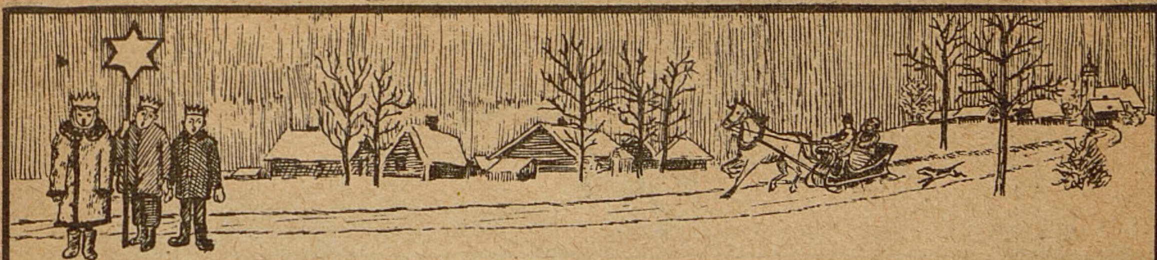
Cel jaki sobie Kalendarz postawił, jest szlachetny i wielki. Rodzina bowiem zdrowa i religijna, to podstawowa komórka życia, kuźnia wielkich charakterów, to najsilniejszy filar wiary. Myśl zaś narodowa czerpie z niej najcenniejsze skarby.

Proszę Pana Redaktora, by zechciał w Kalendarzu podkreślić obowiązek modlitwy za Braci w Kraju, który z podziwu godnym męstwem walczy o dobro najwyższe.

Łączę wyrazy czci i oddania

+ Józef Gawlina
Arcybiskup

Opiekun Emigracji Polskiej.



Styczeń

1 p. **Nowy Rok (św. ob.), Miecz.**
2 s. oktawa Szczepana I-go m.

3 n. **Najśw. Imienia Jezus**
4 p. oktawa Młodzianków
5 w. Telesfora P.m. Szymona
6 ś. **Objawienie Pańskie (św.ob.)**
7 c. Edwarda, Lucjana
8 p. Torfinna, b.w. Seweryna
9 s. Aliksy, Julj., Bazyl.

10 n. **1 po Obj., Najśw. Rodziny Agatona**
11 p. Hyginusa
12 w. Arkadiusza, Tacjany m.
13 ś. oktawa Obj., Weroniki
14 c. Hilarego b.w. dK.
15 p. Pawła I pustelnika
16 s. Marcelego I P.m.

17 n. **2 po Obj., Antoniego opata**
18 p. Katedry św. Piotra
19 w. Mariusza m., Kanuta kr.m.
20 ś. Fabiana P. i Sebastiana mm.
21 c. Agnieszki p.m.
22 p. Wincentego i Anastaz. mm.
23 s. Rajmunda w., Emercjanny

24 n. **3 po Obj., Tymoteusza b.m.**
25 p. Nawrócenia Pawła
26 w. Polikarpa b.m.
27 ś. Jana Chryzostoma b.m. dK.
28 c. Piotra Nolasco w.
29 p. Franciszka Salezego b.w.dK.
30 s. Martyny p.m.

31 n. **4 po Obj., Jana Bosco w.**

KALENDARZYK HISTORYCZNY

3. 1795. — Trzeci rozbiór Polski przez Rosję i Austrię.
6. 1576. — Pierwszy sejm konwokacyjny w Warszawie.
9. 1797. — Dąbrowski zawiera konwencję z Lombardią w sprawie tworzenia Legionów.
8. 1919. — Orędzie prez. Wilsona o odbudowie niepodległej Polski.
15. 1582. — Batory odzyskuje Inflanty, Połock i Wieliż.
20. 1320. — Koronacja Władysława Łokietka.
22. 1863. — Wybuch powstania styczniowego.
24. 1507. — Koronacja Zygmunta Starego.
26. 1736. — Abdykacja Stanisława Leszczyńskiego.
30. 1018 — Pokój w Budziszynie z państwem niemieckim korzystny dla Polski.



PRZYSŁOWIA LUDOWE NA STYCZEŃ

Nowy Rok pogodny, zbiór będzie dorodny.

Kiedy styczeń najostrzejszy, roczek będzie najpłodniejszy.

Bój się w styczniu wiosny, bo marzec zazdrosny.

Jak Makary pogodny, styczeń będzie chłodny.

Gdy Trzy Króle pogodą obdarzą, nie zasypiaj ranka, gospodarzu.

Gdy deszcz w styczniu leje, złe robi nadzieje.



Luty

1 p. Ignacego b.m.
2 w. NMP Gromn. (Oczyszczenia NMP)
3 ś. Błażeja b.m., Felicjana m.
4 c. Andrzeja Corsini b.w.
5 p. Agaty p.m.
6 s. Tytusa b.w., Doroty p.m.

7 n. 5 po Obj., Romualda op.
8 p. Jana z Maty w.
9 w. Cyryla b.w., dK., Apolonii p.
10 ś. Scholastyki p.
11 c. Objawienie NMP z Lourdes
12 p. 7-miu zał. zakonu serwitów
13 s. Grzegorza II P.w., Kat. Ricci

14 n. 70-nica, Walentego m.
15 p. Faustyna i Jowity
16 w. Gilberta op. Juliana
17 ś. Ucieczki N. Rodz. do Egiptu
18 c. Symeona b.m.
19 p. Gabina kapł.m., Konrada
20 s. Zenobiusza kapł. i tow. mm.

21 n. 60-nica, Roberta Southwell m., Feliksa b.
22 p. Kat. Piotra w Ant.
23 w. Piotra Damiana b.w.dK.
24 ś. Macieja Apostoła
25 c. Walburgii p.
26 p. Małgorzaty z Kort., Aleks.
27 s. Gabriela od MB. Bolesnej

28 n. 50-nica, Romana, Oswalda b.w.

KALENDARZYK HISTORYCZNY

2. 1676. — Koronacja Jana III Sobieskiego w Krakowie.
4. 1633. — Pogrzeb Zygmunta III w katedrze wawelskiej.
8. 1296. — Zamordowanie Przemysława II.
10. 1920. — Gen. Haller dokonuje zaślubin Polski z morzem.
12. 1798. — Zgon Stanisława Augusta Poniatowskiego w Petersburgu.
13. 1214. — Tatarzy opanowują Sandomierz.
18. 1386. — Ślub Jagiełły z Jadwigą w Krakowie.
19. 1473. — Urodziny Mikołaja Kopernika w Toruniu.
27. 1578. — Hołd pruski złożony Batoremu w Krakowie.
28. 1768. — Konfederacja Barska.

PRZYSŁOWIA LUDOWE NA LUTY

Gdy mróz w lutym mocno trzyma, tedy jest niedługa zima.

Gdy na Gromnicę roztaje, rzadkie będą urodzaje.

Gdy w Gromnicę z dachów ciecze, zima długo się powlecze.

Święta Dorota zapowiada śnieg i błota.

Święty Walenty gdy odmrozi pięty, na wyżywienie sprzedawaj sprzęty.

Gdy św. Maciej lodu nie roztopi, będą chuchali długo w ręce chłopi.



Marzec

1 p. Feliksa II P.w., Albina
2 w. Heleny, Nonnity
3 ś. **Popielec**, Teresy Verzeri p., Kunegundy
4 c. Kazimierza w., Lucjusza P.m.
5 p. Fryderyka, Wacława m.
6 s. Perpetuy i Felicyty mm.

7 n. 1 Postu, Tomasza z Akwinu w.dK.
8 p. Jana Bożego, Wincentego K.
9 w. Franciszki Rzymianki wd.
10 ś. Suchedni, 40 męczenników
11 c. Konstantyna w.
12 p. Suchedni, Grzeg. I P.w. dK.
13 s. Suchedni, Agnellusa w., Eufrazji

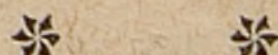
14 n. 2 Postu Leona, Matyldy
15 p. Klemensa Dworz. w., Long.
16 w. Agapita b., Finjana
17 ś. Patryka (św. ob. w Irlandii)
18 c. Cyryla b.w. dK.
19 p. Józefa Obl. (św.ob. w Szkocji)
20 s. Kutberta b.w.

21 n. 3 Postu, Benedykta op.
22 p. Katarzyny szwedzkiej p.
23 w. Wiktora
24 ś. Gabriela Archanioła
25 c. Zwiastowanie NMP.
26 p. Dyzmy Dobrego Łotra w.
27 s. 7 Boleści NMP.

28 n. 4 Postu, Jana Kapistr. w.
29 p. Eustazjusza op.
30 w. Osburgi p., Kwiryna m.
31 ś. Akacjusza b.m., Balbiny

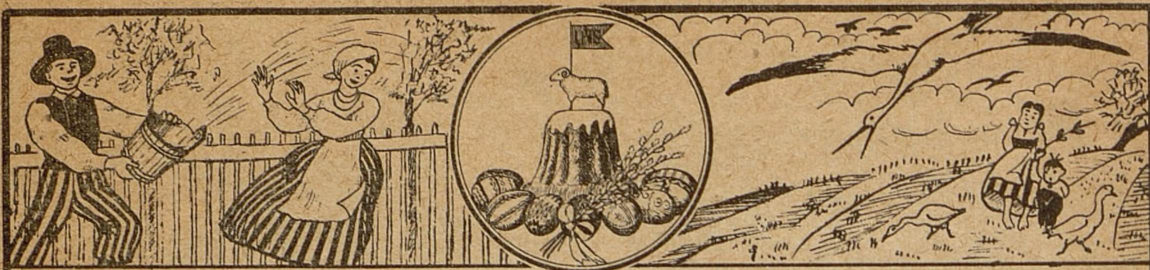
KALENDARZYK HISTORYCZNY

2. 1333. — Śmierć Władysława Łokietka.
4. 1386. — Koronacja Jagiełły na króla polskiego.
6. 1454. — Wcielenie Prus i Pomorza do Polski.
7. 966. — Mieszko I przyjmuje chrześcijaństwo wraz z całym narodem.
9. 1652. — „Liberum veto" posła Sicińskiego.
18. 1596. — Przeniesienie stolicy z Krakowa do Warszawy przez Zygmunta III.
20. 1848. — Wybuch powstania wielkopolskiego.
20. 1921. — Przyłączenie Górnego Śląska do Polski w drodze plebiscytu.
24. 1794. — Przysięga Tadeusza Kościuszki na rynku krakowskim.
25. 1831. — Wybuch powstania na Litwie, Żmudzi i Podolu.



PRZYSŁOWIA LUDOWE NA MARZEC

Co marzec wypiecze, to kwiecień wysiecze.
Suchy marzec, mokry maj, będzie żyto jako gaj.
Na świętego Grzegorza idzie zima do morza.
Czterdziestu męczenników jakich, czterdzieści dni takich.
Na święty Józef pogoda, będzie w polu uroda.
Marzec zielony, niedobre plony.



Kwiecień

1 c. Ludwika Pavoni w.
2 p. Franciszka a Paulo w.
3 s. Ryszarda

4 n. Męki Pańskiej, Izyd. b.dK
5 p. Wincentego Fer.
6 w. Julianny
7 ś. Celestyna I.P.
8 c. Dionizego b.w.
9 p. Marii Kleofasowej
10 s. Ezechiela proroka Makarego

11 n. Palmowa, Leona I P. w. dK.
12 p. Juliusza I.P.
13 w. Hermenegilda m.
14 ś. Justyna m., Tyburcjusza m.
15 c. **Wielki Czwartek**, Anasatzji
16 p. **Wielki Piątek**, Bernadety
17 s. **Wielka Sobota**, Aniceta

18 n. Wielkanoc
19 p. Poniedziałek Wielkanocny
20 w. Agnieszki
21 ś. Anzelma b.w. d
22 c. Satera i Kajusa PP. mm.
23 p. Wojciecha b.m., Jerzego m.
24 s. Fidelisa m.

25 n. Przewodnia, Marka Ewang.
26 p. Marcelina, Kleta p.m.
27 w. Piotra Kanizego w. dK., Zyty
28 ś. Pawła od Krzyża w.
29 c. Piotra m.
30 p. Katarzyny Sjeneńskiej p.

KALENDARZYK HISTORYCZNY

1. 1656. — Śluby Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej.
4. 1794. — Bitwa pod Racławicami.
6. 1364. — Kazimierz Wielki zakłada uniwersytet w Krakowie.
10. 1525. — Hołd Pruski Albrechta Hohenzollerna przed Zygmuntem I w Krakowie.
12. 1457. — Krzyżacy poddają Polsce swoją stolicę Malborg.
18. 1791. — Sejm czteroletni uchwala prawo o miastach.
19. 1773. — Protest Rejtana przeciw rozbiorowi Polski.
19. 1809. — Bitwa pod Raszynem pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego.
23. 997. — Śmierć męczeńska św. Wojciecha.
25. 1333. — Koronacja Kazimierza Wielkiego w Krakowie.



PRZYSŁOWIA LUDOWE NA KWIECIEŃ

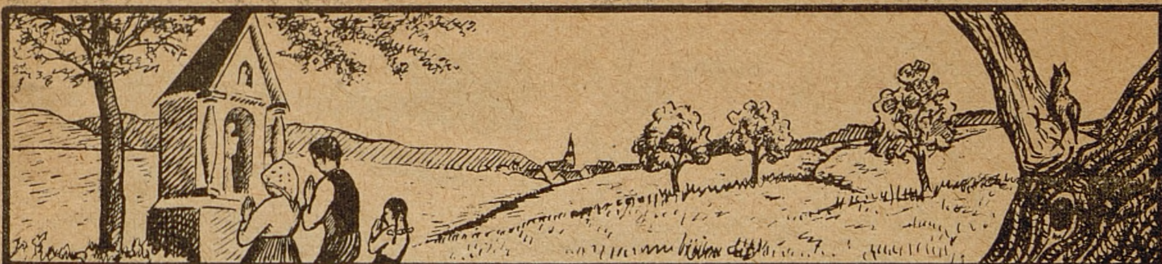
W kwietniu posusza, nic się z ziemi nie rusza.

Deszcz w święty Marek, to ziemia jak skwarek.

Gdy św. Jerzy schowa wronę w życie, to zboża będzie obficie.

Jeśli na św. Wojciecha śnieg pada, co trzecia kopa siana po łąkach przepada.

Grzmot w kwietniu dobra nowina, szron już roślin nie pościna.



Maj

1 s. Filipa i Jakuba Apost.

---

2 n. 2 po Wielk., Zygmunta
3 p. NMP. Król. Polski, Znal. Krzyża św.
4 w. Moniki wdowy
5 ś. Opieki św. Józefa
6 c. Jana Ap. i Ew. (w Oleju)
7 p. Floriana m., Domicyla
8 s. Stanisława b.m., Michała Ar.

---

9 n. 3 po Wielk., Grzegorza z N.
10 p. Antonina, Izydora or.
11 w. Ignacego, Franciszka
12 ś. Achillesa, Pankracego
13 c. Roberta Bellarmino b.w.d.K.
14 p. Bonifacego m.
15 s. Zofii, Jana de la Salle w.

---

16 n. 4 po Wielk., Andrzeja B.
17 p. Paschalisa
18 w. Wenancjusza m., Eryka m.
19 ś. Piotra Celestyna P.w.
20 c. Bernardyna ze Sjeny w.
21 p. Teobalda, Przecławy
22 s. Julii, Ryty wd., Joach. wd.

---

23 n. 5 po Wielk. Jana Chrz. Rossi
24 p. Dni Krzyż., NMP Wspom. w.
25 w. Dni Krzyż., Grzegorza VII P.
26 ś. Dni Krzyż. Filipa Nereusza w.
27 c. **Wnieb. Pańskie (św. ob.)**
28 p. Augustyna b.w.
29 s. Marii Magdaleny de Pazzis

---

30 n. w oktawie Wniebowstąp. P.
31 p. Anieli Merici

KALENDARZYK HISTORYCZNY

1. 1576. — Koronacja Stefana Batorego i Anny Jagielonki.
1. 1505. — Konstytucja „Nihil novi".
3. 1791. — Konstytucja 3 Maja.
5. 1821. — Śmierć cesarza Napoleona na wyspie św. Heleny.
7. 1794. — Manifest Połaniecki Kościuszki w sprawie włościan.
10. 1034. — Śmierć Mieszka II.
20. 1903. — Pruscy nauczyciele katują dzieci polskie za odmowę modlitwy po niemiecku.
22. 1610. — Zygmunt III oblega Smoleńsk.
25. 992. — Zgon Mieszka I w Poznaniu.
31. 1434. — Zgon Władysława Jagiełły.

PRZYSŁOWIA LUDOWE NA MAJ

Na pierwszego maja szron obiecuje dobry plon.
Deszcz w świętego Floriana, skrzynia prochem wypchana.
Na świętego Stanisława w domu pustki, w polu sława.
Pankracy, Serwacy, Bonifacy źli na ogrody chłopacy.
Na Urbana chwile jakie, mówią, że i lato takie.
Na świętego Filipa jeśli deszcz rzęsisty — będzie plon dobry i czysty.



Czerwiec

1 w. Jakuba Strepy b.w.
2 ś. Marcelina, Sadoka i tow.m.
3 c. Klotyldy kr.wd.
4 p. Franciszka Caracc. w.
5 s. Bonifacego b.m.

6 n. Zielone Święta
7 p. Poniedz. Zielonych Świąt
8 w. Wiliama b.w., Medarda
9 ś. Suchedni, Pryma i Fel. mm.
10 c. Małgorzaty wd., Bog. b.w.
11 p. Suchedni, Barnaby
12 s. Suchedni, Jana

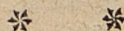
13 n. Trójcy Przenaj., Antoniego
14 p. Bazylego
15 w. Wita, Modesta i Krescencji
16 ś. Jana Franciszka Regis w.
17 c. Boże Ciało (św. ob.)
18 p. Efrema diak. w.dK.
19 s. Julianny F.

20 n. 2 po Z.Św., Sylweriusza P.m.
21 p. Alojzego w.
22 w. Paulina b.w.
23 ś. Józefa, Wandy
24 c. Jana Chrzciciela
25 p. Najśw. Serca Jezusowego
26 s. Jana i Pawła mm.

27 n. 3 po Z.S., MB Nieust. Pom., Władysława
28 p. Ireneusza
29 w. Piotra i Pawła Ap. (św. ob)
30 ś. Wspomn. Pawła Apost.

KALENDARZYK HISTORYCZNY

1. 1002. — Bolesław Chrobry zajmuje Łużyce.
4. 1872. — Rząd francuski uchwala utworzenie armii polskiej we Francji.
9. 1815. — Utworzenie Królestwa Kongresowego na Kongresie Wiedeńskim.
13. 1611. — Zygmunt III zdobywa Smoleńsk.
17. 1025. — Zgon Bolesława Chrobrego.
19. 1669. — Elekcja Michała Korybuta Wiśniowieckiego.
24. 1812. — Napoleon przekracza Niemen w drugiej wojnie z Rosją.
26. 1295. — Koronacja Przemysława II.
27. 1629. — Zwycięstwo hetmana Koniecpolskiego pod Trzcianą nad wojskami szwedzkimi.
28. 1914. — Zamordowanie w Sarajewie Arcyksięcia Ferdynanda, co dało początek pierwszej wojnie światowej.



PRZYSŁOWIA LUDOWE NA CZERWIEC

Czerwiec się czerwieni — będzie dość w kieszeni.
Kiedy Medard się rozwodni, będzie deszczu sześć tygodni.
Na święty Antoni pierwsza się jagódka zapłoni.
Pogoda na Nikodema, cztery niedziel deszczów nie ma.
Kto w Antoniego sieje tatarkę — sto miarek bierze za miarkę.
W święty Jan gdy deszcze pluszczą, orzechy się nie wyłuszczą.



Lipiec

1 c. Przenajśw. Krwi P. Jezusa
2 p. Nawiedzenie NMP.
3 s. Leona II P.w.

4 n. Jana Korneliusza i tow. mm.
5 p. Antoniego Marii w.
6 w. Marii Goretti p.m.
7 ś. Cyryla i Metodego bb.ww.
8 c. Elżbiety kr. wd.
9 p. Jana, Tomasza, Weroniki
10 s. 7 braci mm., Rufiny p.m.

11 n. Piusa I P.m.
12 p. Jana Gwalberta op.
13 w. Anakleta P.m.
14 ś. Bonawentury b.w. dK.
15 c. Henryka ces.w., Włodzim.
16 p. MB. Szkapl. (z Karmelu)
17 s. Aleksego w.

18 n. Szymona z Lipn. w., Kamila
19 p. Wincentego a P.
20 w. Hieronima w., Czesława w.
21 ś. Praksedy p., Andrzeja
22 c. Marii Magdaleny pokutn.
23 p. Apolinarego b.m.
24 s. Krystyny p.m., Kingi p.

25 n. Jakuba Apost., Krzysztofa
26 p. Anny, matki NMP.
27 w. Pantaleona m.
28 ś. Wiktora, Innocentego
29 c. Marty p., Feliksa II P.m.
30 p. Abdona i Sennena mm.
31 s. Ignacego w., Justyna b.w.

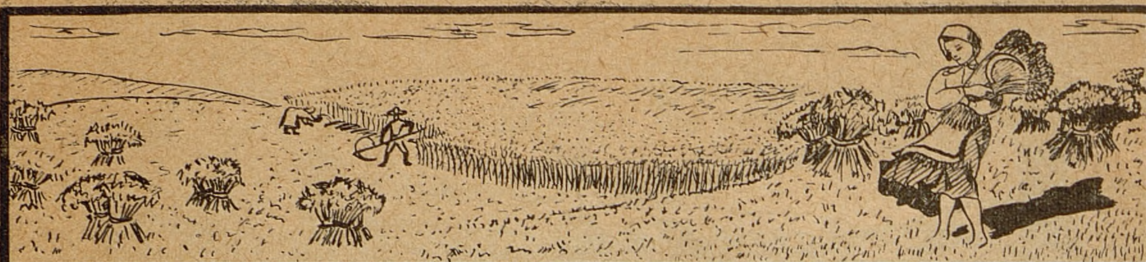
KALENDARZYK HISTORYCZNY

1. 1569. — Unia lubelska.
4. 1000. — Bolesław Chrobry wbija polskie słupy graniczne na Dnieprze, Ossie i Sali.
7. 1572. — Zgon ostatniego Jagiellona, Zygmunta Augusta.
7. 1578. — Założenie akademii wileńskiej przez Stefana Batorego.
13. 1918. — Gen. Haller staje na czele armii polskiej we Francji.
15. 1410. — Bitwa pod Grunwaldem.
17. 1399. — Śmierć królowej Jadwigi.
21. 1621. — Karol Chodkiewicz pod Chocimem.
23. 1683. — Jan III Sobieski wyrusza na odsiecz Wiednia.
24. 1917. — Gen. Dowbór Muśnicki organizuje armię z Polaków w armii rosyjskiej.



PRZYSŁOWIA LUDOWE NA LIPIEC

Jaki Jakub do południa, taka też zima do grudnia.
Deszcz na Nawiedzenie Panny potrwa pewnie do Zuzanny.
W święty Jakub chmury, w zimie śniegu fury.
Od świętej Anki zimne wieczory i ranki.
Lipiec — ostatek mąki wypiecz.
Od lip ciągnie wonny lipiec, nie daj słonku kłosa przypiec.



Sierpień

1	n.	**Piotra w okowach**
2	p.	Alfonsa b.w. dK.
3	w.	Znal. rel. Szczepana I m.
4	ś.	Dominika w.
5	c.	NMP. Śnieżnej
6	p.	Przemienienie Pańskie
7	s.	Kajetana w., Donata b.m.
8	n.	**Cyriaka i Szmaragda mm.**
9	p.	Jana Vianney z Ars w.
10	w.	Wawrzyńca m.
11	ś.	Tyburcjusza i Zuzan. p. mm.
12	c.	Klary p.
13	p.	Hipolita i Kasjana mm.
14	s.	Euzebiusza w.
15	n.	**Wniebowzięcie NMP.**
16	p.	Joachima w., Rocha
17	w.	Jacka w.
18	ś.	Agapita m., Heleny ces. wd.
19	c.	Jana Eudes w., Juliusza
20	p.	Bernarda op. dK.
21	s.	Joanny Chantal wd.
22	n.	**Niepokal. Serca NMP.**
23	p.	Filipa w.
24	w.	Bartłomieja Apostoła
25	s.	Ludwika kr. w.
26	c.	MB. Częstochow., Zefiryna
27	p.	Józefa Kalasantego
28	s.	Augustyna b.w., Hermesa m.
29	n.	**Ścięcie Jana Chrzciciela**
30	p.	Róży Limańskiej p.
31	w.	Rajmunda Nonnata w.

KALENDARZYK HISTORYCZNY

2. 1650. — Chmielnicki poddaje się Turcji.
4. 1309. — Rzeź dokonana przez Krzyżaków w Gdańsku.
5. 1772. — Traktat pierwszego rozbioru Polski.
6. 1606. — Rokosz Zebrzydowskiego.
9. 1109. — Bolesław Krzywousty bije Niemców na Psim Polu.
14. 1018. — Bolesław Chrobry zajmuje Kijów.
15. 1920. — Bitwa pod Radzyminem i Cud nad Wisłą.
22. 1531. — Zwycięstwo hetmana Tarnowskiego pod Obertynem.
27. 1492. — Wstąpienie na tron Jana Olbrachta.
30. 1579. — Batory zdobywa Połock.

PRZYSŁOWIA LUDOWE NA SIERPIEŃ

Wawrzyniec pokazuje, jaka jesień następuje.

Bartłomiej naśladuje cały wrzesień a z nim jesień.

Jak Bartłomiej nie zasieje, nie pokropi Idzi, to się zboża, to się żyta mało w polu widzi.

Od Wniebowzięcia mniej w gumnie pół żęcia.

Na święty Wawrzyniec wolny przez pola gościniec.

Po świętym Bartłomieju jedz kluski na oleju.



Wrzesień

1	ś.	Bronisławy p., Idziego op.
2	c.	Stefana kr. w.
3	p.	Piusa X P. w., Serapiego
4	s.	Róży p., Rozalii
5	n.	Wawrzyńca Justiniani b.w.
6	p.	Patronów Szw., Magnusa
7	w.	Melchiora m., Reginy
8	ś.	Narodzenie NMP.
9	c.	Piotra Klawera
10	p.	Mikołaja z Tolentino w.
11	s.	Prota i Jacka mm.
12	n.	Najśw. Imienia Marii
13	p.	Notburga
14	w.	Podwyższenie Krzyża św.
15	ś.	Suchedni, 7 Boleści NMP.
16	c.	Korneliusza P.M., Cypriana
17	p.	Suchedni, Stygmatów Fr. w.
18	s.	Suchedni, Józefa z Curpetino
19	n.	Januarego b. i tow. mm
20	p.	Eustachego i tow.
21	w.	Mateusza Apost. i Ewang.
22	ś.	Tomasza z Villanowa b.w.
23	c.	Linusa P. m., Tekli p.m.
24	p.	NMP. od wykupu niewoln.
25	s.	Ładysława w., Firmina
26	n.	Cypriana i Justyny p.mm.
27	p.	Kosmy i Damiana
28	w.	Wacława księcia m.
29	ś.	Michała Archanioła
30	c.	Hieronima kapł. w. dK.

KALENDARZYK HISTORYCZNY

1. 1939. — Napaść Niemców na Polskę i wybuch drugiej wojny światowej.

2. 1793. — Sejm rozbiorowy w Grodnie i drugi rozbiór Polski.

6. 1580. — Stefan Batory zdobywa Wielkie Łuki.

12. 1683. — Odsiecz Jana III Sobieskiego pod Wiedniem.

14. 1812. — Wkroczenie wojsk polskich do Moskwy.

17. 1939. — Układ rozbiorowy Ribbentropp - Mołotow i wkroczenie wojsk sowieckich.

24. 1621. — Śmierć Chodkiewicza pod Chocimem.

27. 1331. — Zwycięstwo Władysława Łokietka nad Krzyżakami pod Płowcami.

28. 1918. — Gen. Haller naczelnym wodzem armii polskiej po stronie koalicji.

29. 1669. — Koronacja Michała Korybuta Wiśniowieckiego.



PRZYSŁOWIA LUDOWE NA WRZESIEŃ

Oto wrzesień, bliska jesień.

We wrześniu gdy tłuste ptaki, mróz zimą nie ladajaki.

Gdy na święty Idzi ładnie, śnieg na pewno późno spadnie.

Gdy noc jasna na Michała, to nastąpi zima trwała.

Wrześniowa słota: kropla deszczu, korzec błota.

Święty Mateusz dodaje chłodu i raz ostatni podbiera miodu.



Październik

1	p.	Remigiusza b.w., Jana z D.
2	s.	Aniołów Stróżów
3	**n.**	**Teresy od Dziec. Jezus**
4	p.	Franciszka w.
5	w.	Placyda i tow. mm.
6	ś.	Brunona w.
7	c.	NMP Różańcowej
8	p.	Brygidy w.
9	s.	Jana Leonardi w.
10	**n.**	**Franciszka Borgiasza w.**
11	p.	Macierzyństwa NMP.
12	w.	Wilfryda b.w.
13	ś.	Edwarda kr.w.
14	c.	Kaliksta I P. m.
15	p.	Teresy p.
16	s.	Jadwigi wd.
17	**n.**	**Małgorzaty Marii p.**
18	p.	Łukasza Ewangelisty
19	w.	Piotra z Alkantary w.
20	ś.	Jana Kantego w.
21	c.	Urszuli p.m., Hilariona op.
22	p.	Przen. rel. Wojciecha b.m.
23	s.	Tomasza Thwing m., Werusa
24	**n.**	**Rafała Archanioła**
25	p.	Kryspina
26	w.	Ewarysta P. m.
27	ś.	Frumencjusza b.
28	c.	Szymona i Tadeusza Apost.
29	p.	Abrahama op., Narcyza
30	s.	Wigilia Wszystkich Świętych
31	**n.**	**Chrystusa Króla**

KALENDARZYK HISTORYCZNY

2. 1413. — Unia horodelska z Litwą.
7. 1602. — Śmierć Żółkiewskiego pod Cecorą.
9. 1920. — Gen. Żeligowski zajmuje Wilno.
14. 1775. — Utworzenie Komisji Edukacji Narodowej.
15. 1384. — Koronacja Jadwigi w Krakowie.
19. 1466. — Pokój toruński z Krzyżakami.
24. 1795. — Traktat trzeciego rozbioru między Rosją i Prusami.
30. 1609. — Oblężenie Smoleńska przez Zygmunta III.
31. 1918. — Wypędzenie wojsk austriackich z Krakowa.

PRZYSŁOWIA LUDOWE NA PAŹDZIERNIK

Miesiąc październy marca obraz wierny.

Gdy nierychło liść opada, zima ostra bywa rada.

O świętej Brygidzie babie lato przyjdzie.

Od świętej Urszuli oczekuj śnieżnej koszuli.

Na Szymona i Judy czekaj śniegu lub grudy.

Na świętego Franciszka chłop już w polu nic nie zyska.



Listopad

1 p. Wszystkich Świętych (św.ob.)
2 w. Dzień Zaduszny
3 ś. Huberta, Winfrydy p.
4 c. Karola Bor., b.w.
5 p. Relikwii w kościołach diec.
6 s. Leonarda, Barlaama op.

7 n. Florencjusza, Wilibrorda b.w
8 p. Gotfryda
9 w. Archibazyliki Zbawiciela
10 ś. Andrzeja w., Nimfy p.m.
11 c. Marcina b.w.
12 p. Marcina P.m., 5 br c P. mm.
13 s. Stanisława Kostki w.

14 n. Jozafata b.m.
15 p. Alberta b.w. dK.
16 w. Gertrudy p.
17 ś. Grzegorza Cudotwórcy b.w.
18 c. Bazylik Piotra i Pawła Ap.
19 p. Elżbiety wd., Poncjana P. m.
20 s. Feliksa Walezego w.

21 n. Ofiarowanie NMP.
22 p. Cecylii p.m.
23 w. Klemensa I P.m.. Felicyty m.
24 ś. Jana od Krzyża w. dK.
25 c. Katarzyny p.m.
26 p. Jana, Sylwestra op.,
27 s. Cudownego Medalika NMP.

28 n. 1 Adwentu, Stefana
29 p. Saturnina m.
30 w. Andrzeja Apostoła

KALENDARZYK HISTORYCZNY

1. 1905. — Rzeź na Placu Teatralnym w Warszawie.
5. 1370. — Śmierć Kazimierza Wielkiego.
6. 1846. — Zajęcie Krakowa przez Austriaków.
18. 1655. — Początek oblężenia Częstochowy przez Szwedów.
21. 1893. — Rzeź unitów przez Moskali na Żmudzi.
22. 1919. — Uwolnienie Lwowa od Ukraińców. Orlęta.
25. 1764. — Koronacja ostatniego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego.
25. 1795. — Abdykacja Stanisława Augusta.
29. 1830. — Wybuch Powstania Listopadowego.



PRZYSŁOWIA LUDOWE NA LISTOPAD

Wszyscy Święci, zima się kręci.

Święta Katarzyna po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie.

Na świętego Teodora ściągaj krupy do chałupy.

Miękko na Andrzeja, niedobra nadzieja.

O świętej Katarzynie pomyśl o pierzynie.

Jeszcze nie listopad a liść z drzewa opadł.



Grudzień

1 ś. Edmunda m., Natalii
2 c. Bibiany p.m.
3 p. Franciszka Ksawerego w.
4 s. Piotra b.w. dK., Barbary

5 n. 2 Adwentu, Saby op.
6 p. Mikołaja b.w.
7 w. Ambrożego b.w. dK.
8 ś. Niep. Pocz. NMP.*)
9 c. Piotra Fourrier w.
10 p. NMP. Loretańskiej
11 s. Damazego P. w.

12 n. 3 Adwentu. Wicelina b.w.
13 p. Łucji p.m.
14 w. Spiridiona b.w.
15 ś. Suchedni. Krystyny. Oktawa Niep. Pocz. NMP.
16 c. Euzebiusza b.m.
17 p. Suchedni, Łazarza b.w.
18 s. Suchedni, Oczek. na B. Nar.

19 n. 4 Adwentu. Urbana V P.
20 p. Dominika, Liberata m.
21 w. Tomasza Apostoła
22 ś. Franciszki Cabrini p.
23 c. Wiktorii p.m., Serwulusa
24 p. Wigilia B. Nar., Adama i Ewy
25 s. Boże Narodzenie

26 n. Szczepana I m.
27 p. Jana Apost. i Ewangelisty
28 w. Młodzianków mm.
29 ś. Tomasza b.m.
30 c. Eugeniusza b.w., Sabiny
31 p. Sylwestra I P. w.

*) Święto obowiązujące w Szkocji, Irlandii

KALENDARZYK HISTORYCZNY

1. 1733. — Konfederacja sandomierska przy królu Stanisławie Leszczyńskim.
8. 1506. — Elekcja Zygmunta I Starego.
12. 1586. — Zgon Stefana Batorego w Grodnie.
17. 1647. — Ucieczka Bohdana Chmielnickiego na Niż dla przygotowania buntu.
18. 1529. — Elekcja Zygmunta Augusta.
25. 1076. — Koronacja Bolesława Śmiałego.
26. 1655. — Odwrót Szwedów spod Częstochowy.
27. 1918. — Wybuch walk w Poznaniu i początek Powstania Wielkopolskiego.
29. 1809. — Śmierć Stanisława Małachowskiego, marszałka Sejmu Czteroletniego.
31. 1435. — „Wieczysty pokój" z Krzyżakami w Brześciu Kujawskim.



PRZYSŁOWIA LUDOWE NA GRUDZIEŃ

Grudzień ziemię grudzi a izbę wystudzi.

Mroźny grudzień wiele śniegu, żyzny roczek będzie w biegu.

Na świętą Barbarę mróz, chowaj sanie, szykuj wóz.

Na Adam pięknie, zima rychło pęknie.

Wilia piękna, jutrzenka jasna: będzie stodoła za ciasna.

Słota na Adama i Ewy, to strzeż od zimna chlewy.

KALENDARZOWI NA DROGĘ

Wypływający z wiary w Boga i z miłości Ojczyzny duch szlachetnego apostolstwa natchnął kierowników Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" w Londynie, aby wydać ten KALENDARZ RODZINY POLSKIEJ, który trzymamy w ręku.

Zdobi go ilustracja matki Polki dzierżącej w swych dłoniach sztandar kościelny. Z wyrazu jej twarzy widać wielką żarliwość i przywiązanie do wiary ojców, której Polacy, w kraju czy na wychodźstwie, wyrwać sobie nie pozwolą. Są bowiem świadomi tego, że „to jest zwycięstwo, które zwycięża świat, wiara nasza".

Taki jest naród polski. Od tysiąca lat wiara katolicka zrastała się z polskością i wgryzła się do tak głębokich pokładów duszy polskiej, że jeżeli kiedy, to dziś, kiedy to wszystkie moce zła sprzysięgły się przeciwko niemu i wszelkimi sposobami usiłują wyrwać mu wiarę świętą, odciągnąć od Boga i Jego Namiestnika, rozumiemy jak może nigdy przedtem i niedwuznacznie powiedzenie Stanisława Szczepanowskiego, że „Polska albo będzie katolicka, albo jej wcale nie będzie".

Wiara katolicka i polskość. Dopóki te dwie iskry Boże razem żarzyć się będą, nie zginie naród polski, przez jakiekolwiek przechodziłby próby i doświadczenia. Żadna z klęsk nie będzie klęską ostateczną.

Dla jednostki jednak jak wiara jest łaską, tak łacno ją utracić można, zwłaszcza, gdy się jest z dala od stron ojczystych, od rodziny, od swego kościoła parafialnego i swego duszpasterza.

Rodzina — zdrowa, zwarta i zgodna rodzina katolicka jest najsilniejszym oparciem i dla wiary i dla polskości.

Naród polski, którego całość znajduje się w kraju, daje wspaniały przykład swej wiary i swego życia rodzinnego, choć przeżywa najcięższą w swych dziejach próbę wytrzymałości i dojrzałości. Czyż i my emigranci, drobna część tego narodu, nie powinniśmy także świecić takim samym dobrym przykładem? Czyż i my, żyjący w daleko lepszych warunkach aniżeli nasi rodacy w kraju, nie powinniśmy pogłębiać się w wierze naszej i wzmacniać węzłów rodzinnych? Niech w naszych ogniskach domowych płonie żywy ogień miłości Boga Wszechmocnego i Polski, ziemskiej ojczyzny naszej.

Pomocą w tym względzie ma być niniejszy almanach, który umyślnie nosi nazwę Kalendarza Rodziny Polskiej.

Niech ten Kalendarz, wydany w jak najszlachetniejszej i najczystszej intencji, idzie w świat i niech trafi do wszystkich Polaków. Niech go czytają wszyscy, starzy i młodzi, ku zbudowaniu i odprężeniu. Niech się stanie ich nieodzownym, miłym i wiernym towarzyszem. Niech wniesie w domy nasze choć trochę słońca i pogody. Niech pokrzepi w wierze i w nadziei. Niech nam przypomina, żeśmy Polakami i katolikami. Niech wpływem swym choć trochę podniesie nas na duchu, a szlachetny cel wydawców zostanie osiągnięty.

Niech swoją bogatą treścią wniesie w domy nasze powiew Polski ukochanej i błogosławieństwo Boga i pocieszenie naszej Jasnogórskiej Pani.

X. WŁADYSŁAW STANISZEWSKI
Prałat Domowy J. Św.
Wikariusz Delegat dla Polaków
w Anglii i Walii



PATRONATY ŚWIĘTYCH

Stolica Apostolska na prośbę przedstawicieli pewnych zawodów nadała im świętych patronów. Takich jest jednak niewielu, należą do nich np. św. Jan Vianney, ogłoszony patronem proboszczów, św. Franciszek Ksawery i św. Teresa z Lisieux — patronami misyj zagranicznych, św. Wincenty a Paulo — patronem dzieł miłosierdzia, św. Franciszek Salezy — literatów, św. Jan Boży — szpitalnictwa, św. Ignacy Loyola — rekolekcyj, św. Tomasz z Akwinu — szkół katolickich, św. Alojzy — uczącej się młodzieży, św. Bernard z Menthon — alpinistów, św. Krzysztof — automobilistów, Matka Boska Loretańska — lotników i inni.

Zazwyczaj, zwłaszcza w średniowieczu, poszczególne cechy obierały sobie patronów, których święta uroczyście obchodziły, a wizerunki ich umieszczały na sztandarach cechowych. Poniżej podajemy szereg bardziej znanych patronatów.

Abstynenci — św. Jan Chrzciciel.
Adwokaci — św. Iwo, św. Alfons Ligouri.
Akolici — św. Tarsycjusz.
Aktorzy — św. Gnezjusz.
Alpiniści — św Bernard z Menthon.
Aptekarze — św. Kosma i Damian, św. Rafał Arch., św. Roch.
Architekci — św. Barbara.
Artylerzyści — św. Barbara.
Automobiliści — św. Krzysztof.
Bednarze — św. Mirmin, św. Jan Ewang., św. Mikołaj.
Blacharze — św. Piotr.
Budowniczowie mostów — św. Benezet.
Ceglarze — św. Wincenty Fereriusz.
Celnicy — św. Mateusz.
Cieśle — św. Józef.
Cukiernicy — św. Maciej Apostoł.
Czapnicy — św. Krzysztof, św. Klemens.
Dekarze — św. Jakub Mn. ap.
Dorożkarze — św. Fiakriusz.
Drukarze — św. Ludwik kr., św. Jan Boży, św. Jan Bosko.
Drwale — św. Józef.
Dziennikarze — św. Franciszek Salezy.
Farbiarze — św. Szymon Ap.
Filozofowie — św. Katarzyna p. m.
Flisacy — św. Mikołaj, św. Jan Nep.
Fotografowie — św. Weronika z Jeroz.
Fryzjerzy — św. Maria Magdalena.
Garbarze — św. Szymon Ap.
Garncarze — św. Justa i Rufina, św. Fabian.
Giserzy — św. Agata.
Górnicy — św. Barbara.
Harcerze — św. Jerzy.
Hotelarze — św. Marta.
Introligatorzy — św. Ludwik kr. Fr.
Jubilerzy — św. Eligiusz.
Kamieniarze — św. Szczepan.
Kawalerzyści — św. Jerzy.
Kaznodzieje — św. Jan Złotousty.
Kominiarze — św. Jan Chrzciciel.
Koszykarze — św. Antoni pust., św. Jan Damasceński.
Kowale — św. Longin, św. Hadrian, św. Barbara, św. Eligiusz.
Krawcy — św. Homobonus, św. Marcin.
Kucharze — św. Wawrzyniec.
Kucharki — św. Marta.
Kupcy — św. Homobonus.
Latarnicy — św. Łukasz Ewang.
Lekarze — św. św. Kosma i Damian, św. Pantaleon, św. Łukasz Ewang.
Malarze — św. Łukasz Ewangelista.
Marynarze — św. Erazm , św. Mikołaj, św. Paweł Ap.
Misjonarze — św. Franciszek Ksawery, św. Teresa od Dz. Jezus.
Ministranci — św. Jan Berchmans.
Młynarze — św. Anna, św. Mikołaj.
Murarze — św. Piotr.
Muzycy — św. Cecylia.
Myśliwi — św. Hubert.
Nauczyciele — św. Józef Kalasanty, św. Jan de la Salle.
Nauczycielki — św. Aniela, św. Magdalena.
Notariusze — św. Mikołaj.
Ogrodnicy — św. Fokas, św. Konon, św. Sebastian.
Organiści — św. Cecylia.
Papiernicy — św. Jan Ewang.
Piekarze — św. Klemens M. Hofbauer, św. Anna.
Piechota — św. Maurycy.
Pielęgniarze — św. Jan Boży.
Piernikarze — św. Ambroży.
Pielgrzymi — św. Rafał Arch., św. Jan Kanty.
Piwowarzy — św. Mikołaj, św. Lutgarda.
Pocztowcy — św. Gabriel Arch.
Podróżni — św. Rafał Arch., Trzej Królowie.
Proboszczowie — św. Jan Vianney.
Pozłotnicy — św. Michał.
Pszczelarze — św. Ambroży, św. Bernard.
Puszkarze — św. Barbara.
Restauratorzy — św. Marta.
Rękawicznicy — św. Bartłomiej Apost.
Robotnicy — św. Józef.
Rolnicy — św. Izydor.

Rybacy — św. Piotr Apost., św. Andrzej Apost.
Rymarze — św. Bartłomiej Apost.
Rytownicy — św. Jan Ew., św. Eligiusz.
Rzeźnicy — św. Łukasz.
Siodlarze — św. Jerzy.
Służące — św. Zyta.
Służący — św. Witalis.
Stolarze — św. Józef.
Strażacy — św. Florian.
Stróże — Aniołowie Stróżowie.
Studenci — św. Jan Kanty.
Strzelcy — św. Sebastian.
Sukiennicy — św. Paweł.
Szewcy — św. św. Kryspin i Kryspinias.
Szlifierze — św. Michał, św. Jerzy.
Ślusarze — św. Bonawita, św. Piotr.
Szklarze — św. Wawrzyniec.
Tokarze — św. Erazm.
Węglarze — św. Aleksander bp., św. Wawrzyniec
Wychowawcy — św. Józef Kalasanty, św. Jan Bosko.
Zegarmistrze — św. Eligiusz.
Złotnicy — św. Eligiusz.
Żelaźniacy — św. Piotr.

(według encyklopedii hagiograficznej Ks. Bpa K. Radońskiego p.t. **„Święci i Błogosławieni Kościoła katolickiego"**, Księg. św. Wojciecha 1947 r.)

RACHUBA CZASU

Obecnie posługujemy się kalendarzem gregoriańskim, wprowadzonym za pontyfikatu i na polecenie papieża Grzegorza XIII w r. 1582. Przed tym czasem posługiwano się kalendarzem juliańskim, w którym niedokładności w obliczaniu roku sprawiły, że błąd narastający musiał być usunięty. Grzegorz XIII polecił więc, by w roku 1582 po dniu 4 października następował dzień 15 października i w ten sposób błąd ten wyrównano. Ponadto kalendarz gregoriański usuwał też trudność wynikającą z tego, że rok słoneczny liczy 365 dni i prawie 6 godz., uwzględniał bowiem co cztery lata rok przestępny, liczący o dzień więcej — czyli 366 dni — i w ten sposób skompensował owe 6 godzin, ujmując je co cztery lata w jeden dzień. W ten sposób usunięto różnicę między rokiem astronomicznym a rokiem kalendarzowym. Ustalono też wtedy, że w ciągu każdych 400 lat trzy lata przestępne muszą być opuszczone. Tak więc lata 1700, 1800 i 1900 nie były latami przestępnymi, ale rok 2.000 będzie znów przestępny.

Przyjęta u nas era chrześcijańska liczy lata od Narodzenia Chrystusa Pana. Kościół grecki liczy je od stworzenia świata, przyjmując jako datę wyjściową rok 5509, w r. 1954 zaczyna się ich rok 7463. Żydzi liczą czas również od dnia stworzenia świata, lecz przyjmują jako datę wyjściową rok 3761 przed nar. Chr. We wrześniu 1954 zacznie się więc ich rok 5715. Rosjanie do czasów Piotra Wielkiego liczyli według rachuby greckiej, potem posługiwali się kalendarzem juliańskim, którym się zresztą jeszcze dziś posługują niektóre Kościoły wschodnie. Po rewolucji bolszewickiej wprowadzono w Rosji kalendarz gregoriański.

Wyznawcy Mahometa, a więc Arabowie, Persowie, Turcy i inni, liczą czas od wędrówki Proroka z Mekki do Medyny czyli tak zwanej Hedżiry w r. 622.

Stosowany u nas kalendarz gregoriański nie jest wolny od wielu niedogodności i jego twórcy byli tego świadomi. Z czasem powstały nowe projekty kalendarza, gdyż ogólnie wypowiadano się za ustaleniem daty Wielkanocy, która obecnie jest świętem ruchomym. Datę Wielkanocy ustala się bowiem na pierwszą niedzielę po pełni księżyca po wiosennym zrównaniu dnia z nocą. Ten sposób ustalania jest jednak ważny tylko dla północnej półkuli ziemskiej, gdyż w Afryce, w Azji i w Płd. Ameryce wiosna zaczyna się w pół roku po naszej. A ponieważ nasz Kościół i ich Kościół jest jednym Kościołem katolickim, czyli Powszechnym, można by przyjąć i dla nich i dla nas jedną stałą datę Wielkanocy.

Toteż projekty reformy kalendarza pochodziły też z kół benedyktynów z ośrodków liturgicznych.

Za ujednostajnieniem kalendarza na całym świecie przemawia także ogromny rozwój i rozpowszechnienie środków komunikacyjnych oraz radia i telewizji. Cały świat jest dziś włączony w bieg wypadków i wymaga wspólnej rachuby czasu, możliwie dogodnej dla wszystkich i wolnej od pomyłek.

Zarówno Liga Narodów jak i obecna Organizacja Narodów Zjednoczonych zajęły się tą sprawą i podjęły inicjatywę reformy kalendarza. Ostatecznie po bardzo wielu rozprawach utrzymywały się, jako najbardziej rozsądne dwa projekty: „roku o 13 miesiącach" i tzw. „kalendarza światowego". Najwięcej widoków utrzymania się ma ten ostatni.

KALENDARZ ŚWIATOWY

Przewiduje on podział roku na 4 kwartały po 91 dni. Pierwszy miesiąc każdego kwartału, zaczynający się zawsze w niedzielę, miałby zawsze 31 dni, a dwa inne po 30 dni. Ponadto w każdym roku byłby jeden dzień pozakalendarzowy, który proponowano nazwać Dniem Pokoju, a w latach przestępnych byłby jeszcze jeden taki dzień, którego nazwy nie ustalono.

Właściwym twórcą tego kalendarza jest Włoch, kapłan katolicki, ks. Marco Astrofini

(1789-1843), który swój projekt ogłosił, za zgodą władz kościelnych, przed z górą stu laty. Projekt ten wiele razy powracał i w końcu utrzymał się. Wypowiedziało się za nim już wiele kół na całym świecie. Wiele też z nich odniosło się do obecnego Papieża Piusa XII z prośbą o poparcie tej zmiany kalendarza przez Kościół katolicki. Papież na razie stara się zebrać opinie kół katolickich na całym świecie, zanim ogłosi miarodajną opinię Kościoła o tym projekcie.

STAŁY KALENDARZ

A. (l a t a)							B. (m i e s i ą c e)												C. (n a z w y d n i)						
1801—1900				1901—1980			Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzes.	Paźdz.	Listopad	Grudzień	Niedz.	Poniedz.	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
01	29	57	85		25	53	4	0	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2	1	2	3	4	5	6	7
02	30	58	86		26	54	5	1	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3	8	9	10	11	12	13	14
03	31	59	87		27	55	6	2	2	5	0	3	5	1	4	6	2	4	15	16	17	18	19	20	21
04	32	60	88		28	56	0	3	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6	22	23	24	25	26	27	28
05	33	61	89	01	29	57	2	5	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0	29	30	31	32	33	34	35
06	34	62	90	02	30	58	3	6	6	2	4	0	2	5	1	3	6	1	36	37					
07	35	63	91	03	31	59	4	0	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2							
08	36	64	92	04	32	60	5	1	2	5	0	2	5	1	4	6	2	4							
09	37	65	93	05	33	61	0	3	3	6	1	3	6	2	5	0	3	5							
10	38	66	94	06	34	62	1	4	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6							
11	39	67	95	07	35	63	2	5	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0							
12	40	68	96	08	36	64	3	6	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2							
13	41	69	97	09	37	65	5	1	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3							
14	42	70	98	10	38	66	6	2	2	5	0	3	5	1	4	6	2	4							
15	43	71	99	11	39	67	0	3	3	6	1	4	6	2	5	0	3	5							
16	44	72		12	40	68	1	4	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0							
17	45	73		13	41	69	3	6	6	2	4	0	2	5	1	3	6	1							
18	46	74		14	42	70	4	0	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2							
19	47	75		15	43	71	5	1	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3							
20	48	76		16	44	72	6	3	3	6	1	4	6	2	5	0	3	5							
21	49	77	00	17	45	73	1	4	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6							
22	50	78		18	46	74	2	5	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0							
23	51	79		19	47	75	3	6	6	2	4	0	2	5	1	3	6	1							
24	52	80		20	48	76	4	0	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3							
25	53	81		21	49	77	6	2	2	5	0	3	5	1	4	6	2	4							
26	54	82		22	50	78	0	3	3	6	1	4	6	2	5	0	3	5							
27	55	83		23	51	79	1	4	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6							
28	56	84		24	52	80	2	5	6	2	4	0	2	5	1	3	6	1							

Objaśnienia: Powyższy „stały kalendarz“ służy do wygodnego stwierdzenia każdego dnia tygodnia w okresie czasu od r. 1801 do roku 1980; to znaczy, że jeżeli chcemy wiedzieć, w którym dniu tygodnia przypadnie w przyszłości jakaś rocznica lub coś podobnego, to możemy dogodnie stwierdzić według powyższej tabeli. Oczywiście naprzód trzeba wiedzieć dokładnie datę, boć bez tego tabela ta nic nie pomoże. Wiedząc datę, odnajdujemy naprzód w dziale **A** rok owej daty; od roku idziemy w poprzek na prawo do działu **B** aż pod miesiąc owej daty i znajdziemy tam pewną liczbę; tę liczbę dodajemy do liczby dni owej naszej daty; ze zsumowaną liczbą idziemy do działu **C** i szukamy tam tejże liczby; nad nią jest podany dzień tygodnia, o który nam chodzi.

Przykład: Dnia 7 września 1812 rozegrała się pod Borodynem (około 110 km od Moskwy) bardzo wielka i krwawa bitwa między Rosjanami a wojskami Napoleona. W którym dniu tygodnia to było?

Odpowiedź: W dziale **A** rok (18)12; w dziale **B** (wrzesień) jest liczba 2; otóż 2 + 7 = 9; w dziale **C** liczba 9 jest pod poniedziałkiem. Więc w **poniedziałek** była owa bitwa.

Przykład drugi: Ktoś się urodził dnia 10 maja 1882 roku. Jaki to był dzień tygodnia?

Odpowiedź: W dziale **A** rok (18)82; stąd na prawo pod maj (w dziale **B**); jest tam liczba 1, otóż 1 + 10 = 11; w dziale **C** liczba 11 jest pod środą. Więc urodził się w środę.

SÓL ZIEMI POLSKIEJ

Święci i Błogosławieni polscy

(MR na końcu notatki oznacza świętego, który ma swój formularz w Mszale Rzymskim.)

8. II. — Bł. Izajasz Boner — Wyznawca, Kanonik Reg. św. Augustyna, dr teol. i prof. Uniw. Jagiell., na którym wykładał Pismo Św. i Naukę Bożą, wzbudzając w swych uczniach ducha serdecznego oddania się Bogu. Zm. w r. 1471. Kult jego aczkolwiek żywy nie jest oficjalnie zatwierdzony.

4. III. — Św. Kazimierz Królewicz — Wyznawca. Drugi syn króla Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Rakuskiej, zwanej „Matką Jagiellonów", uczeń J. Długosza, św. Jana Kantego i Filipa Kallimacha. Obdarzony darem żarliwej modlitwy i duchem miłosierdzia, głęboki czciciel N. M. Panny i opiekun ubogich. Zmarł mając lat 26. Kanonizowany w r. 1602. Patron Wilna i metropolii wileńskiej.

8. III. — Bł. Wincenty Kadłubek — Biskup i Wyznawca. — Pochodził z rodu Porajów z Karwowa pod Sandomierzem. Starannie wykształcony za granicą, wybitny kapłan a potem biskup krakowski, pod koniec życia wycofał się do klasztoru cystersów i tam zakończył życie w r. 1223. Beatyfikowany w r. 1764; relikwie w katedrze na Wawelu. Patron diec. sandomierskiej. Jako „Mistrz Wincenty" napisał pierwszą polską kronikę dziejów naszego narodu.

15. III. — Św. Klemens Maria Hofbauer (Dworzak) — Wyzn. Pochodził ze zniemczonej rodziny morawskiej Dvoraków. Początkowo czeladnik piekarski, potem zakonnik redemptorysta, znany ze swej pracy duszpasterskiej w Warszawie jako wybitny kaznodzieja, spowiednik oraz opiekun biednej młodzieży. Zm. we Wiedniu w r. 1820 i tam pochowany w kościele Maria Stiegen. Beatyfikowany w 1888; kanonizowany w 1909.

17. III. — Bł. Jan Sarkander, Wyznawca. — Urodził się w Skoczowie na Śląsku Cieszyńskim. Wykształcony i gorliwy kapłan pracował na Morawach, gdzie toczyła się ostra walka protestantów z katolikami. Wtrącony do więzienia przez protestantów i poddany okrutnym torturom, nie zdradził tajemnicy spowiedzi. Umarł w Ołomuńcu po 30 dniach męczarni, 17 marca 1620. Ciało złożono w kościele Wniebowzięcia NMP w Ołomuńcu. Beatyfikowany w r. 1860.

23. IV. — Św. Wojciech (Adalbertus) — Biskup, Męczennik. — Pochodził z znakomitego rodu Sławników. Najpierw kapłan-pokutnik, potem biskup Pragi Czeskiej. Wskutek trudności prosi o zwolnienie go z tej godności w Pradze i udaje się do Polski, aby stamtąd nieść Ewangelię pogańskim Prusom. W czasie jednej z wypraw misyjnych zamordowany przez Prusów 23 kwietnia 997 r. niedaleko Królewca, na półwyspie sambijskim. Już w r. 999 na synodzie zaliczony do świętych męczenników. Patron Polski; relikwie w katedrze gnieźnieńskiej.

1. V. — Bł. Jakub Strzemię (Strepa) — Biskup, Wyznawca. — Wybitny franciszkanin, misjonarz Ziem Wschodnich, później biskup halicki i wielki organizator swej archidiecezji. Beatyfikowany w r. 1790. Patron archidiec. lwowskiej.

8. V. — Św. Stanisław ze Szczepanowa — Biskup, Męcz. Gorliwy i wykształcony kapłan, a potem biskup krakowski, znany ze swego miłosierdzia. Wskutek tragicznego zatargu z królem Bolesławem Śmiałym, na którego rzucił w końcu klątwę za jawne życie w grzechach, został z rozkazu porywczego króla lub może nawet przez samego władcę zabity w kościele na Skałce 8 maja 1079 r. Uroczyście kanonizowany w Asyżu w 1253. Święto w Polsce obchodzi się 8 maja, w całym Kościele katol. 7 maja. Św. Stanisław Szczepanowski jest głównym patronem Polski i szeregu diecezyj z krakowską na czele. (MR).

16. V. — Św. Andrzej Bobola — Męczennik. — Należał do Towarzystwa Jezusowego, był zamiłowanym wychowawcą młodzieży, kierownikiem Sodalicji Mariańskich, kaznodzieją i misjonarzem ludowym. Nawrócił wielu prawosławnych i stąd zwany był „duszochwatem". Okrutnie zamęczony na śmierć przez prawosławnych kozaków w Janowie Poleskim 16 maja 1657 r. Beatyfikowany w r. 1853, kanonizowany na Wielkanoc 1938. Relikwie w Warszawie w kościele jezuitów.

2. VI. — Bł. Sadok i Towarzysze — Męczennicy. Organizator zakonów dominikańskich i misjonarz Sadok wraz z innymi zakonnikami zginął z ręki Tatarów, którzy zdobyli zamek w Sandomierzu w dniu 2 czerwca 1260 i wymordowali w nim 49 dominikanów śpiewających Salve Regina. Kult ich zatwierdził Papież Aleksander IV.

10. VI. — Bł. Bogumił — Biskup, Wyznawca. — Pochodził z rodu Leszczyców z okolic Koła. Kształcił się w Paryżu, potem był proboszczem w rodzinnej włości Dobrowie. Jako arcybiskup gnieźnieński koronował Bolesława Śmiałego w r. 1076 i przeprowadził reformy gregoriańskie w Polsce. Życia dokonał w swej pustelni w Dobrowie w r. 1092. Kult zatwierdzony w

r. 1925; część relikwii w Uniejowie.

15. VI. — **Bł. Jolanta. Wdowa.** — Córka króla węgierskiego Beli IV, młodsza siostra bł. Kingi, nosiła imię Heleny, po węgiersku Johelet, zwano ją jednak zlatynizowanym imieniem Jolanty. Wychowana częściowo w Polsce poślubiła księcia kaliskiego i gnieźnieńskiego Bolesława zwanego Pobożnym. Wzór żony i matki. Po owdowieniu przenosi się do klasztoru klarysek w Nowym Sączu i tam żyje świątobliwie wraz z bł. Kingą. Szczególna czcicielka Męki Pańskiej. Zmarła 11 czerwca 1298. Beatyfikowana w r. 1827, relikwie w kościele franciszkanów w Gnieźnie.

18. VII. — **Bł. Szymon z Lipnicy, Wyznawca.** — Kapłan bernardyn, uczeń św. Jana Kantego, później św. Jana Kapistrana, świetny kaznodzieja i gorliwy czciciel N. M. Panny. 18 lipca 1482 padł ofiarą swej heroicznej miłości, pielęgnując chorych w Krakowie w czasie dżumy szalejącej w całej Europie. Beatyfikowany w r. 1685. Relikwie w kościele bernardynów u stóp Wawelu.

20. VII. — **Bł. Czesław Odrowąż, Wyznawca.** — Krewny św. Jacka, urodzony w Kamieniu na Śląsku. Razem z krewniakiem studiował za granicą i obaj wstąpili do zakonu dominikanów. Bł. Czesław pracował jako organizator zakonów dominikańskich w Czechach, Saksonii, Prusach i w Polsce. Niestrudzony misjonarz, opiekun ubogich i chorych, mąż modlitwy i umartwienia. Zmarł 15 lipca r. 1242.

21. VII. — **Św. Św. Andrzej Żórawek (Świerad) i Benedykt (Andreas Zoerardus et Benedictus), Wyznawcy, Męczennicy.** — Św. Andrzej Żórawek był zakonnikiem i pustelnikiem w Słowacji, Benedykt jego uczeń i towarzysz został zamordowany przez rozbójników. Kanonizowani jako pierwsi Polacy w r. 1083. Relikwie w katedrze w Nitrze. Patronowie Słowacji.

24. VII. — **Bł. Kunegunda lub Kinga, Panna.** — Córka króla węg. Beli IV, siostra bł. Jolanty i św. Małgorzaty węg. Wydana w bardzo młodych latach za księcia Bolesława V, zwanego Wstydliwym, żyła z nim w dziewictwie. Po śmierci męża wstąpiła do klasztoru klarysek w N. Sączu i tam dokonała życia 24 lipca 1292 r. Matka ubogich i chorych, opiekunka kościołów. Kult dozwolony w r. 1690.

17. VIII. — **Św. Jacek (Hyacinthus) Odrowąż — Wyznawca.** Gorliwy naśladowca i uczeń św. Dominika, żarliwy zdobywca dusz zwany Apostołem Północy, jeden z największych misjonarzy dominikańskich. Krewny bł. Czesława. Przebiegł całą wschodnią Europę. Jeden z najżarliwszych krzewicieli Prawdy Bożej w naszym narodzie. Zmarł w dniu Wniebowzięcia NMP. w r. 1257. Kanonizowany w 1594 r. (MR.)

1. IX. — **Bł. Bronisława, Panna.** — Z rodu Odrowążów, krewna św. Jacka i bł. Czesława, zakonnica norbertanka, słynąca cnotami zakonnymi: pokorą i ukochaniem modlitwy i umartwienia. Zmarła 29. VIII. 1259 r. Beatyfikowana w 1839 r. Wzywana skutecznie w czasie wielkich epidemii i zaraz w Polsce.

7. IX. — **Bł. Melchior Grodziecki i Tow., Męczennicy.** — Kapłan z Towarzystwa Jezusowego, gorliwy kaznodzieja i przez jakiś czas kapelan wojskowy w Koszycach. Wraz z Chorwatami ks. Krizem i (też jezuitą) ks. Stefanem Pongraczem padł ofiarą nienawiści kalwinów i zostali zamordowani dnia 7. IX. 1619 r. w Koszycach. Stąd zwani Męczennikami Koszyckimi. Beatyfikowani w r. 1905, pochowani w Koszycach w kościele urszulanek.

25. IX. — **Ładysław z Gielniowa, Wyznawca.** — Jan z Gielniowa kolegował na akademii Krakowskiej z Janem Kantym i Szymonem z Lipnicy. Wstąpiwszy do zakonu bernardynów przyjął imię Ładysław. Urodzony kaznodzieja i twórca ludowych pieśni kościelnych zasłynął jako duszpasterz w Warszawie i tam zmarł w 1505 r. Beatyfikowany w r. 1905, jest patronem Stolicy Polski.

1. X. — **Bł. Jan z Dukli, Wyznawca.** — Uczeń Jana Kantego i Jana Kapistrana, wstąpił do zakonu bernardynów. Przedtem żył jakiś czas w pustelni koło Dukli. Doskonały spowiednik i kaznodzieja, nawrócił wielu schizmatyków do Kościoła. Pracował w Krakowie, Poznaniu i Lwowie, gdzie zasłynął swą odwagą kapłańską w czasie oblężenia miasta przez Tatarów w r. 1474. Pod koniec życia oślepł, zmarł 29 września 1484 r. Kult dozwolony w r. 1739. Relikwie w kaplicy za ołtarzem głównym w kościele bernardynów we Lwowie.

20. X. — **Jan Kanty Wyznawca.** — Jan Wacięga z Malca pod Kętami zwany po łacinie Joannes Cantius, czyli Janem Kantym. Był profesorem na Uniwersytecie Krakowskim. Łączył głęboką wiedzę ze świętością życia i czynami miłosierdzia wobec duszy i ciała bliźnich. Zmarł w wigilię Bożego Narodzenia 1473 r. Kanonizowany w r. 1767. Patron młodzieży studiującej i główny patron archidiecezji krakowskiej. W hymnie ze Mszy na jego cześć, ułożonym tuż przed rozbiorami Polski, znajduje się prośba do Świętego o pomoc Bożą dla „Królestwa Ojców.“ (M.R.)

16. X. — **Św. Jadwiga Śląska (Hedwigis), Wdowa.** — Z rodziny bawarskich hrabiów Andechs poślubiła ks. śląskiego Henryka Brodatego. Synem jej był Henryk Pobożny poległy pod Legnicą w r. 1241 w walce z Tatarami. Św. Jadwiga na tle swej epoki była kobietą niezwykłej miary: wykształcona i mówiąca po łacinie, życiowo bardzo rozumna wywierała wielki wpływ na ówczesne stosunki polityczne. Wbrew opinii jej biografów niemieckich nie była germanizatorką, otaczała się Polakami na swym dworze, gdzie też mówiono po polsku. Ciężko doświadczona w życiu osobistym, po śmierci męża wycofała się do klasztoru cystersek w Trzebni-

cy na Śląsku i tam zmarła w r. 1243. Kanonizowana w r. 1267. Jest patronką śląską, gdzie jej uroczystość obchodzą 15. X. (M.R.)

12. XI. — **Pięciu Braci Polskich Męczenników.** — Właściwie tylko dwu z nich **Izaak i Mateusz** na pewno było Polakami, dwaj inni: **Jan i Benedykt** byli Włochami, piąty **Krystyn** prawdopodobnie Polakiem. Obaj Polacy byli misjonarzami za czasów Bolesława Chrobrego i udali się wraz z włoskimi towarzyszami i usługującym im Krystynem do pustelni w Międzyrzeczu, założonej na wzór kamedułów. Tam w nocy z 10 na 11 listopada napadli ich uzbrojeni rzezimieszkowie i zamordowali wszystkich. Część ich relikwij została wraz z pustelnią i klasztorem przeniesiona do Kazimierza pod Koninem, zwanego tak bo uczynił to Król Kazimierz Odnowiciel. Zwani też Męczennikami Kazimierskimi uchodzą oni za pierwszych kanonizowanych Polaków — „primitiae martyrum".

13. XI. — **Św. Stanisław Kostka, Wyznawca.** — Syn kasztelana zakroczymskiego Jana Kostki, urodzony w Rostkowie koło Przasnysza, w r. 1550. Żywy, pogodny i pełen ochoty do nauki chłopak wyjeżdża z bratem na studia do Wiednia. Zrażony trybem życia brata ucieka do Bawarii chcąc się dostać do Rzymu. W Dillingen spotyka Piotra Kanizjusza, który go posyła do nowicjatu w Towarzystwie Jezusowym w Rzymie. Tu święty młodzieniec po niespełna roku umiera w Wniebowstąpienie Matki Boskiej w r. 1568. Beatyfikowany jako pierwszy członek Zakonu Jezuitów w r. 1605, kanonizowany w r. 1726. Patron polskiej młodzieży jako wzór czystego życia i młodzieńca, który zawsze powtarzał, że „jest stworzony do rzeczy większych". — „Ad maiora natus sum." Relikwie w Rzymie w kościele św. Andrzeja, część w Rostkowie.

14. XI. — **Św. Jozafat Kuncewicz Biskup, Męczennik.** — Bazylianin, później arcybiskup unicki Połocka, niestrudzony bojownik Unii, bronił prymatu Stolicy Piotrowej. Wielki opiekun ubogich, którym rozdawał pieniądze uzyskane ze sprzedaży swych oznak biskupich. Prawosławni zamordowali go w czasie wizyty pasterskiej w Witebsku 12. XI. 1623 r. Kanonizowany w r. 1867 (pierwsza kanonizacja świętego obrz. wschodniego). Relikwie w kościele św. Barbary w Wiedniu. (M.R.)

17. XI. — **Bł. Salomea, Panna.** — Córka Leszka Białego i Grzymisławy, siostra Bolesława Wstydliwego. Zaślubiona Kolomanowi królowi węgierskiemu, żyła z nim w dziewictwie. Po śmierci męża wstąpiła do klasztoru klarysek. Wzór cnot zakonnych. Zmarła 17. XI. 1268 r. Relikwie w Krakowie u franciszkanów. Kult zatwierdzony w r. 1679.

PRZEPISY KOŚCIELNE

ROK KOŚCIELNY

Rok kościelny zaczyna się w pierwszą niedzielę Adwentu a kończy w sobotę po ostatniej niedzieli po Zielonych Świętach. Obejmuje on dwa rodzaje świąt — uroczystości ku czci Pana Boga i uroczystości ku czci Świętych Pańskich. Pierwszy rodzaj tworzy poczet lub cykl świąt, drugi poczet lub cykl Świętych (Proprium de tempore i Proprium Sanctorum). Celem pierwszego cyklu jest ukazanie życia, posłannictwa i śmierci naszego Zbawiciela w tradycyjnych ramach wielkich tajemnic naszej wiary. Celem drugiego cyklu jest uczczenie pamięci tych dusz, które swym świętym życiem połączyły się z Chrystusem Panem i Jego Posłannictwem Odkupienia.

CYKL ŚWIĄT

Rok kościelny dzieli się na dwa okresy: Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, a te okresy dzielą się znów na czasy, których celem jest przygotowanie dusz do obchodzenia święta, sam jego obchód i jego przedłużenie.

A. Okres Bożego Narodzenia czyli Wcielenia.

1. **Czas Adwentu (Przyjścia)** obejmuje cztery tygodnie, w ciągu których wraz z Patriarchami i Prorokami tęsknie wzdychamy do przyjścia Zbawiciela.

2. **Czas Bożego Narodzenia** stawia nam przed oczy Narodzenie Słowa Wcielonego, które się w nas odtwarza przez łaskę, i Jego Epifanię (Trzech Króli) czyli objawienie się światu.

3. **Czas po Objawieniu** czyli Epifanii (Trzech Królach) obejmuje okres od 2 do 6 tygodni, przypominających nam ukryte życie Zbawiciela i objawia nam Jego Bóstwo.

B. Okres Wielkanocy czyli Odkupienia

1. Dziewięć tygodni stanowi przygotowanie do wielkiego święta Paschy. Dzielą się one na trzy czasy:

a) **Czas Siedemdziesiątnicy** (Przedpoście) wprowadza nas w życie publiczne Pana Jezusa i wraz z Wielkim Postem podaje nam w skrócie życie Chrystusa.

b) **Czas Wielkiego Postu 40-dniowego** wyobraża post czter-

PODZIAŁ ROKU KOŚCIELNEGO

OKRES BOŻEGO NARODZENIA
Tajemnica Wcielenia

Przygotowanie (szaty fioletowe)
I. Czas Adwentu
od I Niedz. Adw. do 24 grudnia — 4 niedziele

Obchód (szaty białe)
Boże Narodzenie
Trzech Króli
II. Czas Bożego Narodzenia
od 24 grudnia do 14 stycznia — 2 niedziele

Przedłużenie (szaty zielone)
III. Czas po Trzech Królach
od 14 stycznia do siedemdziesiątnicy — od 2 do 6 niedziel

OKRES WIELKANOCY
Tajemnica Odkupienia

Przygotowanie (szaty fioletowe)
dalsze:
I. Czas Siedemdziesiątnicy
od 70-tnicy do Popielca — 3 niedziele
bliższe:
II. Czas Wielkiego Postu
od Popielca do Niedzieli Męki Pańskiej — 4 niedziele
bezpośrednie:
III. Czas Męki Pańskiej
od Niedz. Męki Pańsk. do Wielkanocy — 2 niedziele

Obchód (szaty białe lub czerwone)
Wielkanoc
Zielone Święta
IV. Czas Wielkanocny
od Wielkanocy do Trójcy Św. — 8 niedziel

Przedłużenie (szaty zielone)
V. Czas po Zielonych Świętach
od Trójcy Św. do Adwentu — od 24 do 28 niedziel

Razem w roku kościelnym niedziel 53.

Uwaga. Gdy rok ma tylko 52 niedziele, jedna z niedziel po Trzech Królach lub 23-cią niedzielę po Zielonych Świętach obchodzi się w sobotę poprzedzającą.

dziesiódniowy Pana Jezusa na puszczy i pozwala nam w nim uczestniczyć. Opisuje nam też życie apostolskie Pana Jezusa.

c) **Czas Męki Pańskiej** obejmuje dwa ostatnie tygodnie W. Postu i ukazuje nam ostatnie cierpienia Pana Jezusa i Jego śmierć na krzyżu, abyśmy wraz z Nim umarli naszym grzechom.

2. **Czas Wielkanocy** pozwala nam uczestniczyć w największej ze wszystkich uroczystości: Zmartwychwstania Pańskiego czyli Wielkanocy wraz z oktawą uprzywilejowaną. W ciągu tego czasu dusza nasza zmartwychwstaje z Chrystusem i żyje przez następny okres pięciu tygodni z Jezusem, ustanawiającym Kościół i wstępującym w niebo w dniu Wniebowstąpienia.

Zielone Święta zamykają ten czas zstąpieniem Ducha Świętego do naszych dusz i narodzinami Kościoła.

3. **Czas po Zesłaniu Ducha Św.** (Zielonych Świętach) ukazuje nam przez 24 do 28 niedziel cały plon świętości, który Duch Św. i Najśw. Sakrament wzbudzają w Kościele, aż do końca świata, a o nim nam przypomina ostatnia niedziela po Zielonych Świętach.

Punktem kulminacyjnym całego roku kościelnego jest święto Wielkanocy. Jest to święto ruchome, przypada zawsze w najbliższą niedzielę po pełni księżyca, po wiosennym zrównaniu dnia z nocą (21 marca). Gdy pełnia marcowa wypadnie przed 21 marca, wówczas dopiero następna będzie pełnią Wielkanocy stąd może wypaść cały miesiąc różnicy, toteż data Zmartwychwstania Pańskiego waha się między 22 marca a 25 kwietnia. Data święta Wielkanocy reguluje daty wszystkich innych świąt z nią związanych.

CYKL ŚWIĘTYCH

Papież Pius X w swej bulli, „Divino Afflatu" wskazał, jaką hierarchię należy zachować w obchodzeniu uroczystości Świętych, które wypadają w ciągu roku kościelnego wśród tajemnic pocztu świąt Chrystusowych.

Pierwsze miejsce wśród Świętych zajmuje Najświętsza Maria Panna, potem idą Aniołowie, następnie Święci według roli, jaką odegrali w dziele Wcielenia i Odkupienia: św. Jan Chrzciciel, św. Józef, św. Piotr, św. Paweł i inni Apostołowie. Po nich św. Patronowie narodu, diecezji, parafii mają miejsce przed innymi w danym kraju czy okolicy.

Następują święta poświęcenia kościoła lub katedry, Męczenników, Papieży, Biskupów, Doktorów Kościoła, (najwierniejszych tłumaczy słowa Bożego), Wyznawców (którzy całym życiem dali świadectwo Prawdzie Bożej), świętych Panien i Niewiast.

ZBIEG LUB SPOTKANIE ŚWIĄT

Z równoległego rozwijania się świąt Chrystusowych oraz niedziel i uroczystości Świętych wynika nieraz zbieg dwu świąt (okurencja), gdy oba wypadną na ten sam dzień, lub też spotkanie (konkurencja), gdy drugie Nieszpory jednej uroczystości zbiegną się z pierwszymi Nieszporami następnej. (I Nieszpory odbywają się w wigilię danego święta, a II w samo święto). Kiedy się więc dwa święta zbiegają, mniej uprzywilejowane ustępuje bardziej uprzywilejowanemu; kiedy się zbiegają podwójne nieszpory, mniej ważne ustępują bardziej ważnym, a jeśli święta są tego samego stopnia, wówczas się dzielą nieszporami, to znaczy od Kapitulum odmawia się Nieszpory dnia następnego.

Dla orientacji w godności świąt ustalono tzw. ryty i stopnie poszczególnych świąt. Można je znaleźć w każdym obszerniejszym mszaliku dla świeckich.

ŚWIĘTA RUCHOME W ROKU 1954

Niedziela 70-nicy — 14 lutego.
Popielec — 3 marca.
Wielkanoc — 18 kwietnia.
Wniebowstąpienie — 27 maja.
Zielone Święta — 6 czerwca.
Niedz. Trójcy Przen. 13 czerwca.
Boże Ciało — 17 czerwca.
I Niedz. Adwentu 28 listopada.

ŚWIĘTA OBOWIĄZUJĄCE W ROKU 1954

Nowy Rok — 1 stycznia.
Trzech Króli — 6 stycznia.
Wniebowstąpienie — 27 maja.
Boże Ciało — 17 czerwca.
sw. Piotra i Pawła 29 czerwca.
Wniebowzięcie NMP 15 sierpnia.
Wszyst. Świętych — 1 listopada.
Boże Narodzenie — 25 grudnia.

W SZKOCJI katolików obowiązują ponadto jako święta obowiązkowe: dzień św. Józefa (19 marca) oraz Niepokalanego Poczęcia NMP (8 grudnia).

W IRLANDII ponadto dzień św. Patryka (17 marca) i dzień Niepokalanego Poczęcia NMP (8 grudnia) są świętami obowiązującymi.

We wszystkie niedziele oraz wyżej wymienione dni katolicy są obowiązani pod grzechem ciężkim — o ile nie zachodzi ważna, usprawiedliwiona przeszkoda — do uczestnictwa we Mszy św. i wstrzymania się od pracy służebnej, o ile to jest możliwe w W. Brytanii ze względu na kontrakt pracy. W kościołach katolickich w te dni są odprawiane wczesne Msze św. oraz Msze św. wieczorne, aby umożliwić pracującym wzięcie w nich udziału.

W inne tzw. święta kościelne polecone jest uczestniczenie w Mszy św. i obrzędach.

Do nich należą poniedziałek i wtorek po Wielkanocy i Zielonych Świętach, ważniejsze święta ku czci Matki Boskiej, jak: M. B. Gromnicznej (2 lutego), Zwiastowanie, Narodzenie M. B. (święto zwane u nas M. B. Siewną — 8 września) i Niepokalane Poczęcie N. M. Panny (8 grudnia). Potem święta Archaniołów, św. Józefa, Apostołów, św. Anny i wiele innych, a szczególnie pamiętajmy o świętych polskich, Patronach naszego kraju i narodu.

DNI WOLNE OD PRACY W ANGLII I WALII

czyli tzw. Bank Holidays 1954.

Wielki Piątek — 16 kwietnia.
Poniedziałek Wielk. 19 kwietnia.
Poniedz. Ziel. Świąt 7 czerwca
I poniedz. sierpnia, 2 sierpnia.
Boże Narodzenie — 25 grudnia.
Św. Szczepana — 26 grudnia.

SUCHEDNI

Każda z czterech pór roku zaczyna się okresem pokutnym, zwanym po łacinie Quatuor Tempora a po polsku Suchedni. Dawniej, gdy głównym zajęciem ludności była uprawa ziemi, miały one wielkie znaczenie, albowiem celem ich jest poświęcenie Bogu poszczególnych okresów uprawy ziemi. Zawsze były Suchedni okresem przygotowania kandydatów do święceń duchownych przez pokutę. Składają się Suchedni z trzech dni postu: w środę, piątek i sobotę. Każdy z tych dni ma swój specjalny formularz Mszy świętej.

Dawniej w Suchedni obowiązywał post ścisły bez mięsnych pokarmów, obecnie korzystamy z dyspensy, o której jest mowa w rozdziale o postach.

Suche dni przypadają kolejno w roku kościelnym:

zimowe — po 3 niedzieli Adwentu,

wiosenne — po 1 niedzieli W. Postu,

letnie — po Zielonych Świętach,

jesienne — po Podwyższeniu św. Krzyża.

W ROKU 1954 SUCHE DNI przypadają:

wiosenne — 10, 12, i 13 marca,
letnie — 9, 11 i 12 czerwca,
jesienne — 15, 17 i 18 września,
zimowe — 15, 17 i 18 grudnia.

DNI KRZYŻOWE

W poniedziałek, wtorek i środę poprzedzające uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego obchodzi się w Kościele tzw. Dni Krzyżowe przez uroczystą, pokutną procesję, w czasie której obecni śpiewają litanię do W. Świętych. Po niej kapłan odmawia modlitwy błagalne. Polska nazwa „Dni Krzyżowe" pochodzi stąd, że w naszym kraju te procesje odbywają się do krzyżów przydrożnych lub pamiątkowych. W Kościele dni te mają nazwę Dni Próśb (Dies Rogationum).

Nabożeństwo to pochodzi z bardzo dawnych lat. Gdy w V. wieku diecezję Vienne we Francji nawiedziły liczne klęski, św. jej arcybiskup Mamert zarządził uroczystą procesję w trzy dni poprzedzające Wniebowstąpienie. Synod w Orleanie (511 r.) rozszerzył ten zwyczaj na całą Francję. W r. 816 papież Leon III zaprowadził go w Rzymie, a stąd wkrótce przyjął się w całym Kościele.

W tym roku Dni Krzyżowe przypadają w dniach 24, 25 i 26 maja.

JAKIE POSTY NAS OBOWIĄZUJĄ?

Według nowego Kodeksu Prawa Kościelnego, posty trojakiego rodzaju obowiązują katolików:

1. Wstrzemięźliwość od pokarmów mięsnych obowiązuje wszystkich wiernych od ukończenia 7 lat we wszystkie piątki całego roku.

2. Post ścisły, to znaczy post i abstynencja — obowiązują:

a) w środę Popielcową,

b) we wszystkie piątki i soboty Wielkiego Postu (w W. Sobotę tylko do południa),

c) w środę, piątek i sobotę Suchedni w czterech porach roku,

d) w wigilie: Zielonych Świąt, Wniebowzięcia NMP, Wszystkich Świętych i Bożego Narodzenia.

Post polega na tym, że posilamy się tylko raz dziennie do sytości, przyjmując poza tym dwa inne lekkie posiłki.

Dzieci i młodzież do 21 roku życia i osoby mające ponad 59 lat mogą się w powyższe dni posilać do sytości więcej niż raz dziennie, ale powinni się powstrzymać od spożycia mięsa.

3. **Sam post** — obowiązuje wszystkich wiernych od 21 do 60 roku życia we wszystkie dni W. Postu, poza wyżej wymienionymi.

Uwagi: Do przygotowania potraw postnych wolno używać tłuszczów zwierzęcych. Jeżeli na dzień postny poza Wielkim Postem przypada święto obowiązujące wówczas post nie obowiązuje.

Dekretem św. Kongregacji Soboru z 28 stycznia 1949 r. Ojciec św. Pius XII wprowadził aż do odwołania dla wszystkich katolików obrz. łacińskiego pewne złagodzenie zasadniczych przewidzianych prawem kościelnym przepisów o postach i abstynencji.

Tak więc od Popielca w r. 1949 obowiązują:

Abstynencja tylko t. j. powstrzymanie się od pokarmów mięsnych we wszystkie piątki całego roku.

Ścisły post i abstynencja, to znaczy spożywanie tylko jednego posiłku zasadniczego dziennie i dwu posiłków lekkich z równoczesnym wstrzymaniem się od potraw mięsnych **obowiązują:**

W Środę Popielcową, w Wielki Piątek, w wigilię Wniebowzięcia N.M.P. i w wigilię Bożego Narodzenia.

Wszystkich jednak wiernych a zwłaszcza duchowieństwo i osoby zakonne wzywa Ojciec św., aby w miejsce udzielonych ulg w przepisach postnych oddawali się dobrowolnie ćwiczeniom doskonałości chrześcijańskiej, jak umartwienia i jałmużna, pomoc chorym, modlitwa wynagradzająca.

Kto ma jakiekolwiek trudności w zachowaniu postu, niechaj się zwróci o dyspensę do swojego właściwego duszpasterza (**proboszcza**) lub spowiednika

UCZESTNICTWO WE MSZY ŚW. I KOMUNIA WIELKANOCNA

W każdą niedzielę i święto obowiązujące katolicy na podstawie przykazań kościelnych mają obowiązek pod grzechem ciężkim — o ile ważne przeszkody ich od tego nie zwalniają — uczestniczenia we Mszy św.

Dobry katolik spędza swój wolny od pracy czas w dni świąteczne w ten sposób, aby go wykorzystać dla wzbogacenia swej duszy i pomnożenia sił duchowych, potrzebnych do spełniania codziennych obowiązków. Szczególnie ważna jest lektura Pisma św. i dobrych książek o tematyce katolickiej oraz prasy katolickiej.

Okres czasu przeznaczony na obowiązującą katolików pod grzechem ciężkim Komunię Wielkanocną zaczyna się w Wielkim Poście i trwa aż do Niedzieli Trójcy Przenajświętszej włącznie. (I po Zielonych Świętach).

PRZEPISY KOŚCIELNE DOTYCZĄCE MAŁŻEŃSTWA

Małżeństwo między dwojgiem ochrzczonych ważnie zawarte jest Sakramentem. Istotnymi cechami Sakramentu Małżeństwa są: **jedność i nierozerwalność.**

Jedność t.j. jeden mąż i jedna żona.

Nierozerwalność, małżeństwo ważnie zawarte nie może być rozwiązane, chyba tylko przez śmierć jednej ze stron.

Forma małżeństwa katolickiego:

a) w kościele,

b) przed biskupem, proboszczem lub kapłanem przez nich wydelegowanym,

c) w obecności dwóch świadków.

Do tej formy są obowiązani wszyscy katolicy (kan. 1094) za wyjątkiem niebezpieczeństwa śmierci, lub niemożliwości stawienia się przed księdzem w okresie jednego miesiąca.

Ślub cywilny czyli rejestracja w Urzędzie Stanu Cywilnego obowiązująca w niektórych państwach, jest kontraktem wiążącym wobec ustawodawstwa cywilnego, lecz **wobec Kościoła nie ma żadnego znaczenia** i osoby, które zawarły takie małżeństwo nie są wobec Boga mężem i żoną, lecz zwykłymi konkubinariuszami. Pożycie w samym związku małżeńskim cywilnym jest grzechem ciężkim, a w niektórych diecezjach jest karane ekskomuniką. Dzieci zrodzone z takiego małżeństwa są nielegalne wobec Kościoła.

WARUNKI ZAWARCIA ZWIĄZKU MAŁŻEŃSKIEGO DLA POLAKÓW W ANGLII

Strony zamierzające zawrzeć związek małżeński powinny stawić się u duszpasterza polskiego lub u księdza proboszcza angielskiego co najmniej **na miesiąc przed ślubem,** celem uzyskania bliższych informacji, sporządzenia dokumentów przedślubnych, wygłoszenia zapowiedzi i pobrania nauk przedślubnych.

Dokumenty przedślubne:

a) metryka urodzenia i Chrztu św.,

b) zaświadczenie stanu wolnego na podstawie Aktu Znania,

c) w razie wdowieństwa metryka zgonu męża lub żony,

d) zaświadczenie wygłoszonych zapowiedzi,

e) podpisane odpowiedzi na pytania przedślubne (Prenuptial Inquiry),

f) w razie różnicy wyznania:
1. podpisane przyrzeczenie przez stronę niekatolicką,
2) dyspensa od różnicy wyznania i zapowiedzi,

g) delegacja dla księdza mającego asystować przy ślubie,

h) zapewnienie ze strony Urzędnika Stanu Cywilnego, że stawi się w kościele, gdzie się ma odbyć ceremonia ślubna.

Małżeństwo może być zawarte ważnie w każdym czasie, ale uroczyste śluby są zakazane prawem kościelnym podczas Adwentu i Wielkiego Postu. Pozwolenia na uroczysty ślub w tych okresach może udzielić tylko biskup ordynariusz.

Nawet katolicy, którzy odstąpili od Kościoła katolickiego — czy to formalnie czy praktycznie — **podlegają w sprawach małżeńskich przepisom i jurysdykcji Kościoła katolickiego.**

MAŁŻEŃSTWO MIESZANE

Małżeństwem mieszanym (matrimonium mixtum) nazywamy małżeństwo między katolikiem a osobą wprawdzie ochrzczoną ale nie należącą do Kościoła Katolickiego. Kościół zawsze wzbraniał takich małżeństw gdyż uważa je za **niebezpieczne dla wiary strony katolickiej:** niekiedy jednak zgadza się na nie z ważnych powodów i udziela specjalnej dyspensy pod następującymi **warunkami:**

1. Wszystkie dzieci zrodzone w małżeństwie mieszanym będą ochrzczone i wychowane w wierze katolickiej.

2. Strona katolicka będzie miała pełną swobodę wykonywania katolickich praktyk religijnych.

3. Strona katolicka podejmie wszelkie roztropne środki z modlitwą na czele, które doprowadzą drugą stronę do przyjęcia wiary katolickiej.

4. Oprócz ślubu w kościele katolickim nie może się odbyć żadna inna **religijna** ceremonia ślubna.

KATOLICKIE DZIECKO W KATOLICKIEJ SZKOLE

Rodzice katolicy mają ścisły obowiązek wobec Boga i Kościoła wychowywania swych dzieci po katolicku. Szkoła, która wyręcza rodziców w wychowywaniu i wykształceniu ich dzieci, nie może więc dawać dziecku innych zasad, niż te, w których wyrosło w domu rodzinnym. Dlatego świętym obowiązkiem rodziców katolickich jest oddanie dziecka do szkoły katolickiej, która zapewnia nie tylko naukę religii katolickiej, ale również kształci i wychowuje zgodnie z światopoglądem katolickim. W W. Brytanii jest gęsta sieć szkół katolickich wszelkiego rodzaju i typu. Trzeba zwrócić się do najbliższego kapłana polskiego lub brytyjskiego a on wskaże, do jakiej szkoły należy dziecko oddać.

We wszystkich diecezjach katolickich w tym kraju istnieją przepisy kościelne, które nie pozwalają posyłać dziecka do szkoły niekatolickiej **bez pozwolenia biskupa ordynariusza.** Jest to **zakaz pod grzechem ciężkim,** którego odpuszczenie jest zastrzeżone dla samego biskupa. **W istotnie koniecznych wypadkach** biskupi wydają takie pozwolenie pod warunkiem, że rodzice zobowiążą się w sumieniu do dania swym dzieciom katolickiego wychowania i wykształcenia religijnego. O tym wszyscy rodzice polscy winni wiedzieć.

Jeśli z jakichś względów **prawdziwej konieczności** trzeba byłoby oddać dziecko do szkoły niekatolickiej, obowiązkiem rodziców jest zapewnić dziecku naukę religii katolickiej u najbliższego kapłana katolickiego polskiego lub miejscowego oraz starannie zainteresować się czy dziecku w szkole niekatolickiej nie grozi niebezpieczeństwo osłabienia lub nawet utraty wiary.

Wszyscy rodzice polscy posyłający dzieci do szkół brytyjskich mają obowiązek wobec Ojczyzny zapewnienia swym dzieciom nauki języka i historii ojczystej oraz pielęgnowania w swym domu polskiego obyczaju katolickiego.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI W POLSCE I W ŚWIECIE

(DZIAŁ INFORMACJI RELIGIJNYCH)

Kościół Jezusa Chrystusa jest jeden, święty, katolicki, apostolski, rzymski. Na zamieszczonej obok rycinie małe punkciki oznaczają parafie, które jakoby drobną siecią otaczają świat. Kółka z krzyżykiem oznaczają kościoły katedralne, większe kółka z kościołem pośrodku — kościoły metropolitalne. W samym środku Bazylika św. Piotra w Rzymie a wokoło niej pięć największych bazylik rzymskich (św. Jana na Lateranie, Najśw. Marii Panny Większej, św. Wawrzyńca za Murami, św. Pawła za Murami i św. Krzyża Jerozolimskiego).

Przez swego proboszcza każdy wierny w parafii ma łączność ze swym biskupem (diecezją) i arcybiskupem (metropolią czyli prowincją) a przez nich z Ojcem św. i całym Kościołem.

Polska jest krajem katolickim od początku swej historii jako niepodległe państwo. W chwili obecnej naród polski w kraju, w całości katolicki, poddany jest prześladowaniu i terrorowi ze strony bezbożnych okupantów komunistycznych, którzy wszelkimi środkami chcą wydrzeć katolicyzm z duszy narodu, a rok ubiegły charakteryzowały coraz to nowe i coraz gwałtowniejsze uderzenia w Kościół w Polsce, w jego hierarchię i wiernych. Żelazna kurtyna, biegnąca poprzez środek Europy odcięła ogółem 60 milionów katolików, w tym 32 miliony katolików polskich, zarówno na obszarach zagarniętych bezpośrednio przez Sowiety, jak w Polsce rządzonej przez komunistów.

W Polsce aresztowano 7 biskupów obrządku łacińskiego (arcybiskup metropolita Baziak, biskupi: Rospond, Kaczmarek, Adamski, Bednorz, Bieniek i Bernacki), 7 biskupów obrządku greko-katolickiego (arcybiskup metropolita Slipyj, biskupi: Budka, Chomyszyn, Latyszewski, Kocyłowski, Łakota; zmarli w więzieniu biskupi: Chomyszyn, Kocyłowski, Budka. Biskup Czarnecki aresztowany i los nieznany).

Administratorów apostolskich usunięto w Polsce 5, przepadło bez wieści 2. Aresztowano ponad 1.000 księży w Polsce centralnej i zachodniej, usunięto ponad 500 prefektów ze szkół.

Kościół w Polsce jest więc pod przemożnym naporem wojującego bolszewizmu, dążącego do zniszczenia religii i wiary, jaką naród polski żył od początku swego istnienia. Jedynie Polacy, żyjący poza obszarem opanowanym przez Sowiety mogą wyznawać swą wiarę publicznie wolni od prześladowań religijnych.

W informacjach zawartych poniżej, zawierających skrót najważniejszych wiadomości o Kościele katolickim, a szczególnie o tym wszystkim, co w ustroju i działalności Kościoła jest związane z narodem polskim, znajdą czytelnicy dane, dotyczące ustroju Kościoła i jego najwyższych władz, organizacji Kościoła w Polsce i organizacji Kościoła za granicą dla Polaków, ze szczególnym uwzględnieniem obszaru Wielkiej Brytanii. Będą to więc trzy rozdziały: Ustrój Kościoła, jego organizacja w Polsce i jego organizacja wśród Polaków na obczyźnie.

KOŚCIÓŁ JEZUSA CHRYSTUSA

JEST

JEDEN

ŚWIĘTY

KATOLICKI

APOSTOLSKI

RZYMSKI

CONGREGAVIT NOS IN UNUM CHRISTI AMOR

ZŁĄCZYŁA NAS W JEDNO MIŁOŚĆ CHRYSTUSA

OJCIEC ŚWIĘTY

NAMIESTNIK PANA NASZEGO

JEZUSA CHRYSTUSA

Następca Księcia Apostołów, św. Piotra

NAJWYŻSZY PASTERZ — BISKUP RZYMU

PATRIARCHA ZACHODU — PRYMAS ITALII — ARCYBISKUP-METROPOLITA PROWINCJI RZYMSKIEJ — GŁOWA PAŃSTWA WATYKAŃSKIEGO

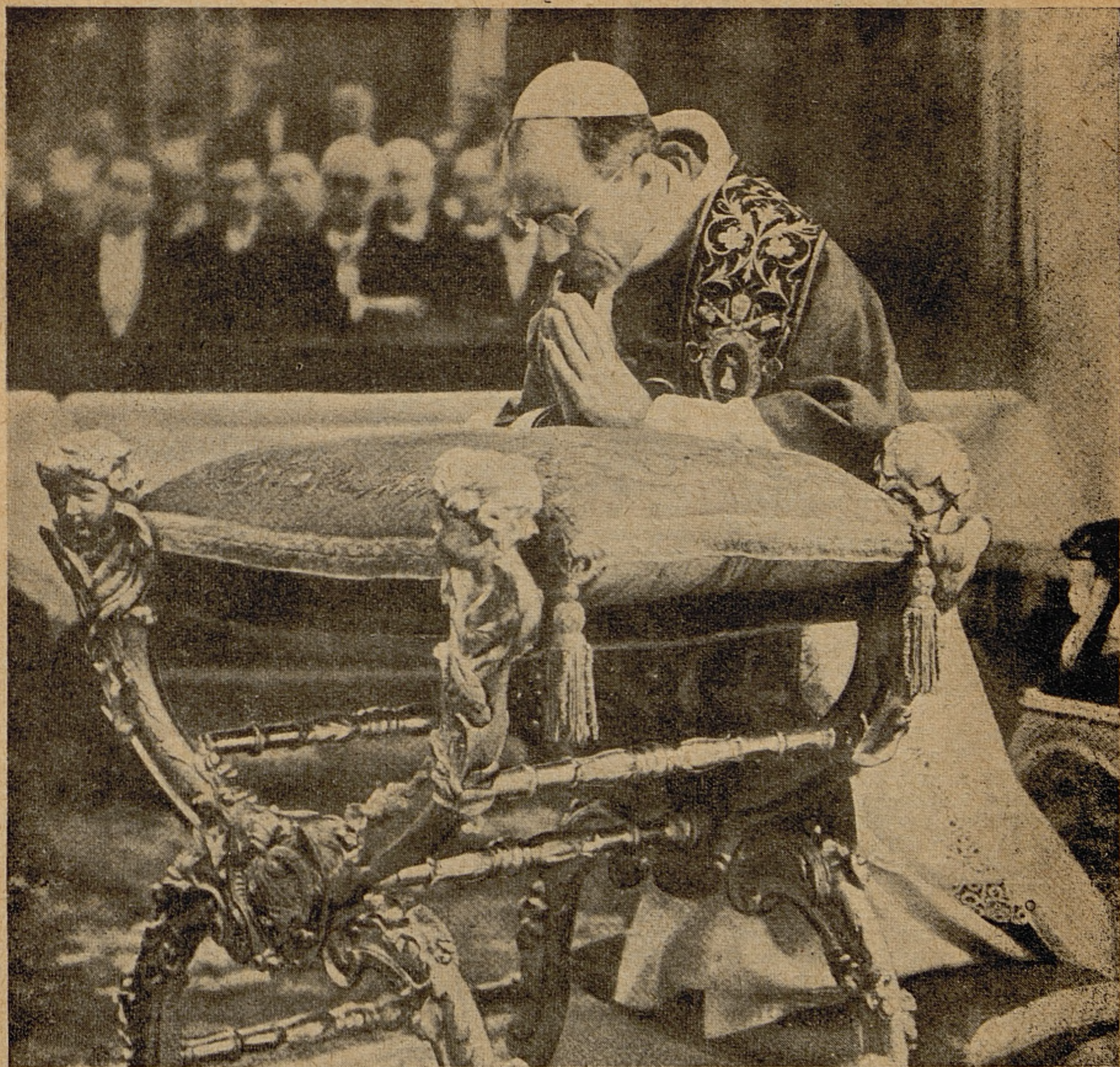
PAPIEŻ PIUS XII

przedtem

EUGENIUSZ PACELLI

urodził się dnia 2 marca 1876 r. w Rzymie, święcenia kapłańskie otrzymał 2 kwietnia 1899 r. W roku 1912 sekretarz św. Kongregacji dla nadzwyczajnych spraw kościelnych. Konsekrowany na biskupa przez papieża Benedykta XV dnia 13 maja 1917 r., od 1917 — 1920 Nuncjusz Apostolski w Monachium, a od r. 1920 — 1925 w Berlinie. W grudniu 1929 r. zostaje kardynałem, w lutym 1930 r. Sekretarzem Stanu na miejsce kardynała Gasparri.

Dnia 2 marca 1939 r. obrany Papieżem, koronowany 12 marca 1939 roku.



JEGO ŚWIĄTOBLIWOŚĆ
OJCIEC ŚW. PIUS XII

USTRÓJ KOŚCIOŁA

Hierarchia Kościoła Rzymsko-Katolickiego

Patriarchaty

Pierwszy powszechny (ekumeniczny) Sobór w Nicei (r. 325) zatwierdził stary zwyczaj, który przyznawał biskupowi Aleksandrii pewne szersze prawa na terenie diecezji rzymskiej Egiptu, a biskupowi Antochii takie same prawa na obszarze rzymskiej diecezji Wschodu (Syrii i Palestyny). Od czasów Dioklecjana bowiem Imperium Rzymskie było podzielone na diecezje i władza ówczesnych biskupów obejmowała te właśnie okręgi rzymskiej administracji państwowej.

Pierwszy Sobór w Konstantynopolu (r. 381) zatwierdził takie same prawa dla egzarchów — tak wówczas zwano arcybiskupów — rezydujących w stolicach (metropoliach) rzymskich diecezji: Azji (Efezu), Pontu (Cezarei) i Tracji (Heraklei). Wtedy też zaczęto biskupów Aleksandrii i Antiochii nazywać arcybiskupami. Sobór w Chalcedonie (w r. 451) oddzielił od Antiochii części Palestyny i utworzył z nich osobne arcybiskupstwo z siedzibą w Jerozolimie, nazywane patriarchatem. Ten Sobór nadał arcybiskupowi Konstantynopola prawo rozstrzygania przy tworzeniu egzarchatów. Od tego czasu tytuł patriarchy, którego poprzednio używali rozmaici biskupi, nadawano przede wszystkim biskupom zasiadającym na stolicach w Rzymie, Konstantynopolu, Aleksandrii, Antiochii i Jerozolimie.

Tego samego tytułu używali później biskupi, którzy odpadli od Rzymu. Podczas wypraw krzyżowych osadzano na zdobytych terenach patriarchów rezydentów obrządku łacińskiego; po krucjatach ci patriarchowie przebywali przeważnie w Rzymie jako tytularni. Dziś w Kościele w obrządku łacińskim tytuł patriarchy jest tylko honorowy, ale w obrządkach wschodnich patriarchowie mają jeszcze pewną, specjalną władzę jurysdykcyjną.

Arcybiskupstwa

Z końcem II w. na Wschodzie zaczęto diecezje kościelne łączyć w prowincje kościelne. Na Zachodzie nastąpiło to dopiero w IV i V w. i tu też granice tych prowincji mniej więcej pokrywały się z granicami prowincji państwowych. Biskup stolicy prowincji (metropolii), zwany metropolitą, przewodniczył na naradach biskupów, zatwierdzał nowych biskupów, wybieranych przez duchowieństwo i wiernych i wyświęcał ich, o ile to nie było zastrzeżone dla patriarchy. Załatwiał też szereg spraw dotyczących całej prowincji czyli — jak wówczas ją nazywano — eparchii. Od VI w. poczęto metropolitę nazywać arcybiskupem, podczas gdy pierwotnie tytuł ten przysługiwał tylko patriarchom i egzarchom.

Biskupstwa

Biskupi, jako w prostej linii następcy Apostołów, prowadzili dalej ich dzieło, jakkolwiek ich teren działania, zwany od VI w. już wszędzie diecezją, był znacznie mniejszy niż zasięg działania Apostołów. Od śmierci Apostołów mamy już stale osiadłych biskupów. Pierwsi z nich zostali powołani przez samych Apostołów, następni byli wybierani przez duchowieństwo i przez wiernych, zatwierdzani zaś i święceni przez metropolitów. Ponieważ do ich wyboru mieszała się coraz częściej władza świecka, od w. XI biskupów wybierały kapituły katedralne (rady przyboczne biskupa złożone z najstarszych duchownych), a od XIV w. mianowanie biskupów przeszło w ręce papieży. Nowy kodeks prawa kościelnego (r. 1918) potwierdza te zasadnicze postanowienia.

Niektórzy biskupi diecezjalni czyli ordynariusze nie przynależą do prowincji kościelnych (metropolii) ale podlegają bezpośrednio Stolicy Apostolskiej (diecezje sui iuris).

Administracje Apostolskie

Z bardzo ważnych względów, które uniemożliwiają założenie i prowadzenie diecezji, jak np. zmiany granic państwowych, trudności załatwiania pewnych spraw z władzami państwowymi, itp. papież niekiedy mianuje administratora apostolskiego, który kieruje diecezją lub jakąś jej częścią. Nominacja ta może mieć charakter czasowy lub trwały.

Wikariaty Apostolskie

Są to okręgi terytorialne kościelne na terenach misyjnych, gdzie nie ma jeszcze w pełni zaprowadzonej administracji i hierarchii kościelnej. Wikariuszami apostolskimi mianowani są z reguły biskupi tytularni, to znaczy otrzymujący tytuł jakiegoś dziś już nie istniejącego biskupstwa.

Prefektury Apostolskie

Są one podobne do Wikariatów Apostolskich z tą tylko różnicą, że stanowią one właściwie pierwszy krok do urządzenia hierarchii kościelnej, podczas gdy wikariaty wprowadza się już jako stadium następne. Prefekci Apostolscy nie mają godności biskupiej.

Hierarchia Kościelna obejmuje obecnie:

Tytułów kardynalskich	70
Patriarchatów	10

Tytułów patriarchów (bez praw)	4
Arcybiskupstw z jurysdykcją	257
Arcybiskupstw bez jurysdycji	41
Biskupstw diecezjalnych	1062
Arcybiskupstw i biskupstw tytularnych	798
Wolnych prałatur i opactw nullius	56
Administracji Apostolskich	11
Wikariatów Apostolskich	251
Prefektur Apostolskich	132
Misyj sui iuris	11
Prałatów obrządku wschodniego z jurysdykcją osobistą na oznaczony czas	15

ŚWIĘTE KOLEGIUM KARDYNAŁÓW

Kardynałowie tworzą radę i senat Papieża i są jego głównymi bezpośrednimi pomocnikami w rządzeniu Kościołem. Kolegium Kardynałów składa się z 6 kardynałów-biskupów, z 50 kardynałów-kapłanów i z 14 kardynałów-diakonów. Pełne Kolegium stanowi 70 kardynałów.

Kardynałami-biskupami są każdorazowi biskupi-ordynariusze siedmiu biskupstw położonych najbliżej Rzymu czyli tak zwanych podmiejskich (suburbicanae). Jest ich 7: Ostia, Porto, wraz z S. Rufina, Albano, Palestrina, Sabina, Frascati i Velletri. Ponieważ miejsc kardynalskich w tej grupie jest tylko sześć, najstarszy z nich, czyli Dziekan św. Kolegium, otrzymuje zawsze dodatkowo bikupstwo Ostii.

Wszyscy kardynałowie-biskupi mieszkają stale w Rzymie, a ich diecezjami rządzą w ich imieniu biskupi tytularni, mieszkający w stolicach ich diecezji.

Kardynałów-kapłanów jest 50, kardynałów-diakonów 14. Każdemu kardynałowi-kapłanowi Papież przy nominacji przydziela któryś kościół rzymski jako tytularny, kardynał-kapłan jest tego kościoła jakby honorowym proboszczem. Kardynałowie-diakoni mają przydzielone honorowe diakonie związane też z kościołami. Wszyscy kardynałowie są powoływani i mianowani przez Papieża spośród duchownych całego świata katolickiego. Kardynałem-diakonem może zostać każdy kapłan, kardynałem-kapłanem tylko biskup lub arcybiskup.

15 kardynałów mieszka stale w Rzymie, jako tzw. kardynałowie kurialni, reszta w swych siedzibach biskupich na całym świecie. Według narodowości najwięcej jest kardynałów Włochów potem liczebnie idą Francuzi, Amerykanie, Niemcy, Hiszpanie, Argentyńczycy, Portugalczycy, Brazylijczycy. Kardynałów mają również: W. Brytania, Belgia, Indie, Holandia, Kanada, Polska, Chiny, Chile, Węgry, Peru, Kuba, Armenia, Syria, Austria i Australia.

Po zgonie ś.p. Kardynała Prymasa, A. Hlonda i Ks. Kardynała A. S. Sapiehy, jedynym Kardynałem polskim jest Prymas Polski J. Em. Ks. arcybiskup Stefan Wyszyński, Arcybiskup Metropolita gnieźnieński i warszawski.

KURIA RZYMSKA

Obejmuje wszystkie naczelne instytucje i urzędy Stolicy Apostolskiej, związane z wszystkimi rodzajami i atrybutami władzy Papieża. Składa się ona z Kongregacji, Trybunałów, Urzędów i Komisyj.

A. ŚWIĘTE KONGREGACJE

(Sacrae Congregationes)

Kongregacje są to komisje o ściśle określonych uprawnieniach. W ich skład wchodzą kardynałowie oraz duchowni specjaliści (consultores), przeważnie wybitni uczeni, należący do rozmaitych zakonów. Kardynałowie nie-kurialni wchodzą w skład kongregacji tylko jako członkowie honorowi. Papież sam przewodniczy trzem Kongregacjom, a to: Kongregacji św. Oficjum, Kongregacji Konsystorza i Kongregacji Kościoła Wschodniego.

1. **Kongregacja św. Oficjum** — Sacra Congregatio Sancti Officii — powstała w r. 1542, rozstrzyga w sprawach wiary i obyczajów. Ona rozpatruje wszelkie sprawy dotyczące błędów i odstępstwa, dalej sprawy małżeńskie, jeśli chodzi o różnicę religii lub wyznania, ona przeprowadza cenzurę książek i zakazuje czytania ich o ile są niebezpieczne dla wiary lub z innych względów szkodliwe. Wydaje tz. index librorum prohibitorum.

2. **Kongregacja Konsystorialna** — Sacra Congregatio Consistorialis — powstała w r. 1588, w zasadzie zadaniem jej jest przygotowanie konsystorzy, to znaczy uroczystych zebrań kardynałów pod przewodnictwem Ojca św. na których zapadają i bywają ogłaszane najbardziej doniosłe decyzje. Do niej należą dalej: wyznaczanie granic nowych diecezji, wybór i mianowanie biskupów, ogólny nadzór nad wszystkimi diecezjami na świecie, dokładne badanie sprawozdań, jakie wszyscy biskupi osobiście co 5 lat składają papieżowi w czasie podróży zwanej „ad limina Apostolorum" (do siedziby Apostolskiej).

3. **Kongregacja Kościoła Wschodniego** — Sacra Congregatio pro Ecclesia Orientali — powstała w roku 1917, zajmuje się wszystkimi zagadnieniami związanymi z dyscypliną i obrządkami Kościoła Wschodniego.

4. **Kongregacja Sakramentów** — Sacra Congregatio de disciplina Sacramentorum — powstała w r. 1908, zajmuje się sprawami związanymi z udzielaniem siedmiu sakramentów (z wyjątkiem tych spraw, które są zastrzeżone dla innych kongregacyj). Ta Kongregacja rozstrzyga też sprawy małżeństwa ważnie zawartego, lecz niespełnionego. Do niej zależy też zwalnianie od przeszkód w zawarciu małżeństwa.

5. **Kongregacja Soboru** — Sacra Congregatio Concilii — powstała w 1564, zajmuje się sprawami dyscyplinarnymi kleru świeckiego i wiernych, (organizacji religijnych), sprawami soborów i synodów diecezjalnych.

6. **Kongregacja Zakonów.** — Sacra Congregatio de religiosis — powstała w r. 1586, zajmuje się wszelkimi sprawami odnoszącymi się do kierownictwa, karności, studiów, majątku i przywilejów wszystkich zakonów i zgromadzeń zakonnych.

7. **Kongregacja Rozszerzania Wiary** — Sacra Congregatione de Propaganda Fide, powstała w r. 1622, podlegają jej sprawy misyj katolickich, szczególnie administracja kościelna okręgów misyjnych i sprawy kleru misyjnego.

8. **Kongregacja Obrzędów** — Sacra Congregatio Sacrorum Rituum — powstała w 1588 r. Roztacza nadzór nad relikwiami świętych oraz nad obrzędami i ceremoniami kościelnymi, szczególnie zaś Mszy św. i udzielania sakramentów. Ona to przygotowuje iprzedkłada papieżowi wszystko, co dotyczy beatyfikacyj i kanonizacyj.

9. **Congregacja Ceremoniału** — Sacra Congregatio Caeremonialis — powstała w r. 1588, zajmuje się sprawami zwiazanymi zarówno z wystąpieniami oficialnymi samego Ojca św. jak i kardynałów oraz posłów i ambasadorów różnych państw przy Watykanie.

10. **Kongregacja dla Spraw Nadzwyczajnych** — Sacra Congregatio pro Negotiis Ecclesiasgregatio pro negotiis ecclesiasticis Extraordinariis — powstała w 1814. zajmuje się szczególnie w takich sprawach jak tworzenie, dzielenie i obsadzanie biskupstw oraz w innych sprawach kościelnych.

11. **Kongregacja dla Seminariów i Uniwersytetów** — Sacra Congregatio de Seminariis et Universitatibus studiorum — powstała w r. 1588, wznowiona w r. 1908, zajmuje się programami, dyscypliną i zarządem seminariów duchownych oraz zagadnieniami związanymi ze studiami na uniwersytetach i wszelkiego rodzaju wyższych zakładach naukowych katolickich.

B. TRYBUNAŁY
(Tribunalia)

1. **Apostolska Penitencjaria** — Poenitentiaria Apostolica — jest Poenitentiaria Apostolica —rozstrzyga sprawy dyspens, absolucyj, zmiany złożonych ślubów, odpustów i we wszelkich innych sprawach sumienia.

2. **Sygnatura Apostolska** — Signatura Apostolica— rozstrzyga o sprawach formalnych w procesach duchownych. Jest to najwyższy trybunał kasacyjny Kurii Rzymskiej, który uzupełnia działalność Św. Roty.

3. **Rota Rzymska** — Sacra Romana Rota — tworzy właściwy trybunał papieski, który bardzo rzadko występuje jako sąd 1-ej instancji (jedynie za pozwoleniem Sygnatury Apost.) częściej jako trybunał 2-ej instancji a najczęściej jako sąd 3-ej instancji.

C. URZĘDY
(Officia)

1. **Kancelaria Apostolska** — Cancellaria Apostolica — wygotowuje wszelkie bulle.

2. **Dataria Apostolska** — Dataria Apostolica — zajmuje się sprawami zwiazanymi z nadawaniem urzędów kościelnych i beneficjów.

3. **Komora Apostolska** — Camera Apostolica— zarządza majątkiem Stolicy Apostolskiej. Mieści się w Watykanie, na jej czele stoi kardynał z tytułem Camerlengo, do którego obowiazków należy przygotowanie conclave dla wyboru nowego papieża oraz pochowanie zmarłego papieża. Między śmiercią jednego papieża a wyborem następnego Kardynał Camerlengo administruje dobrami Stolicy Apostolskiej.

4. **Sekretariat Stanu** — Secretaria Status — jest to ministerstwo spraw zagranicznych Stolicy Apostolskiej, które prowadzi wszystkie sprawy dyplomatyczne, załatwia cały szereg spraw reprezentacyjnych na zewnatrz jak np. nadawanie odznaczeń papieskich oraz wydaje krótkie oświadczenia i listy Ojca św. tzw. breve. Na czele Sekretariatu Stanu stoi zawsze wybitny kardynał, noszacy tytuł Kardynała Sekretarza Stanu. Obecnie to stanowisko nie jest obsadzone.

D. KOMISJE PAPIESKIE
(Comissiones Pontificales)

Wśród komisyj istnieją:

1. Komisja Studiów Biblijnych — powstała w r. 1902 za Leona XIII. Jej zadaniem jest inicjowanie i kierowanie studiami naukowymi nad Pismem Św. oraz nadzór nad ich zgodnością z Tradycją z punktu widzenia czystości nauki katolickiej.

2. Komisja Wykładni Kodeksu Prawa Kanonicznego, — powołana w r. 1917 przez Benedykta XV.

PRZEDSTAWICIELSTWA STOLICY APOSTOLSKIEJ

A. O charakterze dyplomatycznym

Stolica Apostolska ma swych przedstawicieli przy głowach państw i przy rządach. Pierwsi mają tytuł nuncjuszów apostolskich i dyplomatyczną rangę ambasadorów. Z reguły nuncjusze są arcybiskupami tytularnymi. Jeśli w jakimś kraju są trudności, wówczas Stolica Apostolska wysyła tam swego przedstawiciela z tytułem internuncjusza (nuncjusza ad interim), który ma rangę dyplomatyczną ministra pełnomocnego.

Stolica Apostolska posiada swego przedstawiciela (charge d'affaires ad interim) przy legalnych władzach Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie. Jest nim J. E. Ks. Arcybiskup W. Godfrey, Delegat Apostolski na Wielką Brytanię.

B. Bez charakteru dyplomatycznego

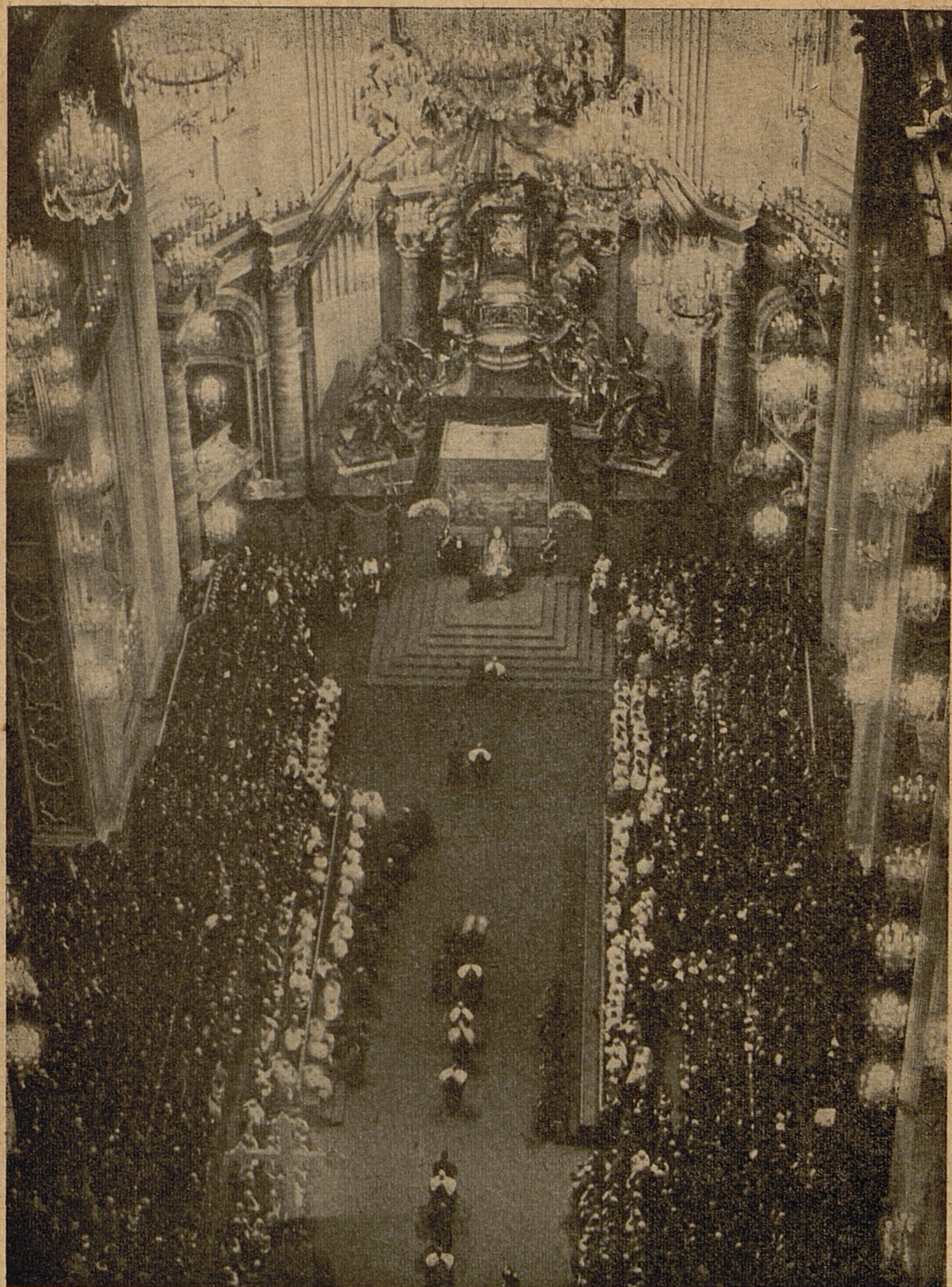
Stolica Apostolska posiada w niektórych krajach swych przedstawicieli bez charakteru dyplomatycznego, zwanych delegatami apostolskimi. Są oni mianowani na określone terytoria, na których mają delegację apostolską z obowiązkiem czuwania nad nimi i informowania Stolicy Apostolskiej o stanie i sprawach Kościoła na tych obszarach. Delegaci apostolscy nie podlegają Sekretariatowi Stanu, lecz różnym Kongregacjom, zależnie od charakteru terytorium, na którym są ustanowione.

* * *

Wiele krajów rządzonych przez reżymy komunistyczne albo wycofało swych przedstawicieli przy Stolicy Apostolskiej, albo ich w ogóle nie mianują.

* * *

Ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej przy Stolicy Apostolskiej z ramienia legalnych władz w Londynie jest prof. dr Kazimierz Papée.



Ojciec św. Pius XII przyjmuje hołd nowokreowanych kardynałów w bazylice św. Piotra w Rzymie w dniu 15 stycznia 1953 r.

ORGANIZACJA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W POLSCE

Polska jest podzielona na 5 prowincyj kościelnych (metropolii). Na ich czele stoją arcybiskupi-metropolici, którzy są zarazem ordynariuszami swych archidiecezji. W obrębie każdej prowincji oprócz archidiecezji znajduje się szereg diecezji, którymi rządzą biskupi-ordynariusze, mający do pomocy jako sufraganów biskupów tytularnych. Po ostatniej wojnie zostały połączone osobą (ad personam) arcybiskupa-metropolity prymasowska archidiecezja gnieźnieńska i stołeczna archidiecezja warszawska, odtąd Prymas Polski jest arcybiskupem-metropolitą gnieźnieńskim i warszawskim. Siedzibą jego jest stolica państwa, Warszawa oraz na zmianę Gniezno.

Czcigodna stara prowincja kościelna gnieźnieńska, której arcybiskup piastuje historyczną godność Prymasa Polski, obejmuje diecezje: Chełmińską (ze stolicą w Pelplinie) i Włocławską. Stołeczna Metropolia Warszawska obejmuje diecezje: Płocką, Sandomierską, Lubelską, Podlaską czyli Siedlecką, Łódzką i Archidiecezję Poznańską. Metropolia Krakowska obejmuje diecezje: Tarnowską, Kielecką, Częstochowską i Katowicką. Metropolia Lwowska obemuje diecezje: Przemyską i Łucką (Wołyńską). Metropolia Wileńska obejmuje diecezje: Łomżyńską i Pińską (Poleską).

Tak więc mamy obecnie na terenie Polski 5 archidiecezji oraz 15 diecezyj obrządku łacińskiego, nie licząc 1 archidiecezji i 2 diecezji obrządku greckiego i 1 archidiecezji obrządku ormiańskiego.

Ponadto na terenach północnych i zachodnich przyłączonych po ostatniej wojnie do Polski zostało utworzonych 5 Administracyj Apostolskich: a to: Śląska Opolskiego z siedzibą w Opolu; Śląska Dolnego z siedzibą we Wrocławiu; Kamieńska, Lubuska i Prałatury Pilskiej z siedzibą w Gorzowie, Gdańska w Gdańsku i Warmińska z siedzibą w Olsztynie. Na czele tych jednostek kościelnych stoją księża jako administratorzy apostolscy.

Metropolie Lwowska (obrządku łacińskiego) i Wileńska znajdują się na terenach wschodnich siłą okupowanych przez Sowiety, zostały przez rząd sowiecki jednostronnie zlikwidowane; arcybiskupi, biskupi i kapłani oraz liczni wierni zostali wysiedleni na zachód za tzw. linię Curzona.

Obaj arcybiskupi zamieszkują na pozostawionych przy Polsce skrawkach swych metropolii. Ś. p. ks. biskup-ordynariusz łucki A. Szelążek był więziony w Sowietach, później zwolniony, zmarł w Kraju w 1950 r. Wikariusz Kapitulny diecezji Pińskiej, ks. prał. H. Humnicki mieszka w Bielsku Podlaskim.

Metropolia Lwowska obrządku grecko-katolickiego wraz z diecezjami przemyską i stanisławowską została zupełnie zlikwidowana, biskupi wywiezieni w głąb Rosji, dziś przeważnie nie żyją. Arcybiskup Metropolita J. Slipyj podobno żyje w obozie pracy przymusowej w Rosji. Oficjalne źródła watykańskie podają, że jest „uwięziony za wiarę". Duchowieństwo, które prawie w całości oparło się próbie przeciągnięcia na prawosławie, moskiewskie zostało albo aresztowane i wywiezione, albo ciężki fizycznie pracuje i musi się ukrywać. Podobnie została zniesiona Archidiecezja Lwowska obrządku ormiańsko-katolickiego, na której czele po śmierci śp. ks. arcybiskupa Teodorowicza stał Wikariusz Kapitulny ks. prał. Kajetanowicz, który za odmowę przejścia na prawosławie znalazł się w więzieniu.

Likwidacji tych wszystkich polskich jednostek kościelnych Stolica Apostolska nie uznała. Rocznik Papieski (Annuario Pontificio) podaje wykaz diecezji polskich na terenach zagarniętych, jako znajdujących się na terytorium Polski, zaznaczając, że biskupi ordynariusze i sufragani znajdują się bądź w więzieniu bądź na wygnaniu.

Ambasador legalnego rządu R. P. w Londynie pozostaje nadal przy Stolicy Apostolskiej, która przy rządzie R. P. w Londynie posiada swego Chargé d'Affaires ad interim.

HIERARCHIA POLSKA

Hierarchia katolicka obrządku łacińskiego w Polsce liczy obecnie: 3 metropolitów, w tym 1 kardynała; 4 arcybiskupów tytularnych, w tym 2 profesorów uniwersytetu, 1 rezydenta, 1 sufragana (deportowany); 13 biskupów ordynariuszy; 22 biskupów tytularnych, w tym 2 koadiutorów (jeden poza krajem), 17 sufraganów, 1 wikariusza generalnego, 2 rezydentów; 5 infułatów — administratorów apostolskich; 2 prałatów, w tym 1 wikariusza kapitulnego (Pińsk) i 1 wikariusza generalnego (Łuck).

Poniżej podajemy obecny skład osobowy Episkopatu polskiego.

METROPOLIA GNIEŹNIEŃSKA

A. Archidiecezja Gnieźnieńska

Ordynariusz: J. Em. Ks. Kardynał Arcybiskup dr Stefan Wyszyński, Arcybiskup Metropolita Gnieźnieński i Warszawski, Prymas Polski; ur. 1901, mian. 1946, przeniesiony na Stolicę Prymasowską w r. 1948.

Rezydencja i Sekretariat Prymasa Polski — Warszawa, Al. I Armii W.P. 12 i na zmianę Gniezno.

Sufragan: J. E. Ks. Bp dr Lucjan Bernacki (aresztowany); ur. 1902, mian. 1946. Biskup tyt. Mele.



1. Diecezja Chełmińska

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup dr Kazimierz Józef Kowalski; ur. 1896, mian. 1946.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup Bernard Czapliński; ur. 1907, mian. 1948. Biskup tyt. Faustynopolis.

2. Diecezja Włocławska

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup Antoni Pawłowski, mian. w r. 1952, niedopuszczony do objęcia swego urzędu.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup Franciszek Korszyński; ur. 1893, mian. 1946. Biskup tyt. Orisa.

B. Archidiecezja Warszawska

Ordynariusz: J. E. Ks. Kardynał dr Stefan Wyszyński, Arcybiskup Metropolita Gnieźnieński i Warszawski, Prymas Polski; ur. 1901, mian. 1946.

Sufragani: J. E. Ks. Arcybiskup dr Antoni Władysław Szlagowski; ur. 1864; mian. 1928 Biskupem tyt. Irenopolis (Cyl.) mian. 1945 arcybiskupem tyt. Cotieo, Asyst. Tronu Pap.

J. E. Ks. Biskup dr Zygmunt Choromański (aresztowany); ur. 1892, mian. 1946, Biskup tyt. Panopolis, Stały Sekretarz Konferencyj Episkopatu Polski.

J. E. Ks. Biskup dr Wacław Majewski; ur. 1891, mian. 1946 Biskupem tyt. Docimium.

W archidiecezji rezydują:

J. E. Ks. Biskup Baraniak.

J. E. Ks. Biskup dr Czesław Sokołowski, z diec. siedleckiej; ur. 1877, mian. 1919, Biskup tyt.

Pentacomia; zam. w Michalinie, k. Falenicy pod Warszawą.

J. E. Ks. Biskup Karol Niemira, z diec. pińskiej, ur. 1881, mian. 1933 Biskupem tyt. Tavio, zam. w Warszawie.

1. Diecezja Płocka

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup Tadeusz Paweł Zakrzewski; ur. 1883; mian. 1938, przeniesiony na stolicę Płocka w 1946.

Sufragan: Ks. Biskup Piotr Dudziec; ur. 1906, mian. 1950.

2. Diecezja Sandomierska

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup Jan Kanty Lorek; ur. 1886, mianowany 1936 biskupem tyt. Modra, przeniesiony na stolicę sandomierską w 1946.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup dr Franciszek Jop; ur. 1897, mian. 1945, Biskup tyt. Daulia.

3. Diecezja Lubelska

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup dr Piotr Kałwa; ur. 1893, mian. w 1949.

Koadiutor: J. E. Ks Biskup dr Zdzisław Goliński; ur. 1908, mian. 1947, Biskup tyt. Emeria.

4. Diecezja Podlaska czyli Siedlecka

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup dr Ignacy Świrski; ur. 1885, mianowany 1946.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup dr Marian Jankowski; ur. 1899, mian. 1948; Biskup tyt. Diospolis.

5. Diecezja Łódzka

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup dr Michał Klepacz; ur. 1893; mian. 1946.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup Kazimierz Tomczak; ur. 1882, mian. 1927, Biskup tyt. Sicca Venaria.

C Archidiecezja Poznańska

Ordynariusz: J. E. Ks. Arcybiskup Walenty Dymek; ur. 1888, mian. 1928, przeniesiony na stolicę arcybiskupią w 1946.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup Franciszek Jedwabski; ur. 1895, mian. 1946, Biskup tyt. Massula.

III METROPOLIA KRAKOWSKA

Archidiecezja Krakowska

Ordynariusz: vacat.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup dr Stanisław Rospond (aresztowany); ur. 1875, mian. 1922. Biskup tyt. Dardano.

W Krakowie rezyduje:

J. E. Ks. Arcybiskup dr Michał Godlewski; ur. 1874, mian. 1916 Biskupem tyt. Agbia, 1949 Arcybiskupem tyt. Amorio.

1. Diecezja Tarnowska

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup dr Jan Stepa; ur. 1892, mian. 1946.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup dr Karol Pękala, ur. 1901, mian. 1946, Biskup tyt. Trocmade.

W diecezji rezyduje:

J. E. Ks. Arcybiskup Włodzimierz Bronisław Jasiński; ur. 1873, mian. 1930 Łódź, mian. 1946 Arcybiskupem tyt. Drizipara.

2. Diecezja Kielecka

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup dr Czesław Kaczmarek (aresztowany); ur. 1895, mian. 1938.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup Franciszek Sonik; ur. 1885, mianowany 1935, Biskup tyt. Margo.

3. Diecezja Częstochowska

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup Zdzisław Goliński, ur. 1908, mianowany 1951.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup dr Stanisław Czajka; ur. 1897, mian. 1944. Biskup tyt. Centuria.

Koadiutor: z prawem następstwa; J. E. Ks. Biskup dr Bednorz, (aresztowany).

4. Diecezja Katowicka

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup Stanisław Adamski (aresztowany); ur. 1875, mian. 1930.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup Juliusz Bieniek, (aresztowany), ur. 1895, mian. 1937, Biskup tyt. Dascilium.

IV. METROPOLIA LWOWSKA

Archidiecezja Lwowska

Ordynariusz; J. E. Ks. Arcybiskup Metropolita Eugeniusz Baziak (aresztowany); ur. 1890, mian. 1933 Biskupem tyt. Focea, w 1944 mian. Arcybiskupem tyt. Pario i koadiutor Abpa Metropolity Lwowskiego z prawem następstwa. W r. 1945 przeniesiony na stolicę lwowską.

Sufragan: nieobsadzony.

1. Diecezja Przemyska

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup dr Franciszek Barda; ur. 1880, mian. 1931.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup Wojciech Tomaka; ur. 1875, mian. 1933. Biskup tyt. Helenopolis Bit.

2. Diecezja Łucka (Wołyńska)

Ordynariusz: nieobsadzony.

Sufragan: nieobsadzony.

Wikariusz generalny: Ks. Prałat Stanisław Kobyłecki.

V. METROPOLIA WILEŃSKA

Archidiecezja Wileńska

Ordynariusz: J. E. Ks. Arcybiskup Metropolita Romuald Jałbrzykowski; ur. 1876; mian. 1918, przeniesiony na stolicę wileńską w 1926. Wysiedlony z Wilna rezyduje w Białymstoku.

Sufragan: J. E. Ks. Biskup Władysław Suszyński; ur. 1898, mian. 1948, Biskup tyt. Tabbora.

Sufragan i Wikariusz Generalny dla terytorium litewskiego. J. E. Ks. Arcybiskup Mieczysław Reinys; ur. 1884, mian. 1926 Biskupem tyt. Tiddi; w r. 1940 mian. Arcybiskupem tyt. Cipsela; deportowany.

1. Diecezja Łomżyńska

Ordynariusz: J. E. Ks. Biskup dr Czesław Falkowski; ur. 1887; mian. 1949.

Wikariusz Generalny: J. E. Biskup dr Czesław Rydzewski; ur. 1893, mian. 1947 Biskupem tyt. Cusira.

2. Diecezja Pińska

Wikariusz Kapitulny: Ks. Prałat Henryk Humnicki — rezyduje w Bielsku Podlaskim.

ADMINISTRACJE APOSTOLSKIE

1. Administracja Apostolska Śląska Opolskiego

Administrator Apostolski: Ks. Infułat dr Bolesław Kominek mian. 1945. Opole.

2. Administracja Apostolska Śląska Dolnego

Administrator Apostolski: Ks. Infułat dr Karol Milik; mian. 1945. Wrocław.

3. Administracja Apostolska Kamieńska, Lubuska i Prałatury Pilskiej

Administrator Apostolski: Ks.



J. EM. KS. KARDYNAŁ

STEFAN WYSZYŃSKI

ARCYBISKUP METROPOLITA GNIEŹNIEŃSKI
I WARSZAWSKI
PRYMAS POLSKI

Infułat dr Edmund Nowicki; mian. 1945. Gorzów.

4. **Administracja Apostolska Gdańska**

Administrator Apostolski: Ks. Infułat dr Andrzej Wronka; mian. 1945. Gdańsk-Oliwa.

5. **Administracja Apostolska Warmińska**

Administrator Apostolski: Ks. Infułat dr Teodor Bensch; mianowany w 1945. Olsztyn.

* * *

Wszyscy wyżej wymienieni księża infułaci, kierownicy pięciu Administracyj Apostolskich na Zachodnich Ziemiach Odzyskanych zostali przez władze komunistyczne usunięci ze swych stanowisk. Miejsce ich zajęli wikariusze kapitulni.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI W POLSCE

według „katolików reżymowych"

Podana powyżej organizacja Kościoła katolickiego w Polsce obejmuje obszary Ziem Wschodnich, obecnie „włączonych" do Rosji oraz obszary Ziem Odzyskanych na zachodzie. Dane mogą nie być zupełnie ścisłe, gdyż w toku ustawicznych dalszych prześladowań Kościoła następują wciąż zmiany personalne. W Polsce jednak istnieje i działa bardzo nieliczna, ale mająca pełne poparcie władz komunistycznych grupa tzw. „katolików reżymowych". Należy do nich także tzw. Komisja Księży przy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, której nakładem ukazał się „Ilustrowany Kalendarz katolicki na rok 1953". W kalendarzu tym, liczącym około 320 stron, a poświęconym niemal w całości propagandzie komunistycznej, znajdujemy jako jedyną informację, dotyczącą ustroju Kościoła w Polsce, tabelkę, którą poniżej zamieszczamy, zastrzegając się oczywiście, iż cyfry tam podane pochodzą ze źródeł komunistycznych.

Według tej tabeli w Polsce jest nie 15 lecz 25 diecezji, przy czym nie jest wymieniona cyfra archidiecezji, a tabelka dotyczy — oczywiście — obszaru Polski bez jej Ziem Wschodnich, zagarniętych przez Sowiety.

Diecezja	Siedziba diecezji	Ilość parafii	Ilość księży	Dekanatów	Kościołów
BIAŁOSTOCKA	Białystok	56	270	6	66
DROHICZYN n. Bugiem	Drohiczyn n. B.	33	56	5	45
CHEŁMIŃSKA	Pelplin	340	456	29	507
CZĘSTOCHOWSKA	Częstochowa	215	354	22	304
GDAŃSKA	Gdańsk	56	61	5	129
GNIEŹNIEŃSKA	Gniezno	272	275	21	424
GORZOWSKA	Gorzów	500	398	27	1274
KIELECKA	Kielce	238	370	23	260
KRAKOWSKA	Kraków	307	589	30	615
LUBACZOWSKA	Lubaczów	29	65	2	44
LUBELSKA	Lublin	251	412	7	405
ŁOMŻYŃSKA	Łomża	135	237	16	147
ŁÓDZKA	Łódź	137	278	15	187
OPOLSKA	Opole	438	493	37	591
PŁOCKA	Płock	228	290	17	316
PODLASKA	Siedlce	246	371	21	360
POZNAŃSKA	Poznań	376	487	31	719
PRZEMYSKA	Przemyśl	448	660	35	700
SANDOMIERSKA	Sandomierz	247	457	21	360
ŚLĄSKA	Katowice	227	403	29	262
TARNOWSKA	Tarnów	323	637	16	352
WARMIŃSKA	Olsztyn	199	180	19	382
WARSZAWSKA	Warszawa	267	484	20	538
WŁOCŁAWSKA	Włocławek	248	326	42	282
WROCŁAWSKA	Wrocław	409	441	—	905

ORGANIZACJA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO WŚRÓD POLAKÓW W ŚWIECIE

W tych krajach rozproszenia polskiego, w których skupiska Polaków są dostatecznie duże Stolica Apostolska ustanowiła Polskie Misje Katolickie pod kierunkiem rektorów misji. Misji takich jest obecnie 14, zaliczając do nich także kurię biskupią w Niemczech.

Podajemy poniżej w porządku alfabetycznym wykaz tych 14 Polskich Misji Katolickich na całym świecie, kurii biskupiej w Niemczech oraz placówek duszpasterskich w niektórych innych krajach.

WIELKA BRYTANIA

Urząd Naczelnego Kapelana dla Polaków zamieszkałych w skupiskach zwartych

4, Devonia Road, Islington, London N. 1.

Tel. CANonbury 4074.

Naczelny Kapelan:

Ks. Inf. Bronisław Michalski.

Sekretarz: Ks. Tadeusz Kurczewski.

Godziny urzędowe: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt w godz. 10-1.30 i 3-5.

POLSKA MISJA KATOLICKA W ANGLII I WALII

Urząd Wikariusza Delegata dla Polaków w Anglii i Walii:
2, Devonia Rd., Islington, London, N. 1.

Tel. CANonbury 3439.

Rektor:

Ks. Władysław Staniszewski, Prałat Domowy Jego Świątobliwości.

Sekretarz Generalny: Ks. mgr K. Sołowiej.

Godziny urzędowania: w dni powszednie [redacted] w godz. 10-1 i 3-6.

KOŚCIÓŁ POLSKI W LONDYNIE

2, Devonia Road, London, N. 1.

Tel. CANonbury 3439.

Proboszcz: Ks. N. Turulski. R.M. Kanonik.

DUSZPASTERSTWO AKADEMICKIE

Kapelan Akademicki:
Ks. kan. Stanisław Bełch, R. M. 21, Earls Court Square, London, S. W. 5.

Tel.: FREmantle 2551.

POLSKA MISJA KATOLICKA W ARGENTYNIE

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Argentynie: Rev Al. Michalik, Mansilla 3865, Buenos Aires, Argentine.

POLSKA MISJA KATOLICKA W AUSTRALII

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Australii: Rev. Franciszek Arciszewski, C. M. St. Vincent's Presbytery Hland Street, Sydney-Ashfield, N. S. W. Australia.

POLSKA MISJA KATOLICKA W BELGII

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Belgii: Rev. Karol Kubsz, O. M. I., Mission Catholique Polonaise en Belgique, 200, rue du Trone, Bruxelles, Belgium.

Tel.482197.

POLSKA MISJA KATOLICKA W BRAZYLII

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Brazylii: Rt. Rev. Izydor Mikosz,Cathedral Metrop., Curitiba, Parana, Brazil.

POLSKA MISJA KATOLICKA W CHILE

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Chile: Rev. Brunon Rychłowski, Clasificador 404, Santiago de Chile, Chile.

POLSKA MISJA KATOLICKA WE FRANCJI

Rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji: Rt. Rev. mgr Kazimierz Kwaśny, 263 bis, rue St. Honoré, Paris 1-he, France.

POLSKA MISJA KATOLICKA W HOLANDII

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Holandii: Rev. o. Efrem, Mission Catholique Polonaise en Hollande, Schorsmolenstraat 9, Breda.

Tel. K. 1600-81-13.

POLSKA MISJA KATOLICKA W KANADZIE

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Kanadzie: Rev. Jan Sajewicz, O. M. I., Polish R. C. Mission, 4, Primrose Crescent, Ottawa, Ont., Canada.

Tel. 6-1018.

POLSKA MISJA KATOLICKA W LUKSEMBURGU

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Luksemburgu: Rev. Augustyn Muller, O. M. I., 137, rue de Hollerich, Luxemburg.

Tel. 5404.

KURIA BISKUPIA DLA POLAKÓW W NIEMCZECH

Wikariusz Generalny Kurii Biskupiej dla Polaków w Niemczech: Rt. Rev. mgr Edward Lubowiecki, Prałat Domowy Jego Świątobliwości, 16, Frankfurt am Main, Altkonigstrasse .9, II, Germany.

POLSKA MISJA KATOLICKA W SZKOCJI

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Szkocji: Rt. Rev. dr Lu-

dwik Bombas, Polish Catholic Mission in Scotland, 11, Drummond Place, Edinburgh, Scotland.
Tel. 311101.

POLSKA MISJA KATOLICKA W SZWAJCARII

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Szwajcarii: Rt. Rev. dr J. M. Bocheński, O. P., Albertinum, Fribourg, Switzerland.
Adres Misji: Mission Catholique Polonaise, 1, Pl. G. Python, Fribourg, Switzerland.
Tel. /037/ 2-28-02.

POLSKA MISJA KATOLICKA W SZWECJI

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Szwecji: Rev. Czesław Cmielewski, Malmö, Kanalgatan 2, Sweden.
Tel. 21666.

DEKANAT POLSKI W LIBANIE

Dziekan: Rev. Prof. Kamil Kantak, Soeurs de Charité, rue Clemenceau, Beyrouth, Lebanon.
Adres Dekanatu: Eglise St. François, rue Alhamra, Beyrouth, Lebanon.

DUSZPASTERSTWO POLSKIE W NOWEJ ZELANDII

Duszpasterz polski w Nowej Zelandii: Rev. dr Leon Plater, St. Gerard's Monastery, Hawker Street, Wellington, C. 4., New Zealand.

DUSZPASTERSTWO POLSKIE W URUGWAJU

Duszpasterstwem wśród Polaków w Uragwaju zajmują się ojcowie pallotyni, którzy prowadzą parafię polską w Montevideo. Rektorem kościoła jest Rev. B. J. Kotlęga, Padres Pallotinos, Montevideo, Calle Caraguatay 2086, Uruguay.
Tel. 27383.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI W ANGLII I WALII

Organizacja Kościoła katolickiego w Anglii i Walii składa się z dwóch archidiecezji: Westminster i Birmingham oraz 17 diecezji: Brendwood, Cardiff, Clifton, Hexham, Newcastle, Lancaster, Leeds, Liverpool, Menevia, Middlesborough, Northampton, Plymouth, Portsmouth, Salford, Shrewsbury, Southwark; głową Kościoła katolickiego w Anglii jest Kardynał Arcybiskup Westminsteru Bernard Griffin.

J. E. Kardynał Bernard Griffin, Arcybiskup Westminsteru i Prymas Anglii urodził się w Birmingham 21 lutego 1899. Kształcił się w Cotton College w Oscott, służył w lotnictwie marynarki wojennej, studia odbywał w Rzymie i w Bedzie uzyskując doktoraty teologii i prawa kanonicznego. Wyświęcony w Rzymie 21 listopada 1924 był sufraganem diecezji Birmingham w latach 1927 - 1937 i kanclerzem tej archidiecezji w latach 1928 - 1938. Arcybiskupem Westminsteru został mianowany 18 grudnia 1943, kardynałem z tytułem św. Andrzeja i Grzegorza na Monte Celio 18 lutego 1946.

BISKUPI POLSCY W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Wśród członków hierarchii katolickiej Stanów Zjednoczonych siedmiu biskupów jest Amerykanami polskiego pochodzenia. Z nich 3 jest ordynariuszami diecezji amerykańskich, jeden koadiutorem, dwu sufraganami. Podajemy poniżej dane osobiste polskich biskupów w Stanach Zjednoczonych:

1. **J. E. Ks. Biskup Roman Robert ATKIELSKI** — biskup tyt. Stobi, sufragan biskupa ord. diec. Milwaukee, Wisconsin, USA. — ur. 1898, kons. 1947. — adres: 2000 W. Wisconsin Ave., Milwaukee 3, Wis. USA.

2. **J. E. Ks. Biskup Stanisław Wincenty BONA**, dr fil., dr teol. dr pr. kan. — ordynariusz diec. Green Bay, Wisc. USA. Ur. 1888, kons. 1932. — Adres: 189, Madison Ave., Green Bay, Wisconsin, USA.

3. **J. E. Ks. Biskup Henryk Teofil KLONOWSKI**, dr teol. — biskup tyt. Daldis, koadiutor ordynariusza diec. Scranton, Pa. USA. Ur. 1898, kons. 1947. — Adres: 125, Prospect Avenue, Scranton, Pa. USA.

4. **J. E. Ks. Biskup Tomasz Wawrzyniec NOA** — ordynariusz diec. Marquette, Michigan, USA. Ur. 1892, kons. 1946. — Adres: 300, Rock Street, Marquette, Mich. USA.

5. **J. E. Ks. Biskup Stefan Stanisław WOŹNICKI**, dr teol. — ordynariusz diec. Saginaw, Michigan, USA. Ur. 1898, kons. 1938. — Adres: 124, North, Hamilton Street, Saginaw. Mich. USA.

6. **J. E. Ks. Biskup Aleksander M. ZALESKI**, — biskup tyt. Lyrbe, sufragan ordynariusza archidiec. Detroit, Michigan, USA. Ur. 1906, kons. 1950. — Adres: 1234, Washington Boulevard, Detroit, Mich. USA.

7. **J. E. Ks. Biskup Józef KRÓL**, — sufragan diecezji Cleveland, konsekrowany w r. 1953.



J. E. KS. ARCYBISKUP

JÓZEF GAWLINA

PROTEKTOR UCHODŹSTWA POLSKIEGO

POLSKA DNIA DZISIEJSZEGO

jest — jak zawsze dla nas — tylko Polską całą i integralną mimo, że jej poszczególne części znajdują się chwilowo w niewoli. Niewola ta jest prowizorium, które oby Bóg pozwolił usunąć jak najprędzej. Poniższe dane dotyczą Polski centralnej i zachodniej; przemoc komunistyczna próbuje odciąć od Macierzy jej Ziemie Wschodnie.

LUDNOŚĆ

W dniu pierwszego powojennego spisu ludności w Polsce w dniu 14 lutego 1946 roku kraj nasz liczył 23.622.344 osób. W porównaniu do liczby ludności w dniu 1. 9. 1939 roku oszacowanej na 35.400.000 osób, ubytek mieszkańców Polski stanowił przeszło 11 milionów osób. Mieliśmy przy końcu r. 1949 około 25 milionów ludności, czyli mniej jak w 1919 roku, kiedy to Polskę zamieszkiwało 26.282.290 osób.

Pod koniec 1945 roku straty wojskowe wyniosły około 300.000 straty cywilne (ludobójstwo itp) — 5.700.000, uchodźcy i deportowani — ok. 3.200.000. Ubytek spowodowany zmianami terytorialnymi (różnica między tym, co utraciliśmy a tym co otrzymaliśmy) ok. 3.600.000. Jako pozycje dodatnie w latach powojennych, oprócz normalnych cyfr urodzeń, należy uważać powrót uchodźców z Zachodu i ze Wschodu — razem nie ponad półtora miliona. Rosja nie wyliczyła się z około miliona Polaków, wywiezionych w głąb jej kraju.

Cała Europa przed wojną liczyła 374 mil., pod koniec roku 1947 liczyła już 384 mil. Gęstość zaludnienia na kilometr kwadratowy zwiększyła się z 78 na 80 mieszkańców.

W roku 1939 Polska zajmowała co do liczby mieszkańców 6 miejsce w Europie po ZSSR 175 mil.), Niemczech (79 mil. 800 tys.), W. Brytanii (46 mil. 200 tys.). Włochach (43½ mil.) oraz Francji (41 mil. 980 tys.). Obecnie Polska zeszła na 7 miejsce ustępując szóste Hiszpanii (26.222.242).

Gęstość zaludnienia w Polsce wynosi według nowego spisu 76 mieszkańców na 1 km kw. wobec 90 mieszkańców na 1 km kw. w 1939 r. Pod względem gęstości zaludnienia Polska stała przed wojną na 9 miejscu w Europie, dziś spadła na 11.

Jeśli chodzi o straty wojenne, to według danych Międzynarodowego Komitetu Studiów Zagadnień Europy Polska stoi na pierwszym miejscu ze stratą 13,6 % ludności (4.620.000), potem idą: Jugosławia 10,5 % (1 mil. 680 tys.), dalej Grecja 6,8 %, Rosja 3,7 %, Holandia 2,2%, Francja 2%, Belgia 1,5%, Czechosłowacja 1,25%. Ogółem we wszystkich krajach okupowanych przez Niemców, według danych Komitetu, zginęło 15 milionów osób.

Ogółem ilość strat wojennych Europy wynosi 15.225.000, z tego straty wojskowe stanowią — 5.670.000, cywilne — 9.555.000 (w czym ludność żydowskiego pochodzenia — 4.540.000).

Straty wojskowe aliantów zachodnio-europejskich wynoszą 610.000. Niemcy, Austria i Włochy straciły 4.060.000 żołnierzy, kraje Europy wschodniej i południowo-wschodniej — 1.000.000 żołnierzy.

OBSZAR

Powierzchnia państwa polskiego wynosiła w 1939 roku 388.634 km kw. Obecnie granice Polski obejmują 312.907 km kw., czyli ubytek równa się 75.727 km kw. Na wschodzie odeszło 180 tys. km kw., natomiast na zachodzie przyłączono 104.680 km kw. Ziemie Odzyskane stanowią około 33 % powierzchni Polski, podczas gdy ziemie dawne zajmują 67 % powierzchni (208.227 km kw.).

Wielkością obszaru Polska zajmowała w 1939 roku 6 miejsce w Europie, po Rosji europejskiej (5.999.000), Niemczech (555 tys.), Francji (551 tys.), Hiszpanii (551 tys.) oraz Szwecji (449 tys.). **Obecnie Polska spadła na 8 miejsce**, za Finlandią (383 tys.) i Norwegią (323 tys.). Bardzo blisko Polski stoją Włochy (310 tys.) i Rumunia (295 tys.).

Przed wojną graniczyliśmy z 7 państwami: Rosją, Niemcami, Czechosłowacją, Węgrami, Rumunią, Litwą, Łotwą i Wolnym Miastem Gdańskiem. Obecnie graniczymy tylko z 3 państwami: Niemcami, Czechosłowacją i Rosją.

GRANICE

Granice obecne biegną następująco:

Granica północna: Od Swinoujścia granica przebiega brzegiem Bałtyku, do ujścia rzeki Pasłęki w Prusach. Od tego miejsca na północ od Braniewa (Brünberg) przechodzi przez Stablacki (Schonbruch) pozostawiając Iławkę po stronie rosyjskiej. Miejscowości Wegobok i Gotlap leżą po stronie polskiej i tu linia graniczna dobiega do granicy z 1939 r., która biegnie do Trakiszek (po stronie polskiej leżą Przerośl i Szypliszki), Linia Braniewo—Gotlap jest mniej więcej równoległa do linii kolejowej Elbląg, Orneta, Licbark, Rastenbork, Lec, Ełk.

Granica wschodnia: Można ją podzielić na następujące odcinki 1) Trakiszki, Grodno (Grodno należy do ZSSR). Po stronie polskiej zostały Smolany, Sejny, Giby, Kalety, Rudawka, Sopotkinie, Hołynka, Nowy-Dwór. 2) Grodno — Niemirów nad Bugiem. Po naszej stronie leżą: Sokółka, Białystok, linia kolejowa Białystok-Gródek (stacja graniczna), Narew. potem lekkie wygięcie obejmujące Narewkę Małą, Hajnówkę, Białowieżę, oraz Kamienniki do Czeremchy, stąd granica idzie na wschód do linii kolejowej Nurzec dochodzac do Niemirowa. Po stronie sowieckiej pozostały: Świsłocz, Szereszów, Kamieniec Litewski, Wierchocice, Wysokie Litewskie i Wołczyn. 3) Niemirów — Sokal — Krystynopol, granica posuwa się tu stronie polskiej: Białą Podlas- wzdłuż Bugu pozostawiając po

ką, Włodawę, Chełm, Dubienkę, Hrubieszów, Tomaszów Lubelski. 4) Krystynopol— Przemyśl: granica na tym odcinku cofa się przez Bełz do Bełżca, po tym zawraca się na południe pozostawiając po stronie polskiej: Białą Podlaską, Włoczów, Wielkie Oczy, Sośnica i Medyka (Linia kolejowa z Przemyśla). Po stronie sowieckiej leżą: Jaworów, Krakowiec, Czerniawa Mościska. 5) Przemyśl — Przełęcz Użocka: 889 m. Po stronie polskiej pozostały: Kalwaria Pacławska, Lesko, Bóbrka, Górzanka, Dwernik. Po stronie sowieckiej znalazły się: Chyrów, Stary Sambor, Ustrzyki Dolne Lutowiska, Smolnik i Turka.

Granica południowa pozostała bez zmian za wyjątkiem odcinka cieszyńskiego.

Granica zachodnia: Od Bogumina granica ta biegnie linią graniczną niemiecko-czeską. Po dojściu do Nysy Łużyckiej zwraca się ku północy (mniej więcej na wysokości Zgorzelca (Görlitz) i biegnie w dół rzeki a następnie wzdłuż Odry do Świnoujścia.

PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY

Polska dzieli się na 15 województw:

Warszawskie — 28.973 km. kw., 2.115.552 mieszk. Łódzkie — 29.389 km kw., 1.773.233 mieszk. Kieleckie — 18.034 km kw., 1.717.672 mieszk., Lubelskie — 27.636 km. kw., 1.873.113 mieszk. Białostockie — 23.059 km kw., 950.477 mieszk. Olsztyńskie (Mazury) — 20.857 km kw., 352.497 mieszk., Gdańskie — 16.406 km kw., 967.062 mieszk., Pomorskie — 22.723 km kw., 1.463.139 meszk., Szczecińskie (dawny okręg Pomorze zachodnie) — 21.648 km kw., 597.868 mieszk. Poznańskie — 39.228 km kw., 2.242.078 mieszk. Wrocławskie (Dawny okręg Śląsk Dolny) — 24.497 km kw. 1.930.496 mieszk. Śląsko-Dąbrowskie — 5.998 km kw., 1.632.961 mieszk. Opolskie — 9.393 km kw., 1.183.787 miesz. Krakowskie — 15.686 km kw., 2.129.535 mieszk. Rzeszowskie — (część dawnego woj. Lwowskiego) 17.978 km kw., 1.537.466 mieszkańców.

Najmniejszymi powierzchniowo województwami w Polsce są rzeszowskie, gdańskie, krakowskie, opolskie oraz śląskie.

Z ogólnej cyfry ludności Polskiej na miasta przypada 31 %, na ludność wiejską 69 %.

WŁADZE RZECZYPOSPOLITEJ NA WYGNANIU

Prezydent Rzeczypospolitej:
AUGUST ZALESKI.

Siedziba: 43, Eaton Place, London, S.W.1.

Rząd Rzeczypospolitej:

Premier: Roman Odzierzyński; ministrowie: Mieczysław Sokołowski — minister spraw zagranicznych, Jerzy Hryniewicz — minister spraw wewnętrznych, Zygmunt Rusinek — minister dla spraw obywateli polskich na obczyźnie, Hugon Hanke — minister bez teki.

Siedziba Prezydium Rady Ministrów:
42, Emperors Gate, London, S.W.7.

* * *

Życie polityczne emigracji ogniskuje się w stronnictwach i ugrupowaniach politycznych, które uczestniczą w dwóch zespołach:

Rada Polityczna: przewodniczący — Tomasz Arciszewski; siedziba prezydium: 9, Phillimore Place, London, W.8.

Rada Narodowa: przewodniczący — Wacław Grzybowski; siedziba prezydium: 42, Emperors Gate, London, S.W.7.

ORGANIZACJE POLSKIE NA EMIGRACJI

A. O ZASIĘGU ŚWIATOWYM

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW

Centralna organizacja byłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, którzy po wojnie odmówili powrotu do Polski pod okupacją komunistyczną. Zasięgiem swym obejmuje niemal wszystkie kraje na wszystkich kontynentach, gdzie przebywają Polacy na emigracji.

Adres Zarządu Głównego S. P. K.: 16-20, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.

Tel. WEStern 0747.

ŚWIATOWY ZWIĄZEK POLAKÓW Z ZAGRANICY

Światowy Związek Polaków z Zagranicy (Światpol) jest organizacją starą, która jeszcze przed wojną centralizowała prace krajowych organizacji emigrantów polskich w różnych krajach.

Adres centrali: 10, Stanhope Place, London, W. 2.

Tel. PADdington 4265.

ZJEDNOCZENIE POLSKIEGO UCHODŹSTWA WOJENNEGO

Centralna organizacja koordynująca działania tych zrzeszeń, które w poszczególnych krajach skupiają przedstawicielstwa różnych organizacji społecznych, głównie we Francji, Anglii i w Niemczech.

Centrala mieści się we Francji. Adres: 54, rue Truffault, Paris XVII-e.

B. KATOLICKIE

INSTYTUT POLSKI AKCJI KATOLICKIEJ W WIELKIEJ BRYTANII

Prezes Rady i Zarządu Instytutu: P. Jan Baliński-Jundziłł.

Asystent Kościelny: Ks. Prałat Włodzimierz Cieński.

Dyrektor: P. Bolesław Podhorski.

Adres biura: 51, Eaton Place, London, S. W. 1.

Tel. SLOane 6326.

Akcja Katolicka, według klasycznego już określenia Piusa XI, jest „udziałem świeckich w hierarchicznym apostolstwie Kościoła"; w licznych wypowiedziach zarówno papieży jak i wybitnych biskupów została ona określona jako „pełnia życia chrześcijańskiego", jako „dążenie ludzi świeckich do tego, by wszystkie dziedziny życia i kultury przepoić Chrystusem".

Ci więc wszyscy, którzy tu na wychodźstwie, pragną żyć pełnią życia chrześcijańskiego i zarazem być czynnymi apostołami zasad wiary i obyczajów katolickich, biorą udział w ruchu Akcji Katolickiej, należą do jej kół i są jej przodownikami, lub też przez swe organizacje, jak np. Veritas, Sodalicje Mariańskie i inne, ściśle z nią współpracują.

Szczególną doniosłość Akcji Katolickiej podkreślił Pius XI w zdaniu, że „kapłani muszą uważać Akcję Katolicką za konieczny czynnik swego urzędu duszpasterskiego, wierni zaś za swój obowiązek życiowy".

Obowiązek ten pełnią członkowie Akcji Katolickiej przez:

- szerzenie i pogłębianie wiedzy religijnej,
- wyznawanie całym życiem katolickich zasad moralnych i ich obronę,
- pełnię życia w Kościele i z Kościołem,
- odnawianie całego życia społecznego w duchu Chrystusowym.

Warunki katolickiej pracy społecznej na wychodźstwie są inne, niż były one w Kraju, gdyż nie mamy tu własnej organizacji parafialnej, polscy duszpasterze są przeciążeni obowiązkami kapłańskimi, wierni zaś są rozproszeni i często jeszcze zmieniają miejsce pobytu. Ale w tych właśnie warunkach, gdy tak wielu rozproszonych rodaków potrzebuje pomocy duchowej i gdy nasi księża nie mogą wszystkiemu podołać, potrzeba sprawnej Akcji Katolickiej jest wielka a znaczenie jej pracy szczególnie doniosłe.

Zadaniem Polskiego Instytutu Akcji Katolickiej jest przede wszystkim koordynowanie i uzgadnianie wszelkiej katolickiej pracy społecznej na terenie W. Brytanii, udzielanie pomocy organizacyjnej zarówno polskim duszpasterzom, jak i wiernym przez: badanie terenu i nawiązywanie kontaktów z przyszłymi przodownikami Akcji Katolickiej, szkolenie nowoczesnych katolickich pracowników społecznych, oddziaływanie słowem żywym przez kursy, referaty, objazdy, konferencje itp. i działanie słowem drukowanym przez programowe wydawnictwa własne oraz kolportaż wydawnictw obcych i prasy katolickiej.

ZWIĄZEK POLSKICH SODALICJI MARIAŃSKICH NA UCHODŹSTWIE

Organizacja kościelno-religijna, skupiająca wszystkie ośrodki sodalicyjne istniejące poza granicami Kraju i rozproszone po wszystkich kontynentach; kanonicznie zatwierdzona dnia 20 października 1947 r. przez Polską Kurię Biskupią w Londynie; wchodząca jako autonomiczna jednostka organizacyjna w skład IPAK'u (Instytut Polskiej Akcji Katolickiej) od dnia 11 grudnia 1947 r.; złączona bezpośrednio z Sekretariatem Generalnym Wszechświatowego Zw. Sodalicyj Mariańskich w Rzymie.

Siedziba Sekretariatu PSM na Uchodźstwie: Southwell House, 39, Fitzjohn's Avenue, London, N. W. 3;

Tel. HAMpstead 8534,

POLSKIE KATOLICKIE STOWARZYSZENIE UNIWERSYTECKIE VERITAS

P.K.S.U. Veritas, składające się ze studentów i seniorów na wychodźstwie ma na celu kształtowanie inteligencji polskiej w duchu Chrystusowym pod kierunkiem Hierarchii Kościoła oraz indywidualne i zbiorowe oddziaływanie w tym duchu na polskie życie religijne i intelektualne.

Centrala: 21, Earls Court Square, London, S. W. 5.

Tel. FREmantle 2551.

AMERYKAŃSKA KATOLICKA ORGANIZACJA OPIEKUŃCZA

(National Catholic Welfare Conference)

NCWC jest skrótem nazwy amerykańskiej organizacji National Catholic Welfare Conference, będącej centralą katolickiej akcji charytatywnej amerykańskiej. Wydziały tej organizacji obejmują ruch katolików świeckich, życie rodzinne, zawodowe, sprawy emigracyjne, akcję społeczną, katolickie wydawnictwa i prasę, radio, prawo i ustawodawstwo, sprawy wychowania młodzieży i szkolnictwa. Najbardziej znanym nam z działów NCWC jest dział pomocy ofiarom wojny pod nazwą War Relief Services, którego polski oddział z placówkami w szesnastu krajach niósł wydatną pomoc materialną i duchową Polakom, oraz dział pomocy Polakom przy emigracji do U.S.A.

Siedziba oddziału NCWC na Wielką Brytanię mieści się w Londynie, 26, Highgate, West Hill, London, N. 6. Dyrektorem jest ks. kanonik Rafał Gogoliński-Elston.

SZKOLNICTWO POLSKIE NA EMIGRACJI

A. WIELKA BRYTANIA

Z licznych do niedawna szkół polskich, prowadzonych przez Komitet dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii pozostało zaledwie kilka. Zlikwidowano większość przedszkoli i szkół powszechnych w hostelach, gimnazja i uniwersytet (Polish University College). Oprócz pozostałych jeszcze w hostelach National Assistance Board przedszkoli i szkół powszechnych istnieją dwa gimnazja:

1. Gimnazjum żeńskie w Stowell Park, nr Cheltenham, Glos.
Tel. Fossbridge 371.

2. Gimnazjum wydziałowe koedukacyjne w Diddington, nr. Buckden, Hunts.
Tel. Buckden (Hunts.) 267.

Prócz tego istnieje szkoła techniczna dla chłopców w Lilford, nr. Oundle, Northants.
Tel. Thrapston 205.

Prócz szkół w ramach Komitetu dla Spraw Oświaty Polaków w W. Brytanii istnieją dwa niezależne katolickie zakłady wychowawcze:

1. Internat (dla chłopców) św. Stanisława Kostki, St. Raphael's Church, Lower Bullingham, Hereford.
Tel. Hereford 4060.

Internat jest prowadzony przez księży ze zgromadzenia ojców marianów, chłopcy uczęszczają do angielskiej szkoły katolickiej św. Franciszka Ksawerego, w internacie zaś pobierają naukę religii i przedmiotów ojczystych.

Ojcowie marianie zakupili ostatnio nieruchomość w Henley, w której zamierzają otworzyć gimnazjum o podwójnym programie polsko - angielskim dla chłopców, którzy ukończą naukę w szkole powszechnej.

2. Przedszkole, szkoła powszechna i gimnazjum dla dziewcząt, prowadzone przez siostry nazaretanki w Pitsford. Adres: Holy Family Convent School Pitsford Hall, nr. Northampton.
Tel. Brixworth 306.

Zakład posiada: przedszkole, 4 klasy szkoły powszechnej i 5 klas gimnazjalnych. Siostry nazaretanki zamierzają w najbliższej przyszłości otworzyć liceum dla uczennic, które po ukończeniu piątej gimnazjalnej zdają małą maturę.

B. FRANCJA

Półmilionowa Polonia francuska posiada bardzo niewiele szkół i zakładów naukowych polskich. Są to przeważnie zakłady katolickie, mianowicie:

1. Polskie Seminarium Duchowne,
5, rue des Irlandais, Paris V-e.
Tel. POR 31-33

2. Polskie gimnazjum katolickie, Chevilly (Loiret).
Tel. Chevilly 27.

3. Internat św. Kazimierza. 15, Place de la Republique, Béthune (Pas de Calais).
Tel. Béthune 523.

4. Zakład św. Stanisława Kostki, Osny par Pontoise (S. et O.).
Tel. Pontoise 24.

5. Zakład św. Kazimierza, 119, rue du Chevaleret, Paris XII.
Tel. GOB 78-37.

6. Sierociniec dla dziewcząt, 11, rue Difuor, Asnières s/Oise (S. et O.).

7. Szkoła gospodarstwa domowego, Saint-Ludan, par Hindishein (Bas-Rhin).

8. Polski Ośrodek Młodzieżowy księży oblatów, 29, Avenue du Général Leclerc, La Ferte sous Jouarrée (S. et M.).
Tel. La Ferte sous Jouarrée 376.

9. Szkoła Gospodarstwa Domowego, Fouquières-lez-Béthune (P. de C.) i w St. Ludan, koło Strassburga w Alzacji.

10. Nowicjat księży chrystusowców w Hesdigneul-les-Béthune (Pas de Calais).

TOWARZYSTWO POMOCY POLAKOM

(RELIEF SOCIETY FOR POLES)

Centrala: 55, Princes Gate, London, S. W. 7.

Tel. KENsington 8846-47.

Towarzystwo Pomocy Polakom w zmiennych warunkach powojennych kontynuuje działalność Polskiego Czerwonego Krzyża na uchodźstwie. Na terenie W. Brytanii TPP prowadzi Domy Polskie (ośrodki życia społecznego, kluby towarzyskie, mieszkania z utrzymaniem, noclegi, stołówki), Placówki w osiedlach (ośrodki życia społecznego, kluby, sklepy), akcję pomocy indywidualnej, opiekę nad chorymi, przychodnie lekarskie, akcję kulturalno-oświatową i nauczanie przedmiotów ojczystych. Poza Wielką Brytanią działalność TPP prowadzona jest za pośrednictwem Delegatur czynnych prawie we wszystkich krajach o większych skupiskach polskich.

TPP nie otrzymuje żadnych dotacji i skutkiem tego wydatki na działalność pokrywane są z dochodów własnych instytucji, która w związku z tym prowadzi przedsiębiorstwa takie, jak Biuro Sprzedaży i Wysyłki Paczek, Hurtownia Tytoniowa, Shellbourne Hotel i Apteka Polska — Jagg and Co.

Przewodniczącym Rady Towarzystwa jest gen. broni Józef Haller, zastępca przewodniczącego — mec. O. Daniłłowicz, sekretarzem — Anna Paszkowska.

W skład Zarządu TPP wchodzą: prezes: Helena Sikorska, członkowie Zarządu — Rafał Cywiński, Wincenty Łącki i dr Stanisław Ożga (Dyrektor Finansowy), sekretarzem Towarzystwa jest mgr Roman Haiman, kierownikiem Działu Opieki — mgr Adam Treszka, kierownikiem Finansowo - Gospodarczym — mgr Witold Łęgowski.

TPP w Wielkiej Brytanii

DOMY POLSKIE TPP:

Dom Polski TPP w Birmingham, 122, Gravelly Hill, Birmingham 23. Tel. EAST 1409.

Dom Polski TPP w Leeds: 194, Chapeltown Road, Leeds 7. Tel. 44857.

Dom Polski TPP w Plymouth: 6, Windsor Terrace, Plymouth. Tel. 593311.

Hotel TPP w Foxley: hut 2/42, Anglo-Polish Housing Estate, Foxley, nr. Hereford.

Dom Noclegowy TPP w Londynie: 36, Hugh Street, London, S. W. 1. Tel.: VICtoria 0214.

PLACÓWKI TPP W OSIEDLACH:

Burton on the Wolds Housing Estate, 15, Central Street, nr. Loughborough, Leics.

Daglingworth Housing Eestate, nr Cirencester, Glos.

Five Oaks Housing Estate, nr. Billingshurst, Sussex. Tel. Billingshurst 304.

Anglo-Polish Housing Estate Foxley, nr Hereford. Tel. Bridgesollars 236.

Hodgemoor Housing Estate, nr Amersham, Bucks.

Lilford Camp, Technical School, nr Oundle, Northants.

Anglo-Polish Housing Estate London Road, Brandon, Suffolk.

87, Polish Housing Estate, Petworth, Sussex.

Strood Park Housing Estate, nr. Horsam, Sussex.

Weeting Hall Housing Estate, nr Brandon, Suffolk.

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK TPP: 55, Princes Gate, London, S. W. 7. Tel. KEN 8846-47.

PRZYCHODNIE:

Przychodnia Lekarska TPP: 47, Rutland Gardens, London, S. W. 7. Tel. KENsington 7783.

Przychodnia Dentystyczna — 47, Rutland Gardens, London, S. W. 7. Tel.: KENsington 7783.

Delegatury TPP poza W. Bryt.

Afryka Południowa: delegat Mrs. B. Alexander, 119,Brook St., Pretoria, South Africa.

Afryka Wschodnia: delegat J. Brzeziński, P. O. Box 1882, Nairobi, Kenya, East Africa.

Argentyna: delegat: Z. Żółtowski, Carlos Pellegrini 1175, P. 6., Buenos Aires, Argentina.

Australia: delegat: W. Noskowski, 77, Pitt Street, Sydney, Australia.

Belgia: delegat: W. Grabowski, 32 rue de l'Arbre Benit, Bruxelles, Ixelles, Belgium.

Brazylia: delegat: E. S. Balińska, Av. Pres. Wilson 210, s. 914, Rio de Janeiro, Brazil.

Francja: kierownik: Z. Firyn, 54, rue Truffaut, Paris XVIIe France.

Grecja: delegat: Mrs M. B. Casdonis, 3 September Str. 55, Athens, Greece.

Hiszpania: delegaci: J. Babecki i dr E. Kobyłecki, Goya 6, Madrid, Spain.

Holandia: kierownik placówki: S. Łubieński, Jan van Goyenkade 27, Amsterdam, Holland.

Kanada: delegat: dr Hilary Stykolt, 28½, Adelaide Str., Toronto 1, Canada.

Liban: delegat: Mrs. W. Kapuścińska-Tabbah, P. O. Box 689, Beyrouth, Lebanon.

Luksemburg: kierownik placówki: W. Lachowicz, 16 rue de l'Eau, Luxemburg-Ville, Luxemburg.

Niemcy: delegat: J. Knothe, (21a) Oerlinghausen/Lippe, Postfach 58, Kreis Lemgo, Germany.

Nowa Zelandia: delegatka Mrs. M. Wodzicka, 27, Konini Rd. Hataitai, Wellington, New Zealand.

Norwegia: kierownik placówki: ks. A. Wysiecki, Kongensgate 9, Fredrekstad, Norway.

Peru: delegat: Mrs D. Unger, Miraflores, Apartado 3060, Paseo Republica 529, Lima, Peru.

Portugalia: delegat: K. Zarębski, Rua Sousa Martins 17, 3-o, Dt-o, Lisboa, Portugal.

Szwecja: delegat: J. Weytko, Bravallavägen 27, Djursholm, Sweden.

PACZKI Z DARAMI DO POLSKI

(Informacje otrzymane za pośrednictwem Board of Trade)

Pomoc dla Kraju w postaci wysyłki paczek natrafia często na duże trudności z powodu nieznajomości przepisów celnych, obowiązujących obecnie w Polsce. Skutkiem tego obdarowani muszą uiszczać wygórowane opłaty celne za otrzymane przesyłki a nawet niekiedy reżym zabiera przesyłki sprzedając ich zawartość na licytacji. By tym komplikacjom zapobiec, podajemy poniżej wyciąg z oficjalnych przepisów w Polsce, które do tej pory nigdzie jeszcze nie były publikowane na emigracji, choć ich znajomość jest tak ważna w akcji niesienia pomocy naszym bliskim w Kraju przez wysyłkę paczek.

Wyciąg z oficjalnych przepisów polskich (20. 5. 1949, uzupełnianych 14. 10. 1949 i 21. 10. 1950)

1. Waga pojedyńczej paczki nie może przekraczać 20 kilogramów.

2. Paczki-dary mogą zawierać:

UBRANIE — nowe lub używane ubrania, nową lub używaną bieliznę (stołową, osobistą, pościelową). Można dołączać jedno okrycie futrzane nowe, drugie używane.

ŻYWNOŚĆ — przyprawy i korzenie, tylko do 1 kilograma każdego rodzaju.

LEKARSTWA do 2 kilogramów wagi łącznie z właściwym opakowaniem zawartości, wyjąwszy narkotyki, z których Codeina i Ethylomorfina (dionina) są ograniczone do wagi 200 gramów w jednej paczce. Codeina i Ethylomorfina mogą być jednakże zawarte w innych lekarstwach.

Owoce, artykuły produkcji fabrycznej codziennego użytku, w ilościach podanych w załączniku Nr 1, oraz zwykłe narzędzia rękodzielnicze.

3. Dla artykułów dozwolonych nie są potrzebne licencje importowe. Obowiązują ograniczenia co do ilości.

4. Artykuły, które nie znajdują się na liście artykułów dozwolonych wymagają licencji importowej nawet wtedy, jeśli są wysyłane jako dary, licencje te udzielane są za opłatą kosztów wyrównania, różnych dla poszczególnych artykułów.

5. Te same przepisy odnoszą się do podróżnych, zabierających ze sobą do Polski paczki-dary.

6. Paczki-dary podlegają następującym opłatom administracyjnym:

do wagi 2 kg — 6 złotych
do wagi 5 kg — 15 złotych
do wagi 20 kg — 20 złotych

7. Opłaty importowe nie są pobierane od darów podanych w zał. 1., pod warunkiem, że nie przekracza się podanej ilości. Jeśli jednakże ilość jest przekroczona, artykuł taki jest opodatkowany, jako posiadający specjalną wartość, a odbiorca w Polsce musi zapłacić koszty wyrównawcze. Opłaty wyrównawcze i wartościowe są różne dla artykułów wymienionych na liście. Jeśli tylko dwa artykuły są dozwolone, a wysyłający nadaje trzy — wszystkie trzy artykuły podlegają podatkowi. Jedynym rozwiązaniem dla odbiorcy jest odstąpienie (oddanie) dodatkowych artykułów rządowi polskiemu, który sprzedaje je na licytacji i wpływy zabiera do skarbu państwa.

ZAŁĄCZNIK NR 1

U w a g a : Litera „N“ podana po ilości oznacza, że ograniczenia odnoszą się tylko do artykułów nowych, podczas kiedy artykuły używane mogą być wysyłane w ilościach nieograniczonych.

Apaszki 2
Radia —
Filmy fotograf. 2 rolki
Budzik w oprawce ze zwykł. mat. 1 szt.
Brzytwa 1 szt.
Bibułka do papierosów 500 gr.
Chusteczki 6 szt. N
Chusteczki jedw. 2 N
Kompas 1 komplet
Opony rowerowe 1 szt.
Fajki 2 szt.
Pledy baweln. 2 szt.
Kremy kosmet. (łączn. ze słoikiem) 500 gr.
Lampy radiowe 2 szt. (różne)
Laski 1 szt.
Materiały spadochronowe 4 kliny
Mydło toalet. 1 kg.
Mydło do prania 1 kg
Maszynka do gol. 1
Maszynka do strzyżenia włosów 1 szt.
Materiały piśm. 500 gr
Nożyczki 1 para
Żyletki 30 szt.
Grzebienie 3 szt.
Karty do gry 4 talie
Książki ilustr. 3 szt.
Pledy wełn. 1 szt. N
Parasole i parasolki od słońca 1 szt.
Paski do spodni 1
Papier czuły (fotograficzny) 250 gr.
Fonogramy — —
Przepaski 1 szt.
Pasta do zębów 3 tuby
Pędzle do golenia 1
Perfumy (z flakonem) 150 gr.
Puder kosmetyczny łączn. z pud.) 150 gr
Plastyk na płaszcze przeciwdeszcz. 5 m.
Piłka football 1 szt.
Piłki tenisowe 6 szt.
Piłki ping-pong. 20 szt.
Pióra wieczne zwykłe, lub ze złotą stalówką 1
Płyty gramof. 5 szt.
Pończochy elast. 4 N
Pończochy jedw. 4 p.
Pończoch nylon. 2 p.
Proszek do prania 1 kg
Przędza wełn. 1 kg
Przędza baweln. 1 kg
Róż kosmet. (łączn. z pudełkiem) 250 gr.
Siatki do włosów 10
Skóra twarda 2 kg
Skóra miękka 1 kg
Tiul siatkowy do pół metra szer. 1 m. dł.

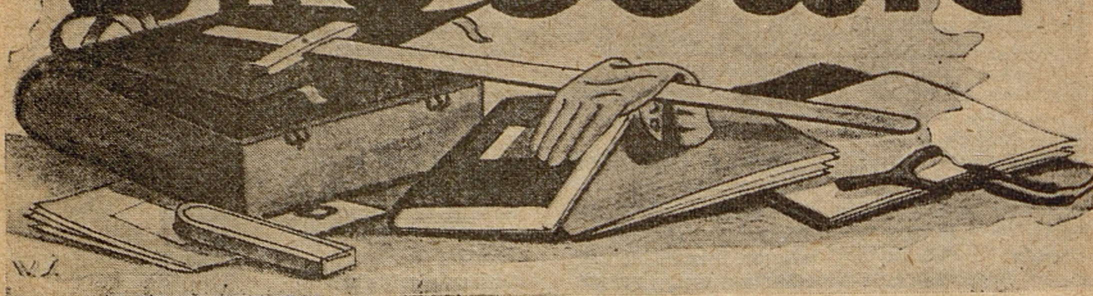
Szelki i podwiązki 1 p.
Szelak 1 kg
Kredki do ust 2 szt.
Dętki do piłek 2 szt.
Igły do szycia ręczne i maszynowe 1 tuz.
Farby do włos. 250 gr.
Farby malar. 1 kg
Kamyki do zapaln. 10
Sztućce (noże, widelce) na 1 os. 1 kompl.
Maszynka do mielenia mięsa 1 szt.
Szkło domowe 3 szt.
Nasiona kwiat. 100 gr.
Nasiona warz. 250 gr.
Kolorowe okulary 1 p.
Pasta lub krem do butów 500 gr.
Puder dziec. 250 gr.
Świece 500 gr.
Stetoskop 1 szt.
Tiul i welony 3 m.
Watalina 3 m 100 m.
Sznurek do wędek
Okulary 1 para
Ołówki automatyczne 1 szt.
Szczotki do zębów 2
Szczotki do ubrania 1
Sól 1 kg
Sztuczne środki słodzące 250 gr.
Torebki damskie bez względu na materiał 1 sztuka
Materiały wełn. podw. szer. 3 — 3½ m
Materiały bawełn. 8m
Materiały rayonow. 8"
Mater. lniane, płóc. 8"
Guma z metra na gorsety 1 m.
Wino 2 butelki
Likier w butelkach 1-litrowych 2 but.
Wyroby tyton. 1 kg
Woda toalet. lub inne łączn. z but. 150 gr.
Ekstrakt waniliowy 250 gr (netto)
Wózki dziecinne
Zapałki 7 pudełek
Zabawki 1 kg
Zapalniczki kiesz. 1 (zwykłe)
Żarówki elektr. 2 szt.
Żurnale 2 szt.
Zegarki w metalu 1 inne artykuły w zwykłym metalu 250 gr.
Baterie do latarek 4
Guma w ark. na obuwie 1 kg.
Gumowe zelówki i obcasy 1 kg
Guziki 250 gr.
Igły gramof. 200 szt.
Strzykawka do zastrzyków 1 szt.
Igły do zastrz. 6 szt. wody pachn. (perf.)
Inne farby i barwniki 1 kg
Łyżwy 1 para
Elektr. maszynka do golenia 1 szt.
Naczynia kuchenne, porcelana domowa i artykuły kamionkowe 3 szt.
Obrusy plast. 1 szt.
Paski damskie 1 szt.
Proszek DDT 500 gr.
Rakiety do ping-ponga i siatki 1 kompl.
Materiały półjedwabne 5 metrów
Materiały nylon. 5 m
Sztancowane gwoździe lub spinki 3 tuz.

ZAŁĄCZNIK NR 2

Dodatkowe artykuły podlegające opłacie podatkowej według poniższego wykazu:

Artykuł i jednostka: Podatek w złotych:

Wino gronowe musujące 1 but. 15.— zł.
Inne wina gronowe musujące 1 but. 9.— „
Wina gronowe:
a) zawierające więcej niż 18 % alkoholu 1 but. 7.50 zł.
b) zawierające do 18% alkoholu 1 but. 6.00 zł.
Wina owocowe musujące 1 but. 4.50 zł.
Miód do picia, wina owocowe i soki owocowe 1 but. 1.20 zł.
Cukier buraczany 1 kg 3.— zł.
Cukier krochmalowy 1 kg 1.20 zł.
a) wyroby cukiernicze, mleko kondensowane, mleko w proszku słodzone, proszek Nestla, fosfaryna, kwaśna śmietanka z cukrem itp. artykuły 1 kg 1.80 zł.
b) pulpa owocowa, kompoty, marmelada, dżem, konfitury, serki owocowe, galaretki, owoce kondensowane, skórki owocowe, cukier w proszku lub w tabletkach (do ciast), likier i napoje łagodne 1 kg 2.40
c) słodycze tureckie, chałwa, rahatlukum etc. 1 kg 2.70 zł.
d) karmelki twarde karmelki, drażetki, miód syntetyczny 1 kg 3.30 zł.
e) czekoladki, cukierki miękkie, cukierki w czekoladzie, marcepanowe etc 1 kg 3.60 zł.
f) czekolada, kakao z cukrem, słodzona pasta kakaowa etc. 1 kg 5.10
Sztuczne środki słodzące:
a) 220 razy słodsze niż cukier 1 kg 75.—
b) ponad 220 do 440 razy słodsze niż cukier 1 kg 150.—
c) ponad 440 razy słodsze niż cukier 1 kg 180.—
Karty do gry:
A) z papieru:
a) paczka 36 kart 1 talia 6.—
b) talia więcej niż 36 kart (1 talia) 9.—
B) z innego materiału:
a) talia 36 kart (1 talia) 30.—
b) talia więcej niż 36 kart (1 talia) 45.—
Drożdże do pieczenia:
a) świeże (prasowane lub w płynie) 1 kg 12.—
b) suszone 1 kg 24.—
Kwas octowy 1 kg 100 % 9.60
Kwas węglowy 1 kg 4.50
Bibułki do papierosów 1 kg 18.—
Alkohole w stanie naturalnym lub zawarte w likierze, wyciągu, esencji, syropie i w artykułach żywnościowych 1 litr 100 % alk. 45.—
Alkohol zawarty w lekarstw. 1 l. 100% alk. 15.—
Alkohol zawarty w artykułach kosmetycznych i perfumeryjnych 1 litr 100% alk. 16.50
Papierosy 1 kg 240.—
Cygara, cygaretki, tytoń domowy owinięty w liście tytoniowe 1 kg 240.—
Tytoń papierosowy cienko krajany 1 kg 240.—
Tytoń fajkowy grubo krajany 1 kg 240.—
Tytoń w krążkach lub paczuszkach 1 kg 240.—
Tytoń w liściach lub paczkach bez lub z łodyżkami 1 kg 120.—
Tytoniowe łodyżki, korzonki, odpadki i proszek tytoniowy 1 kg 15.—
Tabaka 1 kg 15.—
Wyciągi tytoniowe 1 kg 6.—
Nikotyna i jej pochodne, nicotyne sulphalate, nicotyne oxalate, etc. 1 kg 15.—
Zapałki 1 kg 0.30
Sól kuchenna 1 kg 0.30



Napisał Jerzy KOSSOWSKI

JULEK był niesłychanym zabijaką i ojciec miał z nim kłopotów co niemiara. Chłopak chodził stale obszarpany, podarty, pobity przez kolegów i nic tu nie pomagały ani kary, ani napomnienia. Po każdej awanturze przyrzekał święcie i ojcu i sobie, że już nigdy nie wda się w żadną wojnę, że będzie unikał bijatyk z „wrogami", że będzie „jak na sznurku" wracał do domu, ale cóż — los był mocniejszy niż jego dobre chęci, przyrzeczenia i przysięgi. Zawsze jakoś stało się tak, że „wróg" pierwszy go napadł, a on musiał się bronić, bo „honor" nie pozwalał mu uciec. I następstwa tego wszystkiego były straszne! Mimo że przeważnie odnosił zwycięstwa, to jednak nie zawsze udało mu się uniknąć tego, by nie dostać uderzenia w nos, czy pod oko, by nie narazić guzików na oderwanie, czy klapy kieszeni na oddarcie.

— Wrogowie nie dają mi spokoju! — zwykł się usprawiedliwiać przed ojcem i starszą siostrą Kryśką.

— Jedyna rada na to, zawrzeć rozejm — zwykł mawiać ojciec.

Aż nagle przyszło na Julka opamiętanie. Przyszło tak nagle, że koledzy poznać go nie mogli. Julek ścichł, spoważniał i przestał brać udział we wszystkich wojnach. Ilekroć zjawił się na horyzoncie „wróg" gotów do walki, Julek podnosił w górę rękę zwróconą ku przeciwnikowi otwartą dłonią, na znak, że prosi o rozejm. Chłopcy mieli swój kodeks i szanowali swoje prawo zwyczajowe. Dłoń podniesiona była jakby białą chorągwią parlamentariusza, którego napadać się nie godzi. Zbliżali się wtedy niedawni wrogowie, wdawali się w układy i zawierali rozejm. Formuła początkowych rozmów była utarta:

— Proszę o rozejm — mówił chłopak, trzymając cały czas rękę w górze.

— Bo się mnie boisz — odpowiadał chełpliwie zaczepiający.

— Nieprawda! — padało zaprzeczenie.

— A co? Chory jesteś?

— Ranny — bywała odpowiedź.

Ale z Julkiem było inaczej. Zawierając rozejm z wrogami odpowiadał:

— Ślubowałem.

— Co?

— Że nie będę się z nikim bić, póki matka nie wyzdrowieje.

Wszelkie ślubowania chłopcy szanowali, a usłyszawszy na jaką intencję Julek ślubował, zostawili go w spokoju.

A matka Julka była naprawdę chora. Gasło w niej młode życie z wolna, lecz niepowstrzymanie. Od roku prawie nie wstawała z łóżka. Tak że dzieci aż przyzwyczaiły się do tego, że w mieszkaniu trzeba chodzić na palcach, że mówić trzeba szeptem, a już broń Boże nie wolno śpiewać i dokazywać.

Pewnego dnia przyszło kilku lekarzy i odbyło konsylium. Co tam mówili, Julek nie wiedział. Badali długo Julkową mamusię, a potem naradzali się w jadalni.

Kryśka wzięła Julka do kuchni i tam postanowili oboje ślubować na intencję wyzdrowienia matki. Co Kryśka ślubowała, tego Julek nie wiedział. Nie powiedziała mu. On ślubował nie bić się z chłopakami. — I od tego dnia wracał do domu bez sińców i podrapań, bez dziur w mundurze, a nawet lepiej się uczył. Ojciec zauważył różnicę w zachowaniu się Julka i często gładził go po płowej czuprynie i uśmiechał się do swego chłopca.

Julek tajał pod ojcowskim spojrzeniem i był dumny ze siebie, jakby co najmniej całą klasę zwyciężył. Raz jednak stało się nieszczęście: Julek wracał do domu i spotkał Kmiecika! A Kmiecik był jego „prawdziwym wrogiem".

Spotkanie było nagłe i tym mniej spodziewane, że Antek Kmiecik, wyrzucony przed pół roku ze szkoły, był teraz chłopcem u szewca. Obydwaj wrogowie nie widzieli się już bardzo dawno, ale mieli ze sobą stare

porachunki. Natknęli się na siebie za rogiem Julkowego domu i prawie zderzyli piersią w pierś. Odskoczyli od siebie jak oparzeni i natychmiast stanęli w obronnej postawie.

Julek pochylił głowę jak młody byczek, mający uderzyć przeciwnika wykłuwającymi się dopiero rogami, ale zwolna opamiętał się: podniósł lewą rękę i zwrócił otwartą dłonią w stronę wroga.

Na pucołowatej twarzy Kmiecika wykwitł zjadliwy uśmieszek. Przymrużył oczy i spytał:

— Boisz się?

— Nie — odparł Julek.

— A co, Możeś chory?

— Nie.

— Tylko co?

— Ślubowałem.

— Co?

— Że się nie będę bić.

— Bo się boisz!

— Nieprawda! Sprałbym cię na kwaśne jabłko, gdyby nie to, że matka chora.

— Cóż to ma do rzeczy?

— Ma. Ślubowałem.

— Kłamiesz. Tchórz jesteś.

Julkowi krew napłynęła do twarzy.

— Zapowiadam ci, że cię spiorę, jak mój ślub ustanie!

— A ja nie będę czekał — krzyknął Kmiecik i skoczył, jak kot.

Julek zasłonił się ugiętymi rękami i cios sparował, ale nie oddał. Nie chciał bić, żeby ślubu nie złamać.

A Kmiecik odskoczył i znów cios ponowił. Tym razem jednak Julek już nie zasłaniał się: stanął prosto, oparł się o mur i opuścił ręce.

— Ślubowałem — krzyknął marszcząc brwi.

Ale Kmiecik nie uszanował niepisanego kodeksu rycerzy drugiej klasy i uderzył pięścią w odsłonięte Julka piersi. Julek stęknął, ale ręki na wroga nie podniósł. Wtedy Kmiecik wpadł w szał. Czując bezwład przeciwnika bił gdzie popadło, gdy jednak dotknął Julkowej twarzy, chłopak nie wytrzymał: skoczył jak żbik i począł tłuc wroga tak, że nie spodziewający się obrony, a tym mniej ataku cofnął się niezgrabnie i zwalił na chodnik. W gorączce walki Julek chciał rzucić się na leżącego, ale w tej chwili stała się z nim dziwna rzecz: uczuł, że jakaś niespodziewana siła ujęła go mocno za kark i podniosła w górę. Skorzystał z tego Kmiecik, zerwał się na nogi i pognał ulicą w dół.

Kiedy Julek uczuł pod nogami ziemię i chwyt na karku zelżał, odwrócił zwolna głowę i ujrzał przed sobą surową twarz ojca.

— Piękne ślubowanie — usłyszał spokojnym głosem wypowiedziane słowa.

Julek zmartwiał. Uczuł się nagle tak słaby, że omal się nie osunął na chodnik. Nogi miał jak z gumy, a głos zasechł mu w gardle. Chciał przynajmniej wyszeptać, że wróg go napadł, że on żądał rozejmu... — ale nie był w możności. Patrzył nieprzytomnymi oczyma na ojca, który tylko westchnął głęboko a potem odwrócił się i poszedł ku miastu.

Kiedy Julek wrócił do domu, zastał tam wielką ciszę: Krysia siedziała z Marysią w jadalni i płakała cichutko, tuląc głowę w ramionach starej kucharki.

— Mamusi jest gorzej — szepnęła Marysia, przykładając palec do ust. — Tatuś poszedł znowu po lekarza.

Julek opuścił głowę. Rozpacz uderzyła go w serce: — Mamusi gorzej, bo ja złamałem ślub — przeszyła mózg boleśnie ostra myśl. Aż się zachwiał pod jej ciężarem. Zwolna, krok za krokiem poszedł ku swemu łóżku i usiadł na nim ciężko.

Kryśka podniosła głowę i spojrzała nań przez łzy. Patrzyła długo, uważnie i zauważyła, że ma potarganą czuprynę, tęgiego sińca pod okiem i naddarty kołnierz. Otarła łzy, bo nie wierzyła oczom.

— Biłeś się? — spytała szeptem pełnym niepojętego zdziwienia. — Biłeś się dziś?

A Julek nie mógł długo zdobyć się na odpowiedź, aż wreszcie wyjąkał:

— Ja nie chciałem... ale mnie Kmiecik napadł... i złamałem ślub...! Boże! Jaki ja jestem nieszczęśliwy! — Zalał się łzami.

Krysia zrozumiała. Wstała ze swego stołka i podeszła do brata.

— Nie płacz tak głośno, bo mamusię zbu-



...i ujrzał przed sobą surową twarz ojca.

dzisz — pogłaskała go po głowie jak dojrzała kobieta.

To podziałało o tyle, że chłopak wtulił głowę pod poduszkę, aby stłumić zbyt głośny szloch.

Po jakiejś półgodzinie wrócił ojciec. Julek nie spostrzegł jego wejścia, bo wtuliwszy głowę pod poduszkę ledwie słyszał swój własny stłumiony płacz. Nie wiedział też, co Kryska mówiła ojcu o Kmieciku. Ale ojciec nie bardzo słuchał. Zrzucił szybko palto i wszedł do pokoju matki, by ją przygotować na przyjście lekarza. Wtedy Kryska nachyliła się nad Julkiem i namówiła go, by poszedł do kuchni. Tam usiadła z nim razem na niskiej ławce i pocieszała jak umiała. Głaskała go po rozgrzanej twarzy, zapłakanych, opuchniętych oczach i zwichrzonej czuprynie, i tłumaczyła, że jeśli Kmiecik napadł go pierwszy, a może i niespodziewanie, to on, Julek nie złamał ślubu.

— Kiedy ja... nie mogłem wytrzymać... — mówił chłopak, z trudnością opanowując wstrząsający nim szloch — i... oddałem mu. Żeby... żeby mnie był nie uderzył w twarz, byłbym wytrzymał... a tak, to nie mogłem... i przez to... przez to mamusi gorzej...!

W kilka dni później odbył się pogrzeb matki Julka. Późnym popołudniem dzieci wróciły z ojcem do smutnego domu i siedziały cichutko. Żadne z nich nie wiedziało, jakim słowem pocieszyć ojca.

Minęło parę dni i Julek poszedł do szkoły. Wszyscy chłopcy patrzyli nań z szacunkiem, jaki budzą zawsze w otoczeniu czyjeś niezwykłe przeżycia. Tego dnia nauczyciele nie pytali Julka z żadnego przedmiotu, co jeszcze więcej podniosło chłopca w oczach kolegów. Po nauce Julek wracał cichy i poważny do domu, czując dokładnie, że stanowi między chłopcami postać niecodzienną. Szedł przodem, a za nim kilku, mieszkających w najbliższym sąsiedztwie kolegów.

Nagle z jakiejś szerokiej bramy wybiegł chłopak, z przewieszoną przez ramię parą butów.

— Kmiecik! — poznał go Julek.

Na pucołowatej twarzy Kmiecika zagasł łobuzerski uśmiech, z jakim wypadł na ulicę. Stanął jak wryty. Przez sekundę zawahał się, czy nie uciec z powrotem do bramy, ale się zawstydził. Zbyt wielu było świadków, na których opinii mu zależało. Przybrał więc obronną postawę i czekał. Zmrużył oczy i zacisnął zęby, gotów do zaciętej walki.

A Julek zbladł jak trup. Obejrzał się za siebie i podał jednemu z kolegów książki. Chłopcy wiedzieli co to znaczy, wiedzieli, że Kmiecik to Julka wróg. Uliczka była pusta, więc otoczyli przeciwników i czekali.

Kmiecik podał jednemu z nich buty, by mieć także wolne ręce.

Julek zbliżył się do Kmiecika na krok, milczał chwilę, a potem wskazał mu na swoje lewe ramię opasane czarną krepą:

— Widzisz?

Kmiecik patrzył i powoli opuszczał głowę.

— Widzisz? — powtórzył Julek. — Kiedyś mnie napadł, mówiłem ci, żem ślubował, bo moja matka chora. Nie chciałem się bić. Nie zasłaniałem się nawet, kiedyś mnie tłukł, więc mogłeś uwierzyć. Nie zasłaniałem się, a tyś mnie bił, nie oddawałem ci, dopiero kiedyś mnie uderzył w twarz... Nie wytrzymałem. I przez ciebie złamałem ślub... i... i moja matka umarła. I teraz za to... — podnosi rękę do uderzenia.

Kmiecik stał nieporuszony z oczyma wbitymi w ziemię. Ale Julek nie uderzył. Opuścił zwolna zaciśniętą pięść, a potem odwrócił się do kolegów.

— Chłopcy, zróbcie sąd: on mnie zmusił do złamania ślubu. Czy ja mam się z nim bić?

Uczniaki spojrzeli po sobie, zmierzyli oczyma Kmiecika i Julka, a potem wzruszyli ramionami:

— Nie. — Odwrócili się i odeszli. Jeden z nich rzucił Kmiecikowi pod nogi buty, które mu dał do potrzymania.

Kmiecik został sam, pochylony nad leżącymi w błocie butami. Podniósł je po chwili, otarł rękawem i ruszył zwolna w swoją drogę.

I od tego dnia poczęła się Kmiecikowa niedola. Do którego z chłopców w miasteczku się zwrócił, nie otrzymywał odpowiedzi. Któremukolwiek proponował zabawę czy walkę, każdy pokazywał mu plecy. I to nie tylko chłopcy ze szkoły, ale także jego koledzy z warsztatów. Chłopak do niedawna zawadiacki, rozhukany, stawał się zwolna ponury. Nawet jego czerwone, pełne policzki, zdawały się jakoś zmniejszać i żółknąć. Chłopak nie znał słowa bojkot, ale jego skutki odczuwał na własnej skórze. Początkowo nic sobie nie robił ze swego osamotnienia, ale po pewnym czasie począł rozumieć co zna-



— Nie płacz, Kmiecik, nie płacz. Znowu będziemy wrogami.

czy wydalenie z ram społeczności. Pojął, że człowiek sam żyć nie może.

Nadeszło lato. Kmiecik włóczył się po robocie nad brzegami Dunajca i patrzył z ponurą zazdrością na kąpiących się chłopców. Gdzie jednak przystanął, przy jakiej grupce się zatrzymał, wszystkie nagusy odwracały się od niego i to bez przezwisk, bez drwin, tylko z pogardliwym skrzywieniem ust. W jednej z grup poznał Julka. Chłopcy skakali z wysokiego brzegu i nurkowali, chcąc zdobyć rekord w najdłuższym przebywaniu pod wodą. Antek Kmiecik patrzył na nich i nagle opuściła go wszelka zaciętość i złość, a natomiast chwycił go dziecięcy płacz. Zaniósł się tak głośno, że wszyscy chłopcy zwrócili ku niemu głowy. A on niebaczny, że może znowu ujrzy przed sobą tylko nagie plecy, a może nawet pięściami, czy kijami go od siebie odgonią, skoczył ku nim i wielkim krzykiem zaczął wołać:

— Bijcie się ze mną. Chłopcy! Bijcie się ze mną! — Stanął między ociekającymi wodą chłopakami, podniósł ręce do góry i błagał:

— Bijcie się!

Tyle było rozpaczy w jego głosie, tyle bólu, że Julek się wzruszył. Spojrzał po swoich kompatriotach i zapytał:

— Mogę się z nim bić, chłopcy? Jemu smutno... Zróbcie sąd.

Uczniaki spojrzeli po sobie, jak wówczas, kiedy odmówili Kmiecikowi prawa walki, zmierzyli oczami Julka i zapłakanego Kmiecika, a potem wzruszyli ramionami.

— Bij się.

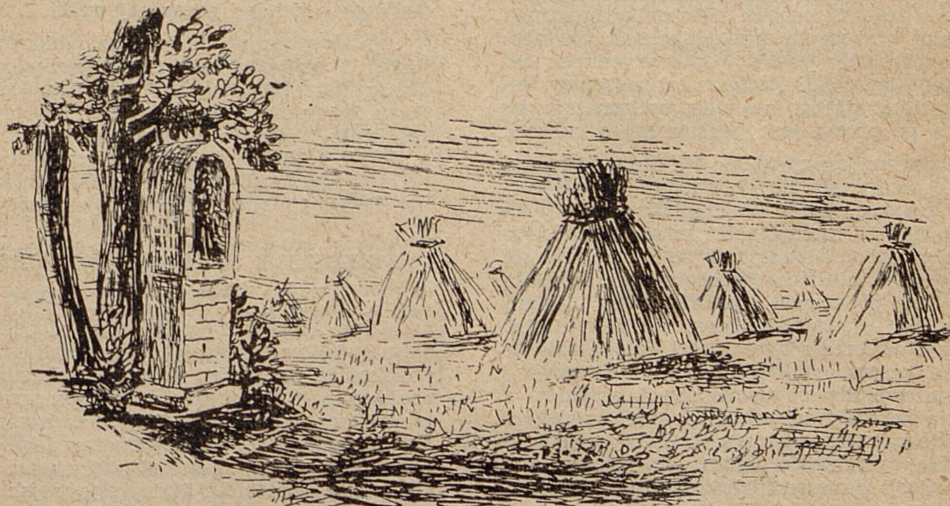
Julek stanął w obronnej postawie i czekał; Kmiecik uczynił to samo, nie przestając szlochać ani na chwilę. Julek posunął się o krok. To samo uczynił Kmiecik, ale zamiast uderzyć przeciwnika, zasłonił oczy dłońmi, usiadł na piasku i płakał.

A wtedy usiadł przy nim Julek i szeptał:

— Nie płacz Kmiecik, nie płacz. Znowu będziemy wrogami.

M. KIERKLO

KAPLICZKA



Wśród zboża wstąg, kwiecistych łąk,
Kapliczka jedna stała;
Wśród polnych dróg, świetlistych smug
Królowa tam mieszkała.

Słowiczy śpiew z pobliskich drzew
Był Jej muzyką ranną,
Pszczół polnych rój, swój pełniąc znój
Bawił się z Świętą Panną.

Krzak dzikich róż i jaśmin, tuż
Spod nóg Jej wyrastały
Kolorów toń, zapachów woń
Pod stopy dla Niej słały.

A w cichą noc, gwiazd wielka moc
Na ziemię nisko spada,
Nad głową Jej, królowej swej
W koronę się układa.

Zaś Ona tam, wśród świetlnych gam,
Swój uśmiech polom słała,
Wśród zboża wstąg, kwiecistych łąk
Kapliczka jedna stała...

KOMUNIZM I JEGO WALKA Z BOGIEM

Na zachodzie Europy, w Ameryce i Australii panuje jeszcze wciąż dezorientacja co do właściwych zamiarów Sowietów i centralnie z Moskwy kierowanych partii komunistycznych. Wskaźnikiem orientacyjnym co do tych zamiarów może być fakt, że we wszystkich krajach ujarzmionych bolszewicy uderzają natychmiast w religię, w Kościół katolicki. Metody są różnorodne w rozmaitych krajach i rozmaite jest nasilenie walki, ale istota zagadnienia jest zawsze ta sama.

Co leży u podłoża walki bolszewizmu z religią? Dlaczego czerwonym władcom Kremla zależy tak na złamaniu wpływów Kościoła katolickiego?

Komunizm jest w istocie zjawiskiem pochodnym cywilizacji Azji, zupełnie odmiennej w swych podstawowych założeniach od cywilizacji Europy. Zjawisko to nie jest dla Zachodu zrozumiałe, ile że od czasów Piotra Wielkiego Rosja przywdziała maskę europejską wraz z nalotem kultury europejskiej, przymusem narzuconej Rosji przez tego monarchę. Bolszewicy strząsnęli ten nalot, zrzucili tę maskę Zachodu powracając stopniowo do prymitywnych przesłanek duszy rosyjskiej, i dziś Zachód stoi zdziwiony wobec zjawiska, którego nie umie wytłumaczyć, bo nie zna po prostu jego podstawowych założeń.

Rosja przyjąwszy religię i kulturę Konstantynopola rozwinęła na dziewiczym terenie elementy gasnącej już w swej siedzibie kultury bizantyńskiej. W szczególności księstwo moskiewskie, odgrodzone od wpływów Zachodu, stało się laboratorium totalizmu państwowego. Książęta moskiewscy podstępem i pochlebstwem uzyskali od chanów tatarskich godność wielkich książąt i funkcje poborców haraczu od innych książąt obszaru dorzecza nadwołżańskiego. Podstępem i gwałtem wcielili oni ziemie swych sąsiadów a wreszcie i chanów tatarskich do swego państwa. U podstaw tworzącego się caratu rosyjskiego leży idea opanowania świata. Ustawiczna ekspansja Rosji we wszystkich kierunkach jest tego dostatecznym dowodem. Wedle wyobrażeń rosyjskich bowiem, trzy były Rzymy, jako ośrodki państwa uniwersalnego: pierwszy — Rzym właściwy, drugi — Konstantynopol (Bizancjum), trzeci — Moskwa, a czwartego już nie będzie. Rosja jest jedynym państwem świętym, jest dawnym rzymskim orbis terrarum, wschód jest zgniły a zachód pogański. Rosja ma misję opanowania czy nawrócenia świata. — Istotą Rosji, jak to określił Zygmunt Krasiński, jest cezaryzm mongolski na podłożu teokratycznym, oczywiście w ujęciu mistyki rosyjskiej.

Na drodze swej ekspansji historycznej napotkała Rosja kraje katolickie o kulturze zachodniej, rządzone w sposób bardziej wolnościowy.

Kościół katolicki nie może pogodzić się z ustrojem bizantyńskim, zaostrzonym jeszcze przez laboratorium państwa totalnego, gdyż jest instytucją kultury zachodniej.

Istotnym celem walki z Kościołem katolickim jest pozbawienie obywateli krajów ujarzmionych pionu moralnego, podstawowych cech myślenia kategoriami zachodniej kultury chrześcijańskiej. Walka ta toczy się na każdym polu: w prasie, szkołach, w teatrach i wszelkich instytucjach kulturalnych.

Przeprowadzając konsekwentnie swój program bolszewizm najzacieklej rzucił się do walki z religią katolicką w Polsce, wiedząc dobrze, że naród polski, jak żaden inny na obszarach władania komunistycznego, ukształtował się właśnie na katolicyzmie. Początkowo ostrożnie, później coraz szybciej agenci moskiewscy poczęli podgryzać religijne fundamenty narodu. Uporządkujmy kolejno etapy tej walki.

Na ziemiach wschodnich zagrabionych przez Rosję 17 września 1939 roku mieszkało 12 milionów ludności, w tym 7 milionów katolików. Na tych ziemiach znajdowały się 3 prowincje kościelne: 2 prowincje obrządku łacińskiego — w Wilnie i Lwowie, 1 prowicja greko-katolicka i 1 archidiecezja obrządku ormiańskiego we Lwowie. Wszystkie razem liczyły 10 diecezji.

PIERWSZA OKUPACJA SOWIECKA (1939 — 1941)

Sowieckie władze okupacyjne dopuściły się wielu gwałtów na miejscowym duchowieństwie i ludności, posuwając się w sporadycznych wypadkach do inspirowania morderstw przy pomocy mętów społecznych. Przeprowadzono liczne aresztowania wśród duchowieństwa. Liga bezbożników sowieckich skierowała na obszar okupacji tysiące agitatorów. Pod presją wojsk sowieckich i policji politycznej zorganizowano komedię „plebiscytu", na mocy którego ziemie obejmujące połowę obszaru przedwojennego Państwa Polskiego — włączono do Związku Sowieckiego. **Ogółem w latach 1940-1941 wywieziono z obszaru Polski wschodniej do Rosji co najmniej 1.000.000 mieszkańców, czyli 7-8 % całej ludności tego obszaru.**

Setki więzionych księży, z których ocalało zaledwie 70, poddawano szczególnie nieludzkiemu traktowaniu; podzielili oni los ponad 400.000 spośród deportowanych, którzy zmarli w okropnych warunkach, bądź nigdy nie zostali odnalezieni w tajgach Sybiru.

DRUGA OKUPACJA SOWIECKA
(od 1945 roku)

LIKWIDACJA KOŚCIOŁA NA ZIEMIACH WSCHODNICH

Po klęsce Niemiec w Rosji cała Polska została zajęta w roku 1945 przez wojska Związku Sowieckiego. Niezwłocznie po zajęciu polskich ziem wschodnich, rozpoczęło się planowe prześladowanie Kościoła na tych ziemiach. Biskupi obrządku łacińskiego zostali wysiedleni ze swoich diecezji do Polski centralnej, a Kościół greko-katolicki poddano likwidacji w latach 1945-6: siedmiu biskupów tego Kościoła zostało aresztowanych, zasądzonych na długie wyroki i wywiezionych w głąb Rosji. Co najmniej czterech z nich już zmarło. Całość Kościoła greko-katolickiego, po przymusowym „nawróceniu", przyłączono do rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. **Kościół greko-katolicki i obrządek wschodni w Polsce liczyły 3.628.529 wiernych, 2.568 księży i 2.376 parafii.** Równocześnie pozostali katolicy obrządku łacińskiego zostali pozbawieni organizacji kościelnej.

WYPOWIEDZENIE KONKORDATU

Dnia 5 lipca 1945 r. mocarstwa zachodnie cofnęły uznanie legalnemu Rządowi Polskiemu, faktyczną władzę w Polsce, okrojonej od wschodu, objął tzw. „Rząd Jedności Narodowej", złożony w większości z agentów Kremla, utworzony w Moskwie w trybie pozakonstytucyjnym przez przedstawicieli obcych mocarstw. Jednym z pierwszych aktów tego „rządu" było zerwanie w dniu 12 września 1945 roku Konkordatu ze Stolicą Apolstolską, zawartego 10 lutego 1925 roku, który określał stosunek Państwa Polskiego do Kościoła i Papieża.

Administracja komunistyczna odrzuciła uznanie praw wewnętrznych Kościoła, a więc i praw wolnego rządzenia się w zakresie własnych przepisów. Odrzuciła też ustawowy obowiązek nauczania religii młodzieży szkolnej do lat 18. W praktyce życia codziennego pogwałciła też wszystkie proklamowane przez Konstytucję wolności obywatelskie, z prawem wolności sumienia na czele.

PIERWSZE PRÓBY PODPORZĄDKOWANIA KOŚCIOŁA PAŃSTWU KOMUNISTYCZNEMU

Reżym komunistyczny dwukrotnie w oświadczeniu „rządowym" i na kongresie komunistycznej partii robotniczej zaznaczył, że przyszłe stanowisko Kościoła w państwie uzależnia on od postawy Hierarchii i duchowieństwa wobec „ludowego państwa" i uznania nowej rzeczywistości politycznej w Polsce. Reżym i partia **odrzucają ingerencję Kościoła w sprawy wychowania i oświaty** i żądają dostosowania się Kościoła do „historycznych zadań" „państwa ludowego": „budowy socjalizmu w Polsce". Czyli żądają podporządkowania Kościoła katolickiego państwu komunistycznemu i zerwania jedności ze Stolicą Apostolską.

PODSTĘPNA DEKLARACJA

Po długich układach, którym towarzyszyły pogróżki reżymu wobec Kościoła i próby zastraszenia biskupów, podpisana została w dniu 19 kwietnia 1950 roku przez obie strony deklaracja. Deklaracja ta miała związać swobodę ruchów Kościoła, dać zaś wolną rękę do bezprawi komunistom, którzy nigdy żadnych zobowiązań nie dotrzymują.

CYNICZNE ŁAMANIE ZOBOWIĄZAŃ

Episkopat najdokładniej dotrzymywał swoich zobowiązań, komuniści swoje natychmiast zaczęli cynicznie łamać. Wbrew podpisanej deklaracji już w dniu 26 stycznia 1951 roku reżym komunistyczny usuwa siłą pięciu administratorów apostolskich na zachodnich ziemiach Polski, polecając „radom diecezjalnym" wybrać w przeciągu trzech dni wikariuszy kapitulnych (chociaż nie było kapituł). Fakt ten był nie tylko naruszeniem układu, ale jaskrawym aktem przemocy, uderzającym w strukturę Kościoła. Reżym wprowadzał tym aktem pięciu własnych nominatów, zatwierdzonych następnie przez właściwą władzę kościelną, która w ten sposób zapobiegła zarysowującemu się rozdarciu.

Podobne akty bezprawia powtórzyły się następnie nawet w diecezjach mających swoich ordynariuszy (diecezja śląska i archidiecezja krakowska).

INNE WYZNANIA

Inkorporacja przez Związek Sowiecki ziem wschodnich Polski spowodowała wielkie straty i dla innych wyznań.

Polski kościół prawosławny stracił ponad 3.000.000 wiernych, zorganizowanych w trzech diecezjach: wileńskiej, poleskiej i grodzieńsko-nowogródzkiej.

Zanikła zupełnie działalność wyznania staroobrzędowego, liczącego około 40.000 wyznawców w trzydziestu gminach wyznaniowych. To samo dotyczy wyznań ewangelicko-reformowanego i augsburskiego, oraz związków religijnych: muzułmańskiego i karaimskiego.

Wyznanie mojżeszowe obejmujące ponad 4.000.000 ludności żydowskiej na całym terenie Polski, zostało zniszczone przez okupanta niemieckiego, który wymordował prawie całkowicie ludność żydowską w Polsce.

STAN W CHWILI OBECNEJ

W obecnej chwili **przebywa w więzieniach 7 biskupów** polskich. Ze szkół usunięto ponad 500 prefektów.

W więzieniach przebywa ponad 1.000 księży. Znikło bez śladu ponad 100 księży. **Na śmierć skazano kilkudziesięciu kapłanów.**

Nie dopuszczono 2 biskupów do objęcia diecezji (w Częstochowie i Włocławku). Pod naciskiem władz komunistycznych wprowadzono do zarządu diecezji wikariuszy kapitulnych i wikariuszy generalnych, rekrutowanych z powolnych reżymowi „księży patriotów".

Procesy pokazowe, a w ich wyniku liczne

ofiary w postaci katowanych i skazanych duchownych i wiernych, oraz bezustanna nagonka prasowa na biskupów, uzupełniają ten tragiczny bilans prześladowań Kościoła w Polsce.

W dodatku do tych wszystkich prześladowań i bezprawia, reżym komunistyczny wydał 10 lutego 1953 roku dekret, będący szczególnie zajadłym atakiem na Kościół. **Dekret ten uzależnia od decyzji komunistycznej „władzy państwowej" wszelkie nominacje kościelne od biskupa do proboszcza.** Bez zgody reżymu i jego niższych instancji administracyjnych nie mogą biskupi swoją własną władzą dokonywać obecnie zmian personalnych. Natomiast na żądanie administracji komunistycznej biskupi są obowiązani wskazane przez nią zmiany wykonać.

Dekret wprowadza ślubowanie duchownych na wierność państwu komunistycznemu. Przepisy te próbują odebrać Kościołowi w Polsce jego niezależność w zakresie jurysdykcji, usiłują pozbawić praw wewnętrznych i poddać administrację kościelną administracji reżymowej. Jest to niezgodny nawet z art. 70 konstytucji reżymowej zamach na wolność i niezawisłość Kościoła.

WYKAZ GWAŁTÓW I ZBRODNI DOKONANYCH W OSTATNICH LATACH PRZEZ KOMUNISTÓW NA KOŚCIELE W POLSCE

— jednostronne wypowiedzenie Konkordatu;
— zakaz odnowienia po wojnie stowarzyszeń katolickich;
— stopniowa i stała likwidacja szkolnictwa katolickiego;
— stałe ograniczanie przez cenzurę i politykę wydawniczą prasy i wydawnictw religijnych, aż do granic obecnego ich zaniku;
— ograniczanie swobody kultu publicznego, a nawet próby ograniczania nabożeństw i praktyk pobożnych;
— likwidacja kościelnej organizacji dobroczynnej „Caritas";
— całkowite upaństwowienie dóbr kościelnych;
— wroga Stolicy Świętej i Episkopatowi kampania prasy;
— ograniczanie praw religii w szkole i stała rozbudowa szkół, z których naukę religii usunięto;
— usuwanie ze szkół setek księży prefektów;
— przymusowe werbowanie młodzieży katolickiej do organizacji młodzieżowych o ideologii wrogiej chrześcijaństwu;
— popieranie wydawnictw, krzywdzących Kościół w jego dziejowych zasługach, w nauce i życiu;
— antyreligijna propaganda prasowa, odczytowa, przez instrukcje i kursy szkoleniowe;
— ograniczanie wolności sumienia członków stowarzyszeń, partii i związków zawodowych;
— propaganda antyreligijna w przedszkolach, szkołach, oraz na wywczasach dziatwy i młodzieży;
— użycie całego aparatu administracji, sądownictwa, władz bezpieczeństwa i urzędów skarbowych do nacisku na sumienie obywateli, nie wyłączając księży i biskupów;
— wprowadzenie w szkole polskiej programowego wychowania materialistycznego, w praktyce — antychrześcijańskiego i antyreligijnego;
— szerokie stosowanie systemu nękania duchowieństwa i Episkopatu przez inwigilację, nieustanne wzywanie do urzędów bezpieczeństwa, administracji publicznej itp.;
— pozbawianie zakonów możności prowadzenia pracy wychowawczej, opiekuńczej i dobroczynnej, odarcie ich z resztek mienia, nękanie ustawicznymi aresztowaniami;
— usuwanie zakonników i zakonnic z likwidowanych klasztorów;
— pozbawianie kartek żywnościowych księży i członków zakonów;
— likwidacja 59 Małych Seminariów Duchownych;
— liczne aresztowania i procesy pokazowe księży;
— rozstrzeliwanie lub wieszanie księży, ofiar procesów pokazowych;
— podporządkowanie administracji kościelnej państwu komunistycznemu.

BILANS PRZEŚLADOWAŃ

Cyfry ogólne:

Żelazna kurtyna odcięła ogółem ... ... 60.000.000 katolików
Ziemie zagarnięte bezpośrednio przez Sowiety ... ... 10.000.000 katolików
W tym wschodnie ziemie Polski ... ... 7.000.000 katolików
Tak zw. kraje „niepodległe" strefy sowieckiej ... ... 50.000.000 katolików
W tym Polska rządzona przez komunistów ... ... 25.000.000 katolików

Cyfry dotyczące duchowieństwa:

Biskupów aresztowanych w całej Polsce — 7 obrządku łacińskiego [1]),
Biskupów aresztowanych w całej Polsce — 7 obrządku greko-katolickiego [2]),
Administratorów Apostolskich usuniętych — 5 [3]),

Administratorów Apostolskich przepadłych bez wieści (obrządku greko-katolickiego) — 2,[4]),
Księży aresztowanych w Polsce centralnej i zachodniej — ponad 1.000,
Prefektów usuniętych ze szkół ... ... ponad 500.

[1]) Arcybiskup Metropolita Baziak i Biskup Rospond (Kraków), Biskup Biernacki (Gniezno), Biskup Adamski, Biskup Bednorz i Biskup Bieniek (Katowice), Biskup Kaczmarek (Kielce).

[2]) Arcybiskup Metropolita Slipyj i Biskup Budka (Lwów), Biskup Chomyszyn i Biskup Latyszewski (Stanisławów), Biskup Kocyłowski i Biskup Łakota (Przemyśl). Zmarli w więzieniu: Biskupi — Chomyszyn, Kocyłowski, Budka, Wizytator Apostolski obrządku wschodniego Biskup Czarnecki — aresztowany i los nieznany.

[3]) Ksiądz Infułat Bensch w Olsztynie, ksiądz Infułat Wronka w Gdańsku, ksiądz Infułat Nowicki w Gorzowie, ksiądz Infułat Milik we Wrocławiu, ksiądz Infułat Kominek w Opolu.

[4]) Administrator Apostolski obrządku greko-katolickiego ksiądz Infułat Malinowski i Wizytator Apostolski obrządku greko-katolickiego dla uchodźców w Niemczech Prałat Werhum.

W chwili rozpoczynania druku powyższego bilansu prześladowań, nadeszła z Kraju wiadomość o aresztowaniu głowy Kościoła katolickiego w Polsce J. Em. Ks. Kardynała Prymasa Wyszyńskiego. Powiększa to cyfrę aresztowanych biskupów do 8.

Kornel Ujejski

CHORAŁ

1.

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej
Do Ciebie, Panie, bije ten głos;
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi, nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń!

2.

Ileż to razy Tyś nas nie smagał!
A my, nie zmyci ze świeżych ran,
Znowu wołamy: „On się przebłagał,
Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan!“
I znów powstajem w ufności szczersi,
A za Twą wolą zgniata nas wróg,
I śmiech nam rzuca, jak głaz na piersi;
„A gdzież ten Ojciec, a gdzież ten Bóg?“

3.

I patrzym w niebo, czy z jego szczytu
Sto słońc nie spadnie wrogom na znak...
Cicho i cicho — pośród błękitu
Jak dawniej buja swobodny ptak.
Owoż w zwątpienia strasznej rozterce,
Nim naszą wiarę ocucim znów,
Bluźnią Ci usta, choć płacze serce:
Sądź nas po sercu, nie według słów!

4.

O! Panie, Panie! ze zgrozą świata
Okropne dzieje przyniósł nam czas:
Syn zabił matkę, brat zabił brata,
Mnóstwo Kainów jest pośród nas
Aleź, o Panie! oni niewinni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani byli tam czynni;
O! rękę karaj, nie ślepy miecz!

5.

Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy,
Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą płyniem jak senni ptacy,
Co lecą spocząć wśród własnych gniazd.
Osłoń nas, osłoń ojcowską dłonią,
Daj nam widzenie przyszłych Twych łask,
Niech kwiat męczeństwa uśpi nas wonią,
Niech nas męczeństwa otoczy blask.

6.

I z archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy potem na wielki bój,
I na drgającym szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój!
Dla błędnych braci otworzym serca,
Winę ich zmyje wolności chrzest;
Wtenczas usłyszy podły bluźnierca
Naszą odpowiedź: „Bóg był i jest"!

ROZMOWA O MIŁOŚCI

Napisała A. SKORYNIANKA

— Zakochałaś się? Bardzo się cieszę, w twoim wieku miałam już dwoje dzieci!

— To straszne!

— Co, dzieci?

— Nie, małżeństwo.

— Nie zawsze, zależy jak jakie, a właściwie — kto z kim. Małżeństwo perliczki z orłem, pawia z kukułką może być niedobrane.

— Dawniej wszystko odbywało się jakoś inaczej, prościej, uczciwiej, bez tak wielkiego ryzyka. Ktoś bliski, sąsiad, znajomy...

— Klaskał za borem pod jaworem itd.

— Przeważnie nie było żadnego „i tak dalej". Na przeszkodzie klaskaniu, kląskaniu, wabieniu stał dom. Niezależnie od tego czy dwór czy chałupa, dom rodzinny stał na straży niewinności, moralności, honoru.

— Dobry obyczaj, opinia środowiska.

— Tata zanim się mamie oświadczył wpisał do albumu:

Miała pojazdy delfinów, gołębi,
i koralowe pałace na głębi,
i księżycowe korony w noc ciemną
i wszystko co chciała mogła zrobić ze mną...

— Słowacki, pamiętam.

— A potem na pierwszy prezent imieninowy po zaręczynach ofiarował mamie wiersze o niej i dla niej pisane.

— A myśmy w dzieciństwie bardzo lubili oglądać różne albumy, sztambuchy; zaśmiewaliśmy się do łez z czułych apostrof. Serca przeszyte strzałą, klucz rzucony w morze, ręce splecione na wieki.

— Chciałabym, żeby on do mnie pisywał wiersze.

— Żeby ktoś wyciągnął mocną, uczciwą rękę...

— Wydaje mi się, że w tej epoce, w której żyjemy, najbardziej ucierpiała miłość.

— Miłość — róża mistyczna złożona z mocno stulonych płatków, po którą sięga byle łapa, obrywa, miętosi i wyrzuca płatki. Wystarczy pójść do kina, na dancing, na plażę. Czułe pary, które się tak często spotyka, snujące się w objęciach po trotuarach są wyrazem zupełnego rozluźnienia obyczajów.

— Wynaturzenie popędu płciowego spotykamy w historii nie po raz pierwszy, droga do odrodzenia moralnego jest zawsze otwarta. Natomiast po raz pierwszy spotykamy się z jawną, zorganizowaną, powiedziałbym upaństwowioną, propagandą tego, co nazywamy nadużyciem małżeństwa.

— Mówisz o małżeństwach, które nie chcą mieć dzieci?

— Tak, o przygodnym, lub stałym w małżeństwie czy konkubinacie zaspakajaniu popędu płciowego wbrew naturze i prawom Bożym.

— Popęd płciowy u zwierząt dla zachowania gatunku — to nawet pięknie brzmi, ale u ludzi, jeżeli nie mają na celu potomstwa — wręcz okropnie. Zamiast kniei, haszczy, dzikich ostępów, zamiast pieśni głuszca i śpiewu słowika — wielki międzynarodowy bazar, a na nim uliczni sprzedawcy i przechodnie.

— Ludzie bez ognisk domowych. Mieszkańcy hoteli, rezydencji, kamienic, w których wygasło życie rodzinne. Z nudów, albo „za chlebem" przenoszą się z miejsca na miejsce, bo może gdzieś będzie lepiej. Rodzina, a tym bardziej większa rodzina jest niepożądanym ciężarem dla ludzi pozbawionych instynktów ojcostwa i macierzyństwa.

— A nie tylko to. Dziś jest moda na nogi. Dawniej były modne ręce, głowa, serce. Jeżeli wartość kobiety mierzy się długością nóg, czyż można w ogóle mówić o miłości w tym znaczeniu, jak my ją rozumiemy?

— Wracamy do form miłości stadnej.

— Historia nie zna tej formy miłości. Zawsze pierwszą komórką każdego społeczeństwa było małżeństwo — dwoje ludzi. Weź Dzieje Biblijne do ręki: Adam i Ewa, Abraham i Sara. Narody, które weszły do historii i historię tworzyły, opierały się na rodach patriarchalnych, na religijnym kulcie rodowym. Nawet w wielożeństwie, które było przejawem zamożności i idącej z nim w parze rozwiązłości, istniał zawsze podział na pierwszą żonę i nałożnice. U ludów dzikich dziś jeszcze obserwujemy bardzo nieraz skomplikowane formy wielomęstwa lub wielożeństwa, ale zawsze w oparciu o zasadę rodziny. U podstawy związku mężczyzny i kobiety leży dany od Boga popęd płciowy, głos wewnętrzny, że ci i ci, a nie inni, mają ze sobą przeżyć życie, spłodzić dzieci i razem je wychować. I w tym jest wspaniała, ale jakże dramatyczna różnica pomiędzy człowiekiem i stworzeniem niższego gatunku. Zwierzęta idą ślepo na zew krwi i nie wyciągają zeń żadnych zobowiązań. Miłość ich jest dosłownie sezonowa.

— Łoś opuści legowisko, ptak wyleci z gniazda, a człowiek pamięta. Chciałby nawet wyrzucić z serca, z pamięci, ale przeszłość idzie za nim...

— U nas w Polsce pęd płciowy nazywano Bożą wolą. I gdy dwoje ludzi poczuło do siebie Bożą wolę, gdy czekał na nich Sakrament Małżeństwa — skarbnica łask i Błogosławieństwo Boże, czyli potomstwo, człowiek, istota wolna, rozporządzająca własnym losem, krzyżująca zamysły Boże, psuła i psuje nieraz plany Stwórcy, który dobro wszela-

kiego stworzenia ma na myśli. I w tym jest dramat człowieka. Możność wyboru. Którą drogę wybrać na rozstaju?

— „Wolności mojej dowodem błąd".

— Jeszcze dziś pamiętam jak wzruszałam się losem Joasi w „Ludziach bezdomnych", jak oburzałam się na Płoszowskiego w „Bez dogmatu".

— A mnie się wydaje, że w tej całej biologicznej części miłości jest jeszcze jedna wyższość człowieka nad zwierzęciem. Nie tylko prawo wyboru i poczucie odpowiedzialności. Wyższość wynikająca z tego, że człowiek jest jednością substancjalną duszy i ciała...

— Każdy katolik o tym wie.

— Tak, ale chodzi o to, aby w człowieku, w zakochanym, przemówił wpierw głos duszy, a nie ciała. Bo czymże, jeżeli nie sprawą duszy wytłumaczyć cały przebieg rozwijającej się miłości? Pierwsze spojrzenie, wiersze, rozmowy, zdumienie nad odkryciem innej, a jakże bliskiej osobowości. Odnajdywanie wspólnych upodobań, podobieństwo reakcji, niewyczerpane źródło zainteresowań i tematów, niezastąpiona przyjemność spacerów, wycieczek, poczucie dziwnego spokoju i bezpieczeństwa, milczenie wśród rozmów, zapadające kojącą ciszą. O, naprawdę, świat oglądany we dwoje nabiera wartości nie dwukrotnie większej, ale stokrotnie powiększa jego Boskie piękno!

— Pius XI powiedział „... przez małżeństwo łączą się dusze, jakby zrastają ze sobą prędzej i ściślej niż ciała, nie przemijającym afektem zmysłów i uczuć, lecz rozważnym i silnym nakazem woli. A z tego zjednoczenia dusz powstaje ze zrządzenia Bożego święty i niewzruszony węzeł".*)

— Tak, ale, żeby głos duszy przemówił pierwszy, potrzebną jest czystość myśli, czystość życia przedślubnego jego i jej. Przy zakochaniu się duchowym małżonkowie łatwiej i prędzej wchodzą w stan wzajemnej przynależności. Nie zależności, nie podporządkowania się, nie rezygnacji z własnego, indywidualnego rozwoju, ale — przynależności.

— „Nie są już dwoje, tylko jedno ciało" I wtedy te ręce splecione i te serca złączone na wieki są pełne istotnej, Bożej treści. Jedność i nierozerwalność — dwie cechy małżeństwa katolickiego.

— Piękne cechy, i dlatego w naszych rozmowach nie mówmy: popęd płciowy, ale mówmy — wola Boża, nie gruczoły wydzielania wewnętrznego, ale serce, nie zagadnienia seksualne, ale kultura uczuć, nie walka płci, ale jedność!

— Słowem, „co jedno pomyślało to drugie oglądało". Wiemy już jakie cechy małżeństwa są wymienione w Kodeksie Prawa Kanonicznego, a cel?

———

*) Encyklika o małżeństwie chrześcijańskim.

— Kodeks mówi: na pierwszym miejscu celem małżeństwa jest zrodzenie i wychowanie potomstwa, na drugim wzajemna pomoc i zaspokajanie pożądliwości.

— Dopełnienie się psychiki mężczyzny i kobiety, wynikająca zeń tęsknota za jednością duchową, bronią przed grzechem, wykluczają zdradę, pomagają w procesie samowychowawczym doskonalenia się i jeżeli mówimy o pomocy w małżeństwie, to nie tylko o pomocy fizycznej, o tym, że mąż pierze pieluszki i od pierwszych chwil życia dziecka bierze udział w jego wychowaniu, ale również o pomocy duchowej koniecznej w tej wspólnej drodze małżonków do Boga.

— „...Aby małżonkowie pomagali sobie wzajemnie w coraz pełniejszym ukształtowaniu i doskonaleniu w sobie człowieka wewnętrznego, by przez wzajemną wspólność życiową postępowali z dnia na dzień coraz bardziej w cnotach a zwłaszcza rośli w prawdziwej miłości Boga i bliźniego".

— No proszę, widać, że byłaś na kursie Akcji Katolickiej „Przygotowania się do małżeństwa", Encyklikę o małżeństwie chrześcijańskim umiesz, jak widzę, na pamięć.

— A dzieci? Właściwie mówimy tylko o małżonkach, o ich miłości, wierności, czystości, przynależności, a dzieci?

— A czy ty sobie wyobrażasz że rodzice, których związek nie ma cech jedności i nierozerwalności, których pożycie nie odpowiada warunkom Sakramentu, potrafią dobrze wychować dzieci, zaprowadzić je do Boga? Czy potrafią stworzyć warunki, o których czytamy w Encyklice: „...ich to ofiarną miłością i zapobiegliwością dom rodzinny wyda się dzieciom jakby miłym odbiciem raju" — lubisz poezje i cytaty, ale czyż w tym powiedzeniu tak prawdziwym i głębokim nie mieści się całe piękno domu rodzinnego? Komu rodzice stworzyli dzieciństwo, będące odbiciem raju, ten zechce je potem przekazać swym dzieciom, zakładając własną rodzinę.

— On i ona, dążąc do założenia gniazda, powinni oboje dokładnie zdawać sobie sprawę z tego, że nie zawierają umowy na sezon, nie wybierają się w podróż, pełną miłych niespodzianek, ale mają przed sobą życie, całe życie. A w tej przyszłości szczęśliwej, po we dwoje, będą i smutki i choroby, walka i zmęczenie, dziurawe skarpetki i przepalony garnek, oraz wielkie misterium powoływania do życia nowych istnień, współtworzenie z Bogiem.

— W tym wszystkim jest potrzebne zachowanie hierarchii uczuć i obowiązków. Pierwsze: Bóg, drugie: Kościół - Ciało Mistyczne Chrystusa Pana, w którym każdy odnajdzie swój właściwy stosunek do bliźniego, trzecie...

— Państwo?

— O nie, ani państwo, ani społeczeństwo, gdyż one są dla rodzin, a nie rodziny dla nieraz plany Stwórcy, który dobro wszelą-

nich. Bo cóż zrobisz, gdy państwo, oparte na zasadach utylitaryzmu, zażąda z racji jakiejś fałszywej doktryny ekonomicznej regulacji urodzin?

Na trzecim miejscu jest dobro wieczne i dobro doczesne twego narodu, Polski, wiernej córki Stolicy Apostolskiej. Podziwiaj wysiłki Francji, gramolącej się z manowców na właściwą drogę, ubolewaj nad Anglią, która odchodząc od Kościoła, zatraciła ideę Sakramentu Małżeństwa i dziś, przez cały swój ustrój faworyzując ludzi samotnych, popiera tym samym wolne związki między mężczyznami i kobietami.

— To też młodzi poważnie dziś myślą o przyszłości. Przez cały świat idzie dech odrodzenia moralnego. Młodzi walczą o swe szczęście, o szczęście swych dzieci. Zrzeszeni w katolickich stowarzyszeniach, związkach, organizacjach narodowych i międzynarodowych domagają się: pomyślnego rozwiązania sytuacji mieszkaniowej dla rodzin, odpowiedniego wynagrodzenia za pracę dla ojców, aby matki i nieletnie dzieci nie potrzebowały pracować zarobkowo poza domem, domagają się katolickich zakładów wychowawczych i szkół, katolickich książek, gazet, podręczników, godziwych rozrywek, przedstawień filmów...

Dążą do przetworzenia spoganiałego świata na ład Chrystusowy.

— I my, jako członkinie SKMP (Stowarzyszenie Kat. Młodz. Polskiej), a wkrótce, gdy będziemy zamężne, Akcji Katolickiej, bierzemy w tej pracy żywy udział. Bierzemy tym gorliwiej im bystrzej patrzymy w przyszłość. Krzewimy własnym przykładem opinię o dobrych, szczęśliwych małżeństwach, mówimy i piszemy o potrzebie licznych, zwartych rodzin. Gdy w Polsce rozsadza się rodzinę od wewnątrz, gdy dom się kruszy w palcach reżymu, czyż nie jest naszym pierwszym obowiązkiem zakładanie nowych gniazd na chwałę Bogu i potrzebę Ojczyzny?

A. Skorynianka

ANEGDOTY

Mały i wątły aktor poślubił Brunhildę z „Covent Garden".

— Dziwna para — zauważył ktoś z gości weselnych.

— Przepraszam — odezwał się Bernard Shaw — ona jako mężczyzna wygląda lepiej, niż jako kobieta.

——oooOooo——

Pewien autor był niezadowolony z gry jednego z aktorów i gorzko wyrzucał mu to podczas próby:

— Jakim sposobem pan, który w życiu jest tak wesoły i zabawny, w mojej sztuce tak smutno wygląda?

— Ba, — odpowiada aktor — w życiu tekst jest także mój.

——oooOooo——

Stara aktorka niemiecka Adela Sanrock pytała się młodszej koleżanki, jak charakteryzować się, by wyglądać staro.

— Tylko usunąć puder — odpowiedziała zapytana.

——oooOooo——

Pewien autor zarzucał staremu krytykowi, że nie miał prawa pisać źle o jego sztuce, gdyż przespał całe przedstawienie i nie zna tej sztuki.

— Drogi panie — odpowiedział krytyk — spanie też jest rodzajem krytyki.

——oooOooo——

Zola naprożno kołatał do bram Akademii. Po jednej z porażek powiedział do swego znajomego:

— A jednak stworzyłem dzieło!

— Tak, — odpowiedział znajomy Zoli — ale aby dostać się do Akademii, należy wznieść pałac, a pan zbudował tylko dom dochodowy.

——oooOooo——

Ktoś skarżył się, że do Akademii wybiera się samych starych pisarzy. Na to Marcel Prevost:

— Akademia dla utrzymania swego autorytetu musi mieć ciągle wakanse. Można więc powiedzieć, że Akademię utrzymują przy życiu — zmarli akademicy.

——oooOooo——

Pewien znakomity aktor ganił syna za złe stopnie:

— Znowu masz złą cenzurę?

— To widocznie dziedziczne — odpowiada syn. — Ostatnie krytyki o tobie też są bardzo złe.

——oooOooo——

Kiedy z powodu książki Lefranca dyskutowano nad sprawą autorstwa utworów Szekspira, ktoś powiedział:

— Szekspir nie był Szekspirem, to jest rzecz dowiedziona. Prawdziwym Szekspirem był kto inny, kto także nazywał się Szekspir.

——oooOooo——

Pewien jegomość powiedział Wolterowi:

— Ostatnie dzieło pana zasługuje na to, aby być spalone na stosie.

— Tym lepiej — odrzekł pisarz. — Moje dzieła są jak kasztany, im się je więcej piecze, tym więcej ich się sprzedaje.

ZABAWA WE FRENOLOGIĘ

Napisał A. W.

OBSERWUJĄC dokładnie kształt czaszki jakiegoś człowieka oraz rysy jego twarzy, możemy wyrobić sobie zdanie często bardzo trafne o jego charakterze i usposobieniu.

Spróbujmy zabawić się we frenologa i fizjognomistę, aby się przekonać, czy nas obserwacje nie zawiodły.

KSZTAŁT CZASZKI

Zaczniemy od kształtu czaszki. Uważać musimy, aby nas gęstość czupryny nie zwiodła. Jeżeli więc czaszka pochyla się ku tyłowi i tworzy spadzistość, a nie jest okrągła jak kula wskazuje na brak koncentracji. Jeżeli przy tym mózg i móżdżek są silnie rozwinięte, dowodzi to wielkiej uczuciowości i wrażliwości. Przy takiej budowie czaszki silny kark daje pewność sprawności fizycznej.

Głowa o bardzo szerokiej czaszce, to dowód utalentowania, genialności. Czaszka zaś okrągła jak kula mówi o dobroduszności, łagodności, a często i jowialności.

Głowa o czaszce kwadratowej znamionuje pedanterię, zamiłowanie porządku, drobiazgowość. Czaszka wydłużona, ku górze zwężona, doskonałą pamięć przy braku silnej woli i chwiejność.

CO MÓWI LINIA CZOŁA

Przy obserwacji profilu bardzo ważną jest linia czoła. Jeżeli czoło jest wypukłe, sklepione wyraźnie nad oczami, jest oznaką uczuciowości (przede wszystkim u kobiet), skłonności do afektacji przy nastawieniu romantycznym. Prosta i szlachetna linia czoła zdradza jasny i zrównoważony sposób myślenia.

Ludzie o silnie zarysowanych brwiach, które przecinają czoło, to świetni, niezwykle bystrzy obserwatorzy. Jeżeli przechyla się łagodnie ku tyłowi, znamionuje impulsywność, szybkość decyzji i przedsiębiorczość. Ludzie o takim właśnie czole potrafią wyzyskać dla siebie jak najlepsze koniunktury i szybko przyzwyczajają się do nowych warunków i zmian.



Łatwe do prowadzenia dziecko, harmonijna linia czoła wskazuje na prostotę i łagodność. Dziecko o takiej budowie pozwala sobą kierować i wpływać na siebie. Nadmierna koncentracja i spokój graniczący z powolnością. Wiele łagodności i delikatności.



Głowa chłopca trudnego do wychowania. Charakter samolubny. Czaszka bardzo wypukła wykazuje upór i złośliwość. Typ taki należy w młodości przełamać, aby nie przysparzał trosk. Trzeba wiele stanowczości w wychowaniu.



Typ wybitnie przestępczy. Wąska, do tyłu cofnięta czaszka, niskie czoło, szeroki nos i silna broda wykazują nieopanowaną namiętność i silnie rozwinięte instynkty.



Głowa i twarz człowieka wyjątkowo niepraktycznego. Linie graniczne głowy i twarzy są zbyt bliskie siebie i nieznacznie tylko zarysowane. Ludzie o takiej czaszce uciekają od rzeczywistości, lubują się w marzeniach, boją się przeciwności, ale są dobrzy i łagodni. Łatwo ulegają wpływom.



Silna czaszka, twarz wysunięta nadmiernie i ostro zarysowana broda wskazują na człowieka silnego o wybitnie despotycznym charakterze. Wyjątkowa energia, upór, przedsiębiorczość. Słowem człowiek czynu.



Typowa głowa człowieka słabej woli, mało skoncentrowanego. Uczuciowość i intelekt równoważą się. Łagodność i powolność — oto główne cechy.



Człowiek o takiej budowie bywa często (o ironio!) zdobywcą losu. Silny, krótki kark wskazuje na ogromną siłę fizyczną ale i na brutalność. Ruchliwość, praktyczność, przedsiębiorczość to cechy zasadnicze tego typu.



Uduchowniona twarz kobieca z szlachetnie wygiętą szyją. Życie duchowe silnie rozwinięte. Marzycielskość, łagodność i dobroć uzupełniają się.



Typ kobiety energicznej, brutalnej, popędliwej, materialistycznej i upartej. Silna zmysłowość. Typ ten potrafi tyranizować innych i nie poddaje się nigdy, chcąc zawsze panować nad otoczeniem.



Kobieta zimna, wyzbyta uczuciowości, skąpa, złośliwa i niemiła.



Głowa człowieka harmonijnego, praktycznego, inteligentnego. Wie, czego chce i zdobywa łatwo. Lubi wygodnie żyć i otaczać się zbytkiem przy wielkiej oszczędności.



Głowa artysty. Harmonijne rysy znamionują czystość charakteru, wybitne zdolności i niepraktyczność życiową. Nieco neurastenii i uporu.

Ludzie o bardzo silnie rozwiniętym czole odznaczają się brakiem poczucia rzeczywistości, nie potrafią się nagiąć do trudności i przeciwności losu. Sposób ich myślenia jest bardziej abstrakcyjny aniżeli konkretny. Trudno przebywają rozczarowania, często są zgorzkniali i melancholijni.

WYMOWA OCZU

Najwymowniejsze z całej twarzy to oczy. Nie potrzeba być specjalnie bystrym obserwatorem, aby z wyrazu oczu wyczytać usposobienie, a nawet charakter człowieka. Istnieje jednak kilka cech charakterystycznych nie tyle w wyrazie, ile w rozmieszczeniu oczu, które warto zapamiętać.

Oczy zrośnięte w kacikach znamionują ostrożność. wstrzemięźliwość i bojaźliwość. Oczy, które przy uśmiechu wznoszą się silnie ku górze, charakteryzują zawsze człowieka złośliwego. Oczy wielkie i czyste znamionują człowieka szczerego i ofiarnego. Oczy rozstawione natomiast mówią o usposobieniu materialistycznym człowieka. oczy bardzo zbliżone do siebie o fanatyźmie.

ZNACZENIE NOSA WE FRENOLOGII

Nawet kształt nosa daje możliwość ciekawych obserwacji. Nos mały w pełnej, pucołowatej twarzy wskazuje na osobę lubiącą wygody. skłonność do objadania się. Nosek mały, nieco zadarty ciekawość, filuterność i wesołość. Wielki zaokrąglony nos wskazuje chwiejność, brak wewnętrznej równowagi. Długi i cienki nos znamionuje złośliwość, skąpstwo, chytrość, i wścibstwo. Nosy proste, foremne mają osoby zrównoważone, cierpliwe, choć nieraz wybuchowe. Im bardziej zresztą nos jest rozwinięty, tym dobitniej wykazuje indywidualność danego osobnika.

USTA

Jakżeż rozmaite są kształty warg ludzkich. Można śmiało powiedzieć, że nie napotka się dwojga ludzi o takim samym wykroju warg. Tak samo niemal wymowne jak oczy są usta. Przypatrzmy się im dokładnie. Kobiety o małych, wąskich ustach są złośliwe i skłonne do kłótni. Usta drobne, lecz pełne mają osoby dobre, wesołe o łagodnym usposobieniu. Usta grube, mięsiste wykazują brak równowagi i opanowania. Usta ostro zarysowane z kącikami jakby wyżłobionymi, to uparciuchy. Kąciki ust opuszczone mają histerycy.

Usta wypukłe i kształtne zdradzają temperament zmysłowy. Wargi obwisłe ludzi nieporządnych i żarłoków.

KSZTAŁT BRODY — MIARĄ SIŁY

Twarz bez silnie zarysowanej brody nie posiada wyraźnego charakteru. Broda silna, kwadratowa, wysunięta oznacza upór, silną wolę i przedsiębiorczy charakter. Broda łagodna, nikła — chwiejność, dobroć i łagodność. Kobiety o silnie wystającej brodzie to egoistki, samowolne i despotyczne.



Typowa głowa uczonego o szerokim, mądrym czole. Myśliciel, teoretyk, trochę kłótliwy i zacietrzewiony.



Typ zdrowego materialisty. Pieniądze i użycie, oto dwa postulaty życiowe tego typu człowieka. Rozrzutny na swoje potrzeby, potrafi być nielitościwy dla innych, skąpy. Fanatyk rzeczywistości.

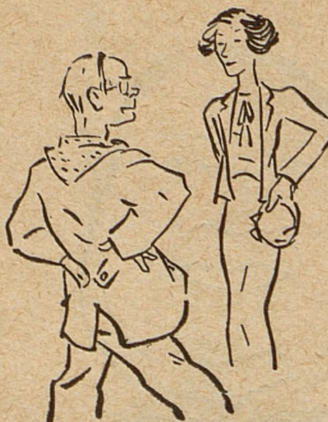


Kwadratowa głowa pedantycznego urzędnika bardzo drobiazgowego, punktualnego. Jest bardzo pracowity, sumienny i można mu we wszystkim zaufać.

MALARZ POSZUKUJE MODELKI...



Za gruba



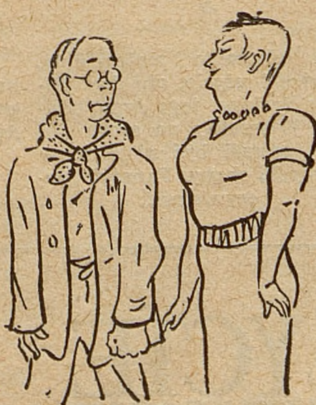
Za cienka



Za mała



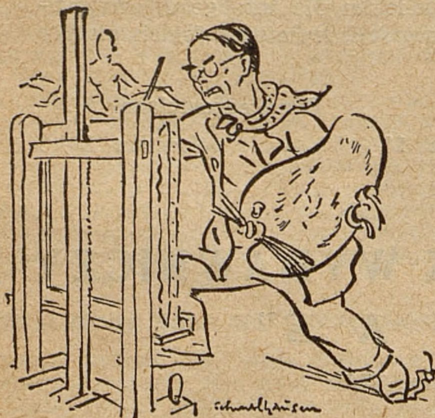
Za wielka



Za szeroka



Ach, to jest właściwa



Teraz powstanie arcydzieło



Oto ono: „Płowowłosa Venus"



M Ł Y N

Jedne ziarnka wracają do ziemi,
        ażeby stać się łąką,
A drugie ty przyjmujesz —
        i białą wyrzucasz mąką.

Jedne padają do gleby
A z drugich białe są chleby —
Trudno jest współczuć z nimi,
        a łatwiej jest się zachwycić,
Że jednym dane jest szumieć,
        a drugim dane jest... sycić.



Bądź piękna młoda i głupia

PAN Bachórski był raczej szczęśliwym mężem, jego żona Hala była wzorem matki, żony i kury. Ich miłe dzieci: Pawełek i Pafnusia chowały się zdrowo, a drugi raz znowu choro, jak to dzieci. Hala była kobietą bezsprzecznie ładną, trochę za tłustą, trochę nie dbającą o siebie, ale miłą. Mąż lubił ją bardzo i przyzwyczaił się do niej jako do miłej wygodnej kanapy, co to zawsze jest w domu i na swoim miejscu.

Któregoś dnia zjechała do państwa Bachórskich z Paryża kuzynka Hali, Murcia. Murcia był to stworek mały, drobny, szykowny, dbający o siebie jak o cenny przedmiot skórzany. Już samo jej przygotowanie kąpieli wprowadzało Halę w zdumienie i podziw. Wyglądało to jak gdyby miała w owej wodzie ugotować obiad, ze skupioną miną wsypywała do wanny sól kuchenną, sodę i zioła, wycisnęła kilka cytryn, po czym nasmarowawszy całe ciało oliwą i octem weszła do owej zupy, nałożywszy poprzednio na twarz „mento connierę" z czerwonej gumy.

Po kąpieli — rzekła — należy bezwarunkowo położyć się przynajmniej na pół godziny, o niczym nie myśleć, na oczy położyć watę z wodą borową, oddychać głęboko, potem wstać i wykonać kilka gimnastycznych ćwiczeń.

— To jest twarz? To jest figura? — rzekła, patrząc na Halę.

— Ty to nazywasz rękami? — A to mają być nogi? — Musisz się zabrać do siebie, inaczej zestarzejesz się w przeciągu kilku lat, obrócisz się w pierzynę — zobaczysz.

— Mój Boże — westchnęła Hala — jakże to pogodzić z wysyłaniem dzieci do szkoły, z przygotowaniem rano śniadania dla Janka, z dopilnowaniem domu, to dobre dla ciebie, ale nie dla mnie, cały dom obróciłby się do góry nogami.

— Nie myśl o domu tylko sama obracaj się do góry nogami, zobaczysz jak schudniesz — rzekła Murcia wyskakując z łóżka i robiąc „świecę".

— Opowiem ci bardzo zabawną przygodę, która mnie niedawno spotkała — rzekła Hala.

— Nie radzę ci — odparła Paryżanka. — Od gadania psuje się twarz... Amerykanki dbające o swój wygląd wymawiają tylko dziesięć słów dziennie, mają słowa wyliczone jak papierosy...

— Ha, ha, ha — to bardzo zabawne — roześmiała się Halina.

— Cóż to za głupie przyzwyczajenie z tym waszym śmianiem się, czy nie wiesz, że od śmiania robią się zmarszczki pod oczami? Już z dwojga złego lepiej płakać, och nie za nadto, ale tak troszkę, sól zawarta w łzach przeczyszcza oczy i nadaje im blasku, musisz pamiętać o tym. Po płaczu jednak należy nałożyć na twarz maseczkę ściągającą, najlepiej z mąki i miodu.

Przy obiedzie Murcia z ironią w wyczesanych oczach spoglądała, jak rodzina państwa Bachórskich zmiatała z talerzy zupę, mięso i leguminę.

— Jedz, jedz jak najwięcej — mówiła do Hali — ale zobaczysz, jak niedługo lata ciebie zjedzą. Ja — tu zwróciła się do służącej — poproszę o kawałek surowej cielęciny, trochę śmietanki, mąki pszennej i miodu...

— Popsujesz sobie żołądek — zauważyła Halina.

— To nie jest wcale na żołądek, tylko na twarz — rzekła z powagą Murcia, zabierając to wszystko do swego pokoju.

— Wariatka! — rzekł po jej wyjściu pan Bachórski.

— Wcale nie, — odparła smętnie Halina — mądra kobieta, jesteśmy w tym samym wieku a ona wygląda na moją córkę.

— Rozwiódłbym się z tobą, gdybyś miała taką córkę — rzekł z „męską" logiką pan Jan.

— Bo ty, ty, tylko zawsze myślałeś o tym, żeby ze mnie zrobić matkę i kurę — domesticę, jęknęła i zalała się łzami; pamiętając co przedtem mówiła jej kuzynka o krótkim płaczu, wstała od stołu i poszła do pokoju Murci.

Murcia wyglądała jak reklama pneumatyków Michelin, na nogach miała bandaże gumowe, także maskę na twarzy, całą figurę jej obciskał odchudzający pas z czerwonego kauczuku, chodziła po pokoju, powtarzając jakąś magiczną formułkę, brzmiącą następująco: „poor papa payers Pitters Potatoes".

— Co ty robisz? — zawołała zdumiona Hala.

— Nie przeszkadzaj mi — odparła, — to słowa, które co dzień powtarzają kilkakroć nie wszystkie Amerykanki, żeby sobie wyrobić ładny kształt ust. Jeśli ci trudno to zapamiętać, to możesz sobie wymyśleć równoznaczne słowa polskie, na P — na przykład: „Papa, papie, powie papo".

— Ależ to nic nie znaczy? — roześmiała się Halina.

— Nie chodzi o znaczenie tylko o wyrobienie sobie ładnych ust. — Chcesz mieć usta jak otwór do skarbonki, to nie powtarzaj tej formułki, tylko mów sobie mądre rzeczy, do sensu. Jak wolisz, ja uważam, że usta nie są ani do jedzenia stworzone ani do gadania...

— Tylko do całowania... — podsunęła jej Halina.

— Do całowania — nigdy na to, żeby zetrzeć z nich cały róż. — Usta są do patrzenia, tak jak i cała kobieta. Wyobraź sobie, że jesteś właścicielką jakiegoś bezcennego przedmiotu, o który musisz dbać.

— Ale właściwie dla kogo...

— Dla siebie — więcej nie powiem już ani słowa, bo sobie popsuję całodzienną robotę, a wieczorem mam bardzo ważny dancing... na którym muszę dobrze wyglądać.

Po wyjeździe Murci Hela kupiła sobie całą plikę polskich kobiecych pism. Artykuły w nich zawarte sprzeczne były ze sobą i odznaczały się przede wszystkim brakiem logiki. „Nie należy nigdy na czczo pracować — pisała jedna z bab — jednak gdy okoliczności zmuszą nas do tego, należy przedtem cośkolwiek zjeść". — „O ile możności należy rano wstrzymać się od pierwszego posiłku, — pisała w tym samym piśmie druga spółecznica — co najmniej szklankę herbaty, jest to jedyny sposób chudnięcia w szybkim tempie..." „Dla męża nie należy być nigdy zaniedbaną i źle wyglądać... mąż, wobec którego żona zachowuje pewną kokieterię, dłużej się przy niej utrzyma... i dłużej ją będzie kochał"... i obok tego zaraz drugi artykuł: „Przed udaniem się na spoczynek należy twarz wyczyścić z całodziennego brudu i różu, nigdy wodą i mydłem, lecz dobrym kremem. Pani która przeszła trzydziestkę, nie powinna inaczej iść spać, jak z grubą warstwą kremu pod oczami... włosy, żeby się ondulacja trzymała, należy ująć w siatkę... Pani, która chce świeżo nazajutrz wyglądać, powinna nałożyć na całą twarz ziołową maseczkę, którą przytrzymuje się bandażami z płótna...ręce na noc powinny być bezwarunkowo zakryte rękawiczkami, nasyconymi dobrym tłuszczem"... —„Pani, która nie chce zrazić do siebie swojego męża i pana, nie powinna kazać na siebie czekać... — pisała jakaś weredyczka. — Przed pójściem na bal, „lub zabawę" należy ubrać się prędko, żeby męża do towarzyszenia nam nie zrażać długim czekaniem"... i obok drugi artykuł pod tytułem... „Kosmetyka przed balem". — „Przed pójściem na dancing lub „zabawę" należy bezwarunkowo wziąć ciepłą kąpiel, po niej wykonać kilka ćwiczeń oddechowych i położyć się w ciemnym pokoju przynajmniej na godzinę..."

Wszyscy znajomi nie mogli się dosyć nadziwić i naplotkować, że tak dobrane i kochające się małżeństwo, jak pp. Bachórscy rozchodzą się nagle i bez wyraźnego powodu tym bardziej, że w ostatnich czasach pani Halina wypiękniała i schudła wprost nie do poznania. Złośliwi chcieli przypiąć jej koniecznie, że zdradza męża, ale ta plotka upadła prędko. Chodziła wprawdzie na zabawy, ale wracała do domu o godzinie pierwszej, mówiąc, że późne kładzenie się spać źle działa na „pory" twarzy. Miała teraz nowych znajomych, składających się przeważnie z młodych a głupich dżenteldudków, dawni jej przyjaciele opuścili ją zupełnie.

— Wyładniała — mówili o niej — ale zdurniała i znudniała tak strasznie, że w ogóle nie ma z nią żadnej rozmowy, ciągle poprawia sobie nos, włosy, usta, ale o tym, żeby poprawiała sobie od czau do czasu głowę w środku, nie ma mowy.

— I tak dziwnie zrobiła się ponura — dodała inna przyjaciółka — ta kobieta nigdy się już nie śmieje, nawet z moich dowcipów. Coś okropnego — po prostu manekin.

Pan Bachórski zaś chodził po mieście jak z łóżka zdjęty, blady, nieogolony, chory, i pomięty.

— Musieliśmy się rozejść — rzekł do swojego najlepszego przyjaciela. — Hala zupełnie zwariowała na punkcie swojego wyglądu, zaniedbywała dzieci, dom, a przede wszystkim mnie. Na obiad dawała mi tylko krwawe befsztyki z marchwi, zupy nigdy, na leguminę owies z miodem. Wszystkie poziomki, które ja tak lubię, zabierała sobie na twarz, moją śmietankę do kawy rano także. No, a już najgorsze ze wszystkiego to było to, że na noc kładła sobie na twarz taką grubą warstwę kremu, że obrzydziła mi się raz na zawsze.

Nie żeniłem się, panie, z ciastkiem z kremem i z poziomkami, ale z kobietą, i chcę mieć kobietę z ciała i duszy, a nie „takie coś".

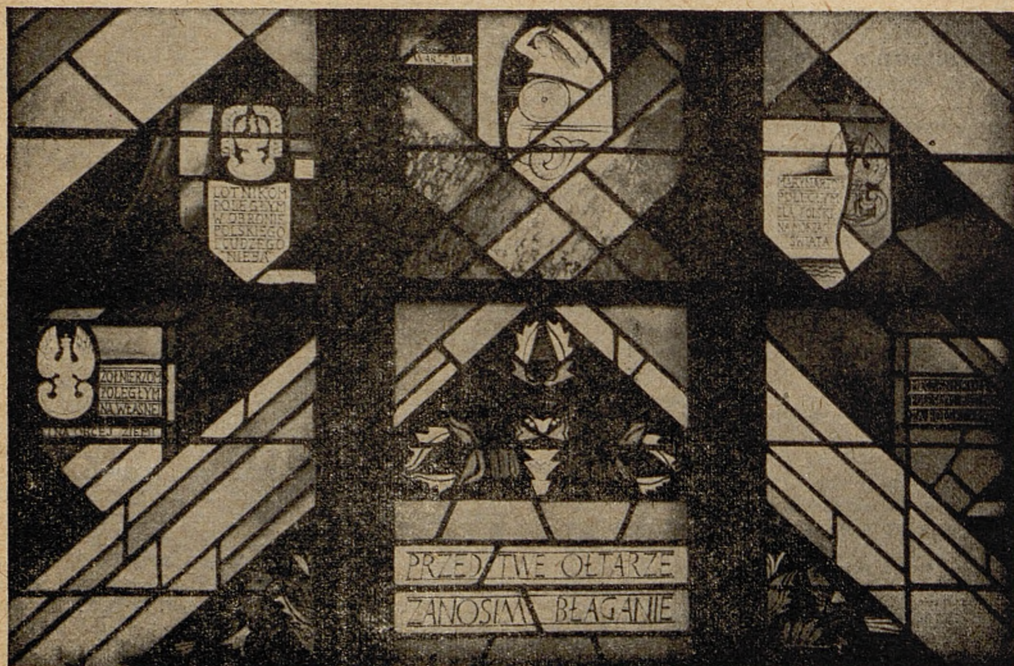
KOŚCIÓŁ POLSKI W LONDYNIE

Każdy naród chrześcijański posiada wśród swych świątyń Pańskich więcej i mniej znane, wspanialsze i uboższe, takie, wokół których skupiają się uczucia i zainteresowania wszystkich, albo też tylko nielicznej garstki, wielkie katedry i bazyliki i skromne kapliczki oraz małe kościółki wiejskie. Naród polski, którego ziemia pokryta jest niezliczoną ilością świątyń, nie jest pod tym względem wyjątkiem. Ma i on kościoły, które znają wszyscy Polacy, jeśli nie bezpośrednio, to z historii i wizerunków, — oraz kościoły, będące miejscem modlitwy i ośrodkami religijnymi jedynie własnych parafian.

Ale prócz świątyń Pańskich w Kraju istnieją i kościoły polskie na obczyźnie. Wśród nich również można by przeprowadzić podobne rozróżnienie, choć ilość tych kościołów nie jest wielka. Są wśród nich kościoły służące jedynie Polakom skupionym bezpośrednio wokół nich i takie które stanowią widome symbole spraw większych i szerszych. Do tych ostatnich należy kościół polski w Londynie przy Devonia Road, w jednej z uboższych dzielnic stolicy brytyjskiej, Islington.

Stało się to w wyniku i w czasie drugiej wojny światowej, że ten kościół przekształcił się na świątynię wszystkich Polaków poza Krajem. Ktokolwiek nawet nie był w Londynie i progu tej świątyni nie przekroczył, słyszał o niej i wiedział na pewno, bo nazwa tego kościoła — jedynego wówczas kościoła polskiego w wolnym świecie, wobec faktu, że kościół św. Stanisława w Rzymie znajdował się w państwie nieprzyjacielskim — powtarzała się bardzo często wśród wiadomości o życiu i walce Polaków i urosła wszędzie do rozmiarów symbolu walczącej Polski. Kościół ten stał się przytułkiem i schroniskiem polskim na lata wojny, a zarazem domem żołnierza i katedrą Polski walczącej.

Poświęcenia i otwarcia kościoła polskiego w Londynie pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej i św. Kazimierza dokonał 12 października 1930 roku ks. kardynał prymas Hlond. Kościół wykupiony od innowierców był w opłaka-



Witraż w kościele polskim w Londynie przy Devonia Road.

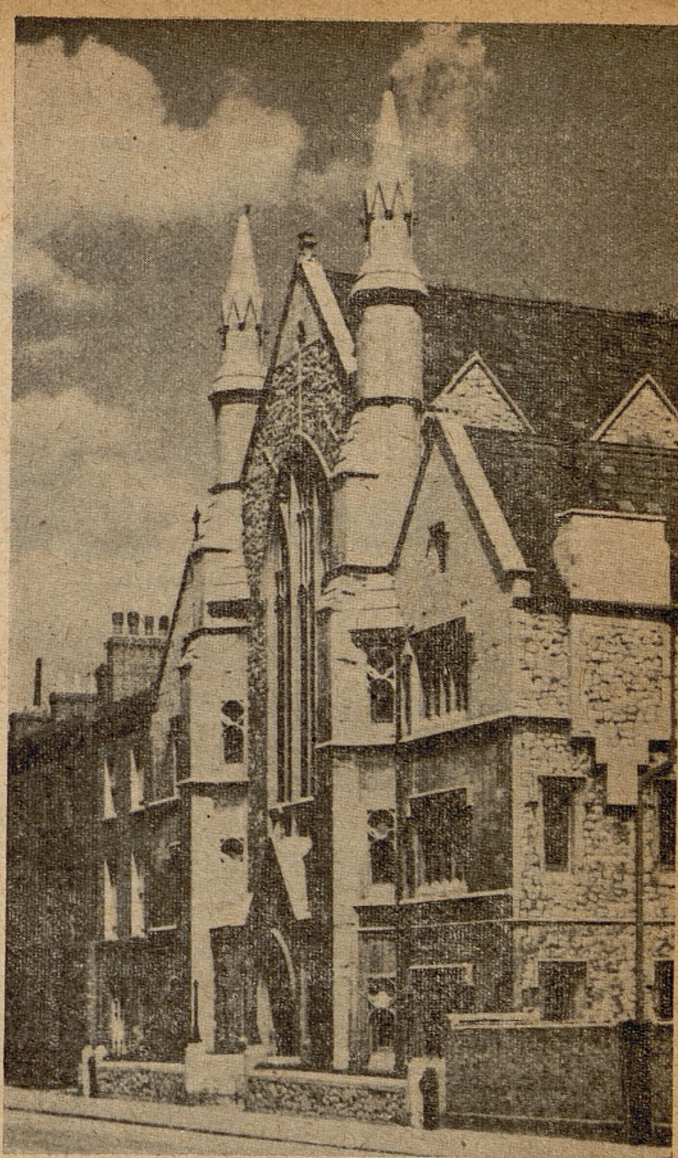
nym stanie i wiele pracy, trudu i środków materialnych było potrzeba, by go w ogóle doprowadzić do stanu używalności. Mimo to spełnił znakomicie swą rolę polskiego ośrodka katolickiego w Anglii w czasie ubiegłej wojny. Modlili się w nim wszyscy wybitni przywódcy polityczni i wojskowi Polski, niezliczone rzesze żołnierzy i uchodźców znajdowały przy nim schronienie, niezliczoną ilość wotów i ofiar złożono na jego ołtarzach.

Stało się to w znacznej mierze dlatego, że kościół ten był zarazem wówczas i jest do tej pory siedzibą Polskiej Misji Katolickiej na Anglię i Walię i jej niezmordowanego rektora, ks. prałata Władysława Staniszewskiego, który długie lata pracy kapłańskiej poświęcił nie tylko swej polskiej owczarni na wyspach brytyjskich, ale i tej świątyni, wokół której polskie życie religijne się tu skupia. Jego troskom, staraniom i zapobiegliwości należy zawdzięczać nie tylko to, że każdy, kto przekracza próg tego kościoła odnosi wrażenie, że znalazł się na chwilę w Polsce, — ale i to, że kościół ten mimo ciężkich warunków nie upada, ale rozwija się, upiększa swą szatę wewnętrzną i zewnętrzną i nie przestaje wciąż być centralnym ośrodkiem życia katolickiego polskiego Londynu.

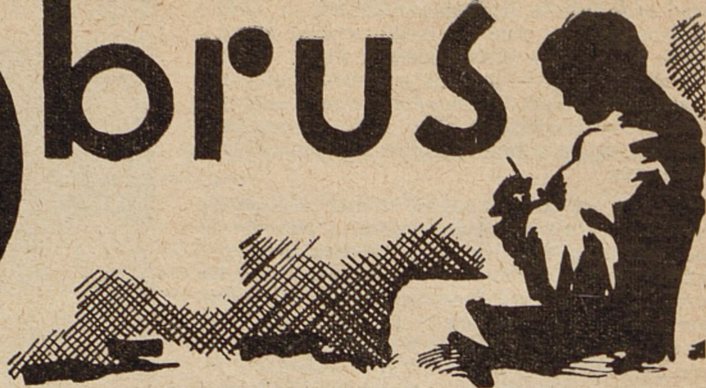
Kościół jest mały i skromny i przypadkowy przechodzień na ulicy Devonia nawet się nie domyśla, jak wielkie rzeczy kryją się za jego szarymi murami. Oto tam żyje Polska wolna na obczyźnie, będąc spętana więzami niewoli w Kraju. Tam modlili się o pomoc Bożą i o zwycięstwo polscy żołnierze, których wizerunki zdobią piękne witraże w oknach, dzieła Adama Bunscha. Tam składano Bogu u stóp swą gorycz i żal, gdy Polska została zdradzona przez aliantów, tam dziś wciąż trwają modły o jedność polską i o wyzwolenie Kraju i narodu.

Kościół, który bardzo ucierpiał w czasie wojny skutkiem bombardowań lotniczych Londynu, wokół którego bardzo blisko waliły się od bomb niemieckich domy, wymagał po wojnie gruntownego, a nie tylko powierzchownego, remontu. Prócz tego należało ozdobić jego wnętrze i zaopatrzyć okna w witraże, gotowe jeszcze z okresu wojny, ale których wmontowanie w okna przekraczało ówczesne możliwości finansowe gospodarzy kościoła. Jak w czasie wojny świątynia przyjęła na siebie i spełniła wzorowo rolę ośrodka katolickiego walczącej Polski, tak obecnie podjęła wszelkie wysiłki, by przybrać wygląd godny Polski katolickiej, tępionej bezlitośnie w Kraju przez bezbożnych okupantów komunistycznych.

Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Londynie podjął wielką akcję zebrania funduszów na odbudowę i odnowienie kościoła na Devonii. Okazało się rychło, że realizacja tych planów wymaga olbrzymich jak na emigracyjne stosunki kwot pieniężnych. Nie zraziło to jednak ani kierownika Polskiej Misji Katolickiej ks. prałata Staniszewskiego ani proboszcza kościoła polskiego w Londynie ks. kanonika N. Turulskiego. W roku 1953 rozpoczęto wielką akcję zbiórkową za pomocą imprez i bezpośredniego zbierania ofiar wśród Polaków, którym los kościoła polskiego w stolicy Anglii nie jest obojętny. Zebrano wiele, nawet bardzo wiele, ale wciąż za mało. Przeprowadzenie prac do końca wymaga dalszej ofiarności i dalszej akcji. Setki, tysiące, może dziesiątki tysięcy Polaków złożyło już na ten cel swe ofiary, których wykazy zamieszcza regularnie prasa katolicka, jako tych, którzy odbudowują i odnawiają kościół polski w Londynie. Czy jest wśród nich i Twoja, Czytelniku, ofiara? Jeśli jej jeszcze nie ma, przekaż ją jak najprędzej pod adresem: Polish Catholic Mission, 2, Devonia Road, London, N. 1, England.



Obrus



Napisał L. T. Ilustrował L. P.

Zaczęło się od jaśków. Agnieszka postanowiła wyhaftować sobie całą wyprawę. Do igły i szydełka miała rękę wprawną, lekką i pracowitą. Od trzynastego roku życia haftowała sobie wszystką bieliznę, pięknie, po swojemu, posługując się przeważnie własnymi wzorami. Do tych wzorów miała też dar nie byle jaki.

Całą kuchnię wyhaftowała wodnym ściegiem dość szybko już jako piętnastoletnia dziewczyna. Podarowała ją potem Zośce na imieniny, wiedząc, że dla siebie zdąży jeszcze niejedną wyhaftować. Dopiero półtora roku temu nadszedł czas, by o swojej wyprawie pomyśleć poważnie. Zabrała się do tego bez planu, ot, robiła wszystko pod natchnieniem chwili. Nie spieszyło się jej zbytnio, nie było rzeczy bardziej czy mniej potrzebnych. W ciągu dwóch miesięcy wykończyła jaśki w piękną kratkę, potem parę chusteczek, wreszcie rozpoczęła dzieło wielkie: wspaniale pomyślany, barwny obrus z kwadratów łączonych mereżką.

Józek ukończył właśnie gimnazjum i miał dostać posadę w spółdzielni rolniczej. Zaręczyli sobie małżeństwo za dwa lata. — Ale pokierowało się wszystko inaczej. Ojcu jego spłacono niespodzianie jakąś wierzytelność, uparł się więc, by syna kształcić dalej. Józek zgodził się na to chętnie. Roznosiła go żądza wiedzy, łechtała go mile myśl o lepszym, wyższym stanowisku. Pojechał. Zagarnęła go wielka, ponętna stolica, zabrała go nauka całego, bez reszty, niepodzielnie.

* * *

Szydełko miga w zręcznych palcach szybko, sprawnie, błyskawicznie. Lśni w żółtych promieniach naftowej lampy, aż czasem oczy gubią je, zamienione w chyżości ruchu w lśniącą, błyskającą kulę. Agnieszka w długim trudzie odkłada do komody kwadrat po kwadracie. Praca jest żmudna, uciążliwa, długa, bardzo długa.

Minęła jedna zima, nieskończona, ciemna — czarna, choć przecież śnieżna. Bo wieczory zimowe w małej, nagrzanej izbie są czarne — czarne czernią nieskończoności. Na polach leżała biała radość śniegu, radość, która topnieje z upływem dni: radość czekania. A w sercu Agnieszki zaczął panoszyć się smutek. I napełniało się goryczą coraz wyżej, coraz wyżej — dziw, że się nie przelało.

I urastały barwne kwadraty pod ręką Agnieszki.

Minęła wiosna kwiecista, przekwitły konwalie i fiołki, zwiądł wielkanocny bukszpan zawieszony pod fotografią Józka. Przekwitł maj bzami i jaśminem, opadła biel z czereśni, grusz i jabłoni. Skoszono siano, zboża i drugie siano, minęło lato. Czasu już było mniej, wieczory były krótkie i pracy więcej. I kwadraty w palcach Agnieszki urastały wolniej.

Aż wyszarzały pola seradelą, aż przyszły wykopki, aż zarumieniły się sady jabłkami, aż i orka pod oziminę się skończyła. Minęła jesień. I urastały kwadraty.

Minęła druga zima.

Wiosna wybucha druga, paruje wilgocią rola, dojrzewają pomidory w inspektach, groszek zakwitnie niedługo. Zielenią się trawy i słońce wchodzi coraz wyżej i wieczory są znów coraz krótsze.

Agnieszka schyla głowę nad robótką, migają jej koła w oczach. Palce pracują mechanicznie, wprawnie, prędko. Wielkie na prawdę to dzieło! Agnieszka kładzie w nie całą swą duszę. Każdy nowy kwadrat napełnia ją nową nadzieją i nową otuchą.

Obrus jest na ukończeniu. Coraz większa tęsknota rozdziera serce Agnieszki. Jest w niej ta stara, zbolała miłość, podsycana modlitwą o wytrwanie, ufnością w czystość zamiarów, wiarą w sprawiedliwość losu.

Czasem Agnieszka odkłada na bok płótno i szydełko, zrzuca z łona swoje nici, wstaje i wolnym krokiem przechadza się po izbie. Jest wysoka, smukła, przystojna, piękna. Twarz ma podłużną, białą, otoczoną blond lokami i warkoczykami opadającymi na

szyję. Oczy lśnią smutnym, wewnętrzną walką zdobytym spokojem.

Chodzi po izbie od komody do łóżka, od łóżka do komody. Obok w izbie już śpią. Agnieszka spogląda na obrazy, uspokaja wzrok na białych firankach — i znowu idzie dalej. Potem klęka przed łóżkiem i wpatrzona w Matkę Boską znajduje ukojenie, przesypując w strudzonych palcach ziarenka różańca.

* * *

Dowiadywała się o Józka u jego rodziny. Odpowiadano jej wymijająco. Na święta nie przyjechał, bo to mu nie warto przebywać tyle drogi, by wrócić po paru dniach. Na wakacje nie przyjechał, bo musiał odbywać praktykę gdzieś w dalekich stronach. Pisze? — ach, pisze, ale bardzo rzadko i zawsze krótko. Wiedzie mu się dobrze, nauka mu idzie — a owszem. Będą z niego ludzie.

Historia z Walczakiem już wywietrzała jej z głowy. Przyjechał z Warszawy i naopowiadał, że to, że owo, a nawet, że Józek ożenił się już z jakąś aktorką kabaretową. Ostatecznie skończyło się na brutalnych zalotach Walczaka, na które Agnieszka znalazła odpowiedź spokojną, lecz stanowczą. Oczywista, że nie uwierzyła ani w drobną część jego „informacji". Chciał ją po prostu okłamać, obrzydzić jej Józka i zająć jego miejsce. — Źle trafił!

Matka naturalnie trwa uparcie przy tym, że Józek już nie wróci do Agnieszki. Mówi na ten temat bardzo często i stara się oderwać myśli córki od przedmiotu jej tęsknot. To wszystko poniekąd jest nie bez racji. Nie można przecież myśleć o człowieku, młodym w dodatku i lekkim, który przez półtora roku nie daje znaku życia.

Ale Agnieszka zwalcza w sobie te rozsądne myśli. Jest w niej jakaś nieugięta wiara w tego człowieka, który ją tyle nauczył o życiu, o sprawach ducha i serca; który pierwszy wzbudził w niej wielki płomień miłości i urzekł potęgą swego uczucia; który przysiągł.

Wie, że nie było nic grzesznego w ich stosunku. Oczekiwali przyszłego wspólnego szczęścia, uczyli się go, przygotowywali się na jego przyjęcie. Czynili to wszystko czystymi rękoma, bez złych myśli, przeciwnie — z myślą o tym, że będzie to ich szczęście na chwałę Bożą. Dlaczegoż więc Bóg miałby zrywać tak czyste węzły, dlaczego miałby pozbawiać się chwały, a ją biedną skazywać na mękę nieutulonej tęsknoty? Agnieszka wierzy w szczęście, bo wierzy, że Bóg jest sprawiedliwy i dobry. I wie, że obrus będzie im służył. Gdyby nie miały ziścić się jej tęsknoty, podarłaby go w strzępy. To się nie zdarzy. Wypracowany wśród cierni bólu i goryczy, nasiąknięty łzami, zrodzony w słońcu nadziei — zakwitnie kiedyś jeszcze kwieciem barw i floresów na ich stole, na wspólnym, małżeńskim stole, w jasne, pogodne, zbożne i szczęśliwe niedziele.

* * *

Wszystkie kwadraty są już wyszydełkowane. Pozostaje jeszcze etap ostatni: połączenie mereżką w jedną całość. W cieplejsze popołudnia Agnieszka wychodzi nad potok za łąkę. Nie omija żadnej sposobności do pracy z szydełkiem. Siada na trawie i pracuje. Sama nie wie, dlaczego od kilkunastu dni tak się jej spieszy. Praca jest przecież już na ukończeniu. Jeszcze tydzień, dwa. Ale Agnieszka nie może doczekać się końca.

Słońce grzeje mile, woda szumi radośnie i ptactwo napełnia łąkę gwarem. Ile razy w taką wiosnę wychodziła z Józkiem na spacery! Szli obok siebie blisko, przytuleni, spojeni szczęściem w jedność. Marzyła im się jasna, radosna przyszłość, wspólne życie, wspólna praca, wspólne trudy i wspólne chwile wytchnienia. Marzyła im się wieczna miłość aż poza grób. — Józek opowiadał jej o tym szczęściu wytrwale, bez tchu, z lubością. Nauczał ją odróżniać prawdziwą, wielką miłość w Bogu od nietrwałych miłostek, którymi rządzą tylko zmysły. I uwierzyła, że jest w nich taka wielka miłość, która nie minie.

I dziś w nią nie wątpi. Wierzy, że Józek jest chłopakiem dobrym i Bóg nie pozwoli mu zejść z drogi świętej miłości na ścieżki lekkiego życia. Wierzy, że szczęście ich dojrzewa jeszcze wciąż i kiedyś jeszcze zakwitnie.

Józek wyjechał przeszło półtora roku temu z przyrzeczeniem, że będzie o Agnieszce pamiętał. Napisał dwa listy i nagle wszystko się urwało. Nie dostała od niego ani znaku życia. Oczekiwała go na jedne, drugie święta, oczekiwała na wakacje — i nic. Może porwała go stolica w swój wir, może zaginął w przemijających uciechach świata. Ale Agnieszka wie, że to chyba nie na długo; że go ta miłość wyrwie z najsilniejszych szponów i zwróci go jej całego, dobrego, jakim był przedtem.

* * *

Dziw, że po długim czasie zjawił się znowu Walczak. Przychodzi nagle wieczorem do domu, bezczelny aż poza granice. Wyrzucony po prostu za drzwi w odpowiedzi na bezwstydne propozycje, śmie pokazać się jeszcze raz z szyderczym uśmiechem i plugawym spojrzeniem.

Ale zdziwienie Agnieszki ustępuje już przy pierwszym jego zdaniu:

— Przyjechał Józek!

W Agnieszce zabiło serce, jak młot. Wstaje z krzesła gwałtownie, rumieni się, dyszy ciężko i nie może przemówić słowem. Znika nagle uraza do Walczaka. Ale zaraz nasuwa się podejrzenie: — A może kłamie .. — Matka jednak rozprasza to. Widziała go już wczoraj. Nie mówiła Agnieszce nie wiedząc że Józek i tak już stracony. Dowiedziała się, że umyślnie nie przyjeżdżał tak długo, by utrwalić zerwanie z Agnieszką. Obecnie przyjechał, bo ojciec wezwał go w ważnych sprawach majątkowych. I wyjedzie za kilka dni.

Walczak jednak wie o wiele więcej. Agnieszka domyśla się, że to wszystko co mó-

wi to góra kłamstw i potwarzy. Nie odpowiada nic. I wynosi się do swojej izdebki, nie czekając na jego odejście.

W nocy nie dają jej spokoju szaleńcze, nierozsądne myśli. Przecież właśnie jutro ukończy obrus! Czyż to nie cud!? — Może jeszcze wszystko się zmieni w ciągu tych paru godzin. Może go coś natchnie, może przypadek jaki zrządzi...

Agnieszka nie śpi przez całą noc.

Nazajutrz przed południem krząta się około gospodarstwa.

Po południu wychodzi skwapliwie z robótką na łąkę. Dzisiaj ukończy dzieło! — Siada pod jasnym niebem, obrus razi oczy potęgą bieli, aż gaśnie wzrok zmęczony. Agnieszka miga szydełkiem z pośpiechem, jakby już za chwilę trzeba było nakryć obrusem stół do weselnej uczty. Praca zbliża się ku końcowi.

Nagle Agnieszka słyszy za sobą kroki. Odwraca się: Józek! Krzyczy:

— Józek!

I ze wzruszenia opadają jej ręce.

Józek stoi przed nią piękny, wspaniały, elegancko ubrany. Ma niewyraźną minę. Mówi, jak dawniej, pięknym, kochanym swoim głosem, mówi:

— Przepraszam cię... przepraszam panią... — nie chciałem... nie poznałem w pierwszej chwili...

Uśmiecha się grzecznie wykwintnie, obco. Nareszcie wzrok jego pada na obrus. I kamnieje twarz jego. Widać w nim coś, jakby przerażenie, jak by ból. Wargi jego drżą, usta zaczynają poruszać się — i słychać znowu jego głos, ale cięższy, głębszy, grobowy:

— Czy to ten sam obrus, o którym pani... o którym pisałaś w ostatnim liście... ten... ten, co to...

Agnieszka opada na trawę. Odzywa się w niej cały ból zawodu, wybucha w niej rozpacz tajona przez półtora roku, serce mięknie, rozpiera się pierś skowytem narosłego przez długi czas cierpienia. Wylewają się na trawę łzy, szloch gwałtowny rozdziera całe ciało i wokoło gardła zaciska się obręcz boleści, ciśnie nadmiar goryczy, aż krew wybiega na twarz i dech zamyka się w piersiach.

Józek spuszcza głowę. Och, jakiż był zły i głupi! Jakżeż mógł kopnąć od siebie taką miłość, jakżeż mógł okraść samego siebie z takiego szczęścia!

Siada obok Agnieszki na trawie i twarz chowa w jej włosach.

Wreszcie wybuch żałości mija. Podnoszą oblicza ku słońcu i milczą. Pachnie wokół wiosna, krzyczy radość zmartwychwstania, roztacza się świat barwami nowego życia.

Józek bierze do ręki obrus i ogląda długo.

— Piękny.

A potem wstają i idą ku zagrodom.

* * *

Agnieszkę budzi ze snu gwałtowne pukanie do okna. Przeciera oczy, drży w przestrachu, żegna się znakiem krzyża. Wyskakuje w koszuli, podbiega do okna i odchyla firankę. Stefa, siostra Józka daje jej jakieś rozpaczliwe znaki. W Agnieszce zamiera serce. Otwiera okno drżącą ręką. Owiewa ją chłód nocy i oblewa poświata księżyca.

Stefa, zdyszana, mówi bezładnie:

— Agnieszko! Chodź zaraz! Już zaraz odjeżdżają. Józek ciebie wzywa. Agnieszko! Józek umiera. Ubieraj się, szybko. Walczak go zabił. Jezus Maryja! Szybko! Przyjechało pogotowie i lekarz chce zaraz jechać, powiada, że szkoda każdej sekundy. Ale on ciebie wzywa! Spiesz się!

Agnieszkę dławi coś dookoła krtani. Bez słowa ubiera się prędko, zarzuca na siebie bezładnie bieliznę i sukienkę. Drży. Nie widzi nic, słyszy tylko słowa Stefy:

— Z początku był zupełnie przytomny. Przed chwilą odzyskał przytomność i wzywał ciebie. Lekarz chce zaraz jechać. Skoczyłam po ciebie, może jeszcze zdążymy. Walczak go zabił. Jezus Maryja!

Już teraz obiedwie razem biegną przed siebie. Potykają się o kamienie. W dali słychać trąbkę samochodową i warkot motoru. Biegną co tchu. Warkot maszyny oddala się. Ale one wierzą, że to inny samochód. Biegną co tchu.

Gdy dobiegają do zagrody, samochodu już nie ma. W domu lamenty i płacze.

Agnieszka wraca. Nie widzi drogi przed sobą, choć świeci księżyc. Nie wie, jak dochodzi do domu. Nie budzi nikogo. Rzuca się na łóżko i rwie włosy z głowy. Już nawet płakać nie może.

Potem wstaje nieprzytomna i zapala naftową lampę. Myślała, że stał się cud. Że wycierpiała sobie wreszcie dawno oczekiwane



I ze wzruszenia opadają jej ręce...

szczęście. Że przywrócił jej Józka obrus. Że nagrodzona jest jej wytrwałość, cierpliwość, gorycze, cierpienia, tęsknoty, łzy.

Wyjmuje z komody obrus. Sprząta ze stołu. Rozkłada obrus na stole, piękny, barwny, okazały: plon półtorarocznego trudu, owoc półtorarocznego czekania na szczęście...

Na co??

Z obrusu wyskakują czerwone nici, cisną się do oczu, męczą, katują! Rozlewa się ta czerwień po całym obrusie, ogarnia cały pokój, zabarwia światło lampy.

Agnieszka podnosi gwałtownie ręce do oczu, ciśnie oczy pięściami do bólu i opada na stół.

— Krew!!!

Z głębi duszy Agnieszki powstaje chłód ukojenia. Rośnie w niej spokój, zrodzony z nadmiaru boleści.

Wstaje. Podchodzi do łóżka i zdejmuje ze ściany obrazek Matki Boskiej. Z torebki wyjmuje różaniec. Stawia obrazek na stole. Na barwnym, wspaniałym obrusie.

Klęka, wsparłszy się łokciami o brzeg stołu.

* * *

Agnieszka bierze tacę z dymiącym dzbanem kawy i stosem porcelany. Popycha nogą drzwi, mija korytarz i wchodzi do izby. Józek siedzi przy stole roześmiany, rozmawia żywo z matką i siostrami. Jest piękny jak był, może nawet piękniejszy: stracone przestrzałem oko podkreśliło sympatyczne jego twarde, męskie rysy.

Agnieszka stawia tacę na stole. Na barwnym, wspaniałym obrusie, na którym przeciskające się zza firanek słońce wyczarowuje całą tęczę.

Oto wypiją na nim zaręczynową kawę. Za pół roku wyprawią na nim ucztę weselną. Gdzieżby Agnieszka pomyślała o tym, gdy przed miesiącem odwożono Józka do szpitala!

A potem będzie im służył przez długie lata. Zakwitnie kwieciem barw i floresów na ich stole, na wspólnym, małżeńskim stole, w jasne, pogodne, zbożne i szczęśliwe niedziele. — Tak, jak przez półtora roku marzyło się sercu Agnieszki.

H U M O R

PRZY EGZAMINIE

Morryc Silberstein zaciął się przy egzaminie i ani rusz z miejsca.

Kolega podpowiada mu: — Powiedz ty jemu, że jest stary osioł.

— Cicho! — odzywa się profesor, słysząc szept. — Nie podpowiadać, on to powinien sam wiedzieć.

KIEPSKA REKLAMA

— Mam nadzieję, że szanowny pan będzie się czuł w naszym hotelu jak u siebie w domu.

— Hm... jak u siebie w domu? Wie pan co, to ja już wolę pójść do innego hotelu.

OSTRZEŻENIE

— No i co powiedział ojciec na twoje złe świadectwo?

— Był wściekły, proszę pana profesora. Jak pan go zobaczy, niech pan mu lepiej zejdzie z drogi.

W WOJSKU

Generał: Niech mi rekrut powie, kto to jest na tym obrazie?

Rekrut: Kościuszko, panie generale.

Generał: No tak, ale kimże był Kościuszko?

Rekrut: Generałem, panie generale.

Generał: No dobrze, ale czym on jest dla narodu, przecież i ja jestem generałem, a jednak mnie na obrazie nie umieszczą.

Rekrut: A, bo to był mądry generał.

W BIURZE POŚREDNICTWA PRACY

— Zgodziłabym cię do dziecka, ale wydaje mi się, że jesteś za niska.

— Proszę pani, przecież to właśnie lepiej. Jeżeli dziecko upuszczę, to przynajmniej nie potłucze się tak mocno.

U KUPCA

— Prosiłam o tuzin pomarańcz, a przysłał mi pan tylko jedenaście?

— Bo jedna była nadpsuta, więc pozwoliłem sobie ją wyrzucić w pani imieniu.

NA WSI

Mieszczuch: Ładnieście mnie wyszykowali, gospodarzu. Prosicie mnie na polowanie i prowadzicie na obce terytorium. Teraz musimy obaj zapłacić po 5 funtów kary.

Wieśniak: Co? Zapłacić? Nie. Odsiedzimy.

DZIECI

— Mamusiu, czy mogę wziąć to większe ciastko?

— Nie, dziecko, to większe jest dla Stasia, bo on jest o dwa lata starszy od ciebie.

— Ale on też za to je ciastka o dwa lata dłużej ode mnie.

PRZYJAŹŃ

— Pożycz mi pięć funtów.

— Nie mogę, bo pożyczki psują przyjaźń.

— Gwiżdżę na twoją przyjaźń. Dawaj pieniądze!



Już od początków rozwoju cywilizacyjnego ludzkość dążyła do wynalezienia takiego przyrządu, który by **dobę dzielił dokładnie na mniejsze części.** Jak wiemy z historii ludów starożytnych, posługiwały się one rozmaitymi przyrządami, które mniej lub więcej zasługiwały na nazwę zegarków - chronometrów - czasomierzy.

Używano więc **zegarów słonecznych**, które niestety miały tę niedogodność, że wskazywały czas tylko przy niezachmurzonym niebie. Znane są też t.zw. **klepsydry**, czyli **zegary** piaskowe, **zegary wodne, oliwne, świecowe.** Nawet **budziki już istniały**, lecz wszelkie te przyrządy potrzebowały prawie że stałego nadzoru. Wobec tego tylko w domach bogatych, tam gdzie się znajdowała większa ilość służby, na podobne zegary można było sobie pozwolić.

Postęp i rozwój cywilizacji sprawiły, że wynajdywano **coraz to lepsze** czasomierze. Poprzez **zegary z wahadłem Galileusza** i ulepszone później wychwytem (systemem) **Grahama** doszliśmy do **zegarków kieszonkowych.** Wmontowane były owe „zegareczki" w szkatułki, dogodne jedynie do użytku domowego i podróży. Z kolei ukazały się t.zw. **norymberskie jajka** ze „szpindlowym" urządzeniem a w miarę postępu techniki osiągnięto wreszcie **dobrze nam znany typ zegarka cylindrowego,** który długie lata wskazywał naszym ojcom i dziadkom czas dokładny, a być może lepszy i szczęśliwszy.

W końcu wiecznie twórczy umysł ludzki skonstruował w ostatnich dziesiątkach lat **zegarek z wychwytem kotwicznym,** czyli z niemiecka mówiąc „ankrowym". Ten to zegarek z ulepszeniami ostatnich lat uważamy dzisiaj za **czasomierz najdoskonalszy.** Mamy jeszcze w użyciu chronometrowy wychwyt, lecz nadaje się on raczej do pracowni naukowych i obserwatoriów astronomicznych, jako czasomierz na okręcie — a nie do użytku prywatnego.

Poniżej zamieszczamy opis zegarka kieszonkowego **z wychwytem kotwicznym,** systemem najbardziej rozpowszechnionym. Spełnia on taki ogrom pracy, że wierzyć się po prostu nie chce, by tak mały przyrząd mógł tym zadaniom podołać.

Załączony rysunek ma służyć do łatwiejszego zrozumienia funkcjonowania naszego zegarka.

CO SIĘ DZIEJE W MOIM ZEGARKU?

W zasadzie mechanizm kieszonkowego zegarka składa się **z trzech części:** 1. sprężyny napędnej, 2. zestawu kółek, 3. wychwytu i regulatora chodu. Za pomocą **korony** naciągamy **sprężynę,** która się znajduje w **bębenku sprężynowym.** Ten bębenek przenosi siłę za pomocą **zębów** naciągniętej sprężyny na **kółko minutowe.** Z tego minutowego kółka przenosi się siłę poprzez **kółko pośrednie i sekundowe** na **kółko kotwiczne (ankrowe).**

To kółko ma specjalnie skonstruowane **ząbki,** które naciskają na **palety,** umieszczone w kotwicy. Kotwica w przedłużeniu swoim ma tak zwane **widełki.** One to chwytają plateau, które jest umieszczone na kole, zwane **kolebnikiem** (kolebnik odgrywa w zegarku kieszonkowym tę samą rolę, co wahadło w stojącym).

Przez ruchy wahadłowe kotwicy wprowadzony zostaje kolebnik w ruch postępowy i cofający. Aby te ruchy kolebnikowi ułatwić, a poza tym, by **poruszenia te ściśle w regularnych i oznaczonych odstępach następowały,** umieszczono na kolebniku włos stalowy. Zależnie od długości tego włosa następują dłuższe lub krótsze obroty kolebnika. **Włos jest tedy właściwym regulatorem zegarka.**

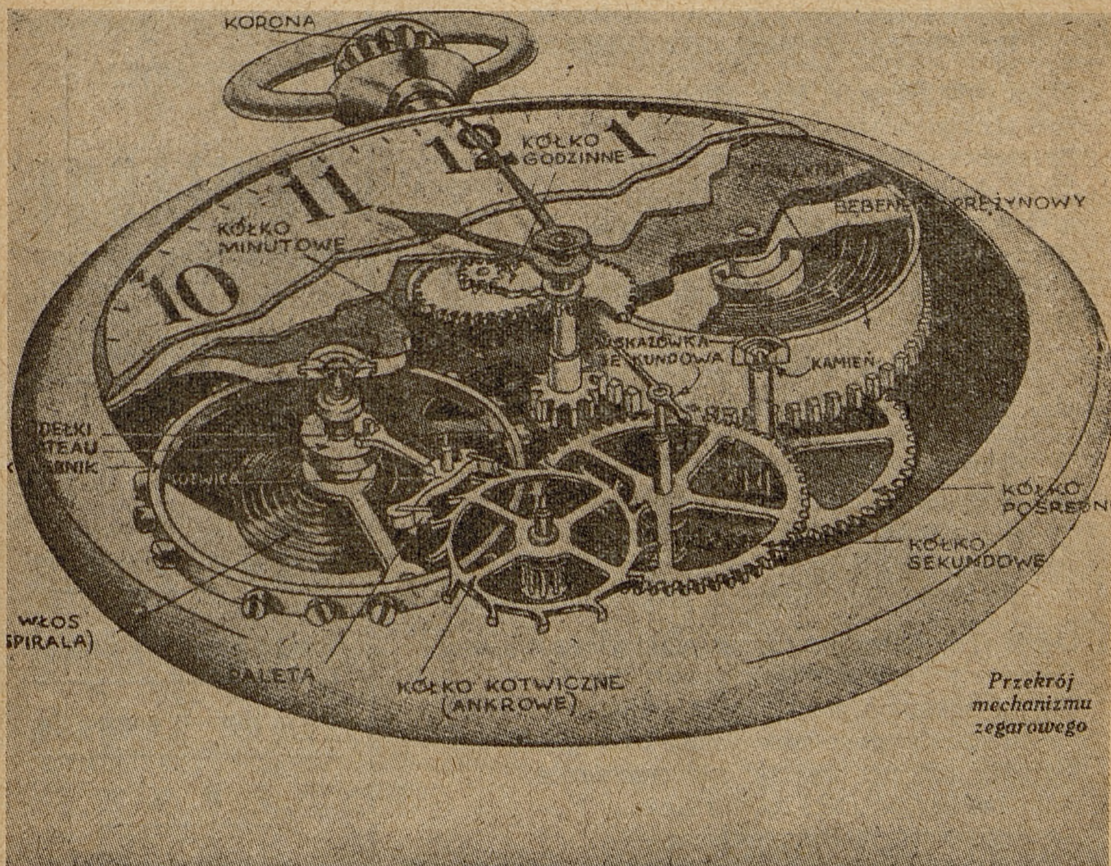
W krótkich słowach należy jeszcze zesta-

wić **ogrom pracy** w tym tak maleńkim mechanizmie. Kolebnik wykonywa w godzinie 18.000 wahań, czyli pięć wahań na sekundę. Ilość uderzeń kółka kotwicznego wynosi na dobę 432.000. Najciekawsze jest jednak to, że złożywszy drogę wahań kolebnika w ciągu doby w jedną linię, otrzymalibyśmy długość około 26 km.

Odchylenie o 1/10.000 sekundy w jednym wahaniu sprawia opóźnienie lub spieszenie zegarka o 43 sekundy na dobę.

Materiał zużywany do budowy zegarka musi być z wyżej wyłuszczonych powodów pierwszorzędny. Jak kosztowne i trudne jest **przerobienie surowca** na poszczególne części, widzimy z następującego przykładu. Włos czyli spirala jest robiona ze stali. Przez przerobienie tej stali osiąga on 200-krotnie wyższą cenę niż ta samą ilość złota.

Jest więc zegarek mechanizmem nie byle jakim o nadzwyczajnej precyzyjności. Niewątpliwie pomysłowość ludzka i ten doskonały mechanizm jeszcze ulepszy. Życzyć by sobie jedynie należało, by w przyszłości zbudowano zegarki, które by wskazywały szczęśniejszy czas.



Przekrój mechanizmu zegarowego

Aleksander Fredro

OJCZYZNA NASZA

Na długich górach czarne świerki rosną,
Z wiatrem północy szumią pieśń żałosną,
A dołem, dołem, jak wzrok sięgnąć może,
Złocistych kłosów kołysze się morze;
Na morzu wyspy kwiecistej murawy,
I rozproszone, jak wędrowne nawy,
Gdzieniegdzie domki bieleją z poddasza...
To Polska!... Polska!... To Ojczyzna nasza!

Ciemne błękity mleczna droga dzieli,
Ziemia spoczęła w zroszonej pościeli,
Czasami tylko koń zarży na stepie,
Lub na jeziorze ptak skrzydłem zatrzepie,
Czasami tylko spływa z gór jak struga
Trąby juhasa nuta smętna, długa:
Obudza czujność i napaść odstrasza...
To Polska!... Polska!... To Ojczyzna nasza!

Zima pokryła pola, lasy, skały,
Nad strumieniami zawisły kryształy;
Po srebrnych wstęgach przez białe doliny
Suną się sanie, jak szare godziny;
Liszka na słońcu czerni się z daleka,
Gromada ptasząt pod strzechę ucieka,
A dym w słup bije, w obłok się rozprasza...
To Polska!... Polska !... To Ojczyzna nasza!

Dworek przy drodze, na słupach wystawa,
Wrota otworem, na dziedzińcu trawa,
Studnia z żórawiem, gołębnik przy stronie,
Za gumnem w kwiecie bielą się jabłonie;
Krzyczy na słotę paw w stercie schowany,
A na lamusie klekoczą bociany,
Gospodarz wita, do domu zaprasza —
To Polska!... Polska!... To Ojczyzna nasza!

Gdzie jeszcze mężne nie wygasło plemię,
Co za swych ojców wiarę, mowę, ziemię
Ciągle nastawia piersi, serca, głowy,
Na miecze wrogów, najeźdźców okowy,
Co póty walczyć, walczyć nie przestanie,
Póki żyć będzie, póki tylko stanie
Jednego męża, jednego pałasza —
To Polska!... Polska!... To Ojczyzna nasza!

WYPRAWA ZA ŻELAZNĄ KURTYNĘ

Napisał Czesław DOBEK   Ilustrował W. SZOMAŃSKI

— ...Aby wyjaśnić ostatecznie sprzeczności, jakimi nas karmią gazety, aby postawić przed fałszywie informowanym światem nagą prawdę, aby wreszcie zadośćuczynić zasadom naszego Towarzystwa Badań Naukowych Metodą Naoczną, postanowiłem, drodzy słuchacze, osobiście udać się za żelazną kurtynę!

Słuchacze, czyli członkowie Towarzystwa zebrani na 25 jubileuszowym posiedzeniu, zamarli słysząc te słowa. Wreszcie pan redaktor Anyżko, jak zwykle pierwszy, odzyskał mowę.

— Czy pan wie na co się pan naraża? — wołał dramatycznie wyciągając rękę. — Ja, były więzień Łubianki, zesłaniec z Północy, ja panu mówię, doktorze Pietruszka, że kładzie pan głowę do gardła, tak, do gardła, nienasyconej bestii!

Panna Leontyna Aniołkiewicz, sekretarka Towarzystwa, nabożnie składała ręce, jakby modląc się do prezesa i przewodnika duchowego, aby zmiłował się i zaniechał myśli o podobnym szaleństwie.

Pan radca Ogonkiewicz, którego kasa częściej otwierała się na potrzeby organizacji niż usta, i tym razem, mimo wielkich wysiłków, nie potrafił głębokich myśli ubrać w słowa.

Doktór Pietruszka z gorzkim triumfem patrzył na zebranych.

— Nie myślcie, drodzy towarzysze, — mówił z uśmiechem pobłażania, — że chcę iść tam nieuzbrojony, bezbronny. Oto mój pancerz.

I przed oczy zdumionych naukowców położył prawdziwy paszport brytyjski.

— Ja wiem i wy wiecie — stwierdził — jak niezłomne są moje poglądy na obowiązki emigranta politycznego, ale w imię prawdy naukowej, w imię wiedzy i z obowiązku badacza musiałem się dopuścić tej niewielkiej zdrady narodowej. Z tym paszportem, jako obywatelowi brytyjskiemu nic mi nie grozi. Wielka Brytania potrafi w razie czegoś upomnieć się o mnie.

— Lekkomyślność. Lekkomyślność — jak zawsze parskał redaktor.

— Panie doktorze, wodzu nasz — zapiała sekretarka — pan naraża się na straszliwe niebezpieczeństwa, na męki, na tortury!...

— Dla wiedzy, dla nauki... — szeptał wzruszony Pietruszka.

Aż nagle twarz pana Ogonkiewicza z czerwonej stała się fioletowa.

— Pojedzie pan, ale nie sam, — rzekł z błyskiem w oczach, przezwyciężywszy męki wahań.

— Jak to? Pan chciałby ze mną?

— Tak — kiwnął głową dzielny radca.

— Jeśli dla mnie jest to niebezpieczeństwem, to dla pana to oczywiste szaleństwo.

— Dlaczego? — spytał Ogonkiewicz.

— Bo pan nie jest British Subject.

— Jestem.

Zdumieli się wszyscy. Stwierdzenie tego prostego faktu zaskoczyło ich bardziej, niż wiadomość o wyprawie doktora za żelazną kurtynę.

— Więc pan, członek naszego Towarzystwa od tylu lat, ukrywał przed nami swoją zdradę? — zagrzmiał Anyżko. — Zaparł się pan Ojczyzny, Narodu, kolegów, sponiewierał pan nasze uczucia i siedział pan cicho, jak mysz pod korcem!

— Ja, ja przecież nic złego — bronił się radca — przecież pan doktór...

— Pana doktora proszę nie mieszać do pańskich brudnych spraw — skoczyła na biednego Ogonkiewicza panna Aniołkiewicz. — Pan doktór uczynił to, jak wszyscy dobrze wiemy, z miłości dla nauki.

— Pomyśleć, że my tak długo obcowaliśmy z renegatem! — zaperzał się redaktor.

Pan Ogonkiewicz spojrzał na doktora, który dotąd milczał raczej zakłopotany.

— Ja doprawdy — jęknął radca — nie chciałem, to żona moja. Powiada, że dla spraw biznesu lepiej będzie, jeśli ona przyjmie obywatelstwo.

— No i cóż to ma do rzeczy? — przerwał Anyżko. — Wszyscy znamy pańską żonę, pierwszą kasztaniarkę we Włoszech, a teraz biznesy tu robi. Niech się pan żoną nie zasłania! Kazała panu?

— Nie. Tylko, „Antosiu, mówiła, to jedne pieniądze. Co za jedno płacić, kiedy można za te same funciaki we dwoje".

— Ha, ha, ha! — roześmiał się pan redaktor, a panna Leontyna kiwała znacząco głową. Zgubiony pan Ogonkiewicz pochylił się nad stołem, gdy nagle przyszła mu niespodziewana pomoc ze strony prezesa. Widać w czcigodnej głowie pana doktora Pietruszki odbyły się jakieś działania, kto wie czy nie matematyczne nad kapitałami, którymi czasem z łaski przedsiębiorczej małżonki obracał pan radca.

— Drodzy słuchacze! — zawołał prezes — Niech was nie ponosi temperament. Nasze Towarzystwo jest naukowe par excellence, nie powinno być terenem dyskusji politycznych. Metoda naukowa wymaga od nas ponadto trzymania się tylko faktów i umiejętności ich wykorzystywania. Stało się. Pan radca jest British subject, może to i szkoda dla polityki, ale dla nas, drodzy słuchacze, to wielka korzyść. Pan radca Ogonkiewicz jako mój współtowarzysz podróży jest dla nas niezwykle cenny.

— Więc przyjmując obywatelstwo na rozkaz swej żony pan Ogonkiewicz został bohaterem narodowym?! — pienił się Anyżko.

— Pan radca Ogonkiewicz stał się wspaniałym instrumentem w rękach Prawdy.

— Świat się kończy! Świat się kończy!

— Panie redaktorze — uspakajała panna Aniołkiewicz — dla dobra sprawy.

— Dla dobra sprawy i dla potomności udajemy się z panem radcą w niebezpieczną podróż za żelazną kurtynę. To postanowione jednogłośnie. Pozostają jeszcze niektóre sprawy do rozwiązania. Po pierwsze nazwiska.

Ponieważ słuchacze znów mieli zdumione miny, pan doktór zaraz wyjaśnił: — Nikt nie uwierzy, że Pietruszka to Anglik z dziada pradziada, więc jutro idziemy do Food Office, gdzie zmieniam swoje nazwisko. Zmieniam naturalnie na pewien czas. Długo się zastanawiałem nad tym i mając do wyboru albo Parsnip albo Parsley...



— Więc jutro idziemy do Food Office, gdzie zmieniam swoje nazwisko...

— Parsley ładniej. — przerwała panna Leontyna. — To trochę jak Priestley.

— Właśnie! Bardzo inteligentna uwaga. — zgodził się doktór. — Niestety, Parsley nie jest odpowiednie. Zanadto rzuca się w oczy. Ja, proszę państwa, wybrałem sobie zwykłe, pospolite Smith. Doktór John Smith. To wcale nie podejrzane.

— No, a pan, panie radco? — z ironią zapytał Anyżko. — Cóż pan sobie wybiera?

Ogonkiewicz zaczerwienił się, nadął i wreszcie wypalił:

— Ja nie potrzebuję sobie wybierać. Ja już zmieniłem dawno i nazywam się Stuart.

— Co?! — zawołali wszyscy troje, bo nawet doktór został wyprowadzony z równowagi.

— Nie jest to żadne przybrane nazwisko — wypiął pierś radca. — Moja babcia była z domu Sobieska....

— Sobiecka, o ile się nie mylę! — wtrącił Anyżko.

— Mieszkając we Francji, gdzie „c" wymawia się jak „s", czasowo nazywała się Sobiecka.

— Panie doktorze! — zawołał redaktor Anyżko. — Jeśli pan natychmiast nie przywoła do porządku tego nieprzytomnego intryganta, kłamcę i dorobkiewicza, to...

— Panie redaktorze! — przerwał doktór widząc, że Ogonkiewicz ledwo hamuje resztki szlacheckiej krwi. — Niech pan natychmiast opuści zebranie na pięć minut. Wróci pan, jak pan ochłonie.

— Nie jestem uczniem! — krzyknął przeraźliwie redaktor. — A zebranie opuszczę z własnej woli. Nie tylko zebranie, ale i to całe towarzystwo składające się z wariata, głupca nadętego i starej panny.

— Panie redaktorze Anyżko! — zawołał doktór, ale za redaktorem trzasnęły drzwi.

Kilka długich minut upłynęło, nim pan doktór Pietruszka podjął przerwany tok zebrania.

— Sprawa nazwisk zatem została rozwiązana pomyślnie. Mr. Smith i Mr. Stuart nie wydadzą się nikomu podejrzani. Pozostają jeszcze sprawy załatwienia biletów, wiz itp. no i ważna sprawa wyekwipowania.

— Ja dam panu doktorowi swój ciepły szalik — ofiarowała się panna Leontyna Aniołkiewicz, której dobre serce podtrzymywało Towarzystwo w ciężkich dla niego chwilach.

— — — — — — — —

Wśród tłumów zalegających Victoria Station wyróżniali się wybitnie Mr. Smith i Mr. Stuart. Pierwszy w kraciastych pumpach i miękkiej czapce, drugi w czerwonej szkockiej spódnicy — stanowili dobraną parę typowych przedstawicieli dwóch narodów Zjednoczonego Królestwa. Komitet pożegnalny, złożony z grupy członków Towarzystwa, t. j. z panny Aniołkiewicz, płakał ze wzruszenia zakładając ciepły szalik na szyję dzielnego uczonego.

Zaczęli w ten mglisty poranek daleką i pełną niebezpieczeństw drogę.

W Paryżu bawili wszystkiego jeden dzień. Pan

doktór Pietruszka odnawiał zerwane w 1940 roku kontakty, a pan radca nawiązywał nowe i należy przypuszczać, nieco odmienne, których rezultatem była solenna przysięga ze strony skromnego pana Ogonkiewicza, że już nigdy w życiu nie nałoży kitlu.

Drugiego dnia ruszyli dalej w stronę Berlina. Plan doktora Pietruszki był genialnie prosty i tylko szczególna czujność policji wschodnioniemieckiej stanęła mu na przeszkodzie. Wyskoczywszy na pierwszej stacji w strefie sowieckiej znaleźli się natychmiast w samochodzie policyjnym, który zawiózł ich do ukrytej w drzewach willi, pilnowanej przez najzwyczajniejszych enkawudzistów.

Pan Ogonkiewicz w ciągu tych kilkudziesięciu minut siniał, czerwieniał i zieleniał na przemian, niby kameleon posadzony na szkockim tartanie. Pan doktor przeciwnie: zachował całkowicie spokój i udając zimnokrwistego syna Albionu, szeptał radcy do ucha, że nic im stać się nie może, a to, co się dzieje, jest najlepszą ilustracją panujących tu stosunków. Próbował też doktór korzystać ze znajomości rosyjskiego, jaką szczycił się radca, którego majątek rodzinny był „za kordonem". Niestety, w Paryżu jeszcze pan Ogonkiewicz płynnie mówił językiem Puszkina, tutaj jednak nie potrafił nic ze siebie wydusić. Z tłomaczeniem też gorzej. Gdy wielki, z pepeszą na piersiach sołdat zaczął krzyczeć na nich: „Wy amierykanskije szpiony!" dodając inne epitety mniej strawne, pan radca czerwony i blady skulił się tylko i nie usiłował uświadamiać doktora, który sam doszedł drogą dedukcji do tego, że biorą ich za Amerykanów, wyciągających szpony po ludową republikę niemiecką.

— We are British subjects. We are British subjects — powtarzał w kółko.

W willi, wśród drzew nie działo im się źle, przynajmniej na początku. Nie pytano ich o nic, nie badano, poczęstowano obiadem, na który składał się barszcz i schab z kapustą, tudzież wódka, czysta wyborowa wódka!

Pan radca mimo strachu oblizał łyżkę po barszczu i pałaszował schab, jak żaden Stuart przedtem ni potem. Na tę niekonsekwencję zachowania się zwrócił mu doktór uwagę, ale pan radca powiedział, że już wszystko przepadło i szczęśliwy jest mogąc odrobić choć w części emigracyjne zaległości kulinarne. Wódki natomiast pan doktór nie pozwolił tknąć, słusznie obawiając się, że będąc pod wpływem alkoholu, nie utrzymają się w opanowanej postawie Brytyjczyków.

Niezwykłą ucztę mąciła nieco stała obecność strażników. Siedzieli milcząc po obu stronach drzwi i wpatrywali się w więźniów nieruchomymi oczami Wschodu. Czasami uśmiechnął się któryś, lecz żaden z nich nie zniżył broni, gotowej do strzału i wycelowanej w piersi naszych uczonych.

Co pewien czas strażnicy się zmieniali. Po kilku godzinach przyszli dwaj wyżsi wojskowi, wyrazami twarzy nie różniący się wcale od tępych sołdatów. Ci postali chwilę, zamienili między sobą kilka uwag i poszli.

Skleiwszy jakoś podsłuchane słowa pan Ogonkiewicz doszedł do wniosku, że są zatrzymani jako zakładnicy i najprawdopodobniej zostaną rozstrzelani. Zarzut szpiegostwa na rzecz Ameryki powtarzał się w dalszym ciągu.

— Trudno — filozoficznie stwierdził doktór Pietruszka, kiedy mu to wszystko pan radca przetłomaczył — nie pierwszy to raz przyjdzie uczonemu złożyć głowę na ołtarzu Wiedzy.

— Ale ja, ale ja — jąkał się biedny Ogonkiewicz — czyż ja też muszę...?

— Pozostanie pan w pamięci potomnych jako wierny towarzysz słynnego doktora Pietruszki — pocieszał chwiejącego się ucznia mistrz. — Bądź pan mężny, drogi Stuarcie, wspomnij na swoich przodków, którzy bez zmrużenia powiek szli na szafot. Remember! Remember!

Nic jednak nie zdołało pocieszyć pana radcy, który zagłębił się w milczeniu pełnym rozpaczy i rezygnacji. Los litościwy nie odjął mu tylko apetytu, tak że kolację, w skład której wchodziły kotlety wielkości placu Piccadilly w Londynie, spałaszował znów po ogonkiewiczowsku.

Noc przeszła im względnie spokojnie. Śniadanie również nie było najgorsze. A rano po śniadaniu dzieje wyprawy doktora Pietruszki doszły do momentu, który historycy nazwą później krytycznym.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich nowy, nieznany im strażnik.

— W szaszki igrajesz? — zadał pytanie i nie czekając odpowiedzi znikł.

— Co to znaczy? — zapytał doktór Ogonkiewicza.

— Szaszkami czyli szablami, igrać będą z nami — wyszeptał oblany potem radca.

— Szablami? Więc w ten sposób zginąć nam wypadło? Dumna śmierć!

Doktór Pietruszka prężył pierś pod twidową marynarką, ale i jemu pot wystąpił na czoło. Zaczął niecierpliwym krokiem przemierzać pokój.

— Panie radco, — stanął nagle, jakby go coś olśniło — a jeśli oni w ten sposób wyzywają nas? Mamy bić się z nimi na szable, jeśli zwyciężymy, będziemy wolni. Co pan na to? Pan jako rycerz, w żyłach którego płynie krew dwóch wspaniałych rodów, jako szlachcic znający krzyżową sztukę, pan ma wielkie szanse wobec barbarzyńców. Panie Ogonkiewicz, zwycięstwo przed panem!

Ale pan radca zalał się łzami. Czyż miał przyznać się, że skłamał, że nie jest z krwi Stuartów i babcia Sobieska — to wymysł? Czyż miał powiedzieć w chwili śmierci, że nawet to „wicz" jest kradzione, emigracyjne, że przyszedł na świat w rodzinie Ogonków, z których żaden szabli nie trzymał w dłoniach? Nie! Pan radca otarł łzy i spojrzał w oczy mistrzowi.

— Ja jestem kwakier i broni do ręki nie biorę!

— Co, znowu niespodzianka? Panie Ogonkiewicz, pańska żona stanowczo...

Ale przerwano doktorowi. Otworzyły się zno-



— Nu, cztoż? — zaśmiał się. — Poigrajem w szaszki? Skuczno, a?

wu drzwi i stanął w nich tęgi brunet w mundurze. Miał dobroduszny uśmiech i trzymał pod pachą szachownicę.

— Nu, cztoż? — zaśmiał się. — Poigrajem w szaszki? Skuczno, a?

Rozłożył na stole szachownicę i warcaby. Doktór spojrzał na radcę, a następnie na bruneta.

— Szaszki? — spytał wskazując na warcaby.

— Szaszki — znowu uśmiechnął się brunet. — Igrajesz?

I zasiadł przy stole zachęcając doktora do gry. Pan Ogonkiewicz nie bacząc na piorunujące spojrzenie doktora zbliżał się do niego i szeptał do ucha:

— Szaszki, to warcaby. Kto wygra, ten będzie wolny. Pamięta pan Beniowskiego? To ich zwyczaj. Doktorze, błagam, niech pan się trzyma!

Tym razem doktór zbladł. Można być geniuszem w ogóle, ale warcaby...

— Dawno nie grałem — odszepnął radcy — spróbuję — zrobił ruch pionkiem.

Gra nie trwała długo. Po czwartym ruchu pionek bruneta magicznym sposobem obleciał pole i strącił trzy czwarte pionów doktora.

— Ach! — jęknął na cały głos Ogonkiewicz. — Jesteśmy zgubieni, doktorze!

Na te słowa, których nie słyszeć było niesposób, brunet wstał. Z twarzy jego znikł uśmiech. Wzrokiem bazyliszka wodził od przerażonego doktora do złamanego radcy.

— Ładno — rzekł wreszcie i wskazując palcem na doktora dał rozkaz straży:

— Wiedi jewo so mnoju!

Pan Ogonkiewicz został sam na sam ze strażnikami i ze swoją rozpaczą.

W pokoju, będącym widocznie kancelarią, brunet siadł za biurkiem i wskazał doktorowi krzesło przed sobą. Ruchem ręki odprawił strażnika i przez długą chwilę świdrował palącym wzrokiem bladego i drżącego z niekłamanej trwogi uczonego. Wreszcie uśmiechnął się i rzekł po polsku z lekkim akcentem północnych dzielnic Warszawy:

— No i co, panie doktor? Zagrajmy w otwarte karty.

— — — — — — — —

Doktór Pietruszka wrócił do radcy z sercem nielżejszym, niż go opuścił. Ciążyła nad nim przysięga złożona i poparta wcale wymownymi groźbami. Nie mógł wtajemniczyć radcy w sytuację, która była nadzwyczaj skomplikowana. Brunet, kapitan Enkawude, złożył doktorowi następującą propozycję:

Jako zagrożony na swoim stanowisku i mający dość malenkowskiego reżimu, kapitan postanowił dawno uciec na Zachód, bał się jednak dotychczas, że mogą go odesłać. Teraz zobaczył przed sobą wspaniałą perspektywę. Pomoże w ucieczce podejrzanym o szpiegostwo więźniom, w zamian za co doktór poręczy za niego wobec Amerykanów i będzie służył mu wszelką pomocą w strefie zachodniej. O stronę materialną na przyszłość nie ma co się martwić, Enkawude jest dochodowym przedsiębiorstwem. Brunet wręczył doktorowi rewolwer i ustalił plan działania. Jutro będą ich przewozić do komendy w Berlinie. W samochodzie będzie tylko kapitan i kierowca; w momencie, gdy znajdą się na granicy strefy amerykańskiej, na znak dany przez niego, doktór wyciągnie rewolwer, sterroryzuje kierowcę i każe mu jechać do Amerykanów.

Tego wszystkiego związany przysięgą doktór nie mógł powiedzieć radcy. Wolał więc milczeć. A radca przypuszczając najgorsze, jakie im groziło teraz, po jego zdradliwym okrzyku po polsku, siedział biedak zupełnie zgnębiony i tylko spoglądał wilgotnymi oczami na mistrza, który za jego winy będzie zapewne cierpiał srogo.

Tak w milczeniu i rozpaczy przeszedł im wieczór i noc. Nie zauważyli nawet, że wbrew zwyczajowi nie przyniesiono im kolacji, ani śniadania.

Rano prowadzeni przez strażnika siadali nasi podróżnicy do bantama, w którym przy kierowcy umieścił się już poprzednio znany im brunet. Radca Ogonkiewicz drżał z chłodu, głodu i ze strachu, a doktór wykręcał się idąc do samochodu jak balerina, starając się ukryć przed żołnierzami podejrzanie wypchaną kieszeń.

Jak zwykle bywa w historii, wypadki potoczyły się zupełnie inaczej, niż było przewidziane. W chwili, gdy samochód znalazł się przy bramie Brandenburskiej, brunet uniósł czapkę i pogładził się dłonią po łysawej głowie. Był to znak dla doktora Pietruszki. Bohater nasz wyszarpał rewolwer z kieszeni płaszcza i starał się przyłożyć go do głowy kierowcy. Niestety, radca Ogonkiewicz, nieprzygotowany uprzednio, na widok broni palnej wpadł w panikę. Z początku próbował wyskoczyć z samochodu, następnie z

rozpaczliwym piskiem rzucił się na doktora i zaczął wyrywać mu z ręki rewolwer. W trakcie szamotania się padł strzał.

— Durak! — krzyknął kapitan i uderzył kierowcę pięścią w głowę.

Kierowca, tęgi chłop, oddał kapitanowi z nawiązką, tak że niedoszły Krawczenko obsunął się w dół. W tym momencie pan radca popełnił czyn, który sam jeden wystarczył, aby go okryć sławą pośród potomności, a cały bieg historii obrócił na korzyść członków Towarzystwa Badań Naukowych. Pan radca mianowicie, widząc jak ze wszystkich stron placu biegną ku nim żołnierze i policja zaalarmowani strzałem, zawołał z ogromną odwagą:

— Uciekajmy! — i wyskakując z samochodu pociągnął za sobą doktora. Najwyższy czas był po temu, bowiem kierowca ochłonął i dodał gazu.

Kierując się nieomylnym instynktem, podróżnicy sadzili jak jelenie prosto w lukę między nadbiegającymi policjantami. Niewątpliwie był to wspaniały bieg i ci spośród berlińczyków, którzy mieli szczęście obserwować ten historyczny akt, twierdzili później z uporem, że to nie uczeni, ale dwaj lekkoatleci, szybkobiegacze wzorem Drobnego i Skoneckiego opuszczali dobrodziejstwa ludowej demokracji.

Nic by nie powstrzymało radcy i doktora w biegu, gdyby nie to, że ślepi z zapału wpadli wprost w objęcia żołnierzy. Silne ramiona zacisnęły się wokół miotających się bezradnie zbiegów. Zaprzestali wysiłków i poddali się losowi, i wtedy podniósłszy oczy doktór stwierdził, że były to objęcia żołnierzy amerykańskich.

— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

Na Victoria Station, wśród tłumów oczekujących przybycia pociągu z kontynentu, wyróżniał się stojący raczej na uboczu komitet powitalny Towarzystwa Badań Naukowych. Był on dwa razy liczniejszy od pożegnalnego; dołączył mianowicie do niego pan Anyżko, z którego sława dzielnych podróżników uczyniła z powrotem wielbiciela doktora Pietruszki. Niestety, trzeba to przyznać ze smutkiem, oprócz tych dwojga wiernych nie było żadnego przedstawiciela, żadnych czynników naszej emigracji. Rzecz naturalna, tubylcy zalegający peron przybyli tu dla własnych powodów.

Kiedy doktór a radcą stanęli wreszcie na peronie nieledwie rodzinnej stolicy, wzruszenie ścisnęło im gardła. Nic to, że nie witano ich z należnym szacunkiem, z orkiestrą, z kwiatami; oni nawet woleli pozostać skromnymi podróżnikami, cichymi badaczami, uczonymi, o których mówią ich księgi jeno. Sam fakt, że oto skończyły się trudy, niebezpieczeństwa, gorączka i napięcie Wielkiej Przygody, a oto przed nimi cisza i spokój tej cudownej wyspy, śniadanie z porydżem i siesta przy kominku, i miły sercu deszczyk ciekący z dziurawego dachu stacji wprost za kołnierz; sam ten prosty fakt rozjaśnił serca tułaczy i zstępując ze stopni wagonu w sam nurt spieszących się ludzi, szepnęli jednogłośnie:

— Lovely day.

A oto wreszcie komitet powitalny przebił się przez tłum i stanęła przed nimi panna Aniołkiewicz z pęczkiem anemonów w ręku. A za nią pan Anyżko. Pan radca Ogonkiewicz poczerwieniał, jakby miał pęknąć; doktór prostym, zwykłym mu gestem wyciągnął do dezertera dłoń.

— Mistrzu! — zawołał zdrajca Anyżko ściskając Pietruszkę. W słowie tym zawierało się wszystko I uwielbienie dla sławy, i prośba o przebaczenie. Gorzej było z radcą. Owszem, za przykładem doktora podał i on rękę do zgody, ale znać było, że z trudem hamuje słowa gniewu i pogardy. Identyczne prawdopodobnie z tymi, które trzymał na uwięzi również czerwony jak burak, Anyżko.

— Czy więcej nikt nie przyszedł? — pytał doktór chcąc przerwać niemiły nastrój. — Czy może ktoś z naszego domu?

Panna Leontyna z panem Anyżko milczeli wymownie.

— No, a z Dziennika nikt? — pytał dalej doktór. — Bo w Niemczech gazety przecież szeroko pisały o naszych, że tak powiem, osiągnięciach.

Tu wreszcie Anyżko odzyskał głos:

— Mistrzu, — zaczął — doktorze, a nasz prezesie! Wzruszeni do głębi i przejęci też do głębi, stajemy oto na tej ziemi, wobec... wobec... — i zahartowanemu w przemówieniach redaktorowi zabrakło słów. Sięgnął do kieszeni i wyciągnąwszy Dziennik Polski zaczął czytać:

— Jak mi donoszą moi informatorzy, dwóch Polaków upiwszy się wywołało awanturę w amerykańskiej strefie Berlina, a kiedy zabrano ich na policję, starali się wmówić naiwnym Amerykanom, że uciekli w cudowny sposób z więzienia Enkawude...

Słuchający dotąd z miną żony Lota po stężeniu w słup soli, doktór nie wytrzymał, wyrwał gazetę z rąk redaktorowi i spojrzał sam.

— Naturalnie — stwierdził. — Podsłuchane! U nas wszystko tak! Gdyby teraz oto gdzieś powtórzył się Grunwald, Dziennik zrobiłby z tego bójkę w hostelu!

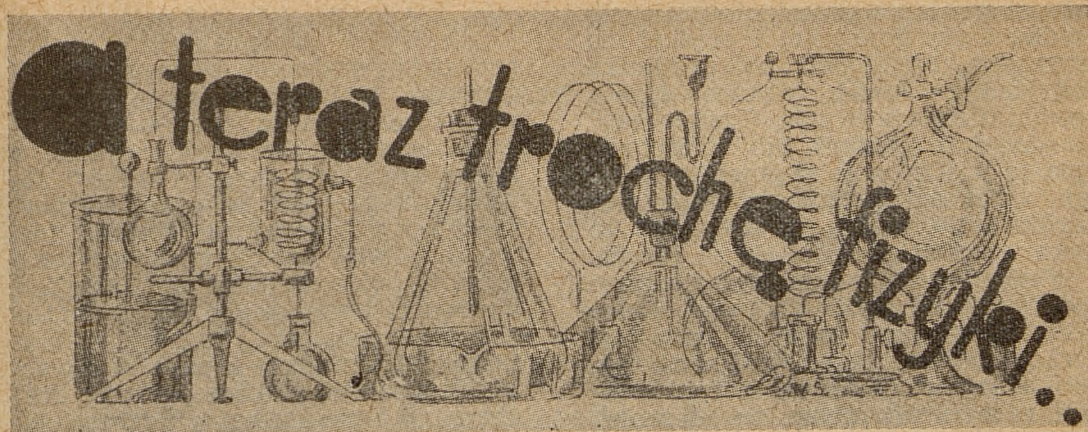
Kazimierz Przerwa-Tetmajer

PRZY MORSKIM OKU

Ty martwa wodo wśród nocnej ciemnoty
Jak ja ci twojej zazdroszczę martwoty!
Gdyby te wszystkie góry do twej fali
Razem runęły: jeszcze ciężar ich
Byłby mniej straszny, niż ten, co się wali
Na pierś człowieczą ciężar przeczuć złych.

Huczą nad tobą burze, martwa wodo,
Płomienną strzałą gromy toń twą bodą,
Ale najdziksza górska nawałnica
Tak nie zatarga twoich głuchych fal,
Jak duszę targa daremna tęsknica
I żal, bezbrzeżny, beznadziejny żal.

Ku głębiom twoim, martwa wodo, ścieka
Wiecznie szumiąca z urwisk stromych rzeka,
Nigdy się szum ten posępny nie zgłuszy,
Nigdy, aż zwali się granitu zrąb — —
Tak wiecznie szumi smutek w mojej duszy
Pełnymi płynąc nurtami w jej głąb.



Kiedy wielki fizyk i matematyk angielski Issac Newton (1643-1727) dokonywał swoich odkryć, wydawało mu się, że jest dzieckiem, bawiącym się błahostkami nad brzegiem morskim. Cieszył się, jak sam mówi, gdy znalazł kamyk gładki lub piękną muszelkę; tymczasem niezmierzony ocean prawdy rozciągał się tajemniczo przed nim.

Spróbujmy zapuścić parę sond w jego głębokie wody: omówimy pokrótce kilka takich błahostek, doświadczeń trochę dziwnych, dających się wykonać przy pomocy najprostszych środków.

A więc, napełniwszy szklankę wodą po brzegi, przykryjmy ją szczelnie tekturką i odwróćmy do góry dnem, przytrzymując oczywiście wieko. Po odwróceniu woda ze szklanki nie wyleje się, choćbyśmy jej od dołu nie trzymali. Potężne prawa ciśnienia kpią sobie z ciężkości! Cóż to jest tego dziwnego faktu przyczyną? Otóż ciśnienie w cieczach i gazach działa nie tylko z góry na dół, ale rozchodzi się jednakowo we wszystkich kierunkach, jak to wykazał Pascal. Ciśnienie powietrza atmosferycznego jest tak wielkie, że równoważy się ze słupem wody wysokości 10 metrów; równoważenie wody w szklance wysokości 10 cm. czyli przytrzymanie tekturki jest dla niego drobnostką. Ten sam fakt pozwala nam, stwarzając próżnię nad wodą, pompować ją przy pomocy studni, on jest podstawą barometru rtęciowego, dzięki któremu mierzymy ciśnienie powietrza i przepowiadamy pogodę. Skoro tylko odrobina powietrza dostanie się pod tekturkę, woda z naszej szklanki wylewa się; robiąc zatem to doświadczenie musimy być ostrożni.

— — — —

Wszyscy zapewne przypominają sobie niebezpieczną i, w ścisłym znaczeniu górnolotną podróż prof. Piccarda balonem do stratosfery, t.j. na wysokość około 15 km. co było całkiem na miejscu w obecnej epoce rekordów. Choć nazewnątrz aluminiowej gondoli balonu panowało nieziemskie zimno, to — jak później opowiadał znakomity stratosferzysta — wewnątrz był tropikalny upał, bardzo utrudniający pomiary naukowe i obserwacje przyrządów. W naszym interesie jest wyjaśnić sobie skąd ten upał, bo przecież wkrótce sami jeździć będziemy na wakacje na księżyc, a może i dalej. Niektórzy z uczonych zajmujących się komunikacją międzyplanetarną podają już nawet rozkłady jazdy.

Nazewnątrz szklanki, z obu stron pomalowanej w czarne paski nalepiamy woskiem szereg szpilek. Wstawiamy w nią świeczkę tak, że płomień jest na wysokości szpilek. „Na rozum" biorąc ciepło przez czarny pasek wolniej dociera do szpilki niż przez czyste szkło, zatem szpilki na czarnych paskach powinny, wskutek topienia się wosku, wcześniej odpaść ze szkła. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie. Czarna powierzchnia daleko

łatwiej wchłania promieniowanie niż gładka i przeźroczysta, i prędzej się rozgrzewa. Termometr, którego kulka pokryta jest sadzą, wskaże wyższą temperaturę niż zwykle. Czarna część powierzchni gondoli prof. Piccarda była za wielka, a że w przestrzeni na tej wysokości promieniowanie jest bardzo silne, przeto nic dziwnego, że naszemu podróżnemu było za gorąco.

Właściwe stosowanie tego ważnego spostrzeżenia jest dla nas chlebem codziennym: w lecie, gdy jest gorąco, nosimy biały strój tenisowy, odbijający promienie słoneczne; w zimie, przeciwnie, modne są „desenie" ciemniejsze. Dyktatorzy mody prawdopodobnie nie zdają sobie sprawy, dlaczego. Ludzie podbiegunowi ubierają się ciemno, podzwrotnikowi, o ile w ogóle mają strój, to jasny.

* * *

Przestrzeń międzyplanetarna jak wiadomo jest próżna, co widocznie nie przeszkadza rozchodzeniu się promieniowania słonecznego. Poza promieniowaniem ciepło może się przenosić i innymi drogami. Najpospolitsza, to unoszenie czyli konwekcja; jeżeli ogrzewamy wodę w naczyniu, wystarczy, by płomień ogrzewał ją w jednym miejscu: ogrzana woda, lżejsza, unosi się ku górze i zabiera dostarczone jej ciepło, stygnąc opada znów i t.d. Ciepło rozchodzi się w ten sposób po całej masie dzięki prądowi wody. Na tym polega działanie kaloryferów wodnych i gazowych.

To samo zjawisko ma miejsce i w gazach. Nad płomieniem świecy lub lampy naftowej tworzy się prąd ciepłego powietrza, unoszącego się ku górze, o czym łatwo się przekonać. Wycinamy z papieru niewielki krążek, po czym rozcinamy go w formie spirali od zewnątrz ku środkowi i zawieszamy tak otrzymaną śrubę papierową na szpilce nad płomieniem. Po chwili śruba zacznie się obracać pod naporem prądu powietrza.

Ciekawym przykładem unoszenia ciepła jest fakt, że można w papierowym naczyniu zagotować wodę. Papier nie zapala się, a nawet nie zwęgla, gdyż woda unosi szybko ciepło, dostarczone jej przez płomień.

* * *

Jak wyżej wspomnieliśmy powietrze atmosferyczne wywiera pewne ciśnienie. Wielkość jego ma znaczny wpływ na zjawisko wrzenia wody. W warunkach zwykłych temperatura, w której woda wrze wynosi 100 Celsj. Jeżeli ciśnienie jest mniejsze od normalnego, temperatura wrzenia jest niższa. A więc np. na wysokości 3.250 metrów, gdzie ciśnienie jest mniejsze, wystarczy wodę ogrzać do 90 stopni, aby się zagotowała. Proste doświadczenie może nam to okazać: w otwartym naczyniu gotujemy wodę dość długo, po czym usuwamy płomień, zamykamy otwór i, odwróciwszy naczynie, oblewamy je zimną wodą. Część pary w naczyniu skrapla się, wobec czego ciśnienie nad wodą zmniejsza się: woda zaczyna znów wrzeć. Można to powtórzyć kilka razy.

Można nawet zagotować wodę bez ogrzewania: umieszczamy wodę pod kloszem, z którego pompą usuwamy powietrze. Skoro ciśnienie dostatecznie zmniejszymy, wodna zacznie wrzeć w temperaturze pokojowej to jest około 18 stopni! Tak ugotowana woda oczywiście zawiera jeszcze bakterie i inne drobnoustroje, które zabić można jedynie ogrzewając ją do 100 stopni.

* * *

Nakoniec trochę elektryczności. Doświadczenie, które opiszemy, da się wykonać przy pomocy prądu stałego. W naczyniu zawierającym wodny roztwór siarczany miedzi koloru niebieskiego zanurzamy blaszankę miedzianą i np. monetę niklową. Miedź łączymy przez żarówkę z dodatnim, nikiel z ujemnym biegunem kontaktu. Następuje elektroliza roztworu: po krótkim czasie nikiel pokrywa się miedzią. Jeżeli monetę niklową pokryjemy z jednej strony woskiem a z drugiej sproszkowanym grafitem, to po pewnym czasie oderwawszy warstwę miedzi otrzymamy miedzianą kopię monety. Przez ponowne zanurzenie kopii do roztworu otrzymamy w ten sam sposób dowolną ilość odbitek. Doświadczenie to dobrze jest znane wszystkim fałszerzom monet.

St. D.

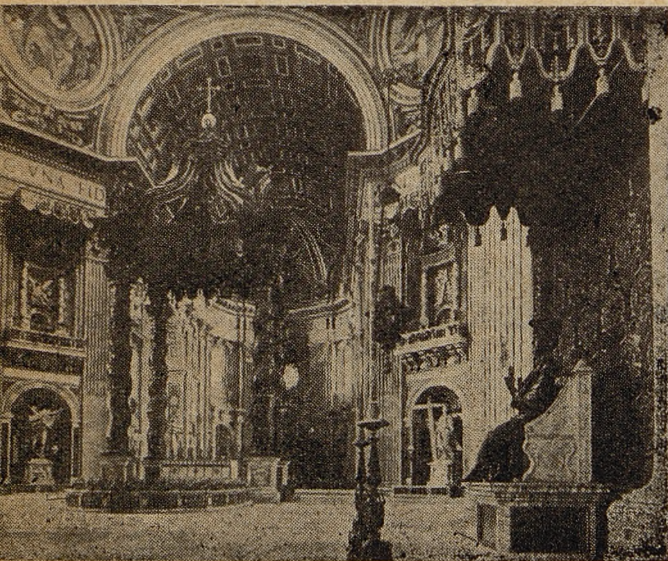
GRÓB ŚWIĘTEGO PIOTRA

DNIA 19 grudnia 1951 wręczono Papieżowi Piusowi XII pierwszą kopię monumentalnego dzieła w 2 ogromnych tomach p. t. „Esplorazioni sotto la Confessione di San Pietro in Vaticano". (Badania pod Konfesją św. Piotra). Dzieło to zawiera sprawozdanie oficjalne z badań archeologicznych, prowadzonych przez dziesięć lat (1940 — 1950) w podziemiach Bazyliki. Jest to wydarzenie wielkiej wagi dla katolików.

Prace wykopaliskowe zaczęły się w 1940 r. Jakaż była ich przyczyna? Pius XII jako Papież po raz pierwszy zeszedł, według zwyczaju, do grot watykańskich w wigilię świętych Piotra i Pawła — 28 czerwca 1939 r. Wtedy to wydał polecenie sekretarzowi Papieskiej Komisji Archeologicznej, ks. prał. Carlo Respighi rozpocząć prace nad odnalezieniem grobu św. Piotra. Przez dziesięć lat trwały te badania wśród ogromnych trudności technicznych i przeszkód wojennych i powojennych. Kierowali badaniami czterej znawcy tych zagadnień: P. Antonio Ferrua, S. J., P. Engelbert Kirschbaum, S. J. i dwaj świeccy profesorowie archeologii: Enrico Jossi i inż. Bruno Appoloni Ghetti.

SKROMNY GRÓB Z I WIEKU

Św. Piotr zginął śmiercią męczeńską za czasów Nerona w r. 67 (według innych w r. 64) i został pochowany przez wiernych na wzgórzu watykańskim. Niedaleko był cyrk zbudowany przez Kaligulę, ogrody Nerona, sławne z męczeńskiej śmierci licznych chrześcijan, o których mówi Tacyt. Do tych męczenników należał i św. Piotr. Byli oni według ustaw Neronowych przestępcami, ludźmi pogardzanymi. Św. Piotr jako obrzezany był tym większym przestępcą i nie miał prawa pogrzebu. Nie można się więc dziwić, że grób św. Piotra w I wieku był bardzo skromny. Był to prosty dół (mogiła ziemska), wykopany w połowie pagórka watykańskiego, przykryty prostą dachówką (płytą ceglaną). Grób ten nie miał żadnego napisu. Napis bowiem można było umieścić tylko na terenie prywatnym. Wszystkie groby najstarsze znalezione na wzgórzu watykańskim są do siebie podobne.



Wnętrze Bazyliki św Piotra. W środku „konfesja", ołtarz papieski, pod którym znajduje się grób św. Piotra.

Pagórek był polem państwowym, „ager publicus", praktycznie nie należącym do nikogo. Pole to nie było wtedy jeszcze cmentarzem. Toteż wierni pochowali tu św. Piotra cicho i skromnie. Miejsce to jednak było otoczone wielką czcią. Wierni chcieli leżeć blisko Pierwszego Papieża. Zatem już w I wieku w pewnym oddaleniu wybudowali dalsze trzy groby (cegły mają pieczęć z czasów Wespazjana, lata 69 — 79). W II wieku doszły inne groby chrześcijańskie, a wszystkie razem otaczają grób św. Piotra jakby wiencem (rys. 1.).

POMNIK GAJUSA — „TROFEO GAI" — II WIEK

W połowie II wieku cała pochyłość wzgórza watykańskiego zaczyna się pokrywać grobami. Są to już piękniejsze, ozdobne mauzolea pogańskie różnych rodzin bogatszych np. Matucci. Cegły tych grobów mają pieczęcie z II wieku (ok. 160), imiona Marka Aureliusza (który był cezarem od 140 — 161, a imperatorem od 160 — 180) i jego żony Faustyny Augustyny (była żoną od 147 r.).

Aby oddzielić święte dla chrześcijan miejsce od cmentarza pogańskiego, aby uchronić przed uszkodzeniem, czy innym niebezpieczeństwem, zbudowano ok. r. 160 z tyłu mur **„muro rosso"** i odgrodzono pole chrześcijańskie. (Prawdopodobnie uczynił to jakiś możny opiekun.) Mur ten (rys. 1) miał prawie 50 cm grubości i ponad 250 wysokości. W murze zrobiono małą niszę, wgłębienie 72 cm szerokie, 21 cm głębokie i 140 cm wysokie. Jest ona nieco wyżej poziomu gruntu i jakby otacza Grób św. Piotra. Pod tą niszą jakieś 1 i pół metra niżej spoczywało święte ciało pierwszego Papieża.

Podobne nisze znajdują się w starożytnych grobowcach pogańskich i chrześcijańskich. Mamy je i na wzgórzu watykańskim. Poganie stawiali tam urnę — wazę — amforę — z prochami zmarłego albo jakąś figurę czy

popiersie zmarłego. Czasem figura ta stała pod daszkiem w górnej części niszy. Chrześcijanie nie palili zwłok, nisza ta więc była raczej ozdobą.

„Trofeum“ Gaiusa umieścili w środku absydy (presbyterium) bazyliki i zamknęli je we wspaniałej, monumentalnej jakby kaplicy (domku). Do wnętrza tego domku z białego marmuru prowadziły tylko małe drzwi z przodu. Dokoła domku postawił Konstantyn drogocenne kolumny, a nad domkiem wzniósł piękny baldachim.

ŚREDNIOWIECZE

Przy końcu VI wieku papież Grzegorz Wielki (590 — 604), reformator liturgii, chciał nad grobem pierwszego Apostoła zbudować stały ołtarz. W tym celu podwyższył teren presbyterium, tj. zasypał boki domku Konstantyna W. i na nim kazał postawić ołtarz. Kolumny zaś ustawił na froncie. On też kazał z tyłu grobu apostolskiego zrobić kryptę i w niej mały ołtarzyk. Jest to t.zw. mała konfesja, przy której również odprawiano często Msze św. Przy końcu XVI w. pap. Klemens VIII zamienił tę kryptę na kaplicę — „Cappella Clementina“, a mały ołtarzyk powiększył i bogato ozdobił.

W VIII i IX wieku barbarzyńcy napadli na Rzym i plądrowali w Wiecznym Mieście. Nie oszczędzili również i bazyliki św. Piotra, szukając tam skarbów. Ślady ich pobytu, t.j. zniszczenia, widoczne są w podziemiach bazyliki. W XII w. papież Kalikst II (1119 — 1124) powiększył ołtarz Grzegorza W., odrestaurował go i ozdobił wspaniałymi płytami malachitu.

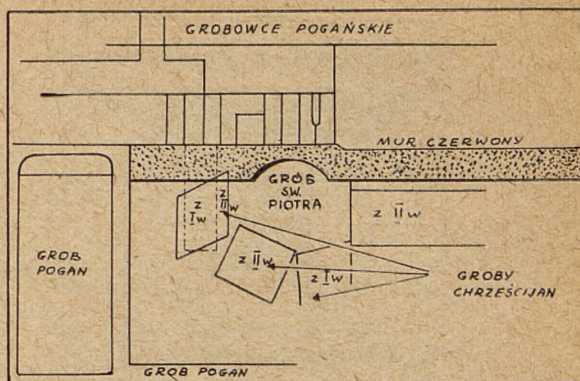
OBECNA BAZYLIKA XVI — XVII WIEK

Wreszcie ostatniej największej przebudowy dokonano za czasów Renesansu. Zasypano wówczas ślady starożytności i na nich zbudowano nową, potężną bazylikę. Za pontyfikatu kilku papieży XVI wieku pod kierownictwem słynnego architekta Bramante, potem Michała Anioła, przez długie lata budowano największy kościół świata (185 m długości). Cały teren podwyższono o 3 metry, wybudowano nowe fundamenty i na nich nową posadzkę. Przestrzeń zaś między poziomem posadzki obecnej (nowej) a posadzki bazyliki Konstantyna W. częściowo zasypano i zamurowano.

Michał Anioł przy końcu XVI w. wykonał wspaniałą kopułę, królującą odtąd nad grobem św. Piotra. Papież Klemens VIII (1592 — 1605) kazał postawić obecny wielki ołtarz, t.zw. „Confessio Sancti Petri“, nad którym wznosi się przepiękny baldachim Berniniego, zbudowany z brązu w r. 1633 (29 m wysoki, 700 ton wagi).

Za Urbana VIII (1623 — 1644) wykończono wreszcie olbrzymie dzieło i papież poświęcił w r. 1626 nową bazylikę.

Przez 17 wieków święte miejsce grobu pierwszego Papieża przechodziło różne przekształcenia od prostego dołu pokrytego ce-



Rys. 2.

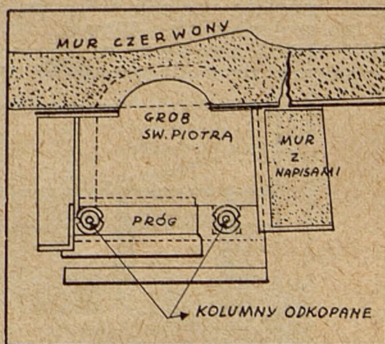
glaną płytą aż do dzisiejszej wspaniałej bazyliki. Zawsze jednak było szanowane i czczone przez wiernych. Tradycja kultu św. Piotra była nieprzerwana. Świadczą też o tym znalezione monety (ok. 1500 sztuk) z różnych czasów, od II do XVII w., z różnych krajów, diecezji, które wierni rzucali św. Piotrowi na ofiarę, by oddać mu hołd.

Przez 19 wieków istniała nieprzerwana tradycja o istnieniu grobu św. Piotra na Watykanie. Dziś tradycja ta otrzymała naukowe, archeologiczne potwierdzenie.

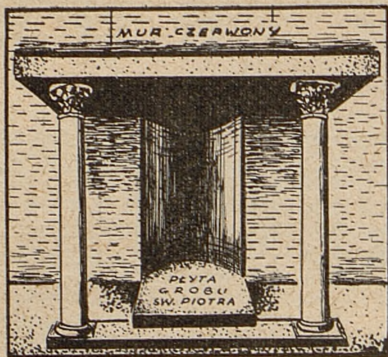
CO ZNALEŹLI ARCHEOLODZY?

1. C m e n t a r z p o g a ń s k i z II i III w., charakterystycznych grobów ozdobionych różnymi dekoracjami, ciągnącymi się pod posadzką bazyliki Konstantyna W. aż do miejsca, gdzie dziś znajduje się kaplica Najświętszego Sakramentu (w obecnej bazylice). Teren tych grobów sięga w głąb 9 m poniżej poziomu obecnej posadzki.

2. Liczne c z ę ś c i murów kaplicy — domku Konstantyna W.: — tylną płytę z białego marmuru oprawionego porfirem (nad nią jest ołtarz pap. Kaliksta II); części kolumn i murów bocznych, fundamenty absydy.



Rys. 1.



Rys. 3.

3. Zauważono również ś l a d y z m i a n dokonanych przez Grzegorza W., resztki ołtarza .

4. Idąc dalej i głębiej uczeni natrafili na resztki grobów chrześcijańskich, otaczających półkolem grób św. Piotra. Niektóre pochodzą z II w., 3 zaś są z I wieku (mają bowiem, jak już mówiliśmy, pieczęcie z czasów Wespazjana). Fundamenty ich przechodzą pod grobami późniejszymi z II w. ok. 1.80 m poniżej i pod t.zw. „muro rosso", który jest zbudowany ok. r. 160.

5. Tu znaleźli prostokątną przestrzeń, zamkniętą w sobie — miejsce święte, w którym można stwierdzić resztki t.zw. „Memoria Apostolica", t.j. grobu św. Piotra z nagrobkiem późniejszym.

Nisza ta stała się centrum pięknej konstrukcji architektonicznej t.zw. **„Trofeo Gai"** (Tropaeum Gaii) (rys. 2 i 3). Do tzw. „muro rosso" wmurowano płytę marmurową (z trawertynu) — 178 cm długości, ponad 1 m szerokości i 11 cm grubości, która tworzyła jakby dach i spoczywała na 2 kolumnach korynckich. Na dole między kolumnami znajdował się wspaniały marmurowy próg (rys. 3). Ziemia naokoło pomnika tego była wybrukowana i pokryta mozaiką. Cały ten monument zamknięty był z frontu i z boku murem. Ten kto chciał wejść do środka nagrobka, mógł to uczynić tylko na czworakach lub czołgając się. Wierni, którzy tu chodzili, klękali przed murem bocznym, zbudowanym przy prawej kolumnie w III wieku i często pisali na nim ostrzem żelaznym, t.zw. grafitem, swe imiona czy inne wezwania.

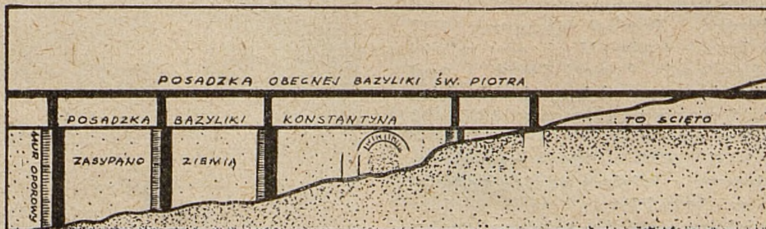
Mamy notatkę u historyka Euzebiusza z Cezarei (Hist. Eccl. II, 25, 7), że przy końcu II wieku, za czasów papieża Zefiryna (199 - 217) żył w Rzymie niejaki kapłan Gaius. On to, chcąc wykazać pochodzenie apostolskie nauki katolickiej, napisał przeciw nowinkarzom, że może im pokazać pomniki Apostołów: „Jeśli pójdziecie na Watykan, na drogę Ostyjską to znajdziecie tam groby, „trofea" założycieli Kościoła". „Trofeum" oznacza pomnik zwycięstwa. Męczennik bowiem, nad którego grobem wznosiło się „trofeum", przez ofiarę swego życia osiągnął chwałę wieczną.

Wykopaliska i inne dane historyczne udowadniają więc, iż już w połowie II wieku istniał w Kościele oficjalny kult męczenników, który potem w III wieku tak silnie rozwinął się w katakumbach.

ŚW. PIOTR W KATAKUMBACH III WIEK

W połowie III wieku, w czasie okrutnych prześladowań za cesarza Waleriana (253 — 260) i potem za Dioklecjana (284 — 305) parafialne cmentarze chrześcijan zostały skonfiskowane. Zabroniono im odprawiać nabożeństwa liturgiczne nad grobami Męczenników. Chrześcijanie wtedy przede wszystkim pragnęli uchronić święte i czczone szczątki Apostołów, świętych Piotra i Pawła przed profanacją i postanowili je przenieść na drogę Appijską na cmentarz prywatny. Na prywatnych miejscach bowiem wolno było się gromadzić. Na tej drodze był cmentarz, zwany później św. Sebastiana. Tu bowiem za czasów Dioklecjana (pocz. IV w.) pochowany został św. Sebastian. Miejsce to otrzymało nazwę „in catacumbas" z greckiego języka „kata kumbos" = w (przy) dolinie. Tutaj to złożono czasowo święte ciała Apostołów. (Archeolodzy twierdzą, że prawdopodobnie przeniesiono tylko część kości, reszta została na dawnych miejscach.) Znaleziono skrzynkę z białego marmuru, wmurowana w mur boczny, ochronny, z napisami, należący do pomnika Gaiusa. Skrzynka ta zawiera relikwie św. Piotra. Są to prawdopodobnie te z katakumb św. Sebastiana, które cesarz kazał tu wmurować, a samego grobu nie ruszał.

O obecności św. ciał świadczą tam liczne napisy na ścianach z III wieku w języku greckim i łacińskim.



Rys. 4.

BAZYLIKA CESARZA KONSTANTYNA IV WIEK

Gdy skończyły się prześladowania, gdy nastąpił pokój dla Kościoła (po edykcie mediolańskim — r. 313), Konstantyn Wielki kazał przenieść czcigodne szczątki Apostołów na swe dawne miejsca. Przeniesienie tych ciał było faktem doniosłym ze względu na wyjątkową cześć oddawaną Apostołom. Ciała innych Męczenników były przenoszone znacznie później (głównie w IX w.).

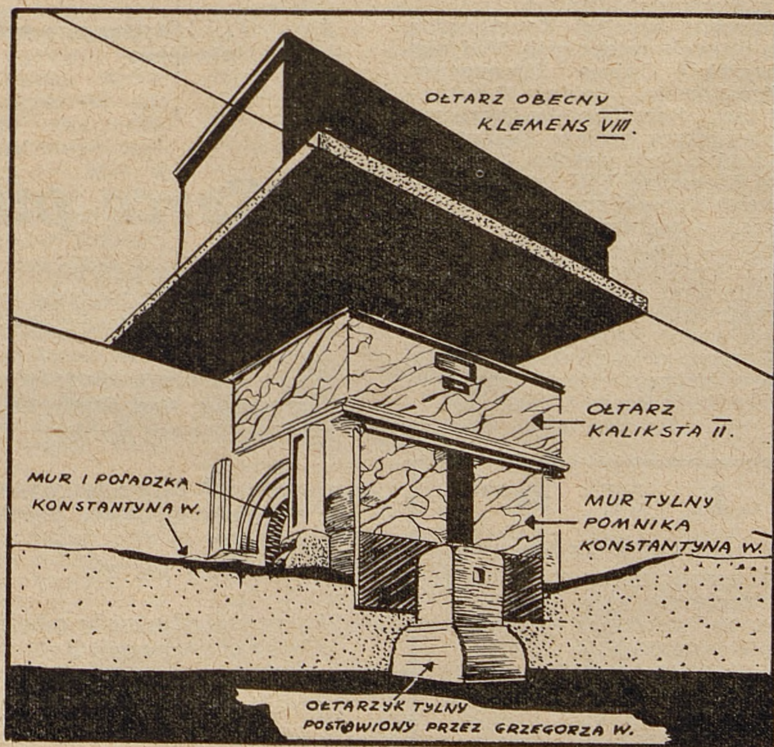
Konstantyn W. postanowił zbudować bazylikę nad grobem św. Piotra. Nie było to rzeczą łatwą. Teren był nieodpowiedni. Grób bowiem był w środku stromej pochyłości wzgórza, a na całej przestrzeni rozsiane były groby i mauzolea pogańskie. Trzeba było zniwelować teren, ściąć górną część wzgórza, a zasypać dolną (przenieść 40.000 m kub. ziemi) i w ten sposób wyrównać ziemię. Konstantyn W. miał wielką cześć dla św. Piotra i nie wahał się przezwyciężyć wszelkich trudności, aby nad samym grobem w miejscu ściśle określonym wznieść swą bazylikę (w połowie tak duża jak obecna). Architekci cesarscy zbudowali więc na stoku wzgórza grube, wysokie mury oporowe (ostatni, najdalszy mur przeszło 7 m wysoki), przestrzeń wolną wypełnili ziemią i zasypali grobowce pogańskie, a na tych murach oparli posadzkę nowej bazyliki (rys. 4).

Przestrzeń ta oddzielona jest z jednej strony grubym murem czerwonym, „muro rosso", z drugiej i trzeciej murami grobów pogańskich. Tylko z północnej strony jest dostęp do tej przestrzeni. Do grobu św. Piotra prowadziła specjalna droga, tak iż chrześcijanie mieli swobodny dostęp i mogli przychodzić tu składać hołd Księciu Apostołów. Główna ulica biegła poza murem czerwonym do grobów pogańskich.

6. W środku tej przestrzeni oparty o „muro rosso" stał pomnik Gaiusa t.zw. „tropaeum Gaii". Znaleziono części tego pomnika: części kolumn z białego marmuru, większą część grubej płyty z trawertynu (daszku) i pół dolnej płyty między kolumnami czyli progu, a także część niszy w murze czerwonym. Stwierdzono tu także resztki pięknej posadzki pokrytej mozaiką.

7. Przy prawej kolumnie pomnika natrafiono na mur boczny, wzmacniający, ochronny, zbudowany w III w. — ok. 50 cm grubości; na którym odczytano różne napisy, imiona, wezwania, pisane rylcem, ostrzem żelaznym (np. Victor, Gaudentia, Vivas in Christo).

W murze tym — jak mówiliśmy już — znaleziono wmurowaną skrzynkę, zawierającą relikwie św. Piotra. Są to prawdopodobnie te ze św. Sebastiana, które tu kazał przechować Konstantyn W. Wewnątrz ołta-



rza Kaliksta II znaleziono również podobną skrzynkę narmurową z relikwiami św. Piotra.

8. Odkopano ok. 1100 monet (w tym ok. 200 francuskich) z różnych czasów i krajów, potwierdzających nieprzerwany kult św. Piotra.

9. Pod nagrobkiem Gaiusa ok. 150 cm poniżej znaleziono grób, a na krawędzi grobu kilka kości ludzkich.

Czyje to kości? Do kogo należą?

To trudno udowodnić. Można tu tylko nadmienić, że przecież przez tyle wieków nie mogło zostać wiele z ciała św. Piotra. Pochowany był według zwyczaju bez trumny, owinięty tylko w prześcieradło, w wilgotnej ziemi. Po 200 latach — w połowie II wieku — chrześcijanie przenieśli szczątki (prawdopodobnie niewiele kości) do katakumb potem znowu z powrotem na Watykan. W średniowieczu napady barbarzyńców uszkodziły grób. Część tych świętych relikwii otrzymały i inne kościoły — n.p. kościół św. Jana na Lateranie cząstki głowy — a małe cząsteczki prawdopodobnie i inne kraje. Jakżeż więc mała ilość tych świętych kości musiała pozostać na miejscu!

WAŻNE STWIERDZENIE

Te mozolne i długotrwałe badania archeologiczne pozwoliły architektom zrekonstruować pierwotne budowle, mauzolea i groby dokoła grobu św. Piotra i ustalić z naukową pewnością, że pod dzisiejszą konfesją jest miejsce grobu Pierwszego Papieża.

Poniżej posadzki bazyliki Konstantyna Wielkiego znajduje się święty grób. Nad nim wznosi się nagrobek Gaiusa („tropaeum Gaii") i kaplica-domek — cesarza Konstantyna W. Nad tym ołtarz papieża Grzegorza W. Nieco wyżej ołtarz papieża Kaliksta II i wreszcie nad nim, dość wysoko, dzisiejszy ołtarz papieża Klemensa VIII (rys. 5). Nad tym zaś ołtarzem panuje wspaniały baldachim Berniniego, a wysoko w górze kopuła Michała Anioła — wszystko to w jednym pionie sławi pamięć Pierwszego Papieża.

Dotąd mówiła nam o tym wiara i tradycja, teraz potwierdziła to wiedza archeologiczna. To jest ważne stwierdzenie, mające znaczenie dla całego świata katolickiego. To jest też jedno z najważniejszych wydarzeń za czasów pontyfikatu Papieża Piusa XII.

Ks. Stanisław Jezierski

Stefan Legeżyński

DWA WIERSZE Z DROGI DO POLSKI

Wiersze poniższe opowiadają o wrażeniach z lat uchodźczych. Pierwszy o szpakach Iraku, które latem przebywały w Polsce zimą wracały na Środkowy Wschód, drugi o katastrofie lotniczej w Londynie w ubiegłym roku. Tak widzi Polak wydarzenia obce przez własny pryzmat.

Szpaki

Na namiotowych linach wrzeszczą
głośno szpaki,

Sypię im chleb, bo kocham te
wędrowne ptaki.

Gdy wrócą z wiosną, może który
z nich się zwierzy,

Że jadł chleb rzucany ręką polskich
żołnierzy.

Irak 1942.

Serce pilota

To był on, na pewno
szukał drogi napróżno
w tej srebrnej śmierci —

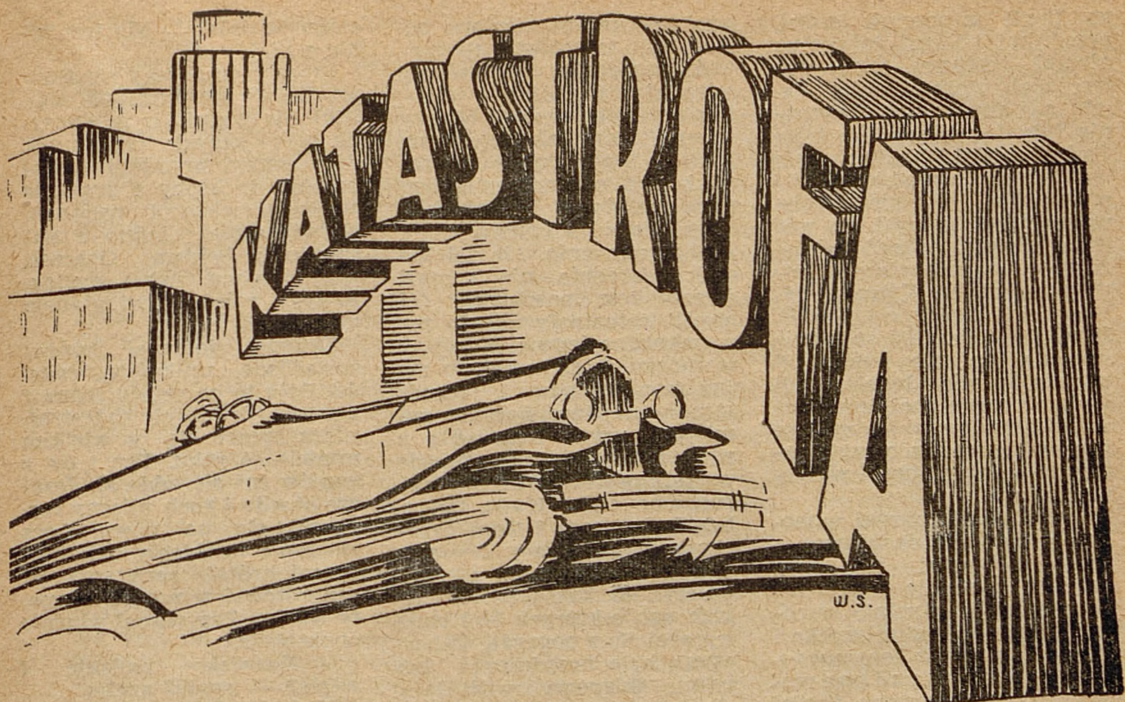
długo warczały motory
nade mną, nad dachami
nad milionem dachów

i serca ich biły wtedy jeszcze
a najgłośniej serce pilota,
słyszałem je
we własnej piersi.

A rano kiedy mgła odpłynęła
gdzieś w nieznaną dal

spadło na miasto 32 krzyży
z gazety szpalt.

Londyn 1952.



Fragment powieści E. MARSHALLA
Tłumaczył Jerzy MARLICZ, ilustrował W. S.

TEGO sierpniowego wieczoru okoliczności sprzysięgły się wyraźnie przeciw Nedowi Cornet. Żaden szczegół sam przez się nie miał głębszego znaczenia. Siąpił co prawda leniwy, monotonny deszcz — lecz w Seatle plucha bywa nader często. Ned Cornet mile spędzał czas w klubie Totemu, nie robiąc nic specjalnie dobrego ani złego, co zgadzało się zresztą w zupełności z jego zwyczajami. Wreszcie, Neda przyjaciel od serca Rodney Coburn wrócił właśnie z jednej z dalekich swych podróży — tym razem znad obfitującej w łososie rzeki kanadyjskiej.

Dwaj druhowie zasiedli zatem w zacisznym salonie klubowym, zaś lokaj przyniósł wiaderko z lodem i wysokie kieliszki. Coburn nie wrócił z Kanady z pustymi rękoma. Prócz lubych wspomnień o dygocącej w garści wędce i o pięknych rybach pędzących nakształt wyścigowców w dół spienionych porohów — przywiózł rzecz namacalną: sporo ciemnych flaszek napełnionych doborowymi trunkami. Częściowo by uczcić powrót przyjaciela, częściowo zaś ze względu na powodzenie jakie towarzyszyło mu w podróży — Ned zwiększył zwykłą przedobiednią porcję alkoholu. Zamiast dwu mocnych cocktaili — wypił cztery szklanki whisky z wodą sodową, zaś wychodząc z klubu natknął się na deszcz.

Wcale się tym nie przejął. Nie myślał nawet o pogodzie. Mżyło zresztą raczej, niż padało; wiszące w powietrzu krople zgęszczały mrok wieczorny, zaś światła latarni płonęły niby za mgłą. Ned Cornet wszelako czuł błogie, wewnętrzne ciepło. Nie dostrzegł szarugi; nie zauważył także, iż maszyna jego pracuje w tempie zbyt przyspieszonym, przekraczając znacznie miare dozwoloną na ulicach miasta.

Cornet nie był właściwie mówiąc pijany. Paroletni trening do tego stopnia wzmocnił mu żołądek, że bez szkody wyraźnej mógł wchłonąć około ćwierci litra zwykłego spiritusu — ilość wystarczającą do zabicia wielu niższych kręgowców. Jako zwierzę, stojące na wyższym stopniu rozwoju — Ned zdumiewająco łatwo zwalczał działanie trucizny. Poczerwieniał tylko trochę i powesełał; oczy mu błyszczały nakształt okruchów tłuczonego szkła. Dla spieszącego po chodnikach tłumu czuł wyraźna sympatię. Dłonie prowadziły auto szybko i pewnie. W razie potrzeby, uważając by nie chuchnąć, Ned potrafił przecie wmówić matce, że nie miał w ustach nawet jednego kieliszka. Ale w błogim stanie rozmarzenia i beztroski jakże miał zważać na śliską od wilgoci jezdnię i głupie przepisy policyjne.

Lecz dobry humor trwał niestety krótko. W jakimś mgnieniu tak błyskawicznym, że przypominało raczej incydent senny, sytuacja uległa zmianie radykalnej. Ned co prawda siedział nadal przy kierownicy, ale samochód je-

go tkwił w poprzek jezdni, przednimi kołami dotykając niemal trotuaru. Ned wytrzeźwiał momentalnie. Zaszło coś strasznego. Zawrotnie ścinając wiraż na rogu Czwartej Alei i Madison, wóz wyślizgnął się spod kontroli i w tej chwili właśnie najniepotrzebniej pojawił się wóz inny, również pojazd mechaniczny Ned nie odczuł zbytniego wstrząsu. Wszystko odbyło się łagodnie i powoli. Hamulce wykonały sprawnie włożoną na nie pracę. W mdłym świetle ludzie mieli twarze prawie obojętne. Lecz wtem strach niby ostry grot przeszył serce Neda, aż mężczyzna jednym susem wyskoczył z auta.

Ned Cornet miewał samochody do swej dyspozycji o wiele wcześniej, niż było rozsądnym mu je powierzać. Nawet będąc zupełnie trzeźwy jeździł stale zbyt szybko i niedość ostrożnie, lecz równocześnie panował nad swą maszyną po mistrzowsku. Umiał wybierać dla kół szlak odpowiedni na drodze najbardziej wyboistej i wiedział dokładnie, pod jakim kątem wolno brać zakręty. Obecnie, jakkolwiek dobrze podhumorzony, wykazał również sprawną rękę. Nie to więc było dziwne, że się z innym samochodem zderzył, lecz to raczej, iż zderzenie nie pociągnęło za sobą gorszych skutków.

Rozpaczający skądinąd ojciec mógłby czerpać pewną pociechę z faktu, iż Ned w chwili niebepieczeństwa nie stracił głowy, lecz przeciwnie, użył kierownicy i hamulców w jedyny w danej okazji rozsądny sposób. Gdyby nie ta fortunna okoliczność, oba auta rozbiłyby się w drzazgi i wątpliwe, czy z pasażerów ktokolwiek by ocalał. Świadkowie wyczynu Neda nie zamierzali jednak składać mu powinszowań. Rezultat kawalerskiej jazdy mimo wszystko okazał się dość smutny. Ned spostrzegł zaraz, iż pośpiech jego w powrocie do domu na obiad, kosztować będzie przypuszczalnie życie ludzkie.

Na wilgotnej jezdni, tuż obok poszkodowanego wozu, leżała dziwacznie skulona postać. Była to kobieta; spoczywała bez ruchu, do połowy osłaniając ramieniem śmiertelnie bladą twarz. Gnany przerażeniem tak okropnym, jakiego nigdy dotąd nie zaznał, Ned skoczył przebiegł parę metrów i runął obok swej ofiary na kolana.

Miał wrażenie, że miękki stuk zderzenia nie zamarł jeszcze w powietrzu. Od chwili katastrofy minęło parę sekund zaledwie, a jednak w mózgu Neda skłębiło się już moc obrazów i uczuć: strach obłędny, wyrzuty sumienia, pewne fragmenty z własnego życia. Lecz przede wszystkim widział drobne nieruchome ciało, bladą twarz, bezwładne ręce i tłum przechodniów spieszący zewsząd.

Wóz, z którym się zderzył, należał do kategorii taniutkich aut, o których Ned stale wyrażał się z pogardą. Dziewczyna była urzędniczką lub panną sklepową wracającą do domu po pracy całodziennej. Pełen grozy lecz wzmocniony na duchu i ciele sama już koniecznością czynu — Ned uniósł nieco głowę i ramiona dziewczęcia.

W życiu zadowolonego z siebie, rozleniwionego paniczyka była to chwila nader przykra Po raz pierwszy przyglądał się z tak bliska ciemności którą ludzie zowią śmiercią; cień jej spłynął mu na oczy, aż przybrał rozór czarnych dziur, jakże różnych od błyszczących źrenic pijanego birbanta Pochylony z rozpacza w sercu Ned obserwował bladą twarz swej ofiary.

Zdaniem Neda czas wlókł się nieznośnie: w istocie leciał nader szybko. Można go było zresztą liczyć dopiero na sekundy. Nie wszyscy pasażerowie drugiego auta zdążyli nawet wysiąść. Lecz wtem dziewczyna podniosła powieki i uśmiechnęła się do Neda.

— Nic mi nie jest! — odparła, w odpowiedzi zapewne na jakieś bezsensowne jego pytanie. Uśmiechając się wciąż jednocześnie poruszyła głową. — Wiem co mówię! — ciągnęła dalej — Nie jest mi nic a nic!

Przez gromadzący się tłum przeleciało westchnienie ulgi. Nikt nie wątpił, iż dziewczyna mówi prawdę. Głos o tak dźwięcznym brzmieniu mógł należeć do osoby o zupełnie zdrowym ciele i nerwach. Najwidoczniej jedno z aut trąciło ją bokiem. Obecnie, przy pomocy tuzina wyciągniętych rąk, szybko stanęła na nogach.

Dramat dobiegał końca; szczęśliwie uniknięto tragedii. Była to po prostu jedna z tysięcy drobnych katastrof zdarzających się w wielkim mieście co roku. Ten i ów z gapiów już się oddalał. Jeszcze chwila i ruch uliczny rozpoczął się na nowo. Lecz spiesznie nadbiegły policjant rzucał krótkie zapytania, oraz notował w notesie numery wozów Przystanął właśnie obok Neda.

— Nazwisko pańskie i adres? — spytał sucho.

Ned skręcił w miejscu, po raz pierwszy odrywając wzrok od twarzy dziewczyny.

— Ned Cornet! — odparł, po czym podał adres domu ojca na Wzgórzu Królowej Anny.

— Proszę się stawić jutro rano przed sędzią Rossmanem! — rozkazywał przedstawiciel prawa. — Poszkodowany właściciel auta prześle panu rachunek. Radzę zapłacić...

— Zapłacę — pokornie zgodził się Ned. — Dołożę też chętnie dwadzieścia dolarów za stratę czasu.

— Ta młoda dama twierdzi, że nic jej nie jest — ciągnął policjant dalej. — W każdym razie to, że wyszła cało, nie stanowi dla pana bynajmniej okoliczności łagodzącej. Jeśli zechce podać do sądu, świadków znajdzie dość.

— Postaram się sprawę załatwić ugodowo! — obiecywał Ned. Przyjaźnie zwrócił się do dziewczyny, a twarz jego, rozjaśniona nieśmiałym uśmiechem stała się naraz bardzo młoda i pociągająca.

— Zechce pani wsiąść do mego auta. Zawiozę panią do

domu, zaś w drodze porozmawiamy.

Przedarli się z trudem przez krąg ciekawej gawiedzi. Ned uprzejmie pomógł dziewczynie zająć miejsce na wygodnym siedzeniu potężnego auta i już w chwili następnej gładko sunęli jezdnią w korowodzie innych wozów.

— Wielki Boże! — westchnął mężczyzna. — Gdyby tłum z punktu dokonał na mnie samosądu, wcale bym się nie zdziwił. Dokąd jedziemy teraz?

Wskazała drogę, wiodącą od Madison ku skromnej, lecz przyzwoitej dzielnicy.

— To doprawdy pyszne — rzekła potem — że pan się właśnie zjawił. Nie często mi się zdarza dojechać aż przed same drzwi!

— Pyszne? Gdyby nie wyjątkowy zbieg okoliczności jechałaby pani teraz nie do domu, lecz do szpitala. Przyjmuję na siebie wyłączną odpowiedzialność za cała te katastrofe. Może więc ustalimy odszkodowanie za zniszczoną sukienkę i... resztę. Ale, przede wszystkim, czy na pewno nie potłukła się pani zbytnio?

Zdziwił go nieco wesoły uśmiech wokół jej ust.

— Ani odrobinki. Byłoby rozkosznie pójść do szpitala na tydzień lub dwa, poleżeć, wypocząć — ale sumienie nie pozwala mi udawać chorej. Nawet nie jestem draśnięta — po prostu wywróciłam się i już. Sądzę, że suknia również nic pana kosztować nie będzie. To nie byłoby uczciwe, gdybym coś od pana wzięła...

— Ależ ja stanowczo zapłacę!

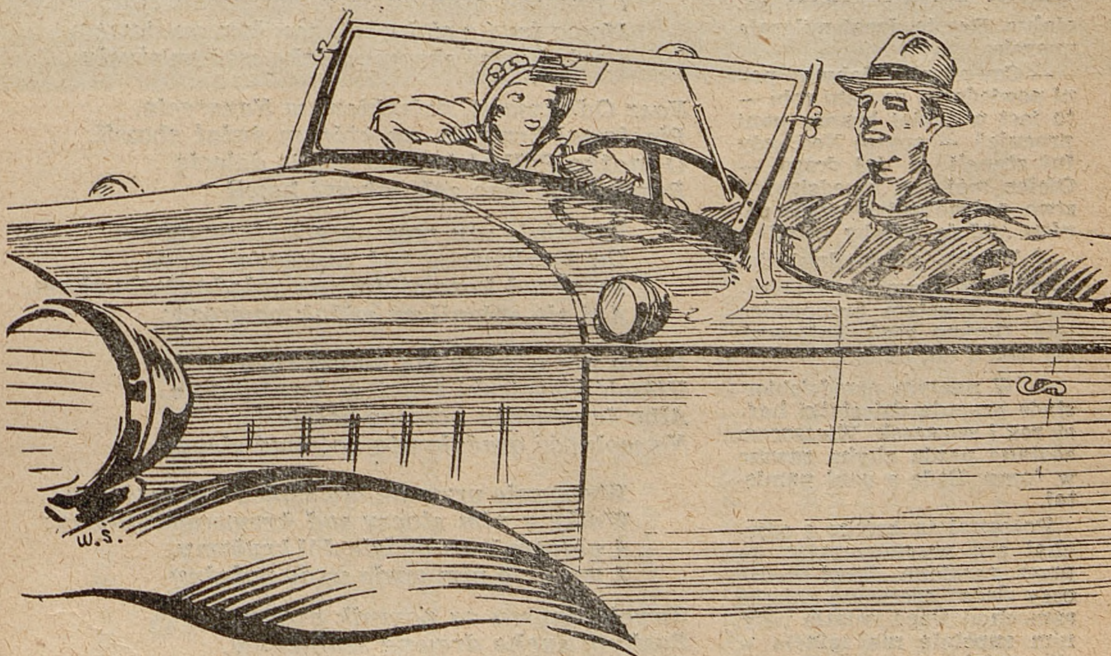
— Suknia kosztowała tylko około dwudziestu dolarów — na wyprzedaży. Mam wrażenie, że wcale nie została uszkodzona. Oczywiście trzeba ją będzie oddać do chemicznej pralni. By zaoszczędzić panu zakłopotania, z którym się pan zdradza coraz wyraźniej, chętnie przedstawię panu rachunek do uregulowania.

W jaskrawym świetle latarń ulicznych Ned uważnie spojrzał na sąsiadkę. Poprzednio oglądał ją powierzchownie raczej, i to wyłącznie z tego punktu widzenia: umrze, czy żyć będzie. Obecnie zobaczył szczupłą, ładną twarzyczkę, pasującą zupełnie do natury wesołej i uczciwej. Choć zapewne pracowała ciężko, trud umysłowy czy fizyczny nie odbił się na jej zachowaniu i wyglądzie.

Cerę miała zdrową, różową, tą rozkoszną różowością niektórych kwiatów wiosennych. Włosy orzechowej barwy, niezmiernie gęste, ślicznie obramiały delikatny owal twarzy. Gładkie czoło spinały śmiałe łuki brwi. Granatowe oczy, poczciwe, dziecięco - radosne, patrzyły ufnie i pogodnie. Śmiały się teraz otwarcie, zarówno z wygodnej jazdy w wytwornym aucie, jak i na wspomnienie zabawnej zdaniem jej przygody. Ned pożałował, że latarnie stoją tutaj rzadziej. Chętnie by się lepiej tym oczom przyjrzał.

Miała zgrabny nosek i pełne nieomal zmysłowe wargi, prędkie do uśmiechu. Ładna linia białej szyi ginęła w bieli kołnierzyka.

Ned, nie bardzo wiedząc dlaczego, nie mógł oczu od dziewczyny oderwać. W kół-



Czy nie chciałaby mi pani powiedzieć, co pani robi —

ku, w którym się obracał uroda kobieca była raczej regułą, niż wyjątkiem. Lecz tu spotkał piękno innego rodzaju, tak świeże i wiośniane, że pasujące bardziej do dziecka, niż do panny dorosłej. Tymczasem sąsiadka jego miała na pewno lat dwadzieścia, prędzej nawet więcej, niż mniej. Średniego wzrostu, szczupła, wysportowana mogła przyciągnąć uwagę niejednego mężczyzny.

Ned Cornet posiadał paru przyjaciół, polujących specjalnie na młodziutkie panny sklepowe lub biuralistki, on sam wszakże gardził tego rodzaju rozrywką. Z chwilą, gdy zdał sobie sprawę, iż łatwo może teraz wdepnąć w niepożądaną aferę miłosną — zachwyt jego natychmiast osłabł. Spojrzał na sąsiadkę obojętnie.

Docierali już niemal do celu. Ned, zajęty prowadzeniem auta, nie zauważył, że wraz ze zmianą jego zachowania usposobienie dziewczyny zmieniło się również. Wrażliwa jak mimoza panienka pojęła od razu, iż między nią a towarzyszem zapadła bariera socjalna. Resztę drogi milczała uparcie.

— Czy nie chciałaby mi pani powiedzieć, co pani robi — to jest w jakiej branży pani pracuje? — spytał Ned, gdy już stanęli u jej drzwi. — Ojciec mój ma przedsiębiorstwo, zatrudniające wiele panien... Może byłaby okazja...

— Bardzo panu dziękuję! — odparła z zupełną szczerością. — Jestem pracownicą igły. Umiem szyć, haftować, cerować i tak dalej.

— W naszym przedsiębiorstwie pracują dziesiątki hafciarek i szwaczek. Wieczorem zastanę panią chyba zawsze w domu. Będę o pani pamiętał.

Pożegnał ją krótko i odjechał ani przypuszczając, że przez oszklone drzwi modre oczy śledzą czerwoną skierkę samochodowego światła póty, nim zupełnie nie zginęła w ciemności.

———

Adam Mickiewicz

DO MATKI POLKI

O matko Polko! gdy u syna twego
W źrenicach błyszczy genijuszu świetność;
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
Dawnych Polaków duma i szlachetność;

Jeśli, rzuciwszy rówieśników grono,
Do starca bieży, co mu dumy pieje;
Jeżeli słucha z głową pochyloną,
Kiedy mu przodków powiadają dzieje:

O matko Polko! źle się twój syn bawi;
Klęknij przed Matki Bolesnej obrazem,
I na miecz patrzaj, co Jej serce krwawi:
Takim wróg piersi twe przeszyje razem!

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania:
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do męczeństwa... bez zmartwychpowstania.

Każ-że mu wcześnie w jaskinią samotną
Iść na dumanie... zalegać rohoże,
Oddychać parą zgniłą i wilgotną
I z jadowitym gadem dzielić łoże.

Tam się nauczy pod ziemię kryć z gniewem
I być jak otchłań w myśli niedościgły;
Mową truć z cicha jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną jako wąż wystygły.

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie,
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił;
O matko Polko! ja bym twoje dziecię
Przyszłymi jego zabawkami bawił.

Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się spłonił na widok powroza;

Bo on nie pójdzie jak dawni rycerze
Utkwić zwycieski krzyż w Jeruzalemie,
Albo jak świata nowego żołnierze
Na wolność orać, krwią polewać ziemię.

Wyzwanie przyszle mu szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny;
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie, nocne rodaków rozmowy.

Maryla Wolska

Szczytom Skolskim

Wiele zapomnę... Lecz i w życiu wtórym,
Gdy myśl człowiecza już na Bożą czas ma,
Za tym rodzonym moim gór konturem
Zatęsknię... Modre ich przypomnę pasma,
Każde jastrzębich skrzydeł odemknięcie,
Każde czerwone ognisko pastusze
I czarne po nich na łąkach pieczęcie
I ziół oddechy, słodkie, jako żadne!

Choć mi tam Pan Bóg ułaskawi duszę,
Tęsknota ciężka, choć bez krwi i ciała,
Zawsze jak kamień będzie w dół leciała,
Póki na lasu mego dno nie padnę,
Póki nie wrócę, Bóg wie z jak wysoka,
Napić się wody z mojego potoka!

Nigdym jej, nigdy, do woli nie piła!

Niech wichru smolne, surowe podmuchy,
Co w sercu nasion nawiewały siła,
Znów mnie oblecą! Siedmioma łańcuchy
Zakujcież wy mnie znów, umiłowane,
Co się dróg do was nigdy nie oduczę,
Za wrót siedmiorgiem, na trzy tajne spusty,
Na żórawiane zamknijcie mnie klucze,
Do stóp dziś waszych znów przypadam usty -

Bom wasza była i wasza zostanę!





ILLINEUT PROMIEŃ ANADYRU

Napisał B. S.

UMPTEK — serce północy. Umptek — serce Anadyru. Ump — w języku Czukczy znaczy zawrzeć, zamknąć, tek — podwójnie, dwukrotnie. Umptek — zamknięty podwójnie: od południa wielogłowy Kukymswuczorą od zachodu Wudjawarem, od północy zaś i od wschodu morzem, Czauńską buchtą. W środku zaś Umptek, biała lśniąca pustynia tundry, kraina wichury i śnieżyc, kraina Czukczy i reniferów. Tysiące kilometrów wszerz i wzdłuż jeno śnieg i noc, noc i śnieg. Wiosna trwa chwilę zaledwie: muśnie słonecznym promykiem bladego słońca śnieżny całun i znów zanurza się w ocean, gasną jej malinowe kręgi w mrocznym jego odmęcie. Jarangi Czukczy dymią się dalej, na brylantowych szlakach nart i sanek. Przy osadach Nowomarjinsk, Nowokołymsk słychać okrzyki psich kajurów [1]: taham! [2]

Docierają te szlaki do morza, gdzie stoją jak ponure zamarznięte w locie ptaki — łamacze lodów i trawlery. Tam za skóry rossomachy, niedźwiedzia i wilka dostaje Czukcza tani tytoń, herbatę, cukier i proch. A wtedy wraca znów do Umpteku, cichego i białego jak śmierć, jak kraniec świata. Idą tam jeno w czarną dal błękitne całuny szamotane wichurą ujny [3]. Śpi tundra, bają karłowate brzózki i wierzby o wiośnie, śni jagielnik o słońcu, o bladym i tęsknym słońcu Północy. Drzemie ziemia w białych zamieciach, wśród dzikiej, posępnej nocy — strzeże bowiem skarbów swych niezliczonych i niczyich dotąd: tam w jej zanadrzu żarzy się apatyt, magnetyt, tytanit, aluminium, żelazo i płomień świata, jak go nazywają Czukczy — „czerwony ołów" — złoto. Czołgnie się nerpa, morski zając, przemknie rossomacha, renifer, chirwas [4], wazenka [5], wondelka [6], mignie w kryształowej wodzie srebrny brzuch treski, pinogora, paltusa, sajdy, zębatki [7], zakrzecze północna sowa, bowiem i tu jest życie, które chwali dzień w dzień, jak umie i może, Ojca swego dobrego, Twórcę wszechświata i wszechrzeczy. Śpi tundra. Czeka przedwiośnia. Drzemie Anadyr — kraniec świata. Purga i buranem przykrywa się Umptek, serce Anadyru.

Starzy tramperzy Anadyru, niektórzy nawet towarzysze partyjni, twierdzili, iż Arlat Kumaka — Biała Śmierć istnieje. Zobaczyć ją oznaczało niechybnie zginąć gdyż uścisk jej lodowy kładł koniec wszelkiemu życiu. Mówili o tym po kryjomu, gdyż młodzi komsomolcy-studenci z wyprawy profesora Siedowa drwili z nich i uważali to za głupie brednie i przesądy, tkwiące jeszcze w psychice starszego pokolenia. Lecz te oto legendę przypomniał sobie geodezista Czuchnowski, gdy zrozumiał, iż wszystko jest stracone, że bez kompasu zgubionego na tamtym brzegu Anadyrki, wśród wichury i buranu nigdy nie znajdzie wyjścia z tej otchłani śnieżnych osypisk, błękitnych, monotonnych pagórków i mrocznych chmur. Widział wyraźnie zgrzybiałą postać Białej Śmierci, owiniętą w śnieżny całun, kroczącą ku niemu z ohydnym uśmiechem na wykrzywionych wargach, bezkrwistych i szyderczych, wyciągającą doń swe długie kościste ręce. Tak, to bez wątpienia była ta Biała Śmierć, o której mówiono po kryjomu w osadzie Nowomarjinskiej.

I dziwna rzecz — żelazna wola Czuchnowskiego, pracująca dotychczas bez zarzutu, kierująca jego mięśniami, nieustannie popychająca go naprzód, do walki i zwycięstwa, ustąpiła teraz miejsca zupełnej rezygnacji. Stał się na wszystko obojętny. Ponura senność zawładnęła całą jego istotą i zabijała stopniowo jego żądzę życia. Wyraźnie uświadomił sobie, że musi ulec mrozowi i wichurze, że wszystkie jego poprzednie wysiłki były marnym szamotaniem się karzełka z olbrzymem. Buran i purga rosły, mrok spowijał białą równinę i gdzie okiem rzucić, nie było żadnej ludzkiej osady, nie słychać było szczekania psów. Zaiste był to już kraniec wszelkiego życia, kres świata.

Czuchnowski przykucnął na nartach, zwolna osunął się na śnieg i leżał tak nie zwracając uwagi na to, że buran spowija go troskliwie i pieczołowicie białą, puszystą swą płachtą. Zdawało mu się jeno, że ciało jego stopniowo i zwolna niemieje, umiera, siląc się jeszcze odruchowo na opór tej powolnej agonii. Jedynie mózg jego pracował nienagannie: chwytał gorączkowo tętniące urywki słów i zdań, kiedyś wypowiedzianych i zasłysza-

nych, czepiał się szczątków obrazów, które jeden za drugim, jakby wyrwane z jakiejś cudownej taśmy filmowej cwałowały na jego drżącym ekranie.

Oto mignęła osada, Nowomarjińska radiostacja, izba Pusztorgu [8]) Rybpromu [9]), siedziba badaczy Czukotskiego kraju — profesor Siedow — towarzysze z Moskwy — wieczorki, dyskusje, wyprawy po okazy fauny i flory czukotskiej — ostatni referat towarzysza Szubina o misji ich na Północy, o wielkim zadaniu partii tu na krańcach świata, o leninowskiej jej drodze ku zjednoczeniu wszystkich ras i narodów w jedną rodzinę klasową...

Przypomniało się mu dalej jak został mianowany „szturmowcem" i przydzielony do „brygady propagandowej" między Czukczami. Pierwsze spotkanie z tymi ludkiem dziwnym i pocieszn ym. Jak urządzano dla nich słuchowiska radiowe, jak sprowadzono ich — tych małych, zaszytych w futra człowieczków z dużymi, czarnymi oczami, i opowiadano im o tym (aby udostępić komunistyczny talmud) jak to pewien biedny Czukcza nie mógł znaleźć nigdzie prawdy na świecie i dopiero znalazł ją u pewnego człowieka, który się nazywał Lenin...

Dalej przypomniał sobie pierwszą kolektywizację w jednym ze stanowisk Czukczy: jak czołowy wioski Roltynwat nie chciał dawać swych psów i renów na rozdział, Waśka zaś Kuziew więcej ze swej głupoty, aniżeli potrzeby uderzył go narciarską laską, jak Roltynwat rzucił się nań z nożem, jednak Kuziew postrzelił go w ramię. . Jak tejże nocy wioska cała zwinęła swe jarangi i poszła gdzieś dalej, na północ, zabierając rannego Roltynwata. Trudno bowiem rozgniewać Czukczę, ale raz rozgniewany już nie zna żadnego przeproszenia i będzie pamiętał urazę do końca.

Zaiste, ciężkie były szlaki propagandy bolszewickiej w tym kraju i dużo jeszcze wody upłynie w Anadyrce, zanim uwierzy Czukcza w zbawienną ideę Lenina...

Tak myślał Czuchnowski i nie spostrzegł, że obrazy te już się rwą, już tracą swą jaskrawość i łączą się w jedno migocące mgliste koło. Lub nawet giną zupełnie i pozostawiają jeno mrok i nudę czarną, bezkresną, jak ta śnieżna płaszczyzna, zawiana buranem, gdzie leżał z kostniejącym już ciałem. Nie spostrzegał, iż traci zwolna świadomość, pogrąża się w otchłań czarnego snu, zasypia na zawsze. Zamknął więc oczy i przymarł tak, nie czując już siebie ani swych myśli. — Biała Śmierć stała tuż nad nim...

— — — — — — — — — — —

Gdy otworzył oczy nie mógł sobie zdać sprawy z niczego. Czuł tylko, że płonie cały, że ciało jego dziwnie tętni krwią, probował ruszyć rękoma i nogami — były zdrowe i posłuszne jego woli. Wyraźnie odczuwał, jak życie wlewa się doń jakąś wielką falą, że myśli i odczuwa znów w całej pełni, gotów jest do odbierania wrażeń i spragniony jest wszystkiego, co nowe i nieznane. Spostrzegł, że leży w niedźwiedzich kukulach [10]), że znajduje się nie w polu, lecz w ludzkim siedlisku, co prawda dziwacznym mu, lecz tak ciepłym i utulnym, że nie oddałby go za najwspanialsze pałace świata. Była to dość obszerna juranga Czukczy ze skór jelenich, tak ciepła, że nieprawdopodobnym się wydawał mróz minus 50 stopni na dworze. Przy ognisku i kagańcu, tlejącym w miseczce z nerpim łojem ślęczała czyjaś postać, w nogach Czuchnowskiego leżały psy i patrzały nań mądrymi, bystrymi oczyma. Ktoś cichutko mruczał piosenkę jak się wydawało w takt buranu, który jeszcze warczał na dworze, jednakowoż już nie tak groźnie. Ta piosenka właściwie obudziła Czuchnowskiego — szukał oczyma tego, kto ją śpiewał. Postać przy kagańcu siedziała cicho — wyszywała na rąbku kukaszki [11]) jakiś wzór białymi nićmi. Piosenkę śpiewano gdzieś blisko, tuż przy Czuchnowskim, nad jego głową.

Podniósł się i zobaczył nad sobą chłopczyka zaprzątniętego naprawą psiej uprzęży. Był w puszystych białych kojnatach [12]), w kuszlance [13]) z wycięciem na piersiach i w leciutkich, zgrabnych tobarach [14]). Siedział i kołysał się w takt swej smętnej piosenki. Czarne włosy grzywką spadały mu na czoło, skośne oczy uśmiechały się, przypłaszczony nos i szerokie skronie, ostro rysujące się pod oliwkową skórą, świadczyły o przynależności jego szczepu północy. Mimo nieprawidłowości i dzikości rysów, twarz tego chłopaczka jednakowoż mogła być nazwana nawet piękną, tak bowiem pogodny i otwarty był jej wyraz. Jakaś dziecięca szczerość i prostota biły z niej i zachęcały każdego do przyjaznego uśmiechu i powitania. Chłopaczek spostrzegł, że Czuchnowski nań patrzy, przestał śpiewać i uśmiechając się, powiedział w gardłowym języku Czukczy, który nie był obcy Czuchnowskiemu:

— Kakkume [15]). Nareszcie! Jak to dobrze! — I skośne szpareczki jego oczu stały się jeszcze mniejsze z wyraźnego zadowolenia. Wstał i usiadł tuż przy nim. Czuchnowski zaś spostrzegł, iż nie jest to chłopczyk, lecz dziewczyna, dziewczyna-Czukczanka.

Patrzeli chwilę na siebie. Dziewczynę dziwił jego wygląd odmienny od znanych jej: miał płowe włosy, chudą, ostrą twarz; niepodobny był do innych Rosjan, mających szerokie, czerwone twarze i białe jak len włosy. Nie dziwo — ojcem jego był Polak, zesłaniec polityczny w Czycie.

— Długoś spał, ale to dobrze, — rzekła, — kto prześpi Białą Kamakę, będzie długo żył...

Czuchnowski zapytał się w jaki sposób dostał się do tej jarangi. Odpowiedziała, że wracając z kajurem Akko z Belseńskiej osady, gdzie sprzedawała kupcom z Alaski skóry, znalazła go napół za-

sypanego śniegiem. Opowiedziała mu, jak pracowała z Akko (z tym który siedział teraz przy ogniu) nad ratowaniem go, jak odcierali, jak ogrzewali jego skamieniałe ciało. Akko tymczasem uśmiechając się całą swą pełną, naiwną twarzą przyniósł komitwo [16]), polewkę z jeleniego mięsa, ceglaną herbatę kau-kau, którą Czuchnowski pił chętnie, czując się wyczerpanym.

— Jak ci na imię? — zapytał Czukczankę. Dziewczyna ta mimowoli przyciągała go ku sobie jakąś niewypowiedzianą pogodą i spokojem. Jej pogoda, istotna zresztą ludziom północy, miała w sobie coś szlachetnego, wzniosłego.

— Marią ochrzczona jestem, tutejsi zaś wołają mnie Illineut...

— Jesteś chrześcijanką? — zdziwił się Czuchnowski.

— Jestem katoliczką, — rzekła i dobyła spod kuszlanki krzyżyk z kości mamuta na czarnej jedwabnej wstążeczce. Wysoki człowiek który uciekał do swego kraju od cara i żył w naszym stanowisku trzy wiosny, chrzcił nas imieniem Chrystusa Pana i nauczał modlitw słodkich i jasnych jak promyki wiosenne...

— Gdzie jest ten człowiek?

— Zabrała go od nas Biała Kamaka już dziesięć, dwanaście zim temu... — szybko policzyła Illineut, — pochowaliśmy go pod Ornikeczorą... tam bowiem staliśmy z Roltynwatem...

— Jesteś ze stanowiska Roltynwata?

— Tak, — skinęła głową. — Roltynwat, to mój dziadek, musieliśmy się przenieść od was, chcieliście nas uczynić szczęśliwymi, nie chcieliśmy być szczęśliwymi... — uśmiechnęła się, — mego dziadka postrzelił wasz towarzysz.

Czuchnowski cofnął się i drgnął. Nie miał przy sobie żadnej broni, łatwo mógł być zabity przez Czukczy. Dziewczyna zrozumiała jego odruch.

— Nie bój się! Nie pamiętamy krzywd, bowiem kochać bliźniego, nawet wroga uczył nas wysoki człowiek, którego jasne czoło leży pod śniegiem.

Czuchnowski niełatwo pozbył się uczucia strachu. Był w tej jarandze bezbronny, co gorzej w jarandze rodziny Czukczy, skrzywdzonego przez jego towarzyszy człowieka.

— Jakżeś mogła, — rzekł on, — wiedząc iż należę do tych, od których uchodziliście, od czerwonych kejli [17]), ratować mnie?

— Byłeś słaby, — powiedziała Illineut i położyła mu rękę na ramię, — pomogłam ci, zresztą grzech jest pamiętać krzywdy. Nie czyniliśmy wam nic złego, nie czyńcie i nam. Więcej nic od was nie chcemy...

Illineut naprawdę zaczynała interesować Czuchnowskiego. Usiadł na kukulach, zapalił podaną przez Akko fajkę i przypatrywał się jej uważnie.

— Chodziłaś do nas, do Nowomarjińskiej osady?...

— Raz byłam w Marjińsku, — ciągnęła zamyślona nie słuchając go, — spędzili nas wasi słuchać śpiewającą skrzynię... Nigdy nie zapomnę tego — dodała zapalczywie — to było tjury [18]), to było tjury sjop...

Miała na myśli radiową stację. Czuchnowski zrozumiał ją i zapytał uśmiechając się:

— Myślisz o Moskwie? To Moskwa wtedy mówiła...

— Nie, nie... to nie była Moskwa, ja Moskwę znam... Tak słodko śpiewać nie potrafiłby człowiek... To było takie tjury, sjop tjury...

Czuchnowski przypomniał sobie jeden wypadek. Na pewnej audycji radiowej dla Czukczy wdarła się przez nieopatrzność kierownika, fala z Rzymu, transmitująca nabożeństwo z katedry św. Piotra. Przypomniał sobie jakie dziwne wrażenie wywarło to na Czukczy. Ci mali, krępi ludzie, zaszyci w futra siedzieli, rzekłbyś zaczarowani. Nic nie mówili, a jednak widać było po nich ogromne wzruszenie.

— Wiesz co to było, Illineut?

— Wani wank[19])...nie wiem co to było, wiem jeno, że piękniejszego nie usłyszę nigdy w swym życiu... To było

takie piękne i takie dobre... Gdy mówicie wy, chociaż wszystko rozumiem, ale nie lubię. Wy mówicie wciąż o nienawiści, Czukcza zaś nie lubi nienawiści. Wy chcecie zabijać, my zaś chcemy żyć... Mówicie, iż czauncz[20]) powinien zabić czjare[21]) i zabić mu reny i psy, my zaś wiemy, że i czauncz i czjara powinni się kochać i wspomagać jeden drugiego, gdyż renów i psów jest dużo na świecie i wszystkim wystarczy, byle jeno każdy chciał pracować. Ciemny jest Czukcza, lecz nie nauczycie go wojny i nienawiści. Słuchaliśmy wysokiego człowieka, gdyż uczył nas kochać, nie słuchamy was, bowiem nie ma w waszej nauce miłości i prawdy. Chcecie tylko, żeby wszyscy się gryźli jak wilki, a przecież człowiek nie jest wilkiem...

Czuchnowski słuchał tego, co mówiła i nie mógł jej nic na to odpowiedzieć. Zali nie było w tym, co powiedziała prawdy? Siali nienawiść ich wodzowie, sieją i oni tutaj. Nie było miłości w ich programie...

— Gdzieś musi być zatem prawda, Illineut? — rzekł po chwili.

— Zapewne — podniosła swe czarne błyszczące oczy, — prawda jest w Bogu...

— Gdzież jest Bóg?

— Czyż nie widzisz Go? Widzisz tę noc? To jest Bóg. Widzisz słońce — to jest też On, widzisz śnieg i morze, masz brzózki i renifery, wasze śpiewające skrzynki i tam jest Bóg. Wszędzie jest Bóg. Nic nie chce dla siebie jeno jednego: miłujcie siebie i pamiętajcie o Mnie...

Cóż miał powiedzieć jej na to Czuchnowski? Co mógł przeciwstawić tej Prawdzie? Rewolucje, marzenie o pożodze światowej, o walce klas? Czuł sam jak ogrom jego umysłu całego został podważony przez tę małą czukocką dziewczynę. Wiara jej była taka prosta, a taka głęboka. Czuł sam, że wszystko, czym dotąd żył, było naprawdę małym i drobnym wobec tego, co powiedziała mu tak prostymi słowy: Chwała Bogu na wysokościach, błogosławieństwo i pokój ludziom... Czuł, że nie wróci do osady takim jakim wyszedł, że w tej wichurze, w dolinie Białej Śmierci zostawił to, w co wierzył i do czego się modlił.

Czyż nie było to zrządzeniem Boskim, iż ziarno wiary rzuciła weń dziewczyna; którą z kolei nauczył znać Boga jego rodak?

Nie mógł już tu leżeć, pragnął już iść i głosić wszystkim, wszystkim, o tym co się w nim działo, pragnął opowiadać wszystkim o małej dziewczynie Czukczy, Illineut. Zerwał się i ubierał się w futro z rossomachy.

— Chcesz już iść? — zapytała Illineut, — może się gniewasz na mnie?

— Za co? — uśmiechnął się Czuchnowski, — za to żeś była taka dobra dla mnie? Przyjdę tu jeszcze do ciebie...

— I-i-i[22]), przychodź turhanyk[23])... Będę ci radą. Akko cię wyprowadzi na szlak Czterech Pagórków, do Anadyrki.

Patrzała jak wybierał się w drogę, kładła mu do worka kaukau, bowiem droga była daleka. Gdy wyszli z jarangi, Akko już trzymał na smyczy psy, które oglądały się nań, czekając, kiedy da znak do odjazdu.

Właśnie — już się zaczynał sączyć dzień. Już się zaczynały pierwsze dnie podbiegunowej, krótkiej wiosny.

— Pajyba[24]) ci, Illineut! — powiedział Czuchnowski, — nie zapomnisz o mnie?...

Illineut smutnie spojrzała nań.

— Wani, wani, będę cię długo pamiętała... — cicho odpowiedziała i pieściła głowy psów.

— Gdy ruszą lody na Anadyrce będę tu, chcę, żebyś mnie zaprowadziła na mogiłę wysokiego człowieka.

Skinęła głową i stanęła malutka, zaszyta w futra, czerniejąc swą główką i mądrymi oczyma.

— Taham! — krzyknął Akko.

Psy raźnie ruszyły naprzód, w śnieżną dal. Gdy Czuchnowski obejrzał się po sporym kawałku drogi, Illineut jeszcze stała przy jarandze i patrzyła za nim w ślad. Blade słońce północy uchyliło rąbek mroku — grało na jej twarzyczce, na białych kojnatach na pstrej kuszlance.

— Taham, taham! — krzyczał wesoło krępy niedźwiadek Akko a narty mknęły na wschód, brylantową lśniącą drogą przecinając Umptek, serce Anadyru.

---

1) Kierownik sani. 2) Naprzód! 3) Burza. 4,5,6) Gatunki jeleni. 7) Ryby. 8) Skrót — pusznaja torgowla — handel futrami. 9) Skrót — rybnyj promysł — przemysł rybny. 10) Skórzane worki 11) Koszula. 12) Spodnie. 13) Bluzka. 14) Buty. 15) Wyraz, oznaczający zdziwienie, przyjemne, jednakże. 16) Czukocki smakołyk. 17) Diabeł. 18) Bardzo piękne. 19) Biedny. 20,21) Bogaty. 22) Tak. 23) Prędko. 24) Dziękuję. 25) Sanki.



ŻEGLARSKI PARADOKS

Napisał L. K.

„Groziła nam niechybna zguba. Znajdowaliśmy się w odległości pół mili od brzegu, kiedy huragan rozhukał się na dobre. Mimo wysiłków naszej parowej maszyny, pracującej pod groźbą wybuchu kotła, pędził nas wicher wprost na zlodowaciałe skały. Zdawało się, że nic nie zdoła nas uratować. Widząc grozę położenia zdecydował się kapitan na użycie żagli i posłał ludzi na maszty. Była to ciężka, wprost nadludzka praca, dobrze wyćwiczona załoga wykonała jednak rozkazy i wkrótce chwyciliśmy wiatr.

W tej właśnie chwili nasza sforsowana maszyna stanęła. Na szczęście statek, chociaż się ciężko kładł na bok i głęboko rył fale, słuchał steru i powoli oddalał się od groźnego brzegu. Uratowaliśmy się więc dzięki temu, że mieliśmy mocne maszty i nowe, dobre olinowanie, które wytrzymało siłę huraganu."

(Graft — Notatki z ekspedycji kap. Siedora.)

Przypuszczam, że ten krótki wyjątek z dziennika marynarza zdziwi mocno ludzi nieobeznanych z morzem.

Jakto, wiatr wieje wprost na brzeg, a statek używa żagli, żeby się od tego brzegu oddalić! Czy to możliwe?

Rzeczywiście, zwykła łódź lub nawet najwięcej nowoczesny parostatek takiego manewru nie wykonają, ale dobrze zbudowany żaglowiec może swobodnie posuwać się w dowolnym prawie kierunku.

Nie od razu jednak nauczyła się ludzkość budować takie żaglowce. Kiedyś np. posługiwano się wyłącznie galerami poruszanymi przy pomocy wioseł, używając żagli tylko jako środka pomocniczego przy sprzyjającym wietrze. Dopiero stopniowo zaczęto doskonalić żaglowce aż wreszcie powstał statek zdolny do swobodnego manewrowania po morzu.

Wróćmy jednak do naszego pozornego żeglarskiego „paradoksu". Jakim sposobem można zmusić statek do poruszania się przeciwko wiatrowi, zdawałoby się, wbrew wszelkim zasadom mechaniki i logiki?

Okazuje się, że wytłumaczenie nie jest trudne. Wystarczy uważniej obejrzeć zamieszczony na str. 107 rys. Charakterystyczną cechą łodzi, poza specjalnym kształtem, jest typowa dla każdego żaglowca, umieszczona pod dnem płaszczyzna (tak zw. kil). Płaszczyzna ta, zaopatrzona zazwyczaj w dodatkowy ołowiany ciężar (balast) uniemożliwia łodzi poślizg. To jest jej główne zadanie. Chodzi tu o to, żeby łódź mogła się poruszać tylko w kierunku swej osi podłużnej nie posuwając się bokiem jak to robią np. niepodkute sanie na zlodowaciałym śniegu.

Rysunek wyobraża schematycznie ustawienie żagla i kierunek ruchu łodzi żaglowej przy różnych kierunkach wiatru.

Na fig. A widzimy żaglówkę płynącą z wiatrem. Wiatr uderza w żagiel i popycha łódź wprost przed siebie. Ten sposób żeglowania jest najprostszy i nie wymaga dodatkowych wyjaśnień.

Nieco trudniej płynąć o ile mamy wiatr boczny (fig. B). Ażeby poruszać się wprzód trzeba ustawić żagiel skośnie do kierunku wiatru (jak płaszczyznę skrzydła wiatraka lub łapę śmigi). Wiatr, uderzając w żagiel, będzie się ześlizgiwał z ukośnie naciągniętego płótna, popychając statek równocześnie w dwóch kierunkach. Składową sił wyobraża strzałka.

Gdyby łódź posiadała zwykłe dno, nie zabezpieczające jej przed poślizgiem, poruszałaby się ona w kierunku składowej sił. Ponieważ jednak płaszczyzna ustawiona pod dnem dopuszcza tylko ruch wprzód, łódź popłynie w kierunku swej osi podłużnej, prostopadle do kierunku wiatru.

Jeszcze ciekawszy jest manewr wyobrażony na fig. C_1, C_2. O ile łódź ma płynąć przeciwko wiatrowi, należy tak samo skośnie ustawić żagiel, nawracając kadłub pod ostrym kątem do

kierunku wiatru i płynąc potem zygzakami, przekładając żagiel z burty na burtę.

Jak widzimy więc, teoretycznie przynajmniej, sprawa manewrowania dobrą żaglówką nie jest trudna. Co innego praktyka. Od dobrego żeglarza wymaga się bowiem poza znajomością nawigacji, prawa morskiego, przepisów sygnałowych itp. jeszcze świetnej znajomości statku i wielkiej rutyny, która wskazywałaby np. ile żagli można rozwinąć przy danym wietrze, pod jakim kątem je ustawić, z jaką siłą napiąć, jak naciągnąć olinowanie itp. itp.

Warto dodać, że proces doskonalenia żaglowców, proces, który trwał długie wieki, nie ukończył się bynajmniej z chwilą wynalezienia maszyny parowej. Odwrotnie nawet, w ciągu ostatnich 100 lat uczyniono większe postępy niż w ciągu całego ubiegłego okresu stuleci. Dowodem tego są m.in. wielkie regaty jachtów żaglowych w Anglii. Co ciekawsze, najnowsze statki wykorzystują ostatnie zdobycze aerodynamiki, a w budowie swej wprowadzają elementy konstrukcyjne przypominające części samolotów.

Franciszek Karpiński

PIEŚN PODCZAS PRACY W POLU

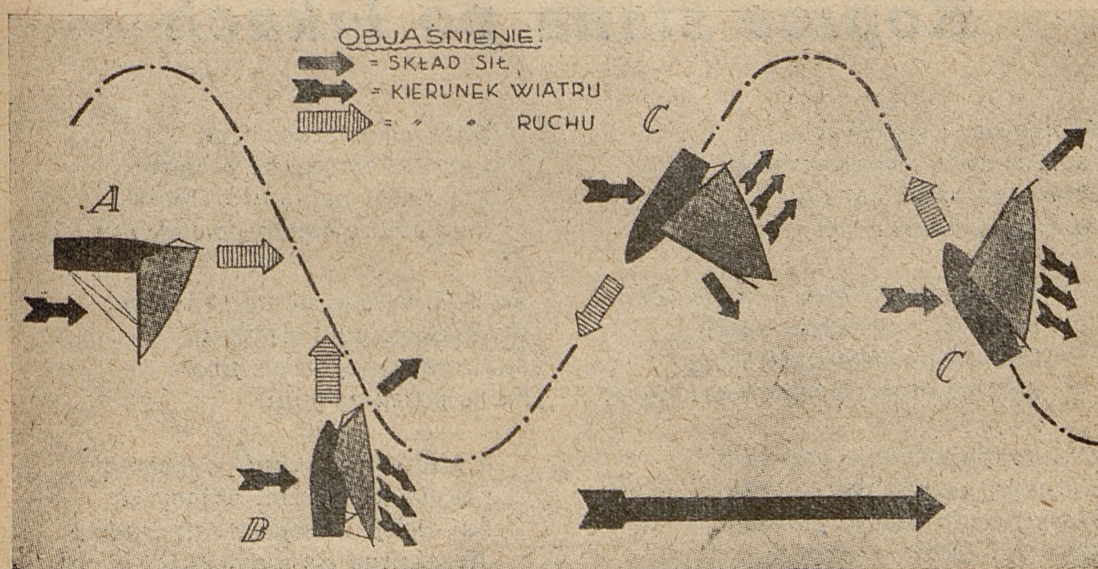
Boże! Z Twoich rąk żyjemy,
Choć naszymi pracujemy;
Z ciebie plenność miewa rola,
My zbieramy z Twego pola.

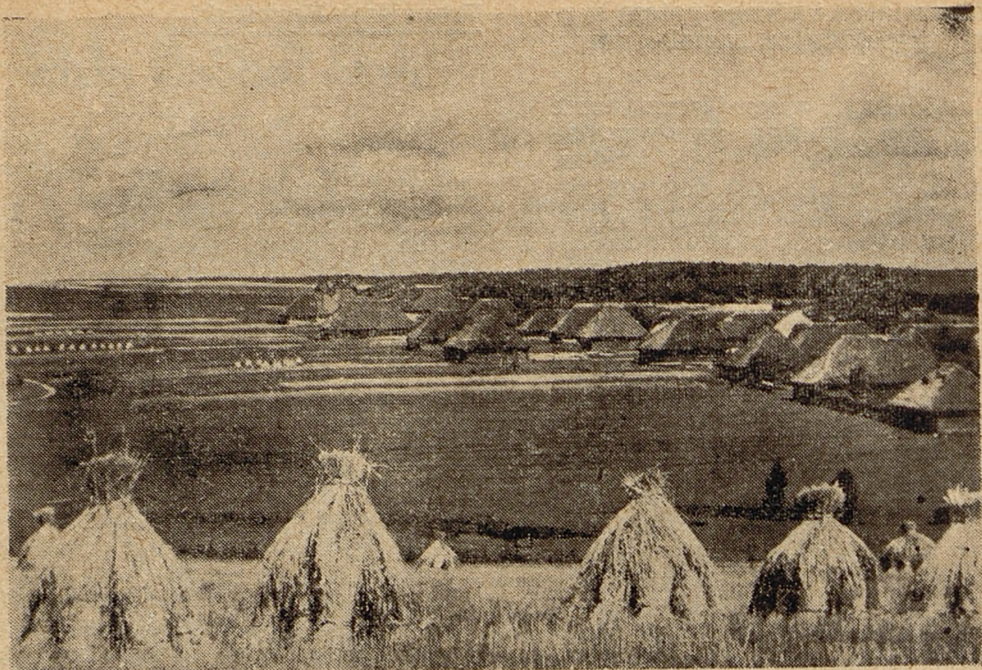
Wszystko Cię, mój Boże, chwali;
Aleśmy i to poznali,
Że najmilszą Ci się zdała
Pracującej ręki chwała.

Co rządzisz ziemią i niebem!
Opatrz dzieci Twoje chlebem;
Ty nam daj urodzaj złoty,
My Ci dajem trud i poty.

Kiedyś przyjdziem na godzinę!...
Gdy kończąc ziemską gościnę,
Z Łazarzem, po naszym zgonie,
Odpoczniemy na Twym łonie.







Jan Kasprowicz

Kopice siana po łąkach

Kopice siana po łąkach,
Gdzie w głębi lśnią wierchów garby —
Słońce się rozzuchwala,
Iskrzące sieje skarby.

Pod stromym huczy urwiskiem
Dunajec, wieczysta rzeka,
Ciemne go świerki strzegą,
On z szumem od świerków ucieka.

W samo południe, w godzinie.
Skąpanej w rozżarach złota,
Staje nad brzegiem potoku
Samotna ludzka tęsknota.

Więżącą porzuca izbę,
Powieki zmęczone przetrze,
Piersiami pełnymi chłonie
Przewonne ciepłe powietrze.

Ku dalom rwie się bezkreśnym,
W błękitów gubi się toni,
Lub z rozwartymi oczyma
Falne poszumy goni.

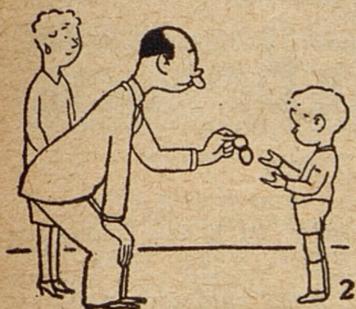
A fałdów jej sukni powiewnej
Czepia się dłońmi drżącymi
Żal cichy i szepce: Jak trudno
Rozstawać się z duszą tej ziemi...

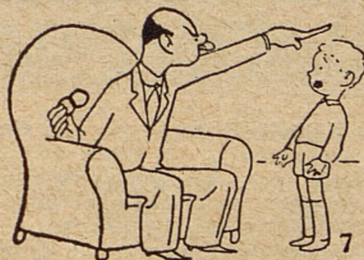


1

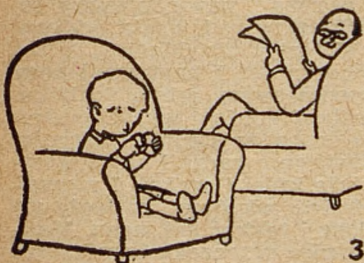

6


11


2


7

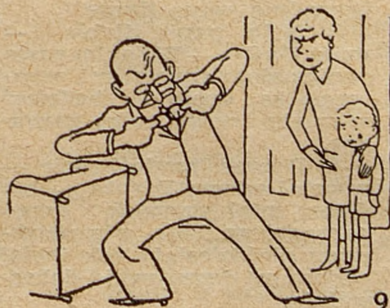

12


3


8

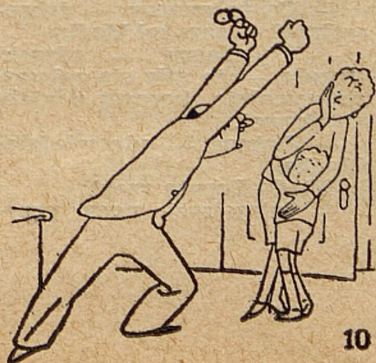

13


4


9


14


5


10


15



Napisał Czesław KĘDZIERSKI Ilustrował W. G.

Z cyklu znanych szeroko przed wojną z Radia Poznańskiego bajek regionalnych popularnego „Wujka Czesia" zamieszczamy opowieść opartą o gadkę ludową z okolic Koźmina wielkopolskiego. Czesław Kędzierski został — jak wiadomo — w czasie ubiegłej wojny zamordowany przez Niemców.

* * *

Na południe od Poznania leży nad rzeczką Orlą miasteczko Koźmin, założone przed przeszło 800 laty. W miasteczku tym wznosi się zamek, pamiętający dzieje siedmiu stuleci, dzieje kilku możnych rodów. Pierwszym panem tego zamku był Maćko Borkowic, wojewoda poznański, syn dobrze zasłużonego ojczyźnie Przybysława.

O tym Maćku Borkowicu różnie sobie ludzie opowiadali, ale zawsze nic dobrego. Był to człek porywczy, gwałtowny, a przede wszystkim chciwy złota. Miał bogactw bez liku, ale wszystko to mu nie wystarczało — pragnął mieć jeszcze więcej. Więc przemyśliwał jakim by sposobem zdobyć jeszcze większe skarby. I wtedy w wielkiej swej chciwości pomyślał, że może dobrze będzie zawrzeć umowę ze samym diabłem. Dlatego przed północą zasiadł w swej ulubionej komnacie w baszcie zamkowej. Noc była bardzo burzliwa, deszcz lał strumieniami, pioruny strzelały dokoła. W taki to czas Maćko Borkowic zaczął wzywać do siebie diabła, księcia piekła. Nie czekał długo. Wśród huku grzmotów z trzaskiem rozwarły się drzwi komnaty i przed Maćkiem stanęła olbrzymia postać diabła Boruty.

— He, he panie Maćku — zachichotał Boruta— wezwałeś mnie! Czego ci potrzeba?

— Tak jest, panie czarcie, wzywałem ciebie — rzekł Maćko chciwy złota.—Chciałbym mieć złota, jak najwięcej skarbów, więcej, niż sam król.

— Bagatela! — zawołał Boruta. — Podam ci sposób na zdobycie pełnych skrzyń złota i wszelkich skarbów. Ale w zamian, gdy ukończysz 50 rok życia, oddasz mi dobrowolnie swoją duszę.

— Hola, panie diable, — rzekł Maćko.—W takim razie oprócz złota musisz mi przyrzec, że spełniać będziesz wszystko, czego tylko zapragnę.

— Dobrze, panie bracie — zawołał znowu Boruta — będziesz miał wszystko, czego zapragniesz. Ale, gdy ukończysz pięćdziesiąty rok życia, oddasz mi duszę swoją dobrowolnie.

— Co to znaczy — dobrowolnie? — zapytał Maćko.

— To znaczy — odrzekł Boruta — że gdy się zgłoszę, dobrowolnie skoczysz z wieży zamkowej.

— Dobrze — odpowiedział Maćko.

Wtedy Boruta rzekł:

— Jutrzejszej nocy przejeżdżać tu będzie karawana kupców drogą leśną z Gostynia. Wiozą oni ładowne skrzynie wyrobów ze złota i drogich kamieni. Wyjdź naprzeciw nim i napadnij z nienacka. Hehe!...

Boruta, powiedziawszy to, zniknął wśród wycia wichru.

Ucieszył się Maćko z tej wiadomości. I następnej nocy przypasawszy miecz do boku, dosiadł konia i wyruszył drogą leśną w stronę Gostynia. Następnie zaczaił się w gęstwinie kniei i czekał. I rzeczywiście, wkrótce rozległy się głosy i turkot kół wozu. Maćko więc przeczekawszy jeszcze chwilę, nagle z głośnym okrzykiem wyrwał się z gęstwiny i z dobytym mieczem rzucił się na kupców. Ciął mieczem w lewo i prawo. Jedni zwalili się z wozu, inni przerażeni uciekli. Wtedy Maćko wsiadł na wóz i popędził z powrotem do swego zamku, uwożąc zrabowane trzy skrzynie skarbów.

Odtąd Boruta zjawiał się w zamku co pewien czas z wiadomością, kiedy i gdzie przejeżdżać będą bogaci kupcy, których następnie nienasycony złota Maćko Borkowic napadał na drogach i ograbiał. Wszelkie drogi zamku koźmińskiego stały się wkrótce postrachem dla wszystkich. Zaczęto omijać je z daleka, chociaż nikt nie wiedział kto właściwie jest owym rabusiem ograbiającym bogatych podróżnych.

I wtedy Maćko wystąpił

wobec Boruty z nowym żądaniem:

— Panie diable — rzekł — chcę zostać wojewodą poznańskim.

— Hehe — zachichotał Boruta.—Doskonale. Zostaniesz wojewodą poznańskim.

I nie minęły trzy doby, kiedy przybiegł z Krakowa posłaniec królewski z pismem, w którym król Kazimierz Wielki zamianował go wojewodą poznańskim.

Szły do króla skargi na niesprawiedliwość i okrucieństwo Maćka, ale Maćko pozwany przed króla, za każdym razem umiał się jakoś wykręcić.

I tak minęły lata. Gdy nagle Maćko uprzytomnił sobie, że wkrótce, bo już za miesiąc ukończy pięćdziesiąty rok życia, a wtedy diabeł zgłosi się po jego duszę. Wszakże według umowy z Borutą ma dobrowolnie skoczyć z wieży zamku. Maćkowi jednak nie pilno było rozstawać się z życiem i nagromadzonymi skarbami, by wędrować do piekła. Postanowił więc diabła oszukać. Ale jak? I wtedy wpadł na chytry pomysł: oto obok wysokiej wieży zamkowej kazał wybudować niziutką przybudówkę z wieżyczką jednopiętrową, z której by skacząc, nie mógł sobie zrobić nic złego.

Kiedy zaś nastał dzień, w którym ukończył pięćdziesiąty rok życia, Maćko w zamku koźmińskim oczekiwał zjawienia się diabła Boruty.

I rzeczywiście, o północy wśród świstu i huku zjawił się w komnacie zamkowej Boruta. Chichocząc głośno, zawołał:

— Hej, mości Borkowicu! Przychodzę ci powinszować! Doskonale się spisałeś — hehe — zasłużyłeś sobie setnie na piekiełko. Napadałeś, mordowałeś, grabiłeś, lud uciskałeś i gnębiłeś — to też cieszą się na ciebie wszyscy bracia piekielni. A więc czekam.

— Na co czekasz, mości diable?

— Na ciebie, mości Maćku. Czyżbyś zapomniał umowy i przyrzeczenia? Wszakże skoczyć masz dobrowolnie z wysokiej wieży zamku.

— Hola, mości diable, w umowie naszej nie było wcale mowy o wysokiej wieży. Miałem skoczyć z wieży, i zeskoczę, ale z takiej wieży, którą ja sam sobie wybiorę. A więc proszę za mną.

I zaprowadził Borutę na dziedziniec opodal wysokiej wieży — sam zaś wszedł na przybudowaną maleńką wieżyczkę jednopiętrową i zeskoczył ze śmiechem, nic złego sobie nie czyniąc.

Teraz dopiero Boruta spostrzegł, jak pozwolił się oszukać. Maćko dotrzymał słowa, zeskoczył z wieży, ale pozostał zdrów i cały. Nie zabił się, więc wściekł się diabeł, w złości wzbił się w powietrze na czub wieży, po czym świsnął przeraźliwie i w tejże chwili zleciała się zgraja piekielników. Piekielnicy na rozkaz Boruty uchwycili czub wieży, zerwali go i zrzucili na małą świeżo zbudowaną wieżyczkę, druzgocząc ją w kawałki. Następnie wpadli do komnaty wieżowej, w której ukryte były nagromadzone skarby Maćkowe, zabrali wszystkie i wśród okropnego wycia zniknęli razem z Borutą.

Maćko Borkowic widząc to, zamiast się opamiętać i rozpocząć życie cnotliwe na modlitwie i pokucie, rozsierdził się i jeszcze srożej jął gnębić lud poznański. Wtedy przebrała się miara cierpliwości króla Kazimierza Wielkiego. Król kazał Maćka Borkowica pochwycić i wtrącić do podziemnego lochu zamku olsztyńskiego. Król skazał Maćka na śmierć głodową. Na pożywienie wpuszczano mu do ciemnego lochu dzban wody i wiązkę siana. To też po kilku dniach wśród straszliwych męczarni Maćko skończył śmiercią głodową. A kiedy umarł, powstał w powietrzu wielki szum, rozległy się piski i wycia. — Ludzie przebywający w pobliżu zamku olsztyńskiego, opowiadali następnie z lękiem że widzieli, jak moc diabłów wyleciała z lochu podziemnego, unosząc ciało grzesznego Maćka Borkowica, pana na Koźminie i wojewody poznańskiego.

Taką opowieść szumią stare topole dookoła zamku koźmińskiego o grzesznym żywocie i śmierci złota chciwego Maćka Borkowica.

Ignacy Krasicki

O NIESTATECZNOŚCI LOSU

Czemuż się skarżysz na fortuny ciosy,
W twych użaleniach mniej baczny?
Nie wiesz, jakie są zmienne ludzkie losy,
Jaki jej humor dziwaczny?

W momencie jednym szczęście niszczyć zdoła,
A w swym humorze fałszywym,
Raz zbytnie smutna, drugi raz wesoła,
Czyni nędznego szczęśliwym.

Stoją u portu bezpieczne okręty,
Żeglarz spokojny w ochronie:
W punkcie rwą z kotwic gwałtownie odmęty,
Żeglarz i okręt utonie.

Szczęśliwy, który w dzień doznawszy burzy,
Niepewien w wrzawie noclegu,
Patrząc z daleka, jak się okręt nurzy,
Śmieje się z fali na brzegu.

UŚMIECHNIJ SIĘ

NA WIZYCIE

Gość: Synek pani dobrodziejki ma zupełnie oczy mamusi.

Matka: A usta i nosek tatusia.

Synek: A spodnie brata.

W SZPITALU WARIATÓW

Lekarz pyta pacjenta:

— Co panu jest?

— Nic — odpowiada wariat.

— Więc dlaczego pan tu siedzi?

— Bo ja uważam, że wszyscy ludzie są wariatami a ja jestem zdrów. Ale ludzie twierdzą inaczej. A panu wiadomo, że większość zawsze zwycięża.

CIEKAWOŚĆ

Wnuk: Dziadziu, dlaczego wciąż musisz zażywać te niedobre krople?

Dziaduś: Bo widzisz dawniej zażywałem za dużo dobrych kropli.

OJCOWSKIE SZCZĘŚCIE

Akuszerka: Winszuję, panie radco. Przed chwilą został pan ojcem szóstego syna.

Radca: Co? Chyba piątego?

Akuszerka: Tak, i piątego też.

DOBRY GRACZ

Pani Wierska: Mężu, dlaczego właściwie w karty zawsze wygrywasz a na wyścigach przegrywasz?

Pan Wierski: Dziwne pytanie. Przecież koni nie mogę tasować.

PO PREMIERZE

Dyrektor: Na miłość Boską, panie drogi, kto panu poradził pisać sztuki teatralne?

Autor: Nikt, panie dyrektorze.

Dyrektor: No i dlaczego pan tej rady nie posłuchał?

UŁATWIENIE

— Panno Felu, dla pani poszedłbym na koniec świata.

— Pocóż tak daleko? Moi rodzice mieszkają tuż obok.

INTELIGENTKA

— Kiedy to odkryto Amerykę?

— Hm, coś przed czterystu laty.

— Że też ci Amerykanie zawsze muszą blagować. Piszą, że w Kalifornii znajdują się olbrzymie drzewa tysiącletnie.

PRZYJACIÓŁKI

— Co przedstawia ten obraz, do którego pozujesz?

— Kleopatrę z wężem.

— A kto pozuje jako Kleopatra?

DANTE TEŻ NIE BYŁ

— Panie, jak to możliwe, że napisał pan książkę o Indiach a nigdy pan tam nie był?

— A Dante był w piekle?

SŁUSZNIE

Pani domu: Cóż to, Marysiu, wyczyściłaś okna od wewnątrz a od zewnątrz nie?

Marysia: A tak, od wewnątrz wyczyściłam, aby pani mogła patrzeć na ulicę, a od zewnątrz nie, żeby nam ludzie nie zaglądali do mieszkania.

GŁUPIE PYTANIE

— Dlaczego właściwie Murzyni mają czarną skórę?

— Głupie pytanie. Gdyby nie mieli czarnej skóry, nie byliby Murzynami.

DOŚWIADCZENIE

— Więc pan chce pakować śledzie. Czy ma pan pod tym względem jakieś doświadczenie?

— Owszem, byłem przez kilka lat konduktorem kolei elektrycznej.

W SZKOCJI

Szkot z psem na rynku rybackim zbliżył się do kosza z homarami i jeden z homarów przyczepił się psu do ogona. Pies w nogi.

— Panie, — krzyczy przekupka — niechże pan gwizdnie na swego psa!

— Ani mi się śni — odpowiada Szkot. — Niech pani gwizdnie na swego homara.

× o ×

Szkot zaciąwszy się przy goleniu, telefonuje do szpitala:

— Ile płacicie za transfuzję krwi?

WYTŁUMACZONY

Właściciel samochodu: Jakim sposobem pękła opona?

Szofer: Najechałem na butelkę, proszę pana.

Właściciel: Czy jej pan nie dostrzegł?

Szofer: Nie, bo ten nieszczęśnik miał ją w kieszeni.

W SKŁADZIE

— Proszę o dzwonek alarmowy przeciw złodziejom.

— Przecież już pan kupił wczoraj.

— Tak, ale w nocy mi go skradziono.



Fatalna teczka

napisał Feliks Karzycki

CZŁOWIEKOWI spostrzegawczemu rzucała się od razu w oczy emaliowana tabliczka:

> **GWIŻDŻ I KWITA**
> **Biuro tajnych detektywów**

Pod tym skromnym a treściwym napisem widniał równie wymowny znak: zezujące oko w trójkącie. Trzeba mieć, oczywiście, trochę imaginacji, aby zrozumieć jego wymowę. Zarówno jednak pan Gwiżdż, jak i pan Kwita nie byli pozbawieni fantazji i potrafili wyłożyć nieświadomemu ukryte w tym symbolu znaczenie.

— Oko, to znaczy, że widzimy wszystko, a trzy boki trójkąta, że potrafimy rozwikłać sprawy trzech rodzai: tajne, poufne i kryminalne.

— Ale dlaczego oko zezuje? — pytał człowiek pozbawiony fantazji.

Tłumaczenie, że jest to po prostu błąd grawera niegodne byłoby wielkiego detektywa.

— Rozmawiając z człowiekiem obdarzonym przez naturę zezem nigdy pan nie jest pewny, na co on patrzy. Tak samo z porządnym detektywem. Nigdy nie wiadomo, co on obserwuje, na co jego uwaga i wzrok są zwrócone.

Zresztą dla ludzi bez polotu i niedomyślnych przeznaczona była dodatkowa kartka wypisana własnoręcznie a niezupełnie ortograficznie przez pana Gwiżdża:

„Wszystko wie, widzi, słyszy!!!
Podejmujemy sie rozwikłania
najzawilszych zagadek z fszelkich dziedzin. Załatwia sprawy poófne.
Dyskrencja zapewniona!!!"

* * *

Zdawało by się, że człowiek przeciętny rzadko kiedy napotyka w swoim życiu „najzawilsze zagadki". Życie ludzi zwyczajnych układa się zwyczajnie prosto i wyraźnie. A jednak... Taki sobie zwyczajny śmiertelnik, pomocnik referenta w starostwie grodzkim, pan Henryk Majewski, (ósmy stopień służbowy, szczebel b, lat dwadzieścia osiem, nieżonaty, bez znaków szczególnych i w dodatku blondyn, nos normalny, oczy szaro-niebieskie) zetknął się z biurem tajnych detektywów p.t. „Gwiżdż i Kwita" (ul. Złota 13, pierwsze piętro w podwórzu).

Człowiek przeciętny i bez znamion szczególnych, to nie znaczy jeszcze, pozbawiony wszelkich cech przyjemnych. Owszem! Pan Henryk miał nawet pewne powodzenie u kobiet. Exemplum — był zaręczony z panną Zosią Majdówną, osóbką ze wszech miar uroczą, córką bogatego kupca (Majda Stefan, konfekcja męska i damska, ul. Krótka 6). Pomińmy już, że panna posażna, ale jakież wdzięczne stworzenie: ciemna główka cała w puszystych lokach, oczy żywe, świecące, usteczka zgrabnie wykrojone, czerwone jak dojrzały pomidor, nosek zgrabny, buzia owalna, figurka wdzięczna, nóżki, jak utoczone.

* * *

Z takim aniołem zaręczony był zupełnie przeciętny pan Henryk.

Data ślubu była już wyznaczona i narzeczeni w największej harmonii układali sobie plany na najbliższą przyszłość, kiedy w ich życie wplątała się ta cała zawikłana historia.

Zaczęło się, jak to zwykle bywa od drobnostki.

Poszło o pannę Kazię, koleżankę z pensji panny Zosi, a obecnie stenotypistkę, pracującą razem z panem Henrykiem w starostwie grodzkim. Trudno człowiekowi zakochać się w kobiecie, na którą denerwuje się codziennie za błędy w przepisywaniu. Traktuje się ją po prostu jak kolegę biurowego. No, ale kiedy „kolega" wychodzi z biura, zrzucił już czarny urzędniczy fartuch i zamienił się w barwnego motyla, trudno nie być dlań wtedy trochę uprzejmiejszym. Poda człowiek palto, spyta przez uprzejmość, w którą stronę „kolega" idzie, a jeśli akurat wypadnie w jedną stronę, trudno nie zaproponować, że kawałek pójdziemy razem.

Trzeba akurat trafu, że kiedy pan Henryk podprowadzał pannę Kazię do restauracji, w której jadała obiady domowe, trzeba trafu, że akurat przechodziła tamtędy panna Zosia z mamusią.

Odpowiedziała na ukłon pana Henryka tak lodowato, że biedny młodzieniec stracił na chwilę równowagę. Zamiast ratować szybko sytuację, pożegnać pannę Kazię i biec za narzeczoną — zakręciło mu się w głowie i szedł dalej z koleżanką. Nie słyszał wprawdzie, co ta do niego mówiła i odpowiedział jej coś tak nie do rzeczy, że panna Kazia wybuchnęła głośnym, srebrnym śmiechem. Może ten śmiech usłyszała obrażona panna Zosia, bo kiedy pan Henryk, pożegnawszy wreszcie Kazię, pobiegł za narzeczoną, nie dojrzał jej nigdzie w tłumie.

I trzeba akurat trafu, że tego dnia wieczorem pan Henryk musiał być na pożegnal-

nej kolacji jednego z wyższych urzędników. No, po prostu nie mógł nie iść. Ale jak wytłumaczyć tak prostą z pozoru historię obrażonej pannie Zosi? Spytała tylko z ironicznym uśmiechem:

— Panna Kazia, ma się rozumieć, będzie też na tym pożegnaniu?

Kobiecie, która poweźmie nieuzasadnioną zazdrość, nie wyperswaduje się jej w żaden sposób. Z ponurą miną popędził pan Henryk na ostatnią chwilę przebrać się w wieczorowy garnitur i podążył do Continentalu na uroczystość. Cały wieczór miał gruntownie popsuty, ale to nie przeszkodziło zupełnie pechowi prześladować go w dalszym ciągu.

Nie mógł przecież być gburem, kiedy panna Kazia, która siedziała obok niego przy kolacji, zwróciła się z uprzejmą propozycją:

— Czas na mnie. Wszyscy panowie są już pod dobrą datą. Może odprowadzi mnie pan do taksówki.

I trzeba akurat trafu, że kiedy Henryk lokował panienkę w aucie, nawinął się akurat papa Majda, który codziennym zwyczajem wpadł do Continentalu na szklaneczkę piwa. Panu Henrykowi ręce zatrzęsły się na ten widok. Zatrzaskując drzwiczki auta przyciął niewieście tren sukni. Musiał otworzyć na nowo drzwiczki i pochylić się nisko do nóżek panny Kazi, aby tren wyplątać. Dla postronnego obserwatora musiało się to wydać trochę podejrzane. Nie mógł nawet wytłumaczyć przyszłemu teściowi nieporozumienia, bo zanim taksówka ruszyła, papy Majdy już nie było.

Źle spał nasz przyjaciel tej nocy.

* * *

Interesy firmy Gwiżdż i Kwita nie przedstawiały się różowo. Ludzie na ogół mało czują pociągu do spraw kryminalnych, poufnych i tajnych.

— Trzeba by zamówić większy szyld — radził pan Kwita. Natura pulchniutkiego detektywa skłaniała go do przedsiębrania środków, nie wymagających większego nakładu pracy.

— Raczej trzeba wyjść do miasta, przewąchać, czy nie trafi się jaka sprawa — odparł pan Gwiżdż, ilustrując słowa silnym wciągnięciem powietrza w dość wydatny organ powonienia. Wysoki, suchy, ruchliwy przekładał raczej środki, nie wymagające ekspensów finansowych.

Stanęło na tym, że pan Gwiżdż wyruszy do miasta na przewąchanie najzawilszych zagadek, a pan Kwita zostanie na straży głównej kwatery.

* * *

Gdyby piorun strzelił w Henryka nie ogłuszyłby go chyba w takim stopniu, jak list narzeczonej, który zastał w domu po powrocie z biura:

„Szanowny Panie! Wobec niesłychanego pańskiego postępowania uważam (nasze narzeczeństwo — przekreślone) naszą znajomość za niebyłą. Zwracam panu listy i pamiątki. Nawzajem proszę o zwrot moich. Z poważaniem Zofia Majda".

Żadnych tłumaczeń, żadnych wyjaśnień. Kropka. Wszystkie projekty, marzenia przyszłości — diabli wzięli. Gadaj z kobietami! Ciekawa rzecz, czy stary powiedział jej o wczorajszej taksówce. Lecieć wyjaśniać? Nie ma co! Nie wysłucha, nie zechce mówić, powie, że nie ma jej w domu.

Na dobitkę musiał iść do biura na nadgodziny. Nie było czasu na konferencję. Ale i robota nie szła mu jakoś. Iść, czy nie iść do Majdów z wyjaśnieniami? Na wszelki wypadek zabrał ze sobą zwróconą przez pannę Zosię korespondencję i jej listy do ewentualnego zwrotu. Może jednak zmieni jeszcze decyzję. Myśli uporczywie pchały się po głowie. Nie mógł pracować. Wziął kilka ważniejszych spraw do teczki i wyszedł z biura. Iść, czy nie iść do panny Zosi?

Nie mogąc powziąć żadnej decyzji, włóczył się po ulicach, prowadząc ze sobą w myśli ożywione dyskursy. Gestykulował przy tym zawzięcie, aż się przechodnie za nim oglądali. Niepostrzeżenie zabrnął w oddaloną dzielnicę miasta. Musiał wracać tramwajem.

Bezmyślnie patrzył przez okno wagonu na ulicę. W pewnej chwili odwrócił głowę w stronę przepełnionego wnętrza wagonu i... drgnął. Obok niego stała panna Kazia. Zerwał się z ławki, ustępując jej miejsca. Uśmiechnęła się zalotnie, dziękując za uprzejmość. Pan Henryk szybko przecisnął się do wyjścia i, nie czekając na przystanek, wyskoczył w biegu.

Ta kobieta prześladowała go chyba rozmyślnie. No, niech by kto znajomy spostrzegł to przypadkowe spotkanie!

W tej chwili zorientował się, że zostawił teczkę w tramwaju. Zginąć, nie zginie. Zaopiekuje się nią panna Kazia. Pozna teczkę i zabierze ze sobą. Ale w teczce jest cała korespondencja narzeczeńska. Teczka niezamknięta. Czy można posądzić pannę Kazię o tyle dyskrecji, że nie otworzy teki, a poznawszy zawartość, czy nie przejrzy listów? Ładna historia. Nie pozostaje nic innego, jak pędzić do jej mieszkania po teczkę. Skierował się w tę stronę.

Ale przed domem panny Kazi czekała go nowa niespodzianka. W samej bramie o mało nie wpadł... na swą narzeczoną. Kusociński nie biegł chyba nigdy z taką szybkością, z jaką zrejterował pan Henryk, gnany obawą nowych komplikacji.

I tej nocy nie przepędził nieszczęsny młodzieniec zbyt spokojnie.

* * *

— Jak wypadł wywiad? — pytał uprzejmie pan Kwita swego chudego wspólnika. — Natrafiłeś na jaką złotodajną żyłę?

— Coś niecoś może z tego wypadnie przy dzisiejszych ciężkich czasach — odpowiedział pan Gwiżdż, rzucając na biurko ciężką skórzaną tekę. — Myślę, że właściciel zapłaci jakieś znaleźne!

Pan Kwita, wiedząc z doświadczenia, że nie wyciągnie z przyjaciela inaczej żadnych szczegółów, zakrzątnął się żywo.

Kiedy dwa kufle pienistego piwa były już do połowy osuszone, pan Gwiżdż opowiedział ze szczegółami wspólnikowi, jak spotkał na ulicy człowieka dotkniętego lekkim obłędem, jak śledził go w tramwaju, z którego tamten wyskoczył nagle, i jak wszedł w posiadanie porzuconej teczki...

Przejrzeli jej zawartość.

— Resztę pozostaw mnie! — zadecydował pan Kwita.

Gwiżdż w milczeniu skinął głową.

W tej spółce wysoki i chudy wspólnik reprezentował węch detektywistyczny, pulchny i niski — spryt handlowy.

* * *

— Przyniosła pani moją teczkę? — chłodno zapytał Henryk stenotypistki.

Kazia spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczyma.

— Pana teczkę?!? Jaaa!?

— Jakto!? Nie wzięła jej pani wczoraj z tramwaju?

— Z tramwaju? Nie jechałam wczoraj tramwajem!

— Jakto? Wczoraj spotkałem przecież panią w szóstce. Była wtedy godzina... kwadrans po siódmej. Ustąpiłem pani miejsca i zapomniałem o teczce. Została koło pani.

— Pan chyba miał halucynację, panie referencie! Wczoraj o godzinie siódmej byłam w domu. Może zaświadczyć moja gospodyni i pańska narzeczona, która...

Pan Henryk nie słyszał już ostatnich słów. Zbladł i oparł się ciężko o biurko. W teczce oprócz prywatnej korespondencji były przecież sprawy urzędowe. Szczególnie jedna bardzo ważna i tajna. Czyżby Kazia...

— Do domu wracałam piechotą. Może zaświadczyć pan Karol, który przed siódmą odprowadził mnie do samej bramy. A potem moja gospodyni i pańska...

Pan Henryk pobiegł do telefonu.

* * *

Koniec! Z Zosią zerwane! Nie ma mowy o pogodzeniu teraz, kiedy lekkomyślnie zgubił jej korespondencję. Z karierą skończone, kiedy dowiedzą się o zagubieniu ważnych dokumentów. Koniec! Nie ma o czym gadać. Nie pozostaje nic innego...

Jakiś drab wsunął mu do ręki ulotkę reklamową. Bezmyślnie spojrzał na kartkę, bezmyślnie przebiegł oczyma jej treść. Nagle jakieś słowo wpadło do jego świadomości. Przeczytał drugi, trzeci raz:

„Jeśli masz jakieś zmartwienie
Stanąłeś wobec nierozwikłanej zagadki
Zgubiłeś cenne dokumenty
Chcesz rozwikłać otaczającą cię tajemnicę
Zwróć się do biura tajnych detektywów pf.
"GWIŻDŻ I KWITA"

Pan Henryk potarł czoło. Czy to nie szczęśliwy traf podsunął mu tę ostatnią deskę ratunku?

* * *

— Ważne dokumenty! Sprawa wagi państwowej! Tajemnice urzędowe i prywatne! — mówił gorączkowo pan Henryk, chcąc przekonać sławnego detektywa o ważności sprawy i nakłonić go do gorliwego nią zajęcia. Nie spostrzegł, jak twarz dzielnego męża rozpromieniła się przy tych słowach. Pan Kwita kiwał głową, robił notatki w notesie i od czasu do czasu rzucał krótkie, zwięzłe pytania.



Byli obecni na weselu...

— Sprawa rzeczywiście poważna, ale nasze biuro rozwikłało już niejedną zawilszą zagadkę. Oczywiście, pociągnie to pewne koszta...

Pan Henryk wyciągnął portfel z kieszeni. Gotów był poświęcić wszystkie oszczędności, gromadzone skrzętnie od lat kilku, byle tylko odzyskać teczkę.

— Bardzo mi zależy na pośpiechu!

— Jak się da, to się zrobi! — odpowiedział dyplomatycznie pan Kwita.

— Może ogłoszenie w gazecie — wpadł na szczęśliwy pomysł pan Henryk.

— Broń Boże — przeraził się Kwita. — W takich sprawach należy unikać rozgłosu.

* * *

Ledwie zamknęły się drzwi za panem Henrykiem, otwarły się drzwi z wnętrza mieszkania i stanął w nich z zaciekawioną miną pan Gwiżdż. Między wspólnikami wywiązała się krótka, a treściwa rozmowa:

— Ile?

— Sto!

Krótkie mruknięcie.

— To zadatek: na koszta. Znaleźne — drugie sto, a jeśli znajdzie się dzisiaj — pięćdziesiąt za pośpiech.

Gwiżdż zatarł ręce.

— A skądinąd nie można by więcej?

Kwita skrzywił się powątpiewająco.

— Ważna sprawa urzędowa...

— Niebezpiecznie.

— Kobieta...

— Można spróbować.

W rezultacie tej rozmowy pan Henryk zdziwił się bardzo i rozpromienił, gdy zawezwany do telefonu usłyszał z aparatu głos narzeczonej:

— Przede wszystkim powiedz mi, Heniu, dlaczego uciekałeś wczoraj przede mną bez wyjaśnień. Chciałam pomówić z tobą i powiedzieć ci, że rozmawiałam z Kazią i ona wytłumaczyła mi wszystko. A po drugie — przyszedł do mnie jakiś jegomość, tyle naopowiadał o różnych kosztach i trudnościach z twoją teczką. Dałam pięćdziesiąt złotych za znaleźne.

— Ja ci to wszystko wytłumaczę osobiście, Zosieńko, kochana! — zawołał pan Henryk do słuchawki.

Brakło mu w tej chwili słów, aby wyrazić radość.

* * *

Pan Gwiżdż i pan Kwita, obaj bardzo solennie w staromodnych frakach byli obecni na weselu panny Zosi Majdówny z panem Henrykiem Majewskim. Honorowano ich, jak najzacniejszych gości. Kwita opowiadał wszystkim, że to on w wielkiej mierze doprowadził do skutku małżeństwo.

— Powiadam ci, wspólniku i przyjacielu — przemawiał czule do Gwiżdża, gdy podpierając się wzajemnie wracali nad ranem do domu. — Zwińmy biuro dede... tede... detektywistyczne i założmy biuro matrymonialne. To bardzo przyjemny zawód.

ANEGDOTY Z BRODĄ

Egon Friedel i Hugo von Hoffmannstahl przechadzają się po ogrodzie wiedeńskim. Nagle Friedel zatrzymuje się i mówi:

— Tutaj za dwadzieścia lat będzie stał pana pomnik.

Hoffmannstahl zmieszany próbuje zaprzeczyć. Ale Friedel jest niewzruszony:

— Tak, tak, tu będzie stał pana pomnik a ludzie będą się zatrzymywali i pytali: „Hoffmannstahl? Cóż to był za jeden?"

——oooOooo——

Ks. Galliani był bardzo jadowitym pisarzem. Kiedyś zachorował; przypuszczano, że się otruł.

— Wiem już — powiedział baron Grimm — ugryzł się pewnie w język.

——oooOooo——

Znany malarz zwierząt Edwin Landesser odwiedził kiedyś Lizbonę. Na przyjęciu król zwrócił się doń łaskawie:

— Jako przyjaciel zwierząt, cieszę się, że pana poznaję.

——oooOooo——

Ks. Galliani powiedział o śpiewaczce Arnould:

— Najpiękniejsza astma, jaką kiedykolwiek słyszałem.

——oooOooo——

Na oświadczenie pewnego dziennikarza, że na dworze b. cesarza Wilhelma II w Doorn wszyscy zachwycają się Shawem, pisarz angielski odpowiedział:

— Poziom inteligencji królewskiej podnosi się jak widać.

— Czy w Anglii również?

— Dwór angielski nie czyta moich książek — odpowiada spokojnie Shaw.

——oooOooo——

Pisarz Bourget i krytyk Sounday rozmawiali kiedyś o śmierci. Bourget mówi:

— Najgorsze, że po śmierci nie można już pisać.

— To jeszcze nic — odzywa się Sounday. — Gdyby przynajmniej można było czytać.

——oooOooo——



WIEŚNIACZKA



KSIĄDZ W WIĘZIENIU



LUD I SZLACHTA W POCHODZIE

Z cyklu „Warszawa II“ Artura Grottgera

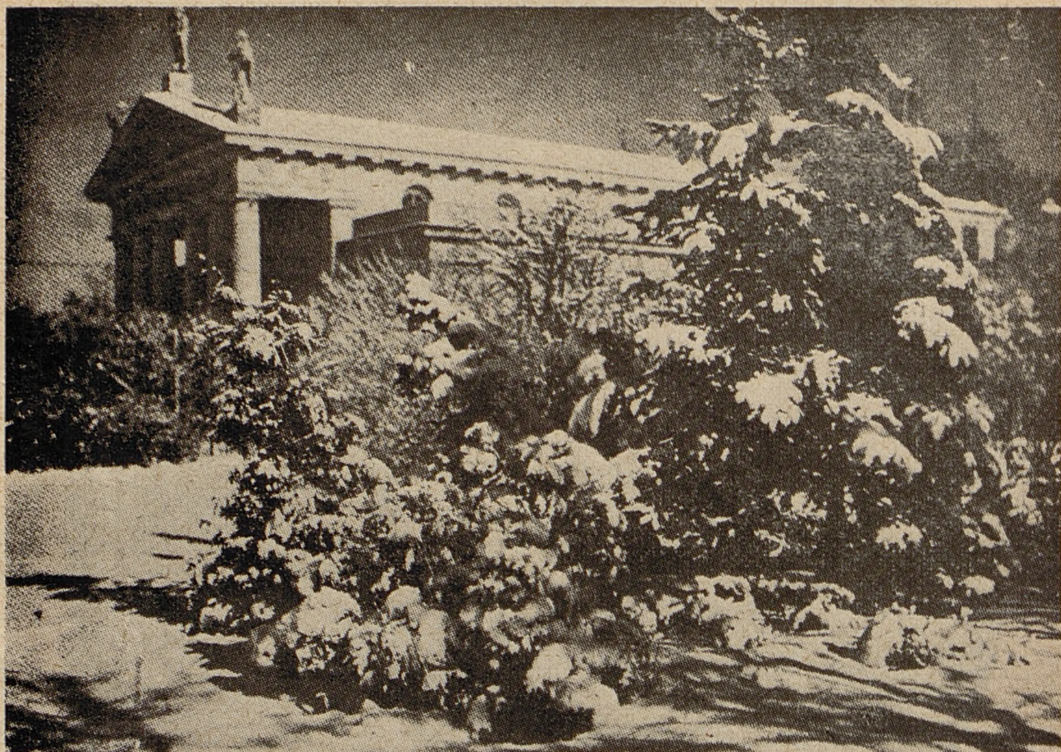


ZAMKNIĘCIE KOŚCIOŁÓW



NABOŻEŃSTWO NA CMENTARZU

Z cyklu „Warszawa II“ Artura Grottgera



KATEDRA WILEŃSKA W ŚNIEGU



NAROCZ — NAJWIĘKSZE JEZIORO POLSKIE



Napisał Wiliam CAINE, tłumaczyła C. W., ilustrowała I. S.

ZEGAR na Chelsea wybił właśnie dziesiątą, gdy Anfitrion wszedł do pracowni z biletem wizytowym. Mendoza odebrał bilet, spojrzał zza gazety, przeczytał: Mrs. Gatacre - Burtenshaw. Popatrzył pytająco na służącego.

— Jakaś tęga kobieta, senor, mówi tonem rozkazującym. Ma na sobie futro, w uszach perły. Nie zdaje mi się jednak, by miała zamiar coś kupić.

— Z tego, co mówisz — odrzekł Mendoza — nie sądzę również, by przyszła pożyczać. Ponieważ w tej chwili nie pracuję, będę ją chyba musiał przyjąć. — Wstał, Anfitrion oczyścił mu ubranie miotełką, wyjętą z kieszeni fartucha. Za chwilę gość został wprowadzony. Mendoza wskazał krzesło, lecz sam nie usiadł. W obecności nieznanego interesanta siada tylko człowiek nierozsądny.

Do Anfitriona przy drzwiach pani Gatacre - Burtenshaw przemawiała może tonem rozkazującym, lecz teraz, gdy życzenie jej zostało spełnione i dotarła do sanktuarium jego pana, była uosobieniem uprzejmości. Twarz cała była jednym uśmiechem, głos płynął słodko, jak miód. Mendoza osądził, że przyszła go poprosić o gratisowe narysowanie programu na dobroczynny „poranek". Z góry postanowił odmówić. W żadnym razie nie zrobi tego dla jakiejś pani Gatacre - Burtenshaw, która mu się wcale nie podoba. Czuł antypatię do tej upudrowanej zwiędłej twarzy, nie podobały mu się twarde jej oczy i usta zacięte; olbrzymie perły w uszach i bogate sobole; jej lepki głos napełniał go wstrętem.

Stojąc bez ruchu na dywanie przed kominkiem czekał w milczeniu na to, co mu powie ta posłanka dobroczynnego komitetu z Bayswater, przygotowując w myśli delikatną odmowę.

— Mam nadzieję, że mi pan wybaczy tę wczesną wizytę — rozpoczęła — lecz dłużej nie mogłam czekać, naprawdę nie mogłam. Dopiero w nocy, a raczej nad ranem przyszedł mi głowy pomysł zwrócenia się do pana. Musiałam przyjść jak najwcześniej. Przez całą noc ani na chwilę nie zmrużyłam oka. Panie Mendozo, takie mam zmartwienie, a pan jest jedynym na świecie człowiekiem, który mi może pomóc. Bardzo więc proszę, niech się pan na mnie nie gniewa! — Nigdy pan wprawdzie nie był matką, lecz jestem pewna, że zrozumie pan niepokój matki o syna.

Złożyła ręce prosząco — w jej głosie wyczuwało się łzy.

Mendoza przestał przygotowywać grzeczną wymówkę. Miał przed sobą przedstawicielkę o wiele niebezpieczniejszego gatunku, niż początkowo przypuszczał.

— To prawda — odparł — nigdy matką nie byłem, ale znałem niejedną, i nigdy by mi na myśl nie przyszło nie mieć względu na poczynania matki, gdy idzie o dobro jej dziecka. Nie ma tu nic do przebaczenia, niech mi pani wierzy. — Ale możebyśmy zatem przystąpili do sprawy?

— Dobrze, proszę pana, dobrze — zawołała. — Rozumiem. Czas pana jest cenny. Zajmę panu moją sprawą tylko kilka minut. Jeśli pan pozwoli, to chciałabym pomówić o moim synu, Karolku. Potrzebna mi pańska rada i pomoc. Karolek jest moim jedynym dzieckiem i wszystkim, co mi na świecie zostało. Absolutnie wszystkim! — W tym miejscu rozpięła swoje kosztowne sobole i zsunęła je z ramion. — Drogi jego ojciec umarł przed dziesięciu laty, gdy Karolek był małym, dziewięcioletnim chłopięciem. Od tego czasu był moją jedyną pociechą. Najlepszy chłopiec pod słońcem proszę pana do chwili, gdy wbił sobie w głowę, że zostanie artystą... ,

— Może pani powie, czego sobie pani życzy ode mnie? — wtrącił Mendoza. — Czy może chciałaby pani, bym wziął syna na ucznia? Bo jeśli tak, to z przykrością...

— Ależ, proszę pana — zawołała — całkiem przeciwnie! Chciałabym, by pan pozwolił mu przyjść do siebie i pokazać rysunki. Powie mu pan wtedy, że w ogóle nie ma talentu, jednym słowem zniechęci go pan. Nie mogę się pogodzić z myślą, że m ó j syn ma być artystą. W naszej rodzinie nigdy nic

podobnego się nie zdarzyło. Nigdy! — Zupełnie nie rozumiem, skąd temu chłopcu przyszła ta nikczemna myśl do głowy!

— Kaprysy dziedziczności bywają nieobliczalne, droga pani — odparł Mendoza. — Syn pani zawdzięcza prawdopodobnie te nieszczęsne gusta jakiemuś lekkomyślnemu przodkowi, artyście, zmarłemu przed pięciuset laty, a może nawet dawniej jeszcze.

Pani zacisnęła usta.

— Obawiam się — rzekła, — że nasza rodzina nie jest aż tak dawna. Lecz — skierowała rozmowę na inne tory — nie odmówi mi pan swej pomocy? Prawda? Obejrzy pan rysunki Karolka i powie mu pan, że nie ma żadnej nadziei, by został kiedykolwiek artystą - malarzem. Powie mu pan to, bardzo o to proszę.

— Ależ, droga pani, nie mogę nic przyrzekać, dopóki nie zobaczę rysunków — odpowiedział Mendoza. — A może on ma duży talent. To może się zawsze zdarzyć, nawet w pani rodzinie. Kaprysy dziedziczności potrafią być zadziwiające.

— O! — jęknęła kobieta — jeśli mi pan nie zechce pomóc, to dokąd ja się biedna zwrócę. Pan jest jedynym na świecie człowiekiem, którego syn mój posłucha, bo przywiązuje większą wagę do prac pana, niż do pracy wszystkich innych malarzy. Po prostu uwielbia pana. Zbiera wszystkie reprodukcje rysunków pana z czasopism. Musi ich mieć już chyba setki, jeśli nie tysiące. Najdroższym jego marzeniem jest zostać tak wielkim artystą, jak pan. Jedno pana słowo zaważy więcej na szali, niż wykład z ust innego artysty. Jestem święcie przekonana, że jak tylko obejrzy pan kilka jego rysunków i powie mu otwarcie, że są bez wartości, zaniecha myśli o tym poniżającym szaleństwie, i pójdzie spokojnie po linii, jaką dla niego obrałam.

— A jaką to karierę pani dla niego obrała? — spytał Mendoza.

— Cóżby mogło być innego — zdziwiła się, — jak nie — jak nie kariera jego drogiego ojca, kariera polityczna. — Mendoza odwrócił twarz, by ukryć uśmiech — Mąż mój był członkiem parlamentu przez ostatnie trzy lata swego życia. Gdyby był żył, byłby zaszedł bardzo wysoko, był bowiem doskonałym mówcą, no i oczywiście dopomagały mu pieniądze. Ale nie miało tak być. Pan Bóg postanowił inaczej! Teraz pan z pewnością zrozumiał, dlaczego tak mi zależy na politycznej karierze Karolka. Winni jesteśmy pamięci drogiego jego ojca prowadzić dalej jego dzieło, jak tylko najlepiej potrafimy. Chciałabym też dobrze ożenić mego chłopca. Jako początkujący polityk będzie miał dużo okazji znalezienia sobie żony, która może mu przynieść w posagu majątek i wpływy. Jeśli jednak zostanie artystą, to będzie spotykał tylko ordynarne modelki, studentki i takie tam szumowiny pracowniane.

— Istotnie — odrzekł Mendoza — to zupełnie dla niego nieodpowiednie. Ale przypuśćmy, droga pani, że syn będzie chciał zostać artystą mimo jej woli. Co wtedy? — zapytał.

Oczy jej zwęziły się, dolna szczęka wysunęła się naprzód.

— Wtenczas — warknęła — będzie się musiał troszczyć sam o siebie. Prócz tego co dostaje ode mnie, nie ma ani grosza na własność! i nie będzie miał nic, dopóki ja żyję. Zanim mu pozwolę na podobne szaleństwo wolę, żeby głupiec zdychał z głodu w rynsztoku!

Mendoza zrozumiał, że słowa jej są szczere, jak złoto. Wzięła go chętka wypchnięcia baby za drzwi, opanował się jednak.

— Współczuję pani szczerze — rzekł — zupełnie zrozumiałe jest jej pragnienie uratowania syna od nędznego zawodu artysty i skierowania go na drogę kariery politycznej, tak odpowiedniej dla mężczyzny. Lecz przecież muszę się liczyć z możliwością, o której już mówiłem, bo jakże ja mu powiem, że nie ma talentu, jeżeli go ma, i to może niezwykły.

— O to nie ma żadnej obawy — odcięła — może mi pan wierzyć na słowo.

— Nie, tego zrobić nie mogę — odpowiedział. — I jeszcze raz powtarzam, jeśli znajdę, że syn pani jest rzeczywiście zdolny, co wtedy? Może by mi pani jednak pokazała choć ze dwie próbki jego prac?

Wsunęła rękę pod futro i wydobyła dużą kopertę, w której znajdował się arkusz papieru. — Jeśli panu tak bardzo na tym za-

leży, to proszę, oto jego rysunek. Wystarczy rzucić na to okiem — jest beznadziejne. Jak wszystko, co chłopczyna rysuje. Nie potrafi stworzyć nic, co by się dało nazwać ładnym, lub chociaż miłym. Zawsze jakieś okropne czupiradła jak oto.

Mendoza wziął z jej ręki rysunek, położył go na stole i w milczeniu pochylił się nad nim. Rysunek był daleki od doskonałości. Przedstawiał nędznego obdartusa, ubranego jak pirat, z pistoletami i nożami za pasem z olbrzymim kordelasem w ręku, w butach marynarskich, z głową owiązaną chustką, w wielkim kapeluszu z piórami. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że rysowała to ręka niewyszkolona, lecz pod szorstką skorupą oko Meduzy wyczuło talent.

— Proszę pani — odezwał się po chwili — ten rysunek jest bardzo ciekawy. Przede wszystkim jest w nim duże poczucie humoru, poza tym przebija zapał. Syn pani rysował tego brutala z zamiłowaniem. Trzeba pani wiedzieć, że poczucie humoru i zamiłowanie do pracy są tymi niewielu rzeczami, których artysta nauczyć się nie może. Rysować nauczy się każdy. Sądząc już z tej jednej próbki syn pani ma otwartą drogę i może zajść nawet bardzo daleko. Gdybym zobaczył więcej jego prac, mógłbym wydać wyrok pewniejszy. Bardzo się będę cieszył, jeśli mi pokaże inne swe rysunki.

Pani Gatacre - Burtenshaw wsunęła rysunek z powrotem do koperty. — Proszę pana — rozpoczęła głosem szorstkim. — Czy pan nie rozumie, czy też nie chce rozumieć, że nie po to przyszłam do pana, by prosić go o zachęcanie mego syna do tego, co ja nazywam szaleństwem. — Chcę, by mu pan powiedział, iż jego rysunki nic nie są warte i nigdy nic warte nie będą. Wyrażam się chyba dość jasno.

— Owszem — odparł Mendoza — bardzo nawet jasno. Ale może mi pani z łaski swej powie, z jakiego powodu mam to zrobić? — Czyż pani nie rozumie, że uważam ten rysunek za bardzo obiecujący? — I czemuż to, proszę miałbym odbierać temu chłopcu wielką nadzieję zostania artystą?

Przez chwilę siedziała w milczeniu z marsem na czole, stukając nogą w podłogę. Mendoza czuł, jak go w tej chwili nienawidzi. Po namyśle rozpogodziła twarz i głosem jak najsłodszym powiedziała.

— Proszę pana, samo się przez się rozumie, że nie będzie pan krytykował mego syna bezinteresownie. Zapłacę honorarium, jakiego pan zażąda. Tam, gdzie chodzi o przyszłość mego dziecka, nie będę się targować.

Oczy Mendozy zrobiły się groźne, twarz mu pociemniała. Pani Gatacre-Burtenshaw starannie omijała jego wzrok — gdyby nie to, byłaby się z pewnością zlękła. Mendoza nie odzywał się, czekał co powie dalej.

— Chcę tylko — cedziła powoli, patrząc na czubki pantofelków — by mu pan stanowczo powiedział, że nie ma talentu do rysunku. Niech się pan jednak nie spodziewa wysokiego honorarium, ani w ogóle jakiejkolwiek zapłaty za zachęcanie tego smarkacza, idioty, do nieposłuszeństwa matce.

Gniew znikł z twarzy Mendozy, jak gdyby dotkniętej różdżką czarodziejską, robiąc miejsce diabelskiej przewrotności. Pochylając się z lekka naprzód zapytał cicho: — Czy będzie pani łaskawa powiedzieć mi jaką cyfrę ma pani na myśli, mówiąc o wysokim honorarium?

Podniosła głowę i spojrzała mu wreszcie w oczy. — Czy przystępujemy do interesu? — spytała. — Skinął głową. — Mam na myśli — tu zatrzymała się — sto gwinei.

— Mendoza wyprostował się i rozłożył szeroko ręce. — Pani droga — rzekł — chyba pani nie rozumie, z kim ma do czynienia. Jestem Mendozą. Sto gwinei może być ponętnym honorarium dla niejednego artysty, ale dla mnie nie ma ono żadnego znaczenia. Jeśli to jest pani skala radzę zwrócić się do kogo innego. Wartość i cena Mendozy są wyższe. Biorąc od pani pieniądze, będę się musiał prawdopodobnie zaprzeć samego siebie i zdradzić ukochaną Sztukę, wytrącając z jej orszaku adepta o wielkim talencie. Za mniej niż t y s i ą c f u n t ó w nie ruszę palcem w tej sprawie.

Pani Gatacre - Burtenshaw podskoczyła na krześle i pisnęła z oburzenia:

— Tysiąc funtów! Oszalał pan chyba — musiał pan oszaleć. Kto słyszał o płaceniu artyście takiego honorarium za skrytykowa-

nie rysunków chłopca. Toż to suma fantastyczna — a może pan tylko ze mnie zażartował?

— Tam gdzie chodzi o pieniądze — odrzekł Mendoza — nie żartuję nigdy. Czy pani tę sumę zapłaci, czy nie, jest rzeczą pani. W zamian za czek na 1.000 funtów przyrzekam powiedzieć synowi pani, że rysunki jego nie mają wartości. Nie zrobię tego jednak ani za dwieście funtów ani za trzysta, ani nawet za dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć funtów, dziewiętnaście szylingów i jedenaście pensów. Niechże więc między nami nie będzie żadnych targów. Może pani moją propozycję przyjąć albo odrzucić — mnie to nie zrobi różnicy. Proszę się szybko zdecydować, gdyż za pięć minut muszę stanąć do pracy.

Ku niezmiernemu zdziwieniu artysty pani Gatacre-Burtenshaw skapitulowała bez walki. Tysiąc funtów było co prawda znacznie większą sumą, niż się spodziewała, ale co znaczyło tysiąc funtów, gdy chodziło o zagrożoną polityczną karierę Karolka?

— Rozumie się samo przez się — zaznaczyła energicznie — że będę obecną przy rozmowie pana z Karolkiem.

Mendoza odrzekł z ukłonem:

— Zupełne słuszne żądanie. Jeśli pani płaci gotówką za obietnicę, ma pani prawo dopilnować, by obietnicy dotrzymano. Nie będzie też pani miała żalu do mnie, jeśli i ja okażę nieco ostrożności. Dziś mamy wtorek. Jutro rano przyśle pani czek na tysiąc funtów, w czwartek sumę podniosę z banku. Będę czekał na panią z synem w piątek o godzinie trzeciej.

Podszedł do drzwi i otworzył je przed gościem. Za chwilę był sam.

— Oj, trzeba tu odświeżyć trochę powietrze!

Otworzył okno na rozcież, potem podszedł do telefonu i połączył się ze swym przyjacielem, Williamem Orchardem, młodszym wspólnikiem w firmie Orchard i Penfeather, adwokaci — Bedford Row.

— Billu, zjesz dziś wieczorem ze mną obiad, dobrze? — Tu u mnie, w pracowni. Chcę zrobić z tobą mały spisek, Billu, — Przyjdziesz? — Doskonale! Wpół do ósmej, mój stary, jak zwykle.

Powiesił słuchawkę.

II.

Czek nadszedł, pieniądze zostały podjęte. W piątek pani Gatacre - Burtenshaw przyszła wraz z Karolkiem, któremu towarzyszyła teka z rysunkami.

Karolek był okrąglutkim młodzieńcem, liczącym sobie około dziewiętnastu wiosen. Okrągła głowa, okrągłe oczy, zaokrąglony nos, i podbródek na nosie zaś okrągłe w szyldkret oprawne okulary. Przymrużał oczy i był ogromnie uroczysty. Na ogół robił wrażenie przyjacielskiej sowy. Włosy miał puszyste, krótko przystrzyżone, koloru mysiego. Zdradzał nerwowe podniecenie; wchodząc do pracowni, potknął się o własne nogi.

Mendoza pomyślał:

— Krzywoprzysięstwa nie będę chyba musiał popełniać, a wdowa odzyska swoje pieniądze. To się baba ucieszy! — Lecz cóż to będzie za polityk z tego okrągłego niewiniątka!

Podał matce i synowi krzesła, z rąk młodzieńca wyjął tekę, położył ją na stole, otworzył, zapalił papierosa, a potem wziął do rąk leżący z wierzchu rysunek. Temat nie nasuwał wątpliwości — pierwsze obudzenie się Guliwera w kraju Liliputów. Po człowieku - górze, przyholowanym szczęśliwie do brzegu dziesięciu tysiącami lin, drobny narodek roił się setkami. Trudny ten temat zdradzał ambicję artysty. Karolek tematu nie zwyciężył, w gruncie rzeczy nawet został przezeń haniebnie pobity. Jednak, gdy tylko Mendoza rzucił okiem na rysunek, spostrzegł, że w tym młodzieńcu, podobnym do pączka, tkwiły zadatki na niepośledniego ilustratora. Rysunek wykazywał wszędzie braki, kompozycja była zła. Żył za to cały obraz, tak w nim kipiała bujna wyobraźnia. Również poczucia humoru, jakim się odznaczała postać pirata, nie zabrakło i tutaj. Nie było dwóch liliputów, podobnych do siebie, ani o podobnej pozie; każdy z człowieczków inaczej był odziany. Był to tłum — gęsty, ruchliwy i zabawny, z wyraźnym zróżniczkowaniem indywidualności. Cóż z tego, że Guliwer się nie udał, że krajobraz był do niczego? — Nie miało to żadnego znaczenia. Po liliputach można było poznać, że z ich twórcą należy się poważnie liczyć.

Mendoza zerknął ukradkiem w stronę Karolka. Niezgrabny chłopak siedział na brzeżku krzesła, blady, z czołem zroszonym perełkami potu. Oddychał z trudem, wpatrzony w dywan. Mendoza wziął do ręki drugi rysunek. Dookoła stołu trzech hultajów pociągało z kieliszka. Jeden z nich miał plaster na oku, drugi nogę drewnianą, trzeciemu hak żelazny zastępował rękę. Ubrani byli w łachmany z osiemnastego wieku — spodnie do jazdy konnej, trójgraniaste kapelusze, kaftany o długich połach. Trójka chórem ryczała. I tu znowu rysunek i kompozycje były kiepskie, za to postacie żyły i oddychały. Jeden z pijaków był brutalnym okrutnikiem, drugi sentymentalnym głupcem, trzeci przebiegłym lisem. Nie można się było co do ich charakteru pomylić. Mendoza obejrzał rysunek trzeci, czwarty, dziesiąty, i aż do końca teki. Wszystkie były źle narysowane, i źle skomponowane — tak były jednak różnorodne, miłe i pełne humoru, jak galeria typów z jarmarku na św. Bartłomieja.

Przeglądał je w milczeniu. — Karolek milczał, a niemiła matka Karolka nie odzywała się również. Wyrok, jakiego sobie życzyła, był kupiony i opłacony z góry. Siedziała tu, by go wysłuchać i nic nie miała do powiedzenia. Mendoza złożył starannie rysunki — umieścił je z powrotem w tece, związał sznurki i oddał je właścicielowi.

— Proszę pana — rzekł — przykro mi poinformować pana, że rysunki te są bezwartościowe. Nigdy pan nic wartościowego nie narysuje. Radzę panu wyrzec się wszel-

kiej myśli o sztuce i poświęcić się karierze politycznej, będzie to zgodne z życzeniem matki pana. Przedłużanie naszej rozmowy byłoby bezcelowym. Do widzenia panu! — Żegnam panią.

Otworzył drzwi przed gośćmi.

Karolek załkał i tuląc do piersi tekę z rysunkami wybiegł z pokoju, ignorując formy towarzyskie. Jego matka podążyła za nim nieco wolniejszym krokiem. Mijając Mendozę zapytała:

— Ciekawa jestem, czy opinia pana była szczera?

— O ile sobie przypominam, proszę pani — odpowiedział — to w naszej umowie nie było o tym wzmianki.

Roześmiała się i wyszła. Mendoza otworzył okno i wychylił się. Wyjął z ręki chusteczkę i dał znak, raz, drugi, trzeci... Po tym powrócił do pracy.

III.

Karolek Burtenshaw skierował swe kroki na bulwary. Nie mógł w tej chwili znieść towarzystwa swej matki. Czuł się chory i zbolały i nie miał ochoty słuchać jej triumfalnych drwin i zaprzeczeń, że przecież przepowiedziała mu to z góry. Bezlitosna w zwycięstwie, jakże się będzie pysznić i radować. No, niech sobie trochę poczeka na te przyjemność. Nie miał pojęcia co by powiedział lub zrobił, gdyby się zaczęła nad nim znęcać teraz, zanim się uspokoi. Usiadł na ławce, objął głowę dłońmi i oddał się ponurym rozmyślaniom.

Wyrok Mendozy był srogim ciosem dla młodzieńca. Że był słuszny, nie wątpił. Jakżeby się ośmielił on wątpić o szczerości słów Mendozy. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że wyrok był kupiony. Choć znał dobrze swoją matkę i nie żywił dla niej żadnych serdeczniejszych uczuć, zbyt był prostodusznym, by podejrzewać ją lub kogokolwiek o taką intrygę. Tak, Mendoza przemówił i wszelkie nadzieje się rozwiały. Był do niczego, prace jego były bez wartości. Jego bóstwo Mendoza — radził mu zrzec się wszelkiej myśli o sztuce i zająć się polityką tak, jak sobie życzyła jego matka. Polityka! Nie było już dla niego innej drogi prócz polityki!

Tu biedak zalał się łzami. Gdy człowiek ma dziewiętnaście lat, przeżywa wszystkie małe rozczarowania tak tragicznie, prawda? Wzruszenie nie trwało długo. Wstyd osuszył mu oczy i uspokoił łkanie. Rozpacz zmieniła się w gniew. Skoczył na równe nogi, postanawiając odważnie stawić czoło matce. Stał tak ze zmarszczonym czołem i zagryzionymi wargami, nastrajając się odpowiednio do czekającej go przeprawy. O, nie podda się jej woli, do Oxfordu nie pojedzie, ani nie zaprzestanie rysować, choćby nie wiem kto zabraniał mu rysować. O nic zresztą innego na świecie nie dbał. I dlaczego, na Boga, nie miał rysować, choćby nawet nie miał do tego talentu? Dużo też z niego zrobi Oxford. Albo dużo ludziom z tego przyjdzie, że będzie siedział w parlamencie,

— Nie, nie, jeszcze raz nie, nie posłucha matki. Z jakiej racji miała mu ona dyktować, co będzie, lub czego nie będzie robił w życiu! — Czy to jej, czy jego sprawa? — Ach, gdyby tak mieć choć trochę własnych pieniędzy! — Wystarczyłoby mu pięćdziesiąt funtów rocznie. Ale nie miał nawet pensa. — I jakże się tu opierać matce, gdy się jest skazanym na jej łaskę!

Ktoś wymówił jego nazwisko. Spojrzał na mówiącego. Był nim wysmukły młodzieniec, przyzwoicie ubrany. — Tak, jestem Karolem Burtenshaw, czym mogę panu służyć?

— Mam list dla pana.

Karol wziął list do ręki, otworzył go i czytał:

„Jeśli Pan Karol Burtenshaw, z Elm Row, 18, Chelsea, zechce się pofatygować do biura adwokatów Orchard i Panfeather, Bedford Row, 96, dowie się o pewnej korzystnej dla siebie sprawie".

— Jestem urzędnikiem firmy Orchard, proszę pana — odezwał się młody człowiek. — kazano mi przyprowadzić pana do naszego biura.

— Coś korzystnego dla mnie? — dziwił się Karol — to chyba jakiś spadek?

— Ja tam nie wiem, proszę pana. Najlepiej byłoby pójść ze mną i samemu się przekonać. Karol rady posłuchał. Zawołano dorożkę i dwadzieścia minut później został wprowadzony do gabinetu pana Williama Orcharda.

— Panie Burtenshaw — rozpoczął adwokat, gdy interesant zajął miejsce. — Powiem panu w paru słowach, to, co mi zlecono. Jeden z naszych klientów umieścił u nas tysiąc funtów dla pana. Niech się pan nie pyta, jak się nasz klient nazywa, albo dlaczego on lub



Wyrok Mendozy był srogim ciosem...

ona to zrobił, bo tego panu nie powiem. Wszystko co mogę powiedzieć to to, że przychodząc do nas co tydzień będzie pan otrzymywał po cztery funty, dopóki się suma nie wyczerpie, to znaczy, może pan liczyć na ten dochód około pięciu lat. Na co pan pieniądze zużyje, to już pana tylko obchodzi. Tu ma pan swoją pierwszą ratę — mówił adwokat, kładąc cztery suwereny przed młodzieńcem. — Proszę łaskawie pokwitować. Następne raty będzie panu wypłacał kasjer, na parterze. Dziękuję panu i do widzenia.

— Ale, ale... — jąkał Karol.

— Żadnych „ale" panie Burtenshaw — powiedział uprzejmie adwokat. Załatwiliśmy już interes. — Henryku — zwrócił się do urzędnika z bulwarów — wyprowadź pana.

— Ależ proszę pana — protestował Karol. Henryk zbliżył się doń.

— Pan będzie łaskaw tędy. Karol znalazł się w korytarzu. W jednej ręce ściskał tekę, w drugiej cztery banknoty funtowe.

— Proszę pana, przecież... — mówił jeszcze, gdy znalazł się na ulicy.

IV.

Upływają cztery lata.

V.

Anfitrion wszedł do pracowni z biletem, który poinformował Mendozę o wizycie pana Burtenshaw. Za chwilę wprowadzono gościa.

— Dzień dobry panu — powitał go Mendoza, wyciągając rękę. — Czym mogę panu służyć? — Obawiam się, że podczas naszego ostatniego spotkania nie byłem miły. Chyba mi pan da okazję ukazania się w lepszym świetle.

— I ja mam tę nadzieję — odpowiedział Karol — choć chcę pana prosić o to samo, o co wtenczas prosiłem. Chciałbym, żeby pan obejrzał niektóre moje prace i wydał o nich swoją opinię.

— To pan wtedy nie poświęcił się karierze politycznej?

— Nie! Ale niech no pan na to spojrzy. Wyjął z teki arkusz gazety rozwinął go i położył na stole, odkrywając rysunek piórkiem, przedstawiający Guliwera w niewoli u Liliputów, podpisany nazwiskiem Karol Burtenshaw. Rysunek był świetny.

Mendoza obejrzał go starannie. W końcu powiedział.

— Omyliłem się wówczas przyznaję, mówiąc, że nigdy pan się nie nauczy rysować. Pewno dlatego pan przyszedł do mnie?

— Tak, — rzekł Karol. — Podoba się panu moja praca?

— Twierdzę — rzekł Mendoza — że rysunek jest wspaniały. Winszuję panu szczerze. Praca ta wykazuje wszystko, czego było brak w poprzednim. Teraz rysuje pan po mistrzowsku, pomysł jest świetny, ma pan dużo wyobraźni i w każdej przebija humor. Jednym słowem, rysunek jest jak złoto. Cieszę się, że nie dał się pan zniechęcić. Świat byłby dziś uboższy o jednego doskonałego artystę, może nawet o mistrza. Ale o tym powiedzą nam już następne lata.

Karol zarumienił się z radości i powiedział: — Gdyby jednak nie mój nieznany dobroczyńca.

— To pan miał nieznanego dobroczyńcę? — zdziwił się Mendoza — niech mi pan o nim opowie.

Karol wszystko opowiedział, co wiedział.

— Uniezależniło mnie to od domu — ciągnął. — Ponieważ pieniądze nie były w gruncie rzeczy moją własnością, tylko miały mi być wydzielane po trochu co tydzień matka nie mogła zgłosić do nich żadnej pretensji. Opuściłem zaraz dom, wynająłem pokój i zapisałem się do szkoły Montforda. Żyłem skromnie i ciężko pracowałem. Gdym już nauczył się u Montiorda wszystkiego czegom się tam mógł nauczyć, pojechałem do Paryża. Właśnie stamtąd wracam. To jest moja pierwsza praca która została wydana — ale mam jeszcze trzysta funtów na swoim koncie u Orcharda. Matka wydziedziczyła mnie i nie dostanę nigdy ani grosza z majątku, ale mnie to nie martwi. Jedynym zmartwieniem jest to że nie wiem, kto wtenczas, przed kilku laty złożył pieniądze na moje konto. Niech licho porwie Orcharda, milczy jak grób.

— No tak, zapewne cieszyłbym się jednak, gdyby to dla mnie uczynił. Chciałbym kilka słów powiedzieć temu cudownemu człowiekowi. Taka wdzięczność jak moja, pragnie znaleźć wyraz...

— O — powiedział Mendoza — nie przejmowałbym się tym na miejscu pana. Najlepiej dla pana będzie iść ciągle naprzód i rozwijać swój talent. Sądzę, że tym najlepiej pan dogodzi nieznanemu dobroczyńcy. Jest to zapewne jakiś dziwak i nie lubi, by mu dziękowano. Ale niech mi pan jedno powie. Gdy pan przestał być zależny od matki i mógł oddać się studiom, czy mój wyrok nie zaciążył na panu?

— Oczywiście, że tak — odparł Karol — ale nie na długo. Powoli doszedłem do przekonania, że może się pan omylił, a w każdym razie miałem nadzieję, że tak będzie. Zresztą jak było tak było ja musiałem rysować!

— Nie czuje więc pan do mnie żadnej urazy o tę omyłkę?

— Skądże? — rzekł Karol.

— Byłoby nawet bardzo dziwne, gdyby pan był zauważył zapowiedź talentu w tych głupstwach, jakie wtedy pokazałem.

— Oczywiście — rzekł Mendoza.

Gość: — Jakże żałuję, że nie byłem stołownikiem pani już przed tygodniem.

Właścicielka pensjonatu: — Co za zaszczyt dla mnie.

Gość: — Chciałem powiedzieć, że ryba, którą właśnie spożywam, byłaby dobra tydzień temu.

x o x

— Nie, szanowny panie, mąż mój nigdy nie oglądał się w życiu za ładnymi buziami.

— Byłem pewny, proszę pani, i domyśliłem się tego już za pierwszą bytnością u państwa.

x o x

W NASZYCH MODLITWACH NA EMIGRACJI PAMIĘTAJMY O BRACIACH W KRAJU

„Proszę... podkreślić obowiązek modlitwy za Braci w Kraju który z podziwu godnym męstwem walczy o dobro najwyższe."

Józef Gawlina
Arcybiskup



Fragment polskiej procesji Bożego Ciała Huddersfield, Anglia.

NAJLICHSZY Z MALUCZKICH

Napisała Enid M. DINNIS Tłumaczyła Grażyna ŁAWRUKIANIEC

(NOWELA WYRÓŻNIONA NA KONKURSIE KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWN. "VERITAS")

STAŁY mniej więcej kolejno na krańcu maleńkiej Downside, wsi, która do kalendarza dała angielskiego świętego.

Pierwszy: klasztor sióstr od Dzieciątka Jezus; następny: przytulny dworek, w którym „Brązowa Pani" zajmowała się maleńkimi gośćmi, zebranymi po zaułkach Londynu, i wreszcie: samotnia, w której, (według kliki opiniodawczej organów prasowych) „Najpotężniejszy Umysł Anglii' odpoczywał przed podjęciem nowych badań na polu naukowym, znanym, jako eugenika.

Poza stykającymi się ogrodami tych trzech budynków zaczynał się „Święty Las", związany z historią nie tylko z wyżej już wspomnianym świętym z kalendarza, lecz także i z wielu dziwnymi pięknymi legendami.

— Jedne z piękniejszych rozdziałów mitologii — jak mawiał poetyczny z natury, młody, ale już wysławiany profesor, eugenik i antropolog.

Każdego ranka zakonnice i „Brązowa Pani" spoglądały na las i na okoliczne pagórki, błogosławiąc Stwórcę; i każdego ranka młody profesor patrzył na zieleń łąk, na radosny bieg rzeki, stwierdzając, że świat byłby rzeczywiście piękny, gdyby tylko człowiek na nim nie był tak wypaczony nakazami religii, tego fabrykatu księżego klanu.

— To przez te wszystkie bezsensowne nakazy — twierdził młody uczony — człowiek zatracił doskonałość, którą wciąż jeszcze posiadają inne twory natury. Kto kiedy słyszał np. o „poronionych pagórkach", albo o „niedorozwiniętych nizinach"?

Praca, której z zapałem poświęcała się „Brązowa Pani", dawała profesorowi specjalny powód do zmartwień, ponieważ, stosując określenie samego młodego mędrca, ta kobieta o jasnopiwnych oczach, o niezmienionej w kolorze brązowej sukni, była „hodowcą pokurczów"! Całą zimę pracowała w zaułkach stolicy; na lato zbierała dzieci, najlichsze z maluczkich: głuche, nieme, ślepe, kalekie i pielęgnowała je osobiście w swoim maleńkim, czarodziejskim ustroniu, w pobliżu Świętego Lasu.

Młody uczony był również na swój sposób filantropem, toteż oceniał on dodatnio pracę „Brązowej Pani" w Komitecie Opiekuńczym, który wspomagał miejscową nędzę, chociaż, jak mówił, pracowała tam ona „na swój szkodliwie pobożny sposób". Jej pracę przy wyszukiwaniu przytułku dla bezdomnych cenili nawet zdrowo myślący świeccy dygnitarze, chwaliła ją nie sekciarska prasa, ale ta jej nieuleczalna skłonność do opieki nad niedorozwiniętymi stworami ludzkimi wzbudzała po prostu wstręt w uczonym, zapatrzonym w zasady eugeniki. Najmłodszy z tych niedorozwiniętych pupilów „Brązowej Pani" działał na nerwy profesora specjalnie irytująco! Jan Ignacy od Higginsów był rzeczywiście tragicznym okazem ludzkiej rasy: niedorozwinięty fizycznie był też i cofnięty w rozwoju umysłowym, chociaż nie można by go było zaliczyć do kretynów. Miał sześć lat i, poza kilkoma wyseplenionymi zdaniami, nie mówił nic. Trudno też go było zainteresować sprawami bieżącymi życia. Taki np. wstrząsający wypadek, jak odnalezienie w dzbanku wody zaginionego bucika, nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia. Nawet radość malinowego tortu, smakołyku, o którym nie mógł marzyć w swoim rodzinnym Whitechapel, nie wywołała widocznego znaku zadowolenia na bladej, obojętnej twarzy tego brzydkiego, flegmatycznego dziecka.

— Nie powinno się takiego pokurcza trzymać przy życiu! — mówił profesor, przechylając się przez niski murek graniczących ogrodów i wskazując najmłodszego z maluczkich, który właśnie zadomowił się w ogródku „Brązowej Pani". Ten chłodny wyrok, pochodzący z ust „europejskiej sławy", jak go nazywała krzykliwa prasa, mógłby nawet urazić wrażliwe na niechęć ludzką zwierzęta domowe, ale Jaś był widocznie pozbawiony nawet tego instynktu, którym natura obdarzyła psy i koty. Uniósł po prostu głowę, spojrzał na profesora i uśmiechnął się do niego jednym ze swych rozbrajających uśmiechów, które bardzo rzadko i zawsze nie w porę rozjaśniały jego chmurną twarz.

— Gdybym mu dał wiśnię — ciągnął nielitościwie profesor, sięgając ku niskiej gałęzi po dojrzały owoc — byłby na pewno zjadł tylko pestkę.

„Brązowa Pani", z którą profesor rozmawiał, roześmiała się wesoło:

— Proszę spróbować! Wcale nie jest z nim tak źle, jak pan przypuszcza.

Profesor spróbował.

Dziecko przyjęło owoc bez najmniejszej oznaki zadowolenia, z twarzą, jak zwykle, ponurą i apatyczną.

— Taki stwór nie powinien się w ogóle rodzić — powtórzył profesor — przecież on w ogóle nic nie odczuwa!

— Czy pana organizm jest doskonale rozwinięty? Możeby się znalazł ktoś, kto mógłby zawołać, że i pan nie powinien w ogóle istnieć. Kiedyś, pamiętam, mówił pan, że na skutek jakiegoś chemicznego doświadczenia stracił pan węch.

Profesor uśmiechnął się, przyjmując obiektywnie ciętą odpowiedź „Brązowej Pani". Lubił podziwiać harmonijność jej sylwetki, piękno piwnych oczu i kasztanowych włosów, urok jej nieskazitelnie białego kołnierzyka i mankietów. Jej dziwaczna pobożność — stwierdzał eugenik — wcale nie przyćmiewała jej osobistego uroku.

— ...a jeśli chodzi o Jasia — mówiła, z pewną brutalnością przeciwstawiając pokurcza profesorowi — to jego węch jest doskonale rozwinięty. Podam mu różę, proszę go obserwować.

Z krzewu, pnącego się po murku zerwała kwiat i podało dziecku. Mały chciwie złapał różę. Głęboko wciągając zapach, wsadził nos w płatki. Wyraz twarzy wskazywał, że dziecko odczuwa przyjemność.

— Przypuszczam, że do swego ustronia wybrała go pani spomiędzy gromady normalnie rozwiniętego rodzeństwa tylko dlatego, że nie jest on zdolny zrozumieć szczęścia tego wyróżnienia?

„Brązowa Pani" zmieszała się lekko, jak gdyby przyłapana na przekroczeniu forytowania jednostki.

— Widzi pan, Komitet Opiekuńczy przyjął tamte wszystkie na kolonie letnie, a to małe biedactwo zostało odrzucone. A poza tym, wcale nie zaprzeczam, że mam specjalną słabość do najlichszych stworzeń i dlatego właśnie Jaś jest moim faworytem.

Młody profesor mruknął pod wąsem coś, co brzmiało jak przekleństwo.

— I pomoże mu pani wyrosnąć, i wyswata go pani, i będzie miała nową radość w opiekowaniu się jego kretyńskim potomstwem! I to jest w pani pojęciu przynoszenie ulgi cierpiącej ludzkości? Przez rozmnażanie tego cierpienia! I gdzież tu pani widzi celowość istnienia?!

— Bardzo wiele zależy od tego, co pan rozumie przez celowość istnienia. To bardzo ważne...

Profesor nie dał jej dokończyć zdania; wskazując na przedmiot dyskusji, zawołał:

— „To" nawet nie rozeznaje co jest róża, a co różaniec! A co do „subtelności" jego węchu, to śmiem zapytać, czy paciorki różańca pani są perfumowane?

Janek, na którego wskazywał profesor, przestał się interesować różą trzymał od pewnego czasu w ręku różaniec, który zabrał z leżaka i widocznie wyczuwał jakiś zapach, bo był tak oczarowany, że, co się rzadko u niego zdarzało, mruczał coś sobie półgłosem:

— Dooobreee!... doooobreee!... doooo!... — zawołał nagle, wykrzykując w niezrozumiałej radości.

— Profesor aż skrzywił się z niesmaku. Cóż za potworny okaz niedorozwoju umysłowego! Okropnie ten widok drażnił uczuciową duszę młodego mędrca.

— A wie pan, to dziwne, może pan sobie drwić, ale inne osoby również stwierdziły, że paciorki tego różańca pachną. Zdaje mi się, że i Janek wykrył tę woń. Kiedyś mój przyjaciel opisywał dziwny zapach, który czasami rozchodzi się po naszym Świętym Lesie w pobliżu ruin opactwa Glastonbury. Powiedział wtedy, że paciorki tego różańca pachną właśnie tak samo.

— Hm... — mruknął sucho profesor — „zapach świętości"? — Mścił się w ten sposób za poprzednie zestawienie jego upośledzenia węchowego z doskonałością powonienia tego „wyrodka". Nie obawiał się, że się „Brązowa Pani" obrazi, byli przecież dobrymi przyjaciółmi. — Jakżeż ten pani przyjaciel odkrył woń jej różańca? Czy też był takim głuptaskiem, jak ten tutaj, że zamiast róży wąchał różaniec?

Janek teraz przesuwał paciorki różańca po wargach, mrucząc:

— Dooobry Bóg... dooobry Bóg... — słowa, które podchwycił od profesora.

— Niechże pan już lepiej wraca do siebie na śniadanie, jest pan bardzo nieuprzejmy. A poza tym proszę nie przysyłać dzieciom agrestu w takiej ilości. Rozchorują mi się z przejedzenia owocami i jeszcze zdegenerują się do trzeciego pokolenia

Zniknęła w drzwiach swego dworku, zabierając ze sobą Jasia.

Gospodyni profesora ukazała się w drzwiach. Profesor wciąż jeszcze stał przy murze, patrząc w ślad za „Brązową Panią".

— Panie profesorze, herbata stygnie! — zawołała i cicho mruknęła do siebie: — wiecznie zadumany o swoich książkach.

Nazajutrz, w niedzielne popołudnie, sławny profesor znowu przyszedł na kraniec swego ogrodu w nadziei, że znajdzie za murkiem znajomą, odpoczywającą, jak zwykle, w swoim ustroniu. Rankiem tego dnia wyszedł na długi spacer poprzez pagórki. W ten sposób ostentacyjnie składał hołd Naturze w każdy niedzielny poranek. Spacery te uważał również za swój demonstracyjny protest przeciwko dusznym kościołom i „niehigienicznym przesądom". Pogoda była bez skazy, ale odbyłby swój spacer tak samo i w zawieję śnieżną, i pod ulewnym deszczem, narażając się nawet na zapalenie płuc, albo co najmniej na katar, byle tylko uparcie demonstrować swoje zasady kultu Natury! Dziwne są drogi Apostołów Rozumu!

W tę niedzielę właśnie wypadała uroczystość miejscowego patrona-dziwaka w najwyższym stopniu! Do jego pustelni w Świętym Lesie ściągały za jego życia rzesze kalek, chorych, trędowatych, a on nikogo nie odpędzał.

W klasztorze zakonnice były bardzo zajęte. Z miasta przybywał tu na miejscową uroczystość słynny kaznodzieja, którego głęboką wiedzę

można by było bez uszczerbku porównać z wiedzą młodego profesora, gdzież by jednak oświecona prasa poniżyła się do takich porównań?!

W skrytości ducha profesor spodziewał się, że zastanie duchownego w ustroniu „Brązowej Pani". Wciągnąłby go wtedy w dyskusję, oczywiście na tematy teologiczne. Polował na okazję, by na takie właśnie tematy dyskutować, co „Brązowa Pani" uważała za bardzo zdrowy objaw. Zawsze słuchał argumentów przeciwnika z godną podziwu bezstronnością. Filozofia Kościoła katolickiego nie przemawiała do jego rozumu, a chociaż profesor był wierny swoim zasadom: „Uznaję — co widzę" — jednak niesytą swą myśl kierował bez wytchnienia na drogę szukania Prawdy. Jak dotychczas, Inteligencja była bóstwem tego człowieka o niepospolicie rozwiniętym mózgu, który niewątpliwie ważył o wiele więcej, niż, powiedzmy, móżdżek żony bretońskiego wieśniaka.

Nadzieja potykania się słownego ze słynnym benedyktynem, którego artykuły na tematy naukowe miały sławę wybitnych prac, pociągała bardzo profesora. Może w tej dyskusji odnajdzie usprawiedliwienie absurdalnej filozofii swojej przyjaciółki? Może w rozumowaniu benedyktyna spotka nawet pewne punkty styczne z jego własnymi poglądami? Może odnajdzie nowe aspekty dla siebie, jako poszukiwacza najlogiczniejszych prawd w eugenice i antropologii? Teologiczna dyskusja sama przez się może przynieść korzyść profesorowi, może zapukać do bram jego rozsądku. Tak. Bardzo by chciał posłuchać wywodów i argumentów słynnego eklezjasty.

Niestety. W ogródku „Brązowej Pani" czekało go tylko... rozczarowanie! Leżak stał niezajęty, a w ogródku był tylko Jaś, zostawiony pod cierpliwą opieką pokojówki, dziewczynki wziętej z sierocińca. Profesor umiał szybko zaprzyjaźniać się z różnymi rodzajami ludzi, toteż wkrótce dowiedział się, że pani poszła na nieszpory do klasztoru, że ojciec benedyktyn będzie tam miał kazanie dla tych dzieci, które właśnie dziś przystąpiły rano do pierwszej Komunii świętej. Wszystkie inne dzieci też poszły, ale Jasiowi nie można było aż tak ufać. Trzeba go było zostawić.

— A ty byś nie chciała być teraz w kościele? — zapytał profesor, któremu ta opiekunka nie odpowiadała o tyle, że wychowana w klasztornym sierocińcu, była oczywiście „zakażona katolickimi przesądami". — Tam będzie na pewno bardzo przyjemnie.

— Och, będzie pięknie! — ciężko westchnęła dziewczynka. — Będzie biała procesja! I ze świecami!

— Dobry Boże! — zawołał profesor — już dawno prawo powinno w to wkroczyć! Pewnego dnia usłyszymy, że całe takie widowisko spaliło się żywcem!

— Dobry Boże... Dobry Boże... — powtórzył Jaś, uśmiechając się, jak zwykle, ni z tego, ni z owego.

— Gdybym zaopiekował się małym, mogłabyś wtedy pójść, prawda? No, jazda, nie bój się, powiem pani, że wypożyczyłem sobie chłopca do naukowych obserwacji, przecież byś nie mogła mi odmówić? Wszystko będzie w porządku, zobaczysz.

Dziewczynka gorliwie przyjęła ofertę profesora, który jej się wydał po prostu najlepszym człowiekiem na świecie! Bez najmniejszego sprzeciwu oddała powierzony jej „skarb". Jaś został przetransportowany przez murek wprost w profesorskie ramiona.

— Ale pan nie chciał iść do kościoła posłuchać kazania? — zapytała dziewczynka, którą nagle ruszyło sumienie.

Profesor uśmiechnął się i zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie zrozumiałbym pewnie. Byłoby dla mnie za trudne, jak myślisz?

Dziewczynka spojrzała na niego ze współczuciem.

— Ale będzie i Błogosławieństwo! Och, żeby tylko pan nie miał jakiejś przykrości z Jasiem. Cały dzień dzisiaj był jakiś niespokojny. — Ciągle jeszcze wahała się. Sumienie zdawało się wysuwać nowe skrupuły u tej, „zakażonej katolicyzmem" osoby.

— No, uciekaj prędko, ubierz się do kościoła!

Człowiek nauki został sam. Z lekkim strachem przyglądał się dziecku, pozostawionemu pod jego opieką. Jeszcze raz zapewnił sam siebie, że „wypożyczył" chłopca w celu naukowych obserwacji, że, wobec tego, będzie miał przez całe popołudnie okazję do wysnucia bardzo wielu ważnych naukowych wskazań.

Dał Jasiowi brzoskwinię, posadził go na ławce w ogrodzie i w ten sposób zapoczątkował swoje obserwacje.

Okazało się jednak, że ta sprawa obserwacji Jasia była bardziej skomplikowana i kłopotliwa niż profesor mógł przypuszczać. Chłopak był niespokojny i podniecony. Po pierwsze, spadł z ławki i głośno lamentował nad swoim nieszczęściem; potem ruszył na zwiedzenie nowego miejsca pobytu, potknął się, upadł ciężko na własną stopę i znowu rozlamentował się. Profesor opanował zniecierpliwienie i raz jeszcze ostro sam siebie zapewnił, że przecież studiuje właśnie charakterystykę umysłowego niedorozwoju. Przyglądał się wątłemu dziecku. Niedorozwój fizyczny szedł tu w parze z niedorozwojem umysłowym. Dziecko nie odczuwało żadnej radości istnienia. Gdyby nawet piękne baśnie chrześcijaństwa były prawdą, (a piekno ich profesor uznawał!), dziecko to nie miało dostatecznej siły umysłu, aby to piękno zrozumieć. Kto by potrafił to rozbeczane nad swoim nieszczęściem stworzenie pocieszyć obietnicą nagrody w niebie? Albo opowiadaniem o Ojcu Niebieskim? Kto, krótko mówiąc, potrafi wyjaśnić temu niedorozwiniętemu umysłowi istnienie życia duchowego? Nie, jednak teorie „Brązowej Pani" były niemożliwe. Ich tyrania i okrucieństwo w stosunku do ludzkiej rasy po prostu nie do tolerowania! Nie powinno się nigdy pozwalać na istnienie takich, jak Jaś.

W tym momencie przedmiot jego rozważań dał upust nowym żalom. Był wyraźnie niezadowolony z otoczenia. Jego dobrowolny opiekun wziął go za rękę i zaczął się przechadzać po ogrodzie. Trudno jednak było „maluczkiego" zadowolić. — Może mu się pić chce? — pomyślał profesor. Przyniósł kubek wody, którą Jaś z rażącą niechlujnością wychlipał. Ani na chwilę jednak nie uspokoił swoich lamentów. Profesor namyślał się: może by tak zabrać dziecko i pokazać mu coś zupełnie nowego, uspokoi się wtedy?

W nagłym natchnieniu postanowił z nim pójść przez łąki do lasu. Tam będzie mógł obserwować, czy to całkowicie nowe otoczenie wywoła u dziecka jakieś wrażenie.

Jaś nie był nigdy w Świętym Lesie, chociaż Pani zabierała tam często inne maleństwa na ulubiony spacer.

— Chodź, mały stworze, pójdziemy w świat.

Posadził sobie dziecko na ramiona. Ruszył przez przyległe łąki, na przełaj i wszedł do Świętego Lasu. Jak fama niosła, mieszkał tu kiedyś święty w swej pustelni, przy której zbierał często okoliczne dzieci, które kochał i opowiadał im o Wszechmogącym Bogu i o maleńkim Dzieciątku Jezus. Pewnie to właśnie dlatego „Brązowa Pani" tak bardzo lubiła ten las. Mówiono też, że ciało świętego pogrzebano gdzieś w pobliżu jego celi, ale już dawno zapomniano, gdzie dokładnie ta cela stała.

„Brązowa Pani" chodziła stale do Świętego Lasu, a dzieci opowiadały, że gdy zabierała je na spacer, prosiła, by zachowywały się spokojnie, jak gdyby były w kościele. Raz, prawie że nie opanowała gniewu, gdy Tomek od Hoxtonów zabił żuka, który właśnie przechodził przez ich ścieżkę w środku lasu.

Profesor, wciąż niosąc Jasia na ramionach zagłębiał się w las. Chłopak sapał nieprzyjemnie i pokrząkiwał od czasu do czasu. Weszli na małą polankę, z której w różne strony rozchodziły się wąskie, zielone ścieżki. Niektóre z nich wyprowadzały oczy na daleki widok łagodnych falistych pagórków i zieleń pastwisk. Wysoko, w górze zamykało się nad nimi zielone sklepienie drzew; przez delikatną koronkę listowia przesiewał się blask słonka, wędrującego górą, po bezchmurnym niebie.

— To jest „Święty Las" — powiedział profesor — wesoło tu, prawda, Jasiu?

— Święty Las... święty... święty... — mruknął Jaś i zwisającymi piętami boleśnie kopnął profesora w piersi.

— Ty, mały skrzacie, — zaśmiał się profesor, stawiając chłopca na ziemię. Na ścieżkę przykicał królik. Usiadł, i, nie okazując najmniejszego strachu, przyglądał się z zaciekawieniem przybyszom.

— A to co? Małe stworzonko, — zapytał zwolennik eutanazji — skąd wiesz, że nie mam zamiaru cię zabić?!

— Święty... święty... święty... — recytował Jaś.

Było to upalne popołudnie. Profesor usiadł pod rozłożystym bukiem, sadzając Jasia na trawie w pobliżu. Królik, siedząc wyprostowany, niby kot przy kominku, obserwował wciąż ludzi. Chłopak siedział, tępo wpatrzony przed siebie. Był zupełnie spokojny. To już było coś warte! Jego zwiędła twarz przybrała wyraz kompletnej głupoty. Profesor przyglądał się rysom, pozbawionym inteligencji, widział przed sobą mętne, pozbawione błysku myśli, oczy chłopca.

— I co z niego za pożytek — mruknął, jak gdyby dyskutując z nieobecną przyjaciółką, która popierała przestępcze teorie swego wyznania, zezwalającego na powstawanie takich pokurczów. — Jaką on stanowi wartość dla samego siebie, jeśli, jak wy mówicie, obdarzony cząstką Najwyższego Ducha, nie może nawet tego ducha w sobie rozeznać. Jakby się ten wasz Nadprzyrodzony Element mógł przejawić na takim poziomie inteligencji? Jak w ogóle duch może być uważany za czynnik nadrzędny, jeśli w swoim rozwoju jest całkowicie zależny od składu i układu komórek mózgu — składnika ciała fizycznego?

To popołudnie nadawało się idealnie do rozmyślań. Leżąc tak w Świętym Lesie, profesor pragnął z całego serca, by istnienie nadrzędnego ducha w istocie ludzkiej było naprawdę możliwe. Filozofia „Brązowej Pani" miała swoje piękne strony, chociaż obok nich istniała i przekora, odrzucająca uparcie nakazy eugeniki. Szkoda. Była tak dzielną pracownicą społeczną, okazywała tyle zdrowego rozsądku w swoim sposobie postępowania, chociaż tyle w niej tkwiło zgubnych przesądów. A jakie cudowne poczucie humoru miała! Jej sprawozdania z niezwykłych scen, których była częstym świadkiem, gdy myszkowała po zaułkach londyńskiej nędzy, były naprawdę czarujące! Przy tym, zatwardziała sentymentalistka, tak potrafiła opisać niektóre wypadki niedorozwoju umysłowego, który obrażał wszystkie zasady naukowe, że wzruszała go niemal do łez. I ten jej uśmiech. Ten jej cudowny uśmiech. I to jej wielkoduszne „każdemu istnieniu trzeba pomóc, skoro tej pomocy potrzebuje". Przypomniał sobie, jak wstrzymywała jego naukowe wywody nad nieużytecznością istot fizycznie niedoskonałych: po prostu wspomniała mu o jego własnej niedoskonałości. W tej chwili uświadomił sobie po raz pierwszy, jak bardzo chciał poczuć zapach lasu! Spojrzał na Jasia. Wciąż siedział w swojej przykrej, apatycznej postawie, wpatrzony bezmyślnie w przestrzeń. Polna myszka wdrapała się na obalone w pobliżu drzewo. Jaś nie zwrócił na nią uwagi. Profesor bardzo zainteresował się myszką: tak samo jak królik, zdawała się być pozbawioną uczucia strachu przed ludźmi. Jak też wiele z otaczającego świata przenika do świadomości tego niedorozwiniętego dziecka? — myślał profesor. Bardzo by chciał, dla celów naukowych, móc zniżyć się do poziomu jego prostoty duchowej. Stwierdzić dokładnie, jak wiele z istniejących dokoła przed-

miotów istniało i dla tego biednego, godnego pożałowania przedstawiciela ludzkiej rasy. Gdyby natężył swoją wolę, może by potrafił zniżyć się do poziomu tego prymitywnego umysłu i w ten sposób osiągnąć pewną krytyczną wiedzę o jego brakach.

Oparł się wygodnie o pień buku i starał się „zejść w głąb" ugiąć wolą swój rozum do poziomu bezbronnego tego stworzenia, które „zostało stworzone na obraz i podobieństwo" istoty doskonałej.

Skupienie jego przerwała gruba, włochata liszka, która wpełzła na kolana Jasia. Profesora aż skręciło obrzydzenie. Co jednak zrobi Jaś? Wiedział, jak by się w podobnym wypadku zachowało normalne dziecko. Bezmyślne okrucieństwo dzieci w stosunku do owadów i w ogóle słabszych stworzeń jest ogólnie stwierdzonym faktem psychologicznym.

Jaś poważnie przyglądał się liszce. Nie okazywał ani odrazy, ni zachwytu, jaki obrzydliwe przedmioty wzbudzają czasami w zmąconych umysłach. Chłopak ostrożnie wyciągnął palec, z bardzo delikatną pieszczotą pogłaskał włochatego potworka. Profesor poczuł niepojętą ulgę. Dziwił się sam sobie. Czuł , jak gdyby w to popołudnie atmosfera lasu była nasiąknięta jakąś prostotą, naiwną dobrotliwością. Stwierdził, że nawet jego postawa estetyczna w stosunku do Jasia, jako do przedmiotu jego chłodnych doświadczeń staje się jak gdyby podminowana innym uczuciem. Zdawało mu się, że powoli gubi się sam w sobie: zatraca swe poczucie profesorskiej wielkości. Ogarniała go ciężka, letargiczna senność. Czyżby już naprawdę „schodził w głąb" i zniżał się do poziomu tego niesfornego umysłu?

Utkwił oczy w dziecku, które umieścił „pod obserwacją", sadzając je z boku, trochę przed sobą, tak, by nie zmieniając pozycji, mógł je dokładnie kontrolować.

Dziecko, „które nie powinno było istnieć", siedziało znowu w bezmyślnej nieruchomości. Kosmata liszka, cała i nienaruszona pełzła teraz po trawie w swoją drogę.

Nagle najlichszy z maluczkich zaczął mocno węszyć powietrze. W tej samej chwili profesor poczuł jakiś dziwny, upajający zapach, jak gdyby jakieś silne, a jednak bardzo subtelne perfumy zostały rozlane w powietrzu. Woń ta najbardziej była zbliżona do aromatu kadzidła.

Cóż by to mogło być — interesował się profesor. — Jak bardzo ten zapach musiał być stężony, skoro potrafił obudzić nawet jego zanikły zmysł powonienia. Przecież świat woni nie istniał już dla niego od wielu lat.

Jaś, odrzuciwszy głowę w tył, z widocznym zadowoleniem wciągał kadzidlaną woń.

— Tota Krara — powiedział. Tak w jego interpretacji wyglądało imię „Brązowej Pani". Ciocią Klarą była dla wszystkich dzieci.

Jaś rozglądał się dokoła, jak gdyby szukając cioci Klary. Chłopak widocznie jakoś skojarzył ten dziwny, leśny aromat z osobą „Brązowej Pani". Profesor zastanawiał się jak to skojarzenie mogło powstać? Przypomniał sobie paciorki różańca, które podobno miały ten sam dziwny zapach, jaki przewrażliwieni ludzie rzekomo odkrywali w pobliżu ruin opactwa.

Woń była słodka, choć silna, przypominająca raczej zapach wschodnich olejków — woń całkowicie obca angielskim lasom. Wciągnął głęboko powietrze. Nie. Właściwy zapach leśnego podłoża nie przeniknął do jego świadomości. Czyżby ten dziwny aromat był aż tak silny, że całkowicie przygłuszył rodzimy zapach ziemi? Czy też może zmysł jego węchu potrafił w jakiś niezrozumiały sposób uwrażliwić się tylko na ten niezwykły zapach?

Gdy się woń zdawała powoli rozpływać, Janek okazał zaniepokojenie: zaczął nieprzyjemnie skrzeczeć i pomrukiwać, drażniąc do niemożliwości profesorskie nerwy. W innym wypadku byłby po prostu natychmiast zabrał dziecko do domu, ale dziś czuł się jak gdyby więźniem tej polanki: nie mógł się oderwać od miejsca, dopóki ten bajecznie kadzidlany zapach nasycał powietrze lasu.

Zatkał palcami uszy, ażeby w ten sposób odgrodzić się od nieartykułowanych poskrzekiwań „przygłupka". Pogrążając się w tę sztuczną ciszę, przypatrywał się chłopcu i chciwie wchłaniał czarowną woń.

Nagle zaszło inne, dziwne zjawisko: palce profesora wciąż tkwiły głęboko w uszach, a jednak usłyszał, że po lesie zaczyna drgać najcudowniejsza, jaką sobie można wyobrazić, muzyka!

Janek, który kołysał się z boku na bok i, sądząc po jego otwartych ustach, wciąż jeszcze pojękiwał i mruczał, nagle zastygł w pozycji zasłuchania. Z uczuciem najbardziej zbliżonym do strachu, którym ścisnęło się jego serce, profesor usunął palce z uszu.

Muzyka trwała. Ale głośniejsza — nie cichsza, tylko wplątał się w nią ćwierkot ptactwa i chrzęst suchych gałązek, gdy je profesor, zrywając się z miejsca, pokruszył stopami.

Profesor otrząsnął się. Tak. Muzyka nie była złudzeniem. Trwała. Nie można było określić jej źródła. Jak gdyby nagle paprocie i całe leśne podszycie uwrażliwiło się na melodię pod dotknięciem niewidzialnego twórcy tonów. Dźwięki wzmagały się i słabły, a jednak zawsze w swym nieskazitelnym tonie drgały taką nieziemską harmonią, że piękno tej muzyki można było zestawić z najczarowniejszą muzyką ziemską tylko dlatego, iż innego porównania nie miał język ludzki.

Uczony znowu zacisnął uszy palcami. Muzyka trwała. Stopniowo uświadomił sobie, że dźwięki te, najprawdziwiej realne przenikają do jego świadomości innymi, niż słuch, drogami; że tak samo nie z pomocą przewodów węchowych uczuł ten kadzidlany aromat, który wciąż jeszcze trwał w jego pamięci.

Jaś, przysłuchujący się muzyce z wytężonym skupieniem nagle zawołał:

— Patrz! Patrz!

Profesor spojrzał. Nie widział nic.

— Och, patrz, patrz! — wołał chłopak z zachwytem.

Ale profesor eugeniki i antropologii wciąż nie widział nic. Tym razem najlichszy z maluczkich nie potrafił swoją prostotą przebić się przez twardą zaporę nadzwyczajnie rozwiniętej wrażliwości profesora nauk wyższych.

Jaś zachłannymi oczyma wpatrywał się w ścieżkę. Drobna, głupawa zwykle twarz jaśniała niezwykłą inteligencją. Nie, to było coś więcej, niż inteligencja.

I przypomniał sobie młody profesor, jak w jednej z ich częstych utarczek słownych, kiedy napastliwie atakował nieużyteczność „wyrodka", jego przyjaciółka, stając w obronie swego pupila, zawołała:

— Ależ Jaś m o ż e wyglądać inteligentnie! Trzeba go było widzieć wczoraj wieczorem, gdy przytulił do mnie główkę i powiedział:

— Kofam, kofam tota Krara.

I teraz właśnie inteligentne oczy dziecka, które skazywał na eutanazję, pełne nadzwyczajnego blasku utkwione były w jakiś, widoczny dla niego obraz. Ale Sława Nauki, Twórca Nowych Dróg w Nauce, wciąż nie widział nic.

Ogarnęło go nagle dzikie pragnienie: zobaczyć to, co widzi Jaś!

Jak gdyby wchłaniając w siebie istotę dziecka wymruczał nieprzytomnie:

— Pokaż, pokaż mi!

Klęczał teraz, trzymając w zamkniętych dłoniach umorusaną łapkę Jasia. Przybrał mimowolnie postawę modlitewną. I spojrzał w kierunku wzroku dziecka.

...Smukłe, chwiejące się drzewa... faliste, okryte błękitną mgłą oddalenia pagórki... zielone leśne podszycie... wszystko było przepojone jakimś dziwnie subtelnym rozpyłem światła. Skąd to światło... jakie jego źródło?... Muzyka... zapach... światło... rozlewało się w jedną całość harmonii istnienia... I w tym momencie zeszło na profesora zrozumienie tajemnicy Natury: nie była już samowystarczalna, ani twórcza, jak o niej twierdził poprzednio. Była sama tworem, tylko tworem zależnym całkowicie tak, jak wyraz zależy od mówiącego, jak przedmiot zależy od twórcy. Istnienie jej zależało od istnienia Kogoś, komu pieśnią nieustannego Rodzenia się i Bytu zdała się śpiewać:

Benedicite, montes et colles, Domino;
Benedicite, universa germinantia in terra, Domino...

I zrozumiał nagle Wielki Mędrzec, że „stał się nagle jako dziecko" i że wszedł do Królestwa Niebieskiego.

Misterium powoli przeminęło. W ostrych promieniach słońca na bezchmurnym niebie rozproszyło się powoli urocze, zwiewne zjawisko świetlne. Las już nie roztaczał wizji. Nie przekazywał posłannictwa.

Jaś, odwracając ku profesorowi twarz, uśmiechniętą swoim „nie w porę" uśmiechem, powiedział:

— Bóg poszedł do domu.

„Brązowa Pani" i profesor różnili się w teorii, wyjaśniającej zjawiska leśne tego popołudnia. Oboje zgadzali się tylko na jedno: że to właśnie za jakimś niepojętym pośrednictwem prostoty upośledzonego dziecka odczuł profesor to całe leśne misterium: cudowną muzykę, niezwykłą woń, na którą jego własne zmysły były znieczulone.

„Brązowa Pani" wierzyła, że ponieważ dzień ten był dniem miejscowego patrona — pewne łaski czekały na tego, kto potrafi otworzyć serce na przyjęcie ich; kto znalazł się w miejscu, na którym święty żył, modlił się i działał; kto się zdał odpowiednim narzędziem temu, który obecnie króluje w raju.

A profesor myślał też i o tym, że zjawiska te powstały na miejscu, gdzie na pewno „Brązowa Pani" szukała często wypoczynku po trudach przepracowanych dni; gdzie na pewno często modliła się za zbłąkane, zarozumiałe dusze.

Profesor wyciągnął stąd swoje wnioski, ale nie wyjawił ich nikomu.

Nikt nigdy nie dowiedział się jednak, w jaką wizję wpatrywał się mały Jaś od Higginsów? Co oglądały jego rozpromienione zachwytem oczy? Najlichszy z maluczkich spełnił swoje zadanie i w kilka miesięcy później wrócił do domu, do Boga.

Dziecko zmarło tego samego dnia, w którym cała prasa wypełniła się sensacyjną, nieoczekiwaną wiadomością, że „Obiecujący Uczony", „Europejska Sława", „Badacz Nowych Praw Eugeniki" został przyjęty na łono Kościoła katolickiego.

Enid M. Dinnis
Tłumaczyła Grażyna Ławrukianiec

Cyprian Norwid

NA ZGON ŚP. JANA GAJEWSKIEGO

polityczno-polskiego emigranta, inżyniera francuskiego, zabitego eksplozją machiny parowej w Manchester, 1858, lipca.

I

Długo patrzyli ludzie prostej wiary
Na dziwowiska oświaty zachodniej
I myśleć śmieli: że to do pochodni
Skradziony ogień Bogu — bez ofiary!..

II

Myśleć i szemrać: że Lucifer stary
Podchwyci święte wzajemności ludów,
Nie heroizmu i miłości cudów
Używszy — ale wyzysku i pary...

III

Lecz TEMU, który jest wszystko, jest wszędzie,
Nie wszystkim wszędzie oprzeć się poważą,
Boga pierw zranią i krzyż znowu będzie,
Drugi a tenże sam, bo z ludzką twarzą.

IV

Tak, Epopeję gdy machina zgniotła,
Zgorzałych mózgów i serc objął krater,
Potrzebaż było, by nie jak bohater
Zacny Gajewski Jan zginął od kotła!...

V

Lecz nie!... śmierć jego nie była dla zysku —
Ciał różnych ciało z jednym legło licem
Na ziemi obcej wyrobnik z szlachcicem,
Z Ofiary-synem Synowie-ucisku...

VI

Braterstwa sztandar i tu jeszcze buja,
Żywot ze skonań tu jeszcze korzysta,
Jak gdy wygnaniec JAN EWANGELISTA
Śpiewał z wrzącego kotła: ALLELUJA!...

NA GRANICY ŻYCIA I ŚMIERCI

KIEDY SERCE NAPRAWDĘ ZAMIERA?

Ogólnie przyjęte jest przekonanie, że rany serca są bezwzględnie śmiertelne. Tymczasem tak nie jest. Wiemy, że leczenie pewnych kłutych ran serca nie przedstawia dziś dla chirurga większych trudności. Dzieje się to oczywiście tylko przy sprzyjających okolicznościach, a mianowicie wówczas, gdy pacjent podda się operacji dość wcześnie, o ile narzędzie tkwi jeszcze w ranie i nie nastąpiło skrwawienie wewnętrzne.

Istnieją próby, aby leczyć również rany postrzałowe serca. Rany te jednak są z reguły uszkodzeniami ciężkimi i dlatego lecznie ich pozostaje dziś jeszcze w dziedzinie eksperymentu, nawet dla najlepszych chirurgów Zachodu.

Liczne próby i doświadczenia dowodzą, że serce człowieka i cały jego organizm zdobyć się mogą na nieprawdopodobnie wielki wysiłek i wytrzymałość w wypadkach zranień serca. Między innymi sporo przykładów dostarczają nam w tej mierze wojny.

Należy jeszcze wspomnieć o zastrzykach dosercowych, które stosuje się w przypadkach t.zw. „małego uduszenia", np. wisielców, utopionych i t.p. Dobry skutek takiego zabiegu zależny jest od czasu, w którym się go wykona. Czas, w którym jeszcze taki zastrzyk może pomóc określamy na około 20 minut od chwili wypadku.

Jednym z najpilniejszych zagadnień medycznych w odniesieniu do uszkodzeń serca jest kwestia umiejętności i sposobów pobudzenia akcji serca i dróg oddechowych przy ich nagłym ustaniu, sprowadzającym śmierć. Chodzi tu o wypadki porażenia prądem, zatrucia gazami, uduszenia. W małym stopniu pomagają w tych wypadkach wspomniane zastrzyki. Są one wszakże niepewne i niewystarczające. Szuka więc medycyna gorączkowo nowych dróg, nowych sposobów.

Literatura naukowa lekarska zna od dawna dwa wynalazki w dziedzinie „sercowej".

Autorem jednego z nich jest chirurg amerykański dr Hyman. Wprawia on podobno w ruch serce od paru nawet godzin nieczynne (??). Posługuje się przy tym aparatem własnej konstrukcji, którego działanie opiera się na systemie drutów przewodzących prąd elektryczny w tym samym tempie, w jakim bije serce.

Drugi system wynalazł lekarz wiedeński dr Eisenmerger.

— Nie należy wszakże sądzić — pisze wspomniany lekarz — że wskrzeszam zmarłych. Zmarli są tylko zmarłymi. Pamiętać jednak należy, że nie każdy człowiek, którego serce bić przestało, jest już nieboszczykiem. Pomiędzy momentem znieruchomienia serca a rzeczywistą śmiercią upływa około 20 minut.

Aparat dr. Eisenmergera nazwany „Biomotorem" przypomina sporą miskę skórzaną. W jej wewnętrznej górnej części znajduje się jakby membrana kauczukowa, która po włączeniu prądu wprawia cały talerz w miarowy ruch, przypominający łudząco oddechanie.

— Po dłuższych rozważaniach i doświadczeniach — wyjaśnia autor pomysłu — doszedłem do wniosku, że zastosowanie mego przyrządu z zewnątrz może pobudzić niektóre części naszego organizmu. Odnosi się to przede wszystkim do akcji serca i dróg oddechowych.

— W tym celu skonstruowałem wypukły pancerz, dopasowany do klatki piersiowej. Wnętrze pancerza wypeł-

nione jest powietrzem w ilości regulowanej specjalnymi wentylami. Pancerz pod wpływem powietrza uciska klatkę piersiową. Następnie powłoka pancerza się kurczy, zmniejszając ilość powietrza, wywiera działanie niejako ssące. Klatka piersiowa się rozszerza i powietrze dostaje się do płuc. Jest to sztuczne oddechanie, wykonane mechanicznie. Dzięki temu „Biomotor" może oddać ogromne usługi przy ratowaniu osób rażonych prądem, zaczadzonych, uduszonych i t.p.

Nazwę talerza „cudownego" zawdzięcza „Biomotor" temu, że umożliwia pomoc, która bez niego byłaby spóźniona. Laików wprowadza to w entuzjazm. Człowiek na pozór martwy, wszystkie środki ratunku wyczerpane, wszelka pomoc spóźniona. Tymczasem doktór nakłada na klatkę piersiową dziwny pancerz, puszcza go w ruch i... nieboszczyk zaczyna oddychać — na policzki występują rumieńce.

Oczywiście, że aparat dr. Eisenmergera działa skutecznie tylko w przeciągu 20 do 30 minut po ustaniu krążenia krwi. Nie może on też nikogo wskrzesić, a tylko na pewien czas odsunie śmierć, umożliwiając właściwe dla danego przypadku leczenie.

ANEGDOTY

Liebermann powiedział do rzeźbiarza Jaffé, który położył na stole swe nieprawdopodobnie wielkie, czerwone i brzydkie ręce.

— Fe, jakie pan ma brzydkie łapy.

— Być może, — odpowiada Jaffé — ale mogę przynajmniej moje ręce schować do kieszeni. Ze swoją głową nie może pan jednak tego uczynić.

——oooOooo——

Do znakomitego malarza angielskiego, Wilhelma Orpena, przychodzi milioner amerykański w celu zamówienia portretu.

— Będzie to szósty — oznajmia z pewną dumą Amerykanin. — Malowało mnie już pięciu najsłynniejszych mistrzów.

— Po cóż tyle portretów? — zainteresował się Orpen.

— Z przyzwyczajenia. Kiedy mam ochotę zjeść jajko, każę sobie podawać od razu sześć sztuk. Mam w ten sposób gwarancję, że jedno przynajmniej okaże się dobre.

Wiliam Orpen nie chciał grać roli... szóstego jajka i nie przyjął zamówienia.

——oooOooo——

Liszt nie znosił najlżejszego szmeru podczas swego koncertu. Kiedy na dworze Mikołaja car w pewnym momencie zaczął mówić, Liszt przerwał grę, a na zapytanie, dlaczego to uczynił, oświadczył:

— Kiedy Jego Cesarska Mość raczy przemawiać, wszyscy powinni milczeć.

——oooOooo——

Tristan Bernard spotyka braci Maxa i Alexego Fischerów, znanych ze swej niewiarogodnej brzydoty.

— Cóż słychać, mistrzu? — pytają.

— Źle — odpowiada Bernard — spędziłem straszną noc.

— Cóż takiego?

— Śniło mi się coś potwornego, coś tak potwornego, że nie mogę wam, właśnie wam, opowiedzieć.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi — wołają bracia — niech pan spokojnie opowiada.

— Więc wyobraźcie sobie, śniło mi się... czy mam wam naprawdę powiedzieć?... śniło mi się, że jest was trzech.

——oooOooo——

Antoine i Tristan Bernard, wybierając się na premierę, namyślali się, czy pójść się przebrać.

— Zostaję, jak jestem, — powiedział Antoine — zresztą moja marynarka przypomina smoking.

— Ja także, — odpowiada Tristan Bernard — gdyż mój smoking przypomina marynarkę.

——oooOooo——

Pewien mało znany autor dramatyczny napisał dziesiątą z kolei sztukę bez wartości.

— Dał mi ją do przeczytania — powiada Kurt Goetz.

— Powinien był ją dać do napisania — odpowiada kolega Goetza.

Jim Poker.

PIĄTEK 13-GO



TRZY niemieckie łodzie podwodne opuściły port wojenny Wilhelmshaven w piątek trzynastego stycznia 1915: "U 22" dowódca Hoppe, "U 31" dowódca Wachendorff i "U 32" dowódca baron Spiegel —on und zu Peckelsheim.

W piątek — trzynastego... Kto by tam w wieku pary, elektryczności, samolotów i radia był przesądnym?

A jednak...

A jednak "U 32" wróciła nie wykonawszy swego zadania, z potrzaskanymi przez sztorm burtami, ze skrzywioną lawetą działa, z czterema rannymi marynarzami, których wściekłe rozkołysany łodzi przyprawiły o złamanie rąk lub nóg. Dziewięć dni "U 32" była w morzu, dziewięć dni szalał sztorm, dziewięć dni nie ujrzano ani jednego nieprzyjacielskiego okrętu.

A jednak "U 22" wróciła z pięciodniowym opóźnieniem, tak że wszyscy mieli ją już za przepadłą, a kiedy chciano ją powitać gromkim „hurra", na mostku ukazał się blady komendant Hoppe i znacząco skinął ręką, powstrzymując owacje. Po czym nadbiegłemu dowódcy flotylli zaraportował sucho:

— Melduję, przez pomyłkę zatopiłem "U 7". Ocalał tylko jeden człowiek. Dowódcą "U 7" był osobisty serdeczny przyjaciel Hoppego — kapitan Koenig. Co się tyczy "U 31", to łódź ta nie powróciła w ogóle.

*

Na zzieleniałej z wściekłości, obramionej białymi pasmami piany fali Północnego morza "U 31" ruluje ciężko, to ukazując swój ostry dziób, to warczące gniewnie śruby. Piętrowe grzywacze przelewają się przez kiosk dowódcy, chłoszcząc lodowatym prysznicem okrytych ceratą czterech ludzi: dowódcę, oficera wachtowego, sternika i sygnalistę. Morze wokół puste.

— Verdammt — stara się przekrzyczeć szum fal i ryk wichru komendant Wachendorff — przy tej pogodzie psa z kulawą nogą nie spotkamy. Chyba w samym ujściu Humber.

— No, ale za to co za nadzwyczajna okazja do strzału — odpowiada młody porucznik. — Na takiej fali najlepsza lornetka nie wypatrzy peryskopu.

Nurzając się w pianach "U 31" trzyma kurs na Hull. Czterej ludzie na mostku wydają się męczennikami, ale cóż dopiero powiedzieć o trzydziestu znajdujących się wewnątrz. Od dawna wszystkie otwory zamknięte są na głucho i powietrze, nasycone zapachem spalanej przez Diesle ropy, przegrzanej oliwy, wyziewów ludzkich, zgrzanych ciał i stęchłej wody — staje się nieznośne... Für Kaiser und Vaterland...

Jest trzecia po południu i do zmroku niedaleko. Gdzieś z prawej burty musi być Doggerbank — wielka środmorska mielizna. Jak dobrze byłoby zanurzyć się na jakieś dwadzieścia pięć metrów i położyć na dnie morskim, po czym, kołysanym przez refleks fal spać, śniąc o białych domkach na zielonych wzgórzach Oldenburga czy Fryzji... Jak dobrze...

I komendant Wachendorff waży właśnie w myśli tę możliwość, analizując swoje sumienie oficera (Czy wolno mu na kilka godzin przestać być drapieżnikiem szukającym zdobyczy i myśleć o własnym i załogi spoczynku?), — kiedy nagle oficer wachtowy woła w rytm wichru:

— Żaglowiec!... Piętnaście stopni z prawa...!

O przyłożeniu lornetki do zamokłych, zżartych pędzoną wichrem słoną pianą oczu nie ma mowy, bo i tak pole widzenia śmiga z góry w dół i z dołu do góry. Ale i gołym okiem można już rozróżnić wy-

skakujące wysoko na fali cztery cieniutkie chwiejne tyczki, upstrzone tu i owdzie małymi białymi plamkami. Nie ulega wątpliwości, że czteromasztowiec, idąc pod sztormowymi żaglami, przecina z prawa na lewo kurs "U 31".

— Z Norwegii do Londynu zapewne z wiktuałami — mruczy dowódca, a nachyliwszy się do sternika, dodaje:

— Lewo dziesięć... tak... Oba motory trzysta obrotów.

Dziób "U 31" poczyna teraz szybciej rozdzierać zielone ściany wodne, pryskając w koło długimi wąsami piany. Żaglowiec pędzony na skrzydłach wichru, rośnie w oczach. Wachendorff waży szanse...

— Czy aby Anglik? (W owym czasie wojna podmorska podlegała jeszcze pewnym „humanitarnym" ograniczeniom.) No i czy warto zrobić mu prezent z torpedy? Bo o użyciu działka mowy nie ma...

— Do zanurzenia!...

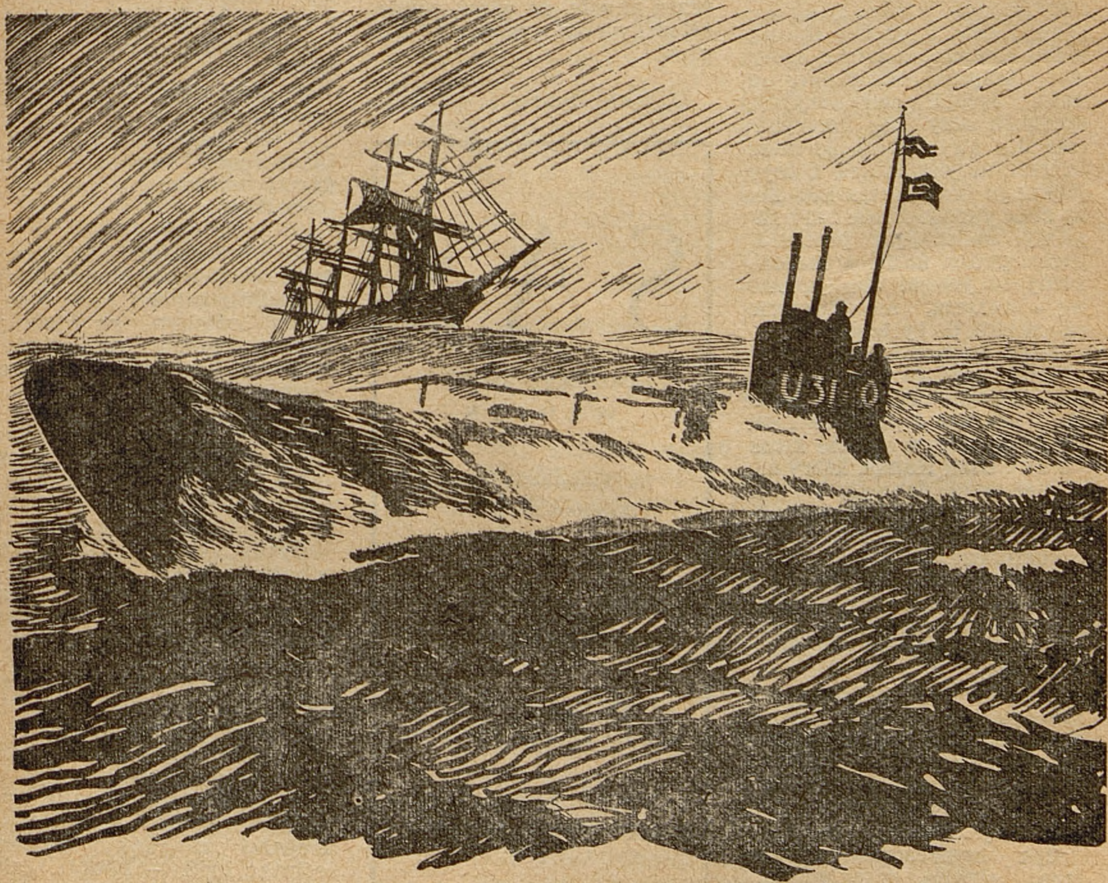
Klekot sygnału, głuche uderzenie zamykanego włazu, szum napływającej do tanków balastowych wody, kilka podrzutów (utrzymać łódź w płytkim zanurzeniu, kiedy morze kłębi się i miota to sztuka nie lada), potem cisza, mącona tylko turkotem sterów głębinowych: 'U 31" jest niewidoczna.

Przez peryskop, często zresztą zalewany falą, komendant bada horyzont. Wszystko w porządku. Wokół pustka. Za pięć minut można będzie zaczynać.

Ociekający wodą dziób "U 31" wynurza się tuż pod burtą żaglowca. W chwilę później dwa kolorowe gałganki, przylepione wichrem do flagliny, oznajmiają mu: „Zastopujcie natychmiast!" Następne dwa gałganki pytają: „Skąd i kto?"

Czteromasztowiec posłusznie staje w dryf. Długi jego kadłub zasłania teraz łódź podwodną od wichru i fali. Na bezani wykwitają w odpowiedzi inne gałganki: „Merry Scotland" z Bergen do Londynu na balaście". Zdanie to podkreślone jest wywieszoną na rufie banderą Wielkiej Brytanii.

Uf! A więc wszystko dobrze. Nareszcie jest robota. Bark ma ze dwa tysiące tonn, więc ostatecznie godny jest torpedy. A rzekomy balast jest pewno angielską hipokryzją. Kapitan wie dobrze, że przy takiej pogodzie nikt nie odważy się podejść i sprawdzić co za ładunek on wiezie.



„Można już rozróżnić cztery cieniutkie chwiejne tyczki, upstrzone białymi plamkami.

— Macie dziesięć minut czasu na opuszczenie okrętu — sygnalizuje "U 31".

— Biedni ludzie — mruczy sam do siebie sygnalista Hans Weier. — Przy takiej pogodzie spuszczać szalupę, to wszystko jedno co kamień do szyi.

Na pokładzie barku ruch, bieganina. Zapewne popłoch. Jedna szalupa zostaje wypchnięta, ale Anglicy wahają się coś ze spuszczeniem. Czas leci szybko...

*

— Zlitujcie się panie... Nie wiozę kontrabandy... Okręt ten to cały mój majątek. Mam na pokładzie żonę i córkę... Musiałem wracać z Bergen do kraju... Nie było za co siedzieć... Na takiej fali nie dam rady w szalupach... Do lądu daleko...

Komendant "U 31" milczy, a rozpaczliwe wołania megafonu Anglika wicher tylko porywa, niosąc z jękliwą skargą w dal. Sygnalista Weier, który wciąż trzyma podniesiony do boku sygnał ewakuacyjny, spuszcza oczy. Czy rzeczywiście dla zwycięstwa Niemiec potrzebna jest ofiara z tego pięknego białego statku? Żeby choć parowiec, ale bark żaglowy, zanikający przedstawiciel poezji mórz, z czasów, kiedy to jeszcze nie topiono się z ukrycia, ale walczono oko w oko, po rycersku...

— Do zanurzenia!...

Łódź pogrąża się zwolna. Na „Angliku" wołają coś jeszcze, patrząc z przestrachem na znikający w wodzie kiosk "U 31". Uszu Hansa, który zamykał właz, dobiegły jeszcze słowa: „Weźcie chociaż kobiety"... Zameldował o tym komendantowi.

— Nie twoja sprawa. Na wojnie jak na wojnie. Zresztą nie chcę bab na łodzi. Jeszcze będzie jaki skandal — dodaje dowódca.

Teraz w polu widzenia peryskopu wysoka burta „Merry Scotland", o którą bezlitośnie tłucze wypryskająca wysoko fala. Nie ma co dłużej czekać.

— Baczność! Prawy aparat dziobowy... Pal!

Syk zgęszczonego powietrza... chwila oczekiwania... głuche uderzenie, huk i łomot. Torpeda zrobiła swoje. "U 31" wypływa. Przepołowiony żaglowiec tonie szybko pożerany z rozkoszą przez rozwścieczone fale. Jedynie rufa wznosi się wysoko ku górze, ukazując szarpaną wichrem banderę Królowej Mórz, co na urągowisko dzisiejszemu zwycięzcy, powiewa dumnie i zniknie ostatnia, jakby rzec chciała: Zobaczymy się jeszcze, mości piracie cesarski.

I tam, na tejże uniesionej prawie prostopadle rufie, jakieś sylwetki ludzkie! Mężczyzna tulący do siebie dwie kobiety, i kilka innych postaci, uczepionych relingu. Widać Anglicy nie mieli odwagi siąść do szalup... Tym gorzej dla nich .

Jeszcze chwila i rufa pięknego "Merry Scotland" znika wśród bryzgów piany. Sygnaliście Weierowi wydaje się przez chwilę, że widzi ponad falami wielką, grożącą "U 31" pięść.

*

O jakże dobrze i zacisznie jest tu w dole, na ławicy Dogger. 'U 31" leżąc swym szerokim brzuchem na piaszczystym dnie, kołysze się lekko, zachęcając do snu zmęczoną załogę. Aparaty regeneracyjne pracują sprawnie, a perspektywa kilkugodzinnego wypoczynku po trudach — to rzecz miła. Herr Wachendorff — rzuciwszy okiem po raz ostatni na swój okręt — zasypia spokojnie. Spełnił wszak swój obowiązek i na wypoczynek ten zasłuży. „Gott strafe England".

W centrali czuwa jeden za wszystkich Müller. Rozsiadłszy się wygodnie na składadanym zydelku, słucha z uwagą opowiadania Hansa, który jakoś zwłóczy z udaniem się na spoczynek.

— ...nie powinniśmy byli topić tego żaglowca. Boję się, że przyniesie nam nieszczęście. Wypłynęliśmy przecież w piątek trzynastego...

— Nie bądź głupi. Dziś niedziela...

— Więc tym bardziej nie trzeba było...

— Idź spać Hans. To ci rozjaśni umysł. Sumienie niech dręczy dowódcę, a cóż my... Gute Nacht.

*

Śpi komendant Wachendorff, śniąc może o pozostałej w Berlinie młodej żonie i córeczce Lottchen, co właśnie zaczęła chodzić do szkoły. Śpią obaj porucznicy, marząc pewnie o narzeczonej czy ukochanej. Śpią starzy, zahartowani w bojach podoficerowie, co z niejednego pieca chleb jedli i których serca zeschły na kamień. Śpią marynarze którzy dla cesarza i ojczyzny odważyli się jako ochotnicy pójść na najcięższą, najniebezpieczniejszą służbę. Śpi sygnalista Hans Walter — człowiek o prawdziwych nerwach...

Torpedysta Müller czuwa. Czuwa sam jeden w centrali. Ale i jego śpik morzy zawzięcie. Zresztą co by się stać mogło tu, w głębinie?... Syczą cicho piecyki elektryczne, cykają tu i ówdzie monotonne kropelki zacieków, kołysze leciutko łódź. — Spać!... Jak strasznie chce się spać.

I w ogóle, czy to rzeczywiście dno morskie tu, pośrodku Północnego morza? Czy nie raczej mały, przytulny pokoik w Hamburgu na Jungferstieg, z rozkosznie pomrukującym kominkiem? Zaraz wróci Gerda i zrobi kolację... Dobra dziewczyna. Obiecał, że się z nią ożeni. Gotuje przecież smacznie... A jaka przedsiębiorcza... No i pracowita... Powiedziała, że ma trzysta marek uzbieranych na służbie .. To będzie jej posag ..

Ale dziś długo coś nie przychodzi.. Gdyby się trochę zdrzemnąć... So gemütlich... Kiedy się przebudzi, kolacja będzie już gotowa...

*

Mijają dnie, tygodnie miesiące. W Wilhelmshaven dowództwo cesarskiej floty decyduje się wreszcie na komunikat. Rodziny załogi "U 31" otrzymują lakoniczną wiadomość, w której „verschollen" szczerzy swe trupie litery, rozpacz budząc obłędną, pogrążając w żałobie matki, siostry, żony, narzeczone...

Mijają jeszcze miesiące. Aż któregoś letniego popołudnia, rybak angielski wracając swym kutrem z połowu, spostrzega u wschodnich wybrzeży Norfolku płynącą na powierzchni łódź podwodną, zgoła do łodzi J. Kr. Mości niepodobną...

Zawraca tedy ile sił w suchotniczym motorku i żaglach biorąc kurs na najbliższy punkt obserwacyjny. Wzdłuż całego wschodniego wybrzeża Wielkiej Brytanii biegnie niebawem wieść:

Baczność — łódź podwodna... Niebezpieczeństwo!

Do oznaczonego punktu zbiega się wnet sfora torpedowców i patrolowców. Wyciągają się długie szyje dział baterii nadbrzeżnych, prują fale szybkobieżne krążowniki, jachty, motorówki... W dwie godziny po alarmie zwierz jest osaczony ze wszech stron. Byleby tylko nie zanurzył się, nie uciekł... Ale łódź płynie powoli, kołysząc się majestatycznie. Musi iść z dalekiej podróży, bo kiosk zzieleniały jest od rdzy i wodorostów. Na pokładzie nie widać nikogo.

Patrolowce zbliżają się. Jeden z nich otwiera ogień. Ale z łodzi nikt nie odpowiada. Przeciwnie — łódź płynie pomalutku, widać już, że niesiona prądem, bo za rufą zamarłe śruby nie pienią wody ze zwykłą pracowitością... Niebawem stalowy potwór osiada na przybrzeżnej mieliźnie, ku zdumieniu rybaków i żołnierzy brzegowej ochrony.

*

Kiedy zaholowano "U 31" do doku, podniesiono ją i otwarto włazy, — oczom Anglików przedstawił się widok niesamowity: cała załoga od dowódcy do ostatniego majtka pogrążona była w śnie głębokim. Oficerowie spali w swoich kojach, marynarze w hamakach... Krzyk i hałasy przy pracy w doku nie potrafiły ich zbudzić. A leżący w kabinie dowódcy dziennik okrętowy kończył się akurat sześć miesięcy temu, opisem zatopienia "Merry Scotland"

Kiedy zaś jeden z podoficerów brytyjskich, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, ujął mocno za ramię i wstrząsnął śpiącym w centrali na zydlu wachtowym marynarzem — nastąpiło coś, co najodważniejszym zmroziło krew w żyłach...

Wachtowy rozsypał się na proszek.

*

Co się na "U 31" stało pozostanie wieczną tajemnicą. Bo nawet umarli, gdyby ożyli, nie byliby w stanie odgadnąć powodów własnej śmierci. Technicy i inżynierowie długo biedzili się nad rozwiązaniem zagadki, poza granicami ludzkiej imaginacji pozostającej. Wreszcie zgodzili się na jedno: Wachtowy za snął, a z akumulatorów, motorów tanków ropowych, lub regeneratorów zaczęły się wydzielać trujące gazy. Cała załoga zaczadziała. Potem powoli — dzięki jakimś zmianom ciśnienia, czy rozprężeniu powietrza wewnątrz łodzi ta ostatnia odzyskała dodatnią pływalność, wyszła stopniowo na powierzchnie i jak prawdziwy "Latający Holender" znalazła się któregoś dnia u brzegów Anglii... akurat w sześć miesięcy po wypłynięciu z Wilhelmshaven, w piątek — 13-go.

Jakże mściwy bywa czasem los.

Henryk Sienkiewicz

PIEŚŃ KOWALI FABRYCZNYCH

Gdy warczy miech, gdy płonie żar,
Wśród razów ech, wśród iskier chmar,
Próżnować grzech. Czas — Boży dar.

Hej, w obroty ciężkie młoty!
Chrzęst cęg, młotów jęk,
Czerwone iskry i krwawy pot
Milsze niż słów pieszczonych dźwięk,
Niż krwawe łzy w komnacie złotej,
Bo w pracy — zdrój szczęścia i cnót.

Ku niebu skroń — ku ziemi dłoń!
Tam Boga chwal — tu hartuj stal!
Tam dojść się ucz — tu kuj i tłucz!
Aby twa praca wydała plon,
Byś miał gotowy, gdy przyjdzie skon,
Żelazny do nieba klucz.

GRYPA czyli INFLUENCA

GRYPA należy do chorób zakaźnych, czyli do tego szeregu zachorzeń, które w pewnych sprzyjających im warunkach udzielają się od osób chorych bezpośrednio najbliższemu otoczeniu. Choroba ta wybucha w postaci zachorzeń masowych, po których zdarzają się co rok mniejsze fale nawrotu.

PRZYCZYNY CHOROBY

Przyczyną grypy są niewidoczne dla oka drobnoustroje, które budową swą przypominają laseczniki. Drobnoustroje te można hodować bez dostępu powietrza. Są one tak małe, że mogą przechodzić przez filtr z palonej glinki nieglazurowanej (drobnoustroje przesączalne). Wydzielina z dróg oddechowych osobnika chorego na grypę, przeniesiona na zwierzęta, wywołuje u nich ciężkie objawy obrzęku płuc połączonego z krwotokami i wysoką gorączką.

Człowiek chory jest najgroźniejszym źródłem szerzenia się choroby, która przenosi się z osób chorych na zdrowe za pośrednictwem t.zw. zakażenia kropelkowego to jest przez wdychiwanie, rozdrobnionej na maleńkie cząsteczki wydzieliny (śluzu, śliny) z ust, gardła, nosa krtani, tchawicy i oskrzeli, wykrztuszonej przez osobę chorą w czasie mówienia, śmiechu, kichania i kaszlu. Zaraza może się również udzielać za pośrednictwem przedmiotów, z którymi chory styka się bezpośrednio (bielizna, odzież, pościel, naczynia do jedzenia, zabawki). Zakażenie następuje wskutek wtargnięcia zarazków grypy do błony śluzowej dróg oddechowych, przede wszystkim do gardła. Nadzwyczaj szybko mogą one przedostać się do płuc i wywołać zapalenie płuc, lub też do mózgu i rdzenia lub narządu krążenia krwi (naczyń krwionośnych i serca).

Grypa, dostawszy się do pewnej miejscowości, szerzy się bardzo szybko i ogarnia nieraz połowę ludności. Rozpowszechnia się za pośrednictwem dróg komunikacyjnych i środków lokomocji (autobusów, kolei żelaznych), jak to miało miejsce np. w roku 1889, kiedy to prędzej przeniosła się z Moskwy do Berlina i Paryża aniżeli do mniejszych miejscowości, położonych w pobliżu Moskwy. W latach 1918-1920 przedostała się również za pośrednictwem dróg komunikacyjnych z Hiszpanii do Niemiec i Austrii („hiszpanka").

Co roku zdarzają się mniejsze lub większe fale zachorzeń, niedawno we Francji, gdzie przeszło połowa ludności chorowała na grypę. Epidemie te należy odróżnić od zwykłych przeziębień jesiennych i wiosennych, nazywanych powszechnie „grypą".

PRZEBIEG

Okres wylęgania zarazków, czyli okres trwający od chwili zetknięcia się z osobnikiem chorym aż do wybuchu choroby, trwa 1 - 3 dni. Choroba zaczyna się wysoką gorączką (38 do 40 stopni), ogólnym osłabieniem, dreszczami, „łamaniem w kościach", bólami mięśni grzbietu, krzyża i kończyn, bólami głowy i ogólnym złym samopoczuciem. Grypa występuje w bardzo różnorodnych postaciach. Jest ona schorzeniem niebezpiecznym ze względu na liczne możliwe powikłania, nie oszczędzając żadnego narządu w ciele ludzkim.

W lżejszych wypadkach prawie zawsze występuje natychmiast silne zapalenie gardła, katar nosa, zapalenie spojówek ocznych, zmiany nieżytowe krtani, tchawicy i oskrzeli. Chorego męczy bardzo dokuczliwy, suchy kaszel i brak łaknienia. Język pokryty białymi nalotami jest obrzmiały. Często przyłączają się dolegliwości ze strony kiszek lub ze strony ucha środkowego. Ogólne te objawy nieżytowe kończą się w lżejszych przypadkach w 3 - 7 dniu choroby, po czym gorączka najczęściej stopniowo spada, pozostając jednak bardzo często przez szereg dni a nawet tygodni podgorączkową. Rekonwalescencja czyli powrót do zdrowia bywa często bardzo przewlekły. Nieraz jeszcze po długim czasie samopoczucie chorego jest złe, chory czuje się bardzo osłabiony, męczą go poty nocne, brak apetytu, bóle głowy w mięśniach i stawach i stany podniecenia nerwowego. Często pozostają zmiany ze strony płuc, serca i rdzenia kręgowego. Utajona przed chorobą gruźlica zaczyna się po przebyciu grypy w szybkim tempie rozwijać i nieraz kończy się niepomyślnie.

POWIKŁANIA

Nie zawsze jednak grypa przebiega w sposób wyżej opisany. Nieraz zaczyna się od razu zapaleniem oskrzeli lub zapaleniem płuc. Zapalenie płuc po większej części przyłącza się na czwarty dzień choroby, niekiedy później, objawia się wysoka gorączką, dusznościa i silnymi bólami w klatce piersiowej. Jeżeli choroba rozwinie się w obydwu płucach, chory może zginąć wskutek uduszenia. Serce, bardzo osłabione przez działanie jadów bakteryjnych również często odmawia posłuszeństwa. Przebieg tej postaci grypy bywa bardzo często niepomyślny,

Przeszło 25 procent chorych na grypowe zapalenie płuc umiera.

Często występuje jako powikłanie obok wymienionych wyżej objawów osłabienia ogólnego i bólów w krzyżu i kończynach zapalenie mózgu i rdzenia kręgowego. Chory nagle staje się bezprzytomny, po czym mogą nastąpić porażenia różnych nerwów. Grypa mózgowa pociąga za sobą najczęściej śmierć. U pozostałych przy życiu pozostają różne zaburzenie cielesne i psychiczne.

Grypa dotyczyć może również przewodu pokarmowego, przy czym na pierwszy plan już w początkach choroby wysuwa się brak apetytu, bóle żołądkowo - jelitowe, wolne stolce i często powtarzające się wymioty.

Nie jest wolna od tego schorzenia i skóra, która pokrywa się wysypką, podobną do szkarlatynowej. W grypie zajęte również bardzo często bywa serce i nerki. U niektórych chorych spotykamy znaczne ciśnienie krwi, co objawia się wielka bladością skóry i stanem zbliżonym do omdlenia.

GRYPĘ MUSI LECZYĆ LEKARZ

Jak widzieliśmy w wyżej podanym opisie, grypa nie jest schorzeniem banalnym, nadającym się do domowego leczenia, lecz chorobą bardzo poważną, wymagającą w większości wypadków porady lekarza. Nawet przypadki grypy rozpoczynające się łagodnie mogą w późniejszym stadium dawać bardzo przykre powikłania, zwłaszcza u ludzi wycieńczonych i starych. Od pierwszych chwil zachorowania szczególna uwagę zwracamy na serce, którego miesień w mniejszym lub większym stopniu bywa uszkodzony przez jady bakteryjne. Serce wzmacniamy mocna kawą, mocnym rosołem, winem i herbata. Silne bóle głowy, jak i podniecenie nerwowe zwalczamy zimnymi okładami lub pecherzem z lodem na głowę, ogólnymi zawijaniami chłodnymi, trwającymi 2 godziny 2 - 4 razy dziennie. Bardzo dobry wpływ wywieraja poty, spowodowane przez aspiryne w dawce 0 5 gr. 3 razy dziennie. Poty wywołuje również gorace mleko z woda mineralna lub herbata z kwiatów lipowych i bzowych. Wiekszych ilości aspiryny bez uprzedniego zbadania serca przez lekarza nie należy stosować, gdyż są one groźne dla zdrowia.

Przeciw zapaleniu gardła dobry jest okład z wody o temperaturze pokojowej pod ceratką i płukanie gardła wodą utlenioną lub ciepłą szałwią. Męczący kaszel uspokaja się pod wpływem zimnych zawijań klatki piersiowej lub zażywania wody emskiej pół na pół z gorącym mlekiem. Zaburzenia żołądkowo-jelitowe leczymy lekką dietą płynną i łagodnie działającymi środkami przeczyszczającymi (olej rycynowy). Łóżko może chory opuścić dopiero w 4 do 5 dni po opadnięciu temperatury. Zaleca się jak najdalej idącą ostrożność, gdyż nawet w tym okresie mogą powstać ciężkie powikłania, wyżej opisane.

PRZED STOSOWANIEM POWYŻSZYCH WSKAZÓWEK RADŹ SIĘ LEKARZA

Najważniejszą jednakże kwestią jest zapobieganie zachorowaniu. W tym celu musimy szczególnie ściśle przestrzegać przepisów higieny i dietetyki, a więc wzmacniać i hartować stale ustrój, by zwiększyć jego odporność za pośrednictwem:

1. dostatecznej ilości ruchu, świeżego powietrza i wody,

2. odpowiedniego ubioru, dostosowanego do pory roku a nawet dnia. W zimie nie nosić jedwabnej bielizny i jedwabnych pończoch. Obuwie winno być przewiewne ale szczelne, by nogi były suche i mogły swobodnie parować. Nieodpowiednie są futrzane względnie gumowe buty, niekiedy sięgające po kolana, jak to często widujemy, gdyż przegrzewają one nogi i hamuja ich parowanie. Należy również unikać przegrzewania ustroju zbyt ciepłą bielizną.

Szkodliwe jest również noszenie ciepłych szali na piersiach, jak i wkładanie za wcześnie ciepłej bielizny w jesieni. Przegrzewanie osłabia ustrój i obniża jego odporność.

3. dbać o odpowiednie odżywianie, by był stały dowóz dostatecznej ilości kalorii. Racjonalne odżywianie wzmacnia naszą odporność.

W czasie liczniejszych zachorowań na grypę należy unikać większych zbiorowisk ludzkich, względnie jeżeli jesteśmy zmuszeni w nich się znaleźć, jak w kościele, szkole, kinie, teatrze, zachować się w myśl powszechnie głoszonych przepisów higieny, które tak często się spotyka w różnych krajach w formie wywieszek — ogłoszeń, a na które niestety tak mało zwracamy uwagi.

— Powiedzcie mi, jak nazywa się aparat, który gromadzi w sobie wilgoć wydzielaną z powietrza?

— Rynna, panie profesorze!

× o ×

— Czy pan nie uważa, że moja żona ma wspaniały głos?

— Nic szanownego pana nie rozumiem!

— Pytam, czy pana też zachwyca głos mojej żony?

— Pan daruje, ale ja nic nie rozumiem, gdyż ta nieszczęsna osoba przy fortepianie tak wrzeszczy, że trudno się porozumieć.

× o ×

Chłopczyk przygląda się pracy swego ojca. Ojciec wykopuje olbrzymi dół i strudzony pracą oblewa się potem. Wielkie krople potu spływają po czole i twarzy zmęczonego człowieka zraszając obficie jego ubranie. Chłopczyk przygląda się z zaciekawieniem ojcu, wreszcie biegnie do matki i powiada:

— Czy wiesz, mamusiu, że tatuś pada?



LEW PRZY BRAMIE WEJŚCIOWEJ
NA CMENTARZ OBROŃCÓW LWOWA

LWÒW I WILNO

TO STOLICE ZIEM POLSKICH,

KTÓRYM KRÓLUJE MATKA BOSKA OSTROBRAMSKA
GDZIE LEŻĄ PROCHY ORLĄT LWOWSKICH

POWRÓCĄ ONE DO RZECZYPOSPOLITEJ
JAK POWRÓCIŁY
ZIEMIE ODZYSKANE NA ZACHODZIE



OSTRA BRAMA W WILNIE

K R Z Y S Z T O F

OPOWIADANIE O NADNATURALNYCH ZJAWISKACH W CODZIENNYM ŻYCIU

Napisała Enid M. DINNIS, tłumaczyła "GRAMMAR"

WSTĘP

Kto raż się wpatrzył w blask wieczności,
kto zna czar niezbadanych szczytów,
ten już na zawsze będzie gościł
w krainie BOŻYCH MITÓW.
Ten, komu wieczność ukazała
prawdziwą twarz Bezkresu,
da dzieciom Bożym baśń wspaniałą:
baśń — która Prawdą jest.

*

— To rzeczywiście przykre, że w jednej chwili influenca zabiera z człowieka wszystkie siły żywotne i pozostawia po sobie najdziwniejsze skutki.

Mężczyzna, wypowiadający tę oklepaną diagnozę pospolitej choroby, która przerzedziła towarzystwo, odpoczywające po kolacji na werandzie folwarku, był człowiekiem o nieco pompatycznych manierach.

Większość towarzystwa przyjęła uwagi jego z dostatecznym szacunkiem. Zagadkowy uśmiech ukazał się tylko na twarzy ojca Krzysztofa Hulberta, który swym atletycznym ciałem wypełniał jeden z trzcinowych foteli. Mówiący zauważył i źle zrozumiał ten uśmiech.

— Czy ojciec kiedy miał influencę? — zapytał raczej ostro. Widok tryskającej zdrowiem postaci zakonnika często irytował patrzących na niego nerwowych słabeuszów.

— Tak, przed kilku laty, — odpowiedział kapłan — to znaczy, raczej powiedziano mi, że to była influenca, w każdym razie pozostały mi po niej najdziwniejsze skutki.

— Jakie? — zapytał miejscowy lekarz, człowiek młody, o inteligentnej twarzy i bystrym spojrzeniu. Miał zwyczaj wpatrywania się z przymkniętymi powiekami w swoich rozmówców.

— Hm, — odpowiedział ojciec Hulbert — jednym z nich było to, że choroba ta przyszła do mnie jako do protestanta, a odeszła już od papisty.

Chociaż w oczach jego pojawił się figlarny błysk, jednak spojrzenie, którym spotkał badawczy wzrok lekarza, było jasne i śmiałe.

— Długa choroba daje dużo czasu do rozmyślań — wtrącił się z dostojnym namaszczeniem w głosie poprzedni rozmówca.

— Nie chorowałem długo — odpowiedział ze zwykłą szczerością w tonie ksiądz. — Właściwie trwało to tylko dwie doby i wcale nie jestem pewien, czy to w ogóle była „flu". W każdym razie była to jedyna choroba, którą w życiu miałem.

— Czy zostawiła jeszcze jakieś inne skutki? Myślę o fizycznych — zapytał lekarz.

Ksiądz roześmiał się:

— Czy wyglądam na to?! Nie. Nie wiem co znaczy uskarżać się na jakieś dolegliwości.

Lekarz wpatrywał się w księdza uparcie.

— Zdawało mi się, że wczoraj, w kościele był ksiądz trochę blady. Byłem na Mszy świętej. Chodzę czasami. Lubię waszą muzykę kościelną.

Lekko zaczerwienił się. Nie był katolikiem.

Ksiądz odwrócił się i spojrzał badawczo na lekarza.

— Dlaczego zdawało się panu, że czuję się źle? — zapytał.

— Było to w czasie tego, co nazywacie „Podniesienie". Gdy podnosił ksiądz Hostię, miałem wrażenie, że się ksiądz czuje źle.

Zamilkł na chwilę.

Gospodarz, człowiek nadzwyczaj taktowny, widząc, że rozmowa staje się bardzo „interesującą" dla większości towarzystwa, wtrącił kilka uwag, które zmieniły temat konwersacji.

W kilka minut później zakonnik powstał i zaczął się żegnać z towarzystwem.

— Mamy w plebanii oznaczone godziny, jak w internacie — tłumaczył się wesoło — otrzymałem specjalne pozwolenie przebywania poza domem właśnie do tej późnej godziny.

— Ja też już muszę iść — powiedział lekarz.

Pożegnali towarzystwo i wyszli razem.

— Czy idzie pan w moją stronę? — zapytał kapłan.

— Jeżeli to księdzu nie przeszkadza, jego droga będzie moją — odpowiedział lekarz — ja... ja chciałbym księdza o coś zapytać, jeśli nie będzie to z mojej strony natręctwo.

— I ja również chciałem pana o coś zapytać: czy mógłby mi pan powiedzieć, co pan we mnie zauważył wczoraj, podczas Mszy świętej? Proszę mi dokładnie powiedzieć, co we mnie uderzyło pana, jako lekarza?

— Cieszy mnie, że nie będę impertynencki w stosunku do księdza, bo właśnie na ten temat chciałem porozmawiać, jako lekarz.

— Co pan zauważył? Będę nadzwyczaj wdzięczny, jeśli mi pan zechce o tym powiedzieć.

Lekarz zamyślił się.

— Zdawało mi się — zaczął powoli — jak gdyby ksiądz nagle stracił siły. Unosił ksiądz Hostię (chociaż nie był katolikiem, ton jego był pełen szacunku) z takim wysiłkiem, jak gdyby to był tonowy ciężar. Mogłem zauważyć, jak księdzu drżały ramiona. Wydawało mi się przez chwilę, że ksiądz nie utrzyma tego ciężaru, a gdy potem odwrócił się ksiądz od ołtarza, widziałem, że był ksiądz spocony i wyczerpany, jak gdyby po jakimś nadzwyczajnym wysiłku. Ciekawy byłem, czy w ogóle kiedykolwiek w życiu był już ksiądz aż tak wyczerpany? Wiem, że przed kilkunastu laty był ksiądz słynnym atletą. Pamiętam nazwisko jego wymieniane jako zwycięzcy na zawodach w pchnięciu kulą. Toteż byłem zdziwiony dziś wieczorem, gdy ksiądz powiedział, że się na nic nie może uskarżać.

Zamilkł. Szczerze i prosto spojrzał w twarz kapłanowi.

Odpowiedź jego przyszła po chwili. Była, jak zwykle, bezpośrednia:

— Myślał pan, że „koloryzuję"?

— Tak — odpowiedział również bezpośrednio lekarz.

— Uważam jednak, że to, co powiedziałem, było najbardziej prawdziwe, ponieważ nie biorę pod uwagę specjalnego wypadku. Cztery razy w życiu przyszło na mnie to uczucie nadzwyczajnego wyczerpania fizycznego.

Spojrzał na poważną, szczerą twarz, oświetloną blaskiem księżyca i zdecydował się nagle:

— Powiedzmy, że opiszę panu mój dziwny atak influency, a może, jako lekarz będzie mógł mi pan wyjaśnić, czy objawy tej mojej choroby były normalne.

— Nadzwyczaj by mnie to interesowało — powiedział lekarz — przeprowadzałem szczególne badania nad influencą. To najbardziej nieuchwytna choroba.

— Proszę pamiętać — powiedział zakonnik — że gdyby pan wczoraj nie zauważył mego stanu, nie byłbym w ogóle zaczynał tego opowiadania. Ta pana pomocnicza obserwacja zaświadczy, że nie będę przesadzał. Zna pan coś niecoś historię mego życia. W czasie, gdy zaszły wypadki, o których mam zamiar opowiedzieć, mieszkałem tu, blisko; pan— na wielką stopę! Miałem dosyć pieniędzy, by czas poświecić spokojnym rozrywkom, które mi odpowiadały. Byłem zamiłowanym sportowcem i szeroko słynąłem z niezwykłej siły. Przypuszczam, że ta sława doszła i pana?

— Owszem — powiedział lekarz — pamiętam, że opowiadano o Krzysztofie Hulbercie, jak pewnego razu zeszedł po schodach niosąc szetlandzkiego pony pod każdym ramieniem.

Zakonnik roześmiał się:

— Nie zgodziłoby się to o tyle z prawdą, że nigdy nie byłem z szetlandzkimi pony aż na tak poufałej stopie, ale, śmiem powiedzieć, że nie przekraczałoby to moich możliwości fizycznych.

Lekarz uczuł w tym momencie, że odrywa się nagle od ziemi, unosi wysoko w górę i znowu staje na ziemi. Był człowiekiem o pokaźnych rozmiarach

— Daruje mi pan to praktyczne przedstawienie moich możliwości — powiedział kapłan — to zresztą przyda mi się też w ciągu mojego opowiadania.

Lekarz się roześmiał:

— Miałem przez chwilę wrażenie, że znowu jestem dzieckiem, tak mnie ksiądz podrzucił, jakbym był pięcioletnim bąkiem.

— ...Więc — ciągnął ksiądz dalej — jeśli poza sportowcem byłem kimś jeszcze, to chyba już tylko zajadłym protestantem, anglikaninem, mówiąc ściśle. Każdą niedzielę chodziłem do naszego kościoła i nie ukrywałem głębokiej pogardy dla intruzów — mnichów katolickich, z którymi teraz mieszkam. Osiedlili się oni wtedy w naszym sąsiedztwie. Bardzo lekceważyłem „sutanników", a fakt, że przeor i wszyscy jego współtowarzysze byli, przypadkowo, ludźmi o wątłej budowie fizycznej, wpłynął jeszcze bardziej na pogłębienie mojej opinii o „plemieniu mnichów". Ale wróćmy do mojej influency, pan chyba już umiera z chęci postawienia wreszcie diagnozy, doktorze?

...Zdarzyło się, że pewnego wieczora wracałem do domu. Skracając drogę, szedłem na przełaj, przez łąki. Byłem w najświetniejszym zdrowiu. (W oczach księdza pojawił się błysk figlarny, jak gdyby cieszył się, że żartuje sam z siebie.) Szedłem zamaszyście, dużymi krokami, pogwizdując sobie do marszu. Świecił księżyc. I w jego blasku nagle spostrzegłem postać człowieka, siedzącego na zboczu drogi, pod płotem. Płomyk małej latarni pełzał koło niego. Pomyślałem wpierw, że to jakiś włóczęga, ale przyjrzawszy się stwierdziłem, że jest to jeden z mnichów. Podszedłem ku niemu, bo zdawało mi się, że zaszło coś niezwykłego, skoro takie dziwadło, jak mnich siedzi w nocy pod płotem. Miał jakąś dziwną postawę: siedział pochylony naprzód, skulony, z jedną ręką schowaną za habit na piersiach.

— Czy mogę w czymś pomóc? — zapytałem dosyć szorstko, bo wcale mi się nie chciało okazywać zbyt wielkiej przyjaźni. Spojrzał na mnie z dziwnie zatroskanym wyrazem twarzy. Odezwał się raczej półszeptem, jak byśmy byli w kościele. „Najzabawniejsza kruszyna ludzka — myślałem — jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać".

— Przypadkowo zraniłem sobie nogę w kostce — powiedział — szedłem do chorego. Czy byłby pan tak uprzejmy i zawiadomił ludzi w tej chatce opodal, tam właśnie miałem być. Nie dojdę jednak bez pomocy.

Widziałem światła chatki, o której mówił. Stała niedaleko, za polami, w odległości nie całej ćwierć mili od nas. Mieszkał w niej MacGill, Irlandczyk.

— Jeżeli ksiądz chce, pomogę mu tam dojść — powiedziałem. — Czy może ksiądz iść, trzymając mnie pod rękę?

Mały, zabawny człowieczek wyszeptał podziękowania, uchwycił podane ramię i stanął na nogi, a raczej na jedną nogę, bo druga, skaleczona, ugięła się pod nim natychmiast, gdy spróbował postawić ją na ziemi.

— Nie dam rady — powiedział po kilku podskokach na jednej nodze. Oddychał ciężko przez zaciśnięte zęby, widocznie bardzo cierpiał.

— ...nie mogę iść, niestety, muszę poczekać, aż mnie tam zaniosą.

Opadł miękko na zbocze drogi.

Spojrzałem na kruszynę ludzką, nie wiedząc, czy mam się śmiać, czy gniewać za to, że nie ma zaufania do moich sił.

— Po co czekać? — zapytałem. — Przecież mogę księdza tam zanieść.

— Ale nie będę za ciężki? — spytał człowieczyna, przyglądając mi się z powątpiewaniem.

Roześmiałem się głośno:

— Phi! — powiedziałem — sześciu takich jak wy mogę unieść za jednym razem!

Podrażniło mnie przesadne pojęcie zakonnika o jego wadze. Ton mój był więcej niż lekceważący. Oburzyło mnie dostojeństwo, które w jakiś niezrozumiały wtedy dla mnie sposób promieniowało z niepozornej postaci zakonnika. Siedząc, mierzył mię w zamyśleniu wzrokiem, jak gdyby naradzając się sam ze sobą.

— Muszę tam dostać się jak najszybciej. To bardzo ważne. Już godzinę straciłem siedząc tutaj, a człowiek tam może umrzeć! Muszę przyjąć propozycję, ale obawiam się, że poczuje pan mój ciężar.

Uśmiechnąłem się pobłażliwie zamiast odpowiedzi i przygotowałem się do uniesienia maleńkiego mnicha tak, jak kiedyś, niby dzieciaka, uniosłem na polu walki rannego żołnierza, ale, nim sobie uświadomiłem zamiar mnicha, ten podniósł się, pokuśtykał za mnie i, chwytając mię za ramię, wgramolił mi się na plecy.

— Zdaje mi się, że w ten sposób będzie panu najlżej, powiedział grzecznie i... coś dziwnego się ze mną stało: uczułem nagle, że maleńki zakonnik na moich plecach ciąży mi tak, że z najwyższym tylko wysiłkiem mogę się wyprostować, a raczej, mówiąc szczerze, nie mogłem się w ogóle wyprostować i, gdy potykając się zacząłem z trudem posuwać się naprzód, byłem wciąż zgięty we dwoje. Po kilku pierwszych krokach zalałem się potem. Co za nadzwyczajny atak osłabienia nagle mię ogarnął? Ani mi przez myśl nie przeszła w tym momencie możliwość ataku „flu", chociaż w okolicy dużo już o tej chorobie szeptano.

— Stańmy na chwilę! — zawołał mnich — zostawiłem latarnię.

— I bez niej jest jasno — odpowiedziałem — ale oczywiście nie możemy zostawiać klasztornej własności. Czy zgasić? Księżyc świeci jasno.

— Nie, nie! Mogę ją trzymać.

Pochyliłem się, by podać cenną latarnię i wszystkie siły musiałem natężyć, by się znów lekko wyprostować. Zachwiałem się jednak i opadłem na jedno kolano. Zdawało mi się, że już tak pozostanę, dopóki będę mój ciężar dźwigał na plecach.

— Czy bardzo panu ciąży? — zapytał zakonnik.

Chrypliwym głosem zaprzeczyłem. Brakowało mi tchu. Czułem się, jakby to powiedzieć, niesamowicie, jak gdyby nagle cały, otaczający mnie świat zamienił się w wizję. Zdaje mi się, że był to stan umysłowy, towarzyszący początkom „flu"?

Doktór skinął głową.

— Wpływ rozwijających się bakterii na komórki mózgowe — powiedział.

Ojciec Hulbert uśmiechnął się.

—...tak więc posuwaliśmy się naprzód — ciągnął opowiadanie. — Może pan sobie wyobrazić, co za osobliwy widok miałby ktoś, kto by nas widział w tej drodze: ja, dźwigający latarnię i zakonnika, siedzącego na mnie konno. Szczególne wydawało mi się to, że w całej tej zabawnej sytuacji nie widziałem ani cienia śmieszności. Później starałem się wyobrazić sobie naszego starego pastora w pozycji małego mnicha i od razu pojawiał się cały komizm, aż błazeński komizm zdarzenia. Ale wtedy nasz sposób podróży zdawał mi się jak najbardziej naturalny, tak, jak naturalnym byłby, na przykład, taki rysunek w „Żywotach Świętych", ilustrujący legendę o którymś z nich. Drobny kapłan nie utracił ani odrobiny swego dostojeństwa, a ja, dziwne to się wydaje, nie odczuwałem już ani odrobiny upokorzenia, choć się nagle zmieniłem w zwierzę pociągowe.

Nigdy nie zapomnę tej drogi. Mój „jeździec" co pewien czas wyrażał mi swoje współczucie, co wcale już nie budziło we mnie uczucia zranionej pychy siłacza. Zakłopotanie, odczuwane na początku, rozwiało się bez śladu. Z pokorą u mnie niespotykaną odrzuciłem propozycję księdza, bym może na chwilę odpoczął.

— Wy, olbrzymi, wcale nie jesteście tak silni, jak sobie to wyobrażacie — powiedział żartobliwie, a ja nie poczułem ani odrobiny oburzenia. Zupełnie pogodziłem się z faktem, że dźwiganie tego rodzaju drobnego, szczupłego człowieczka przekracza moje możliwości. Ani uczucie upokorzenia, ani zmartwienie nie towarzyszyło już temu stwierdzeniu własnej bezsiły. Świat, jak już powiedziałem, stał się jakiś nierealny. Chatka MacGilla zdawała się być najbardziej upragnionym celem; pola, przez które szedłem — pielgrzymką przez życie, a przebycie tej pielgrzymki — osiągnięciem tak wielkim, że wszystko inne traciło kompletnie i wartość i znaczenie. Otaczający mnie świat przybrał nagle jakieś nowe, pozaziemskie formy. Do tego wszystkiego dołączyło się jeszcze dziwne uczucie: wiedziałem, że za wszelką cenę muszę się trzymać zapalonej latarni, chociaż czułem, że prawie już mi nie starcza sił na uniesienie tego dodatkowego „ciężaru".

Opowiadający zamilkł na chwilę i spojrzał na lekarza:

— Czy już pan rozpoznaje symptomy choroby? — zapytał.

— Niewątpliwie — przyszła odpowiedź — osłabienie psychiczne, towarzyszące fizycznemu wyczerpaniu.

— Najdziwniejsze jednak było to, — mówił ojciec Hulbert — że ani mi wtedy przez myśl nie przeszła możliwość choroby. Nie odczuwałem ani najlżejszego przygnębienia, które podobno jest pierwszym z objawów zbliżającego się „flu". Wprost przeciwnie: gdybym miał siły chociaż odrobinę jeszcze wzmocnić oddech, byłbym, pełznąc tak naprzód, śpiewał z niepojętej radości, choć nie zmniejszała ona ani odrobinę uczucia śmiertelnej, fizycznej udręki. Zacząłem wątpić, czy zdołam przebyć tę krótką, ćwierćmilową przestrzeń. Nie potrafię opisać stopnia wyczerpania, ale pan, doktorze, już oczywiście nie raz słyszał swoich pacjentów, opisujących to uczucie „krańcowego zmęczenia"?

Ojciec Hulbert zerknął z boku na lekarza i ciągnął dalej:

...nareszcie zgięty w pałąk, zlany kroplistym potem, z drżącymi kolanami, ze łzami w oczach, dobrnąłem do drzwi chatki MacGilla. Takie wyczerpanie przez ten marny drobiazg ludzki i to krótkie ćwierć mili! Osiągnąłem jednak koniec mojej krzyżowej drogi.

Świeciło się w okienku. Zapukałem.

— Uklęknę — powiedziałem do zakonnika — w ten sposób łatwiej będzie księdzu zejść — a właściwie chodziło mi o to, żebym już nareszcie mógł odpocząć.

Młody chłopak otworzył drzwi. Spojrzał na księdza, schodzącego mi z pleców i opierającego się o odrzwia, na mnie, klęczącego u progu i.. zachował się dziwacznie: również ukląkł.

— Czy zdążyłem na czas? — zapytał ksiądz.

— Tak, ojcze — brzmiała odpowiedź — szybko gaśnie, ale jest jeszcze przytomny.

— Dzięki Bogu! — zawołał żarliwie ksiądz — i zwracając się do mnie powiedział:

— Nigdy się panu nie wywdzięczę za tę przysługę, oddaną bliźniemu. Niech cię Bóg błogosławi! — Odejmując rękę od piersi nakreślił nad mą głową znak krzyża. Klęczałem wciąż. Za bardzo jeszcze byłem wyczerpany, by wstać.

— Zawiadomię ojców na plebanii — zwróciłem się do chłopca, który teraz pomagał okaleczałemu zakonnikowi wejść do izby chorego.

W przedpokoju znalazłem stołek. Odpoczywałem tam dopóki mniej więcej czułem, że mi wróciły siły. Wtedy ruszyłem ku plebanii.

Dochodziłem tam, czując się prawie dobrze fizycznie i rozmyślając na temat: „Co to właściwie wszystko znaczy?". Widzi pan, wciąż nie miałem wrażenia nagłego, czy też stopniowego zbliżania się choroby. Wciąż tylko trwało we mnie uczucie takiego zmęczenia, jakie odczuwałem zawsze po każdym, ponad me siły, wyczynie: bolały mnie wciąż plecy, a kolana uginały się miękko. Poza tym czułem się zupełnie dobrze. Zauważyłem leżący na drodze potężny

głaz. Pochyliłem się i uniosłem go bez najmniejszego wysiłku! Mięśnie moje zdawały się więc być w zupełnym porządku.

Ojciec Hulbert spojrzał na lekarza, ale ten milczał.

— Zadzwoniłem. Otworzył mi sam przeor, drobny, jasnooki Irlandczyk. Opowiedziałem mu o zdarzeniu. Rozpływał się z wdzięczności. Pierwszym jego pytaniem było: „Czy zdążyliście na czas?". Gdy powiedziałem mu, że tak, jeszcze na czas, łzy wdzięczności zaszkliły mu się w oczach. Następnie zainteresował się, czy to nie był dla mnie za duży wysiłek dźwiganie ojca Pawła do chatki. Spoglądał na mnie z prawdziwą troską.

— Jakoś dałem radę — odpowiedziałem — nie było daleko, więc doszedłem.

Przeor czytał moje nazwisko na bilecie, który mu, wchodząc, podałem.

— Ach! — zawołał — Krzysztof! Oczywiście, wszystko w porządku! Ojciec Paweł niósł Najświętszy Sakrament, więc pan, jak niegdyś święty Krzysztof, dźwigał Chrystusa.

Wtedy znowu zrobiło mi się słabo. Doznałem olśnienia. Komentarz przeora wyjaśnił mi nagle dostojne zachowanie się mnicha i zapaloną latarnię, i rękę wciąż ukrytą na piersiach; gdy mój „jeździec" trzymał mnie za szyję tylko jedną ręką, boleśnie odczuwałem na kręgosłupie wpijania się kostek jego drugiej ręki. Wciąż jeszcze ból ten trwał. Zrozumiałem też i zachowanie się chłopca przy drzwiach. Czyżby to też miało wyjaśnić, dlaczego, niosąc drobnego człowieczka, czułem, jak gdyby ciężar całego świata na sobie?

— Ależ pan się źle czuje! — zawołał przeor.

I wtedy stało się to, co mię nigdy ani przedtem, ani potem nie spotkało: zemdlałem.

— Był to chyba zwykły objaw influency?

— Chorowałem dwie doby i, jak mi powiedziano, miałem lekką gorączkę. A potem nagle poczułem się znowu zupełnie zdrów.

— A skutki? — zapytał lekarz.

— Aha, skutki — powiedział powoli kapłan — nie pojawiały się w ogóle w ciągu najbliższych trzech lat. Pierwszy raz wystąpiły już po moich kapłańskich święceniach. (Mówiłem panu, że stałem się katolikiem „po influency"?) Wtedy dopiero znowu na mnie naszło uczucie nagłego osłabienia. W ogóle taki atak zdarzył mi się cztery razy, więc jednak „choroba" pozostawiła we mnie pewne ślady. Za każdym razem przychodziło to na mnie nagle, w czasie, gdy odprawiałem Mszę świętą. W chwili konsekracji nagły, prawie uniemożliwiający mi podniesienie Hostii świętej, upadek sił. Pierwszy raz przyszło to na mnie, gdy prowadziłem misje. Powie pan, że przepracowałem się. Drugi raz, gdy odprawiałem Mszę świętą w obecności mojej ukochanej siostry, zagorzałej protestantki. Nigdy przedtem nie asystowała mi, gdy wypełniałem obowiązki kapłana. Obecnie jest ona w klasztorze, nazaretanka. Po raz trzeci, gdy odprawiałem Mszę świętą jako proboszcz mojego nowego kościoła. Tym razem był to przeraźliwie silny atak. Słabość odczuwałem przez cały dzień. Kilkakrotnie musiałem zażywać lekarstwo, by odzyskać siły do wysłuchania spowiedzi wieczorem; prosił o nią człowiek, który po raz pierwszy od dwudziestu lat był na Mszy świętej rano. Przyszedł do mnie potem specjalnie prosząc o spowiedź. Cudowny wypadek nawrócenia!

Po raz czwarty wreszcie zdarzyło mi się to właśnie w pana obecności, wczoraj, gdy był pan na Mszy świętej, by posłuchać muzyki.

Szli w milczeniu przez kilka chwil.

— A więc, doktorze, tak wyglądają moje skutki choroby, czy będzie pan w domu próbował dać diagnozę? Jesteśmy przy plebanii. Dobrze wymierzyłem opowiadanie na czas. Obawiam się tylko, że zbyt daleko pan odszedł od swojej drogi, a, niestety, nie mogę go zaprosić do środka, wszyscy już śpią u nas.

— Czy mógłbym ojca odwiedzić któregoś dnia? — zapytał lekarz. — My, doktorzy, wie ojciec, nie zawsze jesteśmy materialistami.

— Proszę bardzo! O każdej porze. W ciągu najbliższych dwu tygodni tutaj na plebanię, a potem już na mój własny adres. Podał lekarzowi kartkę ze swym nowym adresem.

— Jeszcze tylko o jedno, jeśli wolno, chciałbym ojca zapytać — powiedział młody lekarz — jak ojciec sam tłumaczy te szczególne ataki, przychodzące zawsze w specjalnych okolicznościach?

Ton pytania był nie bardzo przekonywujący w usiłowaniu utrzymania „naukowej ścisłości". Zakonnik spojrzał doktorowi w twarz, oświetloną blaskiem nadbramnej latarni klasztoru.

— Zawsze myślę — powiedział bardzo cicho, z szacunkiem — że zdarza się to wtedy, gdy moc z Niego uchodzi, to znaczy, że wtedy ktoś obecny w tłumie wyciąga ramię, by dotknąć kraju szaty Jego.

Gość (z oburzeniem, wskazując na talerz):

— Co to jest?

Kelner (zasłuchany w dźwięki orkiestry restauracyjnej):

— Kawałek z „Wesołej wdówki", proszę pana.

x o x

Fryzjer, goląc nowego klienta:

— Czy już kiedy szanownego pana goliłem?

— Nie, nie, te szramy pochodzą z wypadku samochodowego.

x o x

— Panna Hela ma usta jak pączek róży.

— Wykluczone!

— Dlaczego wykluczone?

— Bo pączek róży jest zamknięty.

x o x

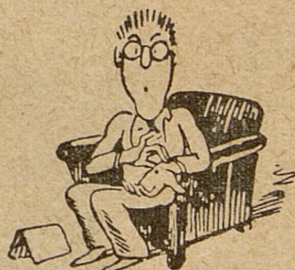
— Zosiu, czy spotkałaś w życiu mężczyznę, który wstrząsnął całą twą istotą?

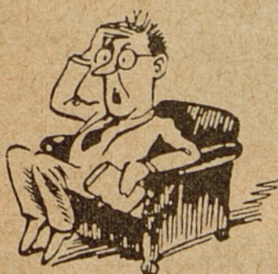
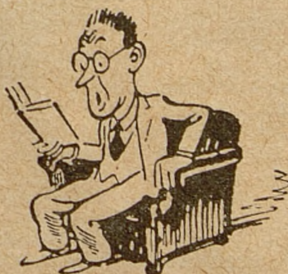
— O tak, mój dentysta przy wyrywaniu zęba.











Rys. H. M. Bateman

Skutki czytania książki lekarskiej, czyli figle wyobraźni

DOBRE SERCE

Napisał Jerzy MARLICZ

PANI Agata zamaszyście odstawiła stygnące żelazko, i rozglądając się za synem, wyprostowała tęgą postać. Potem z przyzwyczajenia ujęła się pod boki.

— Guś! A, Guś! Co tam w kącie grzebiesz? Chodź liczyć bieliznę!

Guś miał co prawda pilniejsze zajęcie, gdyż oglądał właśnie guziki znalezione tego dnia na ulicy. Dwa zwykłe, czarne, jeden biały kościany, i jeden złoty, od wojskowego munduru. Ustawiając je na podłodze, myślał, że złoty to król, biały królowa, a oba czarne straż przyboczna. Skoro jednak usłyszał gruby głos matki, złudzenie pierzchło od razu. Matka nie była zła, lecz gniewliwa, i miała prędką rękę. Guś porwał się z podłogi, jakby go kto znienacka uniósł za kołnierz.

— Bierz papier, ołówek i pisz! Trzeba zliczyć co się należy, no nie?

Guś przyniósł skrawek papieru, ogryzek ołówka, i kucnąwszy przy drewnianym stołku, wyczekując spozierał w górę. Pani Agata mówiła głośno.

— Jedna jaczka, pięćdziesiąt groszy. Pięć ręczników, złoty. Dwa powleczenia także złoty...

Każdą sztukę bielizny ujmowała z osobna w palce, przeglądała w powietrzu, jakby obliczając, ile trudu kosztowało jej wypranie, i zaraz odkładała na bok, na wzdętą na łóżku czerwoną pierzynę.

— Zapisałeś wszystko?

— Jo.

— Ile ci też wypadnie razem?

Guś sumował cyfry raz i drugi, pracował obracając w ustach językiem. Westchnął pociągając nosem, gdyż był nieco przeziębiony od wczoraj.

— Cztery złote i pięćdziesiąt groszy.

— Nie pomyliłeś się aby?

Z oburzeniem zaprzeczył, że nie. Pani Agata przejrzała papierek dla formy tylko, bowiem w rachunkach była znacznie od syna słabsza.

— Dobrze jest. A teraz zaniesiesz na Kolejową — wymieniła numer i nazwisko. — Ale nie oddawaj bez pieniędzy. Jakby nie chciała zaraz płacić, to i na bieliznę niech poczeka. A wracaj prędko, nie marudź po drodze. Pamiętaj, że to Wigilia.

— Taka to Wigilia, kiedy drzewka nie ma! — wydął usta żałośnie.



— Ja sama wiem, że to niezakoniecznie. Cóż, kiedy czasy ciężkie. Na choinkę popatrzymy gdziekolwiek przez okno, a jak będziesz grzeczny, to dostaniesz coś ładnego. Nie powiem co, ale dostaniesz!

Pogwizdując z wesołego podniecenia Guś wciągnął ciepłą kurtkę i na czworakach szukał czapki, która dziwnym trafem sama zawieruszyła się pod łóżko. Wstał właśnie, otrzepując kolana, gdy po lekkim pukaniu do drzwi weszła sąsiadka, żona szewca.

— Moja Pawłowiczka — zwróciła się do pani Agaty — nie pożyczylibyście mnie paru zapałków? Jak na złość wszystkie wyszły, a tak mi spieszno zrobić ogień!

Zauważyła ubranego Gusia i dodała:

— A dokąd to synek leci?

— Z bielizną na Kolejową.

— Czy nie do Malarskich?

— Do Walczaczki! — krzyknął Guś i potrąciwszy ją nieco śmignął za drzwi. Była zresztą tak pochłonięta tym, co usłyszała, że nie poczuła nawet uderzenia.
— Co też pani mówi? — wytrzeszczyła oczy, które miała i tak okrągłe jak u ryby.
— To pani t a k i e j bieliznę pierze, i jeszcze posyła własne dziecko?
— No cóż takiego? — protestowała pani Agata, lecz twarz jej spąsowiała, przy czym odwracała głowę, by ukryć zmieszanie. — Abo to my same święte, żeby drugich sądzić?
— Święte, nie mówię! — szewcowa założyła ręce na płaskiej piersi, a oczy wylaziły jej wprost z głowy. — Ale zgorszenie też ma swoją miarę. Tę Walczaczkę mało inni lokatorzy nie wyrzucili z domu, taka jest!...
Rozprawiała długo, powtarzając zasłyszane plotki, a Guś tymczasem gnał przez Marszałka Focha, mocno dudniąc piętami po bruku. Grudniowy późny wieczór jarzył się światłami latarń ulicznych, chlustał blaskiem wystaw sklepowych i srebrzył się rojem gwiazd na czarnym stropie nieba. Ludzi spotykał już niewiele, gdy zaś skręcił w boczny zaułek, otoczyła go zupełna pustka. Zalękniony trochę, pędził szybciej jeszcze, choć mu tchu brakło. Z pośpiechu minął właściwy numer, ale zorientowawszy się, nawrócił. Wszedł w bramę, przypomniał sobie, że matka mówiła, iż Walczaczka mieszka od podwórza, i statecznym już krokiem piął się na schody.
— Drugie piętro! — podśpiewywał.
Ale u szczytu schodów, na drugim piętrze, ktoś właśnie siedział, jakaś kobieta. Była owinięta w dużą chustkę, okrywającą całą jej drobną, wynędzniałą postać. Guś stanął, trochę zdziwiony, trochę niespokojny, i gdy umilkły własne jego kroki, posłyszał, że kobieta dzwoni zębami.
— Zimno pani? — spytał ostrożnie.
— Czego chcesz? — podrzuciła głowę jakby ją okropnie nastraszył.
— Zimno! — powtórzyła dygocąc, i skuliła się, malejąc jeszcze bardziej, aż wyglądała jak dziewczynka.
— To czego pani siedzi na schodach!? — zirytował się Guś. By dojść do bliskich już drzwi i oddać swoją bieliznę, musiał nieznajomą minąć, otrzeć się o nią prawie, tymczasem poczynał się bać tej kobiety. Była bardzo młoda i może nawet ładna, ale oczy miała tak zapadnięte, jakby chciały jej wyleźć z drugiej strony czaszki.
— Dlaczego pani nie idzie do swego mieszkania?
— Już idę! — westchnęła, i czepiając się poręczy próbowała wstać. Niespodzianie jęknęła i tak się przechyliła ku przodowi, że omal nie poleciała w dół.
— Niech już pani siedzi! — trząsł się Guś. — Pani przecie chora. Zaraz kogoś zawołam.
Obracał się by biec, lecz powstrzymała go rozpaczliwym ruchem ręki i błagalnym przerażonym głosem.
— Czekaj! Czekaj! Nie wołaj nikogo! Pomóż mi sam! Taki duży chłopiec... Podaj mi tylko rękę. Przecie się nie boisz!
Pociągnięty żałosnym wejrzeniem Guś zbliżył się i pod jedną pachą ciskąc paczkę bielizny podsunął drugie ramię pod jej chwyt. Oparła się na nim tak ciężko, że się o mało nie ugiął. Kurczowo łapiąc oddech spytał:
— To... gdzie... pani mieszka?...
— Tu — wskazała pierwsze drzwi w górę na schodach. — Zaraz w prawo.
Drzwi były jedynie przymknięte, i otwarły się, gdy Guś je trącił nogą. Weszli do obszernej izby, w głębi której stało łóżko, zarzucone skłębioną pościelą.
—Muszę się położyć... — dyszała nieznajoma.
Zwaliła się na łóżko z cichym jękiem, leżąc potem chwilę z zamkniętymi oczyma i zupełnie bez ruchu, aż się Guś przeląkł, czy nie umarła czasem. Powiedział ostrożnie wycofując się już do drzwi.
— To ja sobie idę...
— Czekaj! — otworzyła oczy. — Nie mów nikomu... Proszę, nie mów nikomu... I daj mi wody!...
Guś znalazł koło zlewu kubek blaszany, odkręcił kran i podał wodę chorej. Piła długo, chciwie, gdy znów spojrzała na chłopca, oczy miała znacznie przytomniejsze.
— Nigdy ciebie jeszcze nie widziałam. Nie mieszkasz w tym domu?
— Nie.
— A co tutaj robisz?
— Odniosłem bieliznę z prania dla Walczaczki. Od pani Pawłowskiej.
— To znaczy do mnie?
Teraz Guś zupełnie przestał się bać. Skoro znał nazwisko tej kobiety, była mu tym samym niejako znajoma osobiście. Na wszelki wypadek jednak spytał przezornie:
— To na pewno pani Walczakowa? — a gdy skinęła głową z uśmiechem, dodał:
— Należy się cztery złote pięćdziesiąt. Matka kazała zaraz prosić o pieniądze.
— Dostaniesz, dostaniesz! — sięgnęła pod poduszkę i wydobyła czarny woreczek, ale niespodzianie sił jej zabrakło. Woskowożółta, przechyliła się wstecz na poduszki, przymykając oczy. — Zaraz, — dyszała ciężko — zaraz...
Guś zafrasował się nie na żarty; lecz nie strach go przejmował tym razem, tylko ogromne współczucie.
— Jakże pani tak zostanie sama? — spytał. — Nie ma pani nikogo?
— Nikogo! — zacisnęła siniejące wargi. Podniosła już powieki i ogromnymi oczyma patrzyła nieprzytomnie w przestrzeń. — Jestem zupełnie sama.
Skrzywiła się, przy czym dwie łzy wybłysły na jej chudych policzkach. Otarła je śpiesznie, gorączkowo dobyła coś z woreczka, i podała Gusiowi srebrną monetę.
— Masz! Idź już!
Ale Guś nie ruszał się z miejsca. Obracając pieniądz w ręku, zerkał z podełba, jak gdyby zawstydzony.
— Czemu nie idziesz? — spytała.

— To całkie pięć złotych, a ja nie mam reszty — bąknął chłopak.

— Bierz wszystko, reszta dla ciebie! — machnęła niedbale. — Czekaj! — przytrzymała go za rękaw. — Ile ty masz lat?

— Dziewięć! — Guś wypiął się z dumą.

— Dziewięć... — powtórzyła przeciągle. — Dziewięć, a taki jeszcze mały, taki niezaradny... — Obserwowała uważnie jego drobną figurkę, wąską, piegowatą mimo zimy twarz, patykowate nogi w łatanych pończochach. — A co robi ojciec? — spytała nagle.

— My ojca nie mamy. Jesteśmy tylko matka i ja.

— To też dlatego u was bieda! — stwierdziła posępnie. — Dziecko bez ojca, to na nic.

Lecz Guś się uraził. Aż głowę zadarł do góry, taki był zły.

— Co pani się tak rządzi! Matka mówi, że beze mnie to by życie było nic nie warte! A biedy też nie mamy! Dziś jadłem na obiad śleną rybę, a na wieczór kupiliśmy zielonych śledzi, i do tego pyrki i kapusta. Jeszcze jak się fajnie najemy!

Trzasnąwszy drzwiami wyszedł. Na schodach przypomniał sobie o pieniądzach i najpierw przeraził się, że zgubił, a potem poczuł, że ściska w garści całą dużą monetę. Oglądając ją przy świetle latarni ulicznej przytupywał i piszczał z radości. Pięćdziesiąt groszy na własność! Nigdy bodaj nie posiadał takiej sumy. Lecz rychło spadł znów nawał trosk. Po pierwsze: matka. Jeśli wręczy jej cały pieniądz, to z pewnością też wszystko zatrzyma. Co do tego nie miał żadnej wątpliwości. Po drugie, ta Walczaczka. Chora i głupia, to prawda, ale źle musi jej być, kiedy tak się żali.

Guś wszedł do pierwszej kolonialki, otwartej jeszcze mimo późnej pory, i zażądawszy za dziesięć groszy cukierków, zmieciął też czekał sporą chwilę, a czekając wciąż nią pięciozłotówkę. Klientów było dużo, to myślał o Walczakowej. Nie bardzo mógł pojąć, czemu jest jej tak źle. Biedna nie jest, bo i bieliznę daje do prania, i nie pożałowała pięćdziesięciu groszy. Więc chyba dlatego, że sama. Ta skarga wyraźnie utkwiła mu w pamięci. Nie znosił samotności. Bał się usnąć, gdy w izbie nie było nikogo, cóż dopiero stale tak mieszkać!...

Odebrawszy resztę pieniędzy i cukierki, zaraz wetknął w usta jeden karmelek, i wyszedł znów na ulicę. Tak się w swoim dumaniu zagapił, że miast w stronę Marszałka Focha, człapał na Kolejową z powrotem. Oprzytomniał dopiero, gdy cukierek zupełnie rozpuścił się w ustach, ale wówczas na razie nie mógł zrozumieć gdzie jest. Wylękniony, cofnął się do pierwszej napotkanej bramy, jakby tam, w ciemnocie murów, było bezpieczniej, niż na pustym trotuarze. Koło siebie, niespodzianie posłyszał pisk.

— O, gdzieści tu jest mały piesek! — ucieszył się, jakby znalazł przyjaciela.

Zaczął się rozglądać. Pod ścianą, w pół-

mroku dostrzegł ciemny kłębek i co prędzej schylił się ponad nim. Schylił się, a potem siadł na ziemi.

— Jejku! Dziecko! — bąknął.

Były bardzo malutkie, otulone w niepozorne szmaty, kwiląc bez przerwy, choć ledwo dosłyszalnym płaczem. Guś spozierał na nie zafrasowany.

— To ci los! — podrapał się w głowę. — Ale ta matka to też!...

Zatrząsł się z zimna, gdyż na noc mróz się wzmagał, przy tym doznał wrażenia, że odczuwa chłód nie tylko za siebie, ale i za tę kruszynkę. Ostrożnie poprawił szmaty na niemowlęciu. Zapłakało głośniej.

— Ta matka, to też, żeby takie drobne dziecko zgubić! — myślał Guś oburzony.

— A jakby je teraz kto skradł, to co?

Zupełnie nie wiedział co ma z tym począć. Odejść i zostawić na ziemi, takie płaczące, ziębnięte, malutkie... Zerknął w górę na schody; wszędzie panowała cisza. Wyjrzał na ulicę. Jakiś pan spieszył trotuarem, prawie biegnąc. Guś nieśmiało musnął połę rozwianego palta.

— Proszę pana...

— Odczep się! Ach, ci żebracy!

Zmieszany Guś znalazł się znów w bramie. Dziecko płakało nadal, tak krzywiąc drobną twarzyczkę, że nie odróżniało się ani oczu, ani nosa, ani ust tylko siniejącą sfałdowaną skórę. Guś zamierzał dać mu na pociechę cukierka, ale nawet nie wiedział, gdzie go wetknąć.

— Będziesz cicho! — powiedział.

Uśmiechnął się raptem, taka mu dobra myśl przyszła do głowy. Dźwignął niemowlę z ziemi, wziął je na ręce, i wyszedł na ulicę. O parę domów dalej wszedł znów do bramy, i już bez wahania piął się na drugie piętro. Lecz tu, przed znajomymi drzwiami, odbieżała go odwaga. Wywietrzało z głowy wszystko, co się przed chwilą zdawało tak jasne. Najchętniej byłby się cofnął. Umieścił swego znajdę przy progu, już zawracał, ale go coś powstrzymywało. Bąknął półgłosem.

— Przecie mnie nie zje! — po czym nacisnął klamkę.

Walczakowa leżała na łóżku skulona, tak jak ją zostawił. Na skrzyp drzwi poderwała się z przerażeniem.

— Co, kto, ach to ty? Czego chcesz?

A Guś powiedział grubym głosem, jak zawsze, kiedy był bardzo zmieszany.

— To... wedle tego dziecka...

— Jakiego dziecka? — plecami przylgnęła do ściany, a ręce wyciągała przed siebie jakby się broniąc. — Ja nic o żadnym dziecku nie wiem!

Guś przestępował z nogi na nogę i milczał. Zamierzał przecie powiedzieć, że ponieważ jest tak bardzo sama, przyniósł jej to coś, żywego. I że jutro może się matka znajdzie, ale tymczasem niemowlę nie może leżeć na mrozie, bo zmarznie na śmierć. Nim zdołał coś wykrztusić, w ciszy ogromnej maleństwo zakwiliło ponownie. Walczaczka złapała się za głowę, jakby ją ugodził niespodziany cios.



Dźwignął niemowlę z ziemi, wziął je na ręce i wyszedł na ulicę.

— Jezu! — zaskomliła przeraźliwie. — Do końca życia będę je słyszeć... Zamknij drzwi! Zamknij drzwi!

— To... pani dziecka nie chce?... Mam go znaczy stąd zabrać? — pytał Guś basem.

— Gdzie? O czym ty mówisz?...

— Znalazłem w bramie takie małe... i... przyniosłem.

Nim się połapał, kobieta zeskoczyła z łóżka, frunęła do drzwi, przysiadła w progu jakby jej kto nogi podbił. Ale niemowlę trzymała już na kolanach, i płakała nad nim, jak na pogrzebie.

— Czy się pani tak gniewa? — pytał ostrożnie. — Czy pani tak się cieszy?

Nie odpowiedziała nic, łkając nadal, i kołysząc się na podłodze wraz z dzieckiem, jak gdyby chcąc własny żal utulić. Guś, znudzony już trochę, ziębnięty i głodny, zamierzał wyjść, ale się jeszcze chwilę zatrzymał. Poszperawszy w kieszeni wyjął jeden karmelek.

— To mu pani da jutro, na gwiazdkę, ode mnie — oznajmił z pychą. Po czym położywszy prezent na ziemi wybiegł na schody, i zjechał w dół po poręczy, żeby było prędzej.

Jan Kochanowski

PIEŚŃ

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, których nie masz miary?

Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem nie pragniesz: bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.

Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad to przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotymi gwiazdami ślicznieś uhajtował.

Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznymi.

Za Twoim rozkazaniem w brzegach morze stoi
A zamierzonych granic przekroczyć się boi.

Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki Wiosna rodzi;
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu Lato chodzi;

Wino Jesień i jabłka rozmaite dawa;
Potem do gotowego gnuśna Zima wstawa.

Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie.

Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,
A Ty każdego karmisz z Twej szczodrobliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.

Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi,
Jeno zawżdy niech będziem pod skrzydłami Twymi!

Napisała M. W.

NIKODEM DWA BARBARA

Sierżant Franciszek Ciuciurupski zdecydowanie lubił wojsko. Właściwe ujście dla nadmiaru energii? Sny o chwale? Czy może myślał, że znajdzie w nim pole do inicjatywy i możność wybicia się? — Ach, nie, nie. Za mało miał biedak wyobraźni, by marzyć o czymkolwiek, nadmiarem energii także nie grzeszył, a co do inicjatywy — powiedzmy to otwarcie — nie posiadał jej wcale. W zamian był uosobieniem porządku, systematyczności i ślepej subordynacji.

Dzień według ściśle ustalonego programu zajęć, równiutko, pod linijkę, wyprężony szereg, karność, a nade wszystko, także i sposób wyrażania się wg. określonego schematu — oto dlaczego lubił wojsko nasz bohater. Czuł się w nim doskonale — właściwy człowiek na właściwym miejscu — dopóki, dopóki nie wybuchła wojna.

Wojna każdy przyzna, jest zaprzeczeniem ładu i porządku. Czyż mógł ją lubić? — „Bałagan" — krzywił wargi z niesmakiem, a już najbardziej czuł się dotknięty, gdy stwierdził, że w gorączce walki ani żołnierz, ani dowódca nie przywiązują wagi do przepisowych form zewnętrznych. Na szczęście okrągłość brzuszka (był już właściwie starszym panem), a więcej jeszcze wyraźny brak bojowego zapału zapewniły mu przydział na tyłach. Pracował w magazynie mundurowym. Funkcja ta nie wymagała polotu, ani męstwa — obowiązki swe za to wypełniał bardzo sumiennie, służbiście wykonywał rozkazy, każdym niemal gestem podkreślając przytem konieczność zachowania także i zewnętrznej dyscypliny. Wszystko z właściwą pedantom przesadą.

Telefon na przykład odbierał zawsze stojąc na baczność, lub czasami — gdy dzwonił ktoś niższy rangą — na spocznij. Mówił wolno, wyraźnie, trochę przez nos.

— Zastępca oficera materiałowego pułku sierż. Ciuciurupski — słucham.

— Mówi por. Z. Słuchaj stary, macie tam spodnie w magazynie?

— Melduję posłusznie, zaraz sprawdzę... Ostatni przydział 300 par, z poprzedniego transportu 96 par, ogólny stan maga...

— Dobra, dobra. Nie zawracajcie głowy. Potrzebna mi jedna para. Przyślę wam stare do wymiany.

— Tak jest, panie poruczniku, według rozkazu.

Ta pedantyczna dokładność, tak w czynach jak i w słowach, była przedmiotem nieustannych żartów i kpin. Nie reagował na nie. Widocznie tak właśnie wyobrażał sobie ideał wojskowego, a kto się z tego śmiał... no, cóż... po prostu nie dorósł do ideału. Tym się tłumaczy pobłażliwa obojętność z jaką przyjmował docinki. Nie wytrącały go z równowagi nawet soczyste przekleństwa, a i na nie narażał się nieraz nazbyt gorliwym wypełnianiem rozkazów. Na okrzyk a i mimochodem rzucona uwaga oficera, żeby uważał przy certyfikacji i nie wymieniał mundurów za często, sprawiła, że od tej chwili przestał wydawać je zupełnie. Napróżno delikwent demonstrował pokaźne dziury w starej parze spodni.

— Spodni wam nie dam — macie za to kilka „Polandów".

— A na cholerę mi to? Dziury nimi załatam? W takiem za przeproszeniem miejscu „Polandami" będę świecił?

Pozostawał niewzruszony wobec tych argumentów i trzeba było dopiero wyraźnego rozkazu, by zaczął znowu wymieniać mundury. Nie rozumował. Ślepo słuchał, nigdy nie tracąc równowagi. Praca w magazynie — równiutko ułożona bielizna na półkach i niemniej systematycznie prowadzone książki dawały mu oparcie w tym ogólnym bałaganie, kiedy świat walił się zgoła nie „pod linijkę".

Dlaczego więc rzucił ją dobrowolnie z nagła decyzją pójścia na front? Nie wiadomo. Fakt, że, z przyczyn niepojętych, zwrócił się pewnego dnia z prośbą o przeniesienie do linii, do załóg czołgowych. Miał przeszkolenie, znał budowę czołga i ruch radio — nie było powodów odmówić, tym bardziej, że odczuwano brak ludzi. Ale zachodzono w głowę, co też tego „austriackiego gryzipiórka" (jak go nazywano) skłoniło do takiej decyzji. Czyżby odezwał się w nim duch waleczny?

Pierwsze dni, niemal pierwsze godziny akcji rozwiały złudzenia. Był zielony ze strachu. Z tym większym podziwem należy podkreślić gorliwość z jaką wypełniał rozkazy i niezmiennie tę samą dokładność w przestrzeganiu regulaminu.

Tymczasem nadszedł moment decydujący. Szwadron szybkim marszem przekroczył

miejscowość i uchwycił węzeł dróg na wschód. Chwila była gorąca. Dowódca szwadronu rozesłał plutony, a nawet pojedyńcze czołgi. Sam stojąc na skrzyżowaniu, wśród ogólnego zamętu. Niemcy uciekający i spieszący na pomoc — duże straty wśród własnych ludzi. Na sieci radiowej zapanował niesamowity zgiełk, bo dla zaoszczędzenia czasu wszystkie czołgi były na tej samej częstotliwości. Ruch radio przestał obowiązywać. Zewsząd szybkie, nerwowe meldunki — krótkie, natychmiastowe rozkazy dowódcy. Czas był na wagę złota. Wtem wolno skandując słowa:

— Hallo, Nikodem dwa Barbara. Wiadomość. Nikodem dwa Barbara — słucham. Dowódca spiesznie szuka ołówka — „wiadomość" a zatem coś ważnego i trzeba to zanotować.

— Nadawać, słucham — rzuca spiesznie w mikrofon. Nie ma czasu na przepisowe odpowiadanie kryptonimami.

— Hallo, Nikodem dwa Barbara. Wiadomość. Samochód osobowy z czterema Niemcami przede mną. Co mam robić? Nikodem dwa Barbara — słucham

— Ostrzelać. Koniec — odpowiada zniecierpliwiony kapitan i już odbiera następne meldunki, wydając krótkie rozkazy.

Tu nacierają czołgi, tam ostrzeliwuje artyleria, inni znaleźli się w ogniu piechoty. Piekło na ziemi i w powietrzu na częstotliwości dowódcy szwadronu. Każdy rozumie wagę sytuacji, szybkimi skrótami podając wiadomości, by innym nie zajmować sieci. A oto znowu ten sam głos:

— Hallo, Nikodem dwa Barbara. Wiadomość. Nikodem dwa Barbara słucham.

— Nadawać, słucham — dopełnia formalności kapitan choć wie, że zasygnalizowana „wiadomość" to zapewne po prostu zniszczenie wspomnianego samochodu. W obecnej sytuacji rzecz bez znaczenia i nie warto nią zajmować drogiego czasu.

— Hallo, Nikodem dwa Barbara. Wiadomość. Niemcy ciągle przede mną. Z czego mam strzelać? Nikodem dwa Barbara, słucham.

Dowódcy mikrofon wypadł z ręki. W odpowiedzi wyręczyli go zgodnym chórem wszyscy czekający na połączenie. Podany przez nich rodzaj broni nie nadaje się do druku. Okazał się zresztą mało skuteczny bo po chwili niczym nie zrażony „Nikodem dwa Barbara" służbiście zameldował, że w międzyczasie Niemcy... uciekli.

Nikt i nic nie mogło wpłynąć na to by sierżant Franciszek Ciuciurupski odstąpił bodaj na krok od przepisów wojskowych. Wytrwał w tym do końca wojny, ale powoli, ogólny brak zrozumienia goryczą wypełnił mu serce i dziś zdecydowanie nie lubi wojska. Po wojnie znalazł inne, właściwe miejsce dla siebie. Kupił dom w Londynie i wynajmuje pokoje. Na parterze, w widocznym miejscu wisi, własnoręcznie przez niego wydrukowany, „Regulamin dla lokatorów". Jest podobno dobrym gospodarzem, chociaż mieszkańcy twierdzą, że ma lekkiego bzika; przy lada bowiem okazji powtarza głośno i stanowczo: „Tu nie jest wojsko, proszę państwa, tu trzeba przestrzegać regulaminu".

MARIA SKŁODOWSKA CURIE

Kiedy w roku 1895 Roentgen odkrył promieniowanie X, liczni badacze poddali tajemnicze to, naówczas, zjawisko dokładnej obserwacji; przy tej sposobności francuski fizyk Becquerel zauważył przypadkowo, że ciężki pierwiastek uran i jego związki wysyłają samorzutnie niewidzialne promieniowanie, działające na płytę fotograficzną i mogące przenikać przez cienką zasłonę metalową. Tego dnia narodził się nowy dział fizyki, który miał później stać się wspaniałą nauką o promieniotwórczości .

Nadzwyczajne spostrzeżenie Becquerela wywołało w świecie naukowym olbrzymie poruszenie; nasuwało się pytanie, czy, prócz uranu, istnieją inne pierwiastki promieniotwórcze. W Paryżu pracowała w tym czasie, po ukończeniu studiów na Sorbonie, 30-letnia Maria Skłodowska-Curie, małżonka Piotra Curie, kierownika laboratorium fizycznego w Szkole Fizyki i Chemii. Zainteresowała ją nowa, nieznana dziedzina. Zbadała wszystkie znane wówczas pierwiastki; prócz uranu jeden tylko tor okazał się promieniotwórczym (inaczej: radioaktywnym, nazwa wprowadzona przez młodą uczoną). Państwo Curie zbadali cały szereg minerałów zawierających uran; ku swojemu zdumieniu stwierdzili, że niektóre z nich, między innymi blenda smolista, wysyłają promieniowanie znacznie obfitsze, niżby się tego należało spodziewać, uwzględniając zawartość uranu.

„Było przeto rzeczą bardzo prawdopodobną — pisze Maria Skłodowska-Curie w swej rozprawie doktorskiej — że, skoro blenda smolista, chalkolit, autunit wykazują tak silną aktywność, to widocznie substancje te zawierają drobną ilość materii silnie promieniotwórczej, różnej od uranu, toru i obecnie znanych pierwiastków. Sądziłam, że jeżeli tak jest istotnie, to mogłam mieć nadzieję wydobycia tej substancji z minerału posługując się zwykłymi metodami analizy chemicznej."



Nadzieja ta spełniła się: 18 lipca 1898 małżonkowie Curie donoszą Akademii Nauk o odkryciu nowego pierwiastka, kilkaset razy silniej promieniotwórczego niż uran; w tej radosnej chwili wielka Polka myśli o dalekiej Ojczyźnie: na jej cześć nowe ciało zostaje nazwane polonem. Dalsza praca przynosi nową niespodziankę: 26 grudnia 1898 małżonkowie wraz z G. Bémont zawiadamiają Akademię o odkryciu radu i otrzymaniu go w postaci czystej soli radowej. Równocześnie Debierne odkrywa aktyn. Od tego czasu znaleziono około 40 pierwiastków promieniotwórczych.

Praca, której wymagało wyodrębnienie tych pierwiastków, była niezwykle mozolna, jeżeli nie nadludzka; utrudniały ją bardzo prymitywne warunki, w których uczeni małżonkowie przeprowadzali swoje doświadczenia; preparaty przechowywane były na zwykłych stołach w drewnianej szopie, zupełnie nieprzystosowanej do tak dokładnych prac chemicznych. Dla otrzymania drobnego ułamka grama czystej soli ra-

dowej trzeba było poddać niezliczonym reakcjom całe tony rudy uranowej; a środki były bardzo ograniczone. Systematyczną pracę można było rozpocząć w możliwych warunkach dopiero wtedy, gdy Curie, mianowany profesorem Sorbony, otrzymał do dyspozycji odpowiednie laboratorium i potrzebne fundusze.

Odtąd całą energię poświęcają małżonkowie badaniom nad promieniotwórczością, a szczególnie nad radem, który, jak stwierdzono, posiada szereg niezwykłych własności: wydziela stale i samorzutnie ciepło i światło, rozładowuje umieszczony w pobliżu naładowany elektroskop, powoduje świecenie niektórych substancyj, wysyła trojakiego rodzaju promieniowanie, działa silnie na komórki żywe. Te dwie ostatnie własności okazały się niesłychanie ważne: promieniowanie radu, umiejętnie zastosowane przez lorda Rutherford[1]) dało mu klucz do rozwiązania zagadki budowy materii; jego „planetarny" model atomu (1911), uzupełniony przez Bohra, stanowił początek nowej, obfitującej w wielkie odkrycia, epoki, której mamy szczęście być świadkami. Działaniem radu na komórki żywe zajęli się lekarze; obecnie rad jest jednym z najważniejszych środków walki z klęską raka i nowotworów złośliwych.

W roku 1903 małżonkowie Curie oraz Becquerel otrzymują za swoje odkrycia nagrodę Nobla; uczeni nie ustają jednak w pracy, którą przerywa w roku 1906 tragiczna śmierć Piotra Curie. Niestrudzona małżonka obejmuje po wielkim uczonym kierownictwo laboratorium i dalej prowadzi ciężką pracę wydobywania radu z rud, które go zawierają. Wieńczy ją w roku 1910 otrzymanie czystego metalicznego radu. Przy otrzymaniu gramu radu, ofiarowanego Marii Skłodowskiej-Curie przez kobiety amerykańskie, pracowało przez miesiąc 150 ludzi; zużyto przy tym 600 ton rudy, 500 ton odczynników chemicznych, 100,000 hektolitrów wody destylowanej; do destylowania zużyto około 1000 ton węgla (nic przeto dziwnego, że gram radu kosztował 50,000 dolarów). Zawrotne te liczby świadczą, jak kolosalnej pracy dokonała uczona. Praca była możliwa tylko dzięki stworzeniu nowej, specjalnej metody analizy chemicznej; za pracę tę otrzymuje Maria Skłodowska-Curie po raz drugi nagrodę Nobla (1911).

Jako profesor Sorbony znakomita Polka poświęca odtąd swój czas kierowaniu utworzonego w Paryżu Institut du Radium, w którym grono młodych uczonych kształci się i poznaje metody badania ciał promieniotwórczych. Żywy i czynny udział bierze w założeniu warszawskiej Pracowni Radiologicznej, która, po odzyskaniu niepodległości zamieniła się na Instytut Radowy. W czasie podróży do Stanów Zjednoczonych, gdzie przyjmowano ją po królewsku, kobiety amerykańskie ofiarują jej 2 gramy radu, z których jeden oddaje warszawskiemu Instytutowi.

Pamiętne odkrycia małżonków Curie otworzyły w bogatej księdze rzeczywistości nowy rozdział. Niezłomny wysiłek pokolenia, które kształciło się na ich wzorach, odnosi wspaniałe zwycięstwa, odsłaniając z każdym dniem nowe, nieoczekiwane oblicze natury. Nieustanny postęp wiedzy i jej triumfy zwiastują zapewne zorzę przyszłej, prawdziwej, choć dalekiej jeszcze, cywilizacji. Oto dlaczego cały świat czci głęboko pamięć Marii Skłodowskiej-Curie, szczególny zaś kult należy się jej od Ojczyzny. Jakże słusznie można o niej wypowiedzieć słowa, które ona sama odniosła do swego męża: „Curie należał do ludzi, którzy z dzieła swego uczynili główny cel swojej działalności oraz wszechogarniającą troskę żywota. Rozmiłowany w poszukiwaniach naukowych już wówczas, gdy był jeszcze dzieckiem prawie, poświęcił im trwały wysiłek oraz nieustanną pracę "

---

[1]) *Lord Rutherford był kierownikiem fizycznego laboratorium w Cambridge; w laboratorium tym dokonano wielokrotnie odkryć pierwszorzędnej wagi.*

JUŻ WIEM, KTO...

NAPISAŁ A. PACHNICKI

BYŁ późny wieczór zimowy. Plebanię zalegała cisza. Stary, siwiuteńki proboszcz, zmęczony całodzienną pracą w kościele, siedział w staroświeckim fotelu i odmawiał brewiarz. Skończył właśnie nieszpory, gdy wtem zadźwięczał dzwonek u drzwi wchodowych.

— Oho! Z pewnością do chorego — pomyślał proboszcz.

Za chwilę zapukano do jego pokoju i na progu ukazała się... śmierć we własnej osobie. Proboszcz był zdumiony. Nie przeląkł się jednak zjawy, bo ze śmiercią znał się od dawna. Przez tyle lat spotykali się przy łożach umierających, przy trumnach nieboszczyków, przy grobach na cmentarzu. Byli starymi znajomymi, a nawet, prawdę powiedziawszy, proboszcz nie czuł dla niej wielkiego respektu.

— Co powiesz? — spytał zdziwiony.

— Przepraszam księdza proboszcza... — z ukłonem wyszeptała śmierć.

— Mówże głośniej!

— Właśnie... Pan Bóg mnie posyła...

— Wiem, wiem! Co dalej?

— W parafii księdza proboszcza miałam dziś o dziewiątej wieczorem kogoś zabrać. Już jest za dziesięć dziewiąta, a nie mogę sobie przypomnieć, kogo Pan Bóg kazał mi zabrać. Dlatego chciałabym prosić, może ksiądz proboszcz...

— Moja kochana, a skąd ja mogę wiedzieć — obruszył się proboszcz

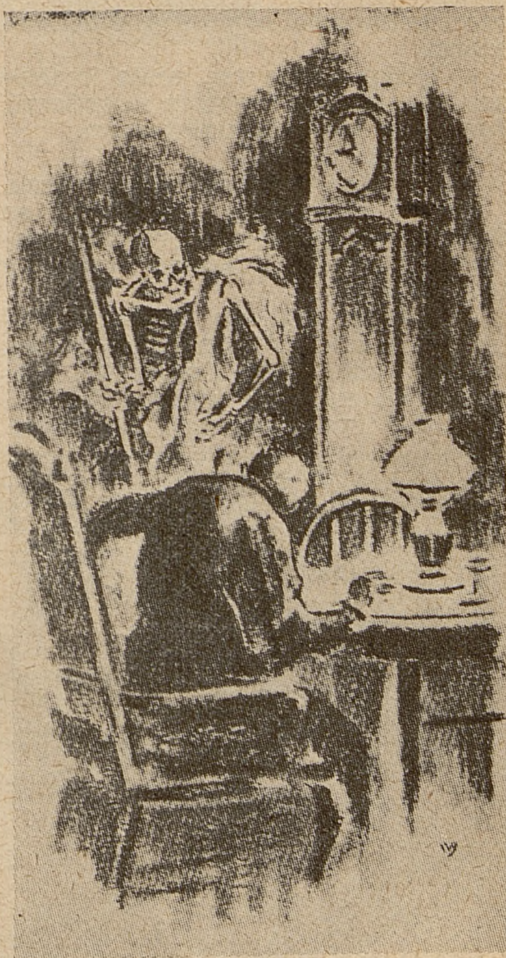
— Ale ksiądz proboszcz wie, kto jest w parafii ciężko chory, więc...

Proboszcz zamyślił się i począł sobie przypominać.

— Może Andrzej Kapuściak... dziś rano byłem u niego z Olejami świętymi...

— Kapuściak?... Zaglądałam do niego, już ma się lepiej.

— No to... stara Elżbieta z przytułku...



— Nie mam więcej chorych — odrzekł proboszcz.

— Zajrzałam też do niej. Wyzdrowiała zupełnie.

— To może Janek kościelnego, mój ministrant. W przeszłym tygodniu zachorował na szkarlatynę — przypomniał proboszcz.

— Zaglądałam przez okno. Śpi spokojnie, gorączka mu spadła.

— Nie mam więcej chorych — odrzekł proboszcz.

Zamilkli oboje i spojrzeli na zegar. Do dziewiątej brakowało już tylko osiem minut.

— Czy zegar dobrze idzie? — spytała śmierć.

— Naturalnie. Codziennie reguluje go organista podług radia.

Znów zamilkli. Proboszcz myślał z niecierpliwością o przerwanym brewiarzu.

— Przepraszam cię, moja kochana, ale muszę brewiarz dokończyć. Już mam tylko Completorium.

— Czy to dużo?...

— Nie. Dwie strony w brewiarzu.

Śmierć westchnęła i przysiadła na krześle, aby poczekać. Proboszcz zaczął półgłosem odmawiać modlitwy brewiarza.

— Noctem quietam et finem perfectum... noc spokojną i szczęśliwy koniec... modlił się staruszek. Potem Confiteor, trzy psalmy, hymn...

Śmierć spojrzała znów na zegar. Do dziewiątej pozostało tylko trzy minuty.

— Księże proboszczu... zaszeptała.

Proboszcz machnął ręką, by nie przerywała mu i modlił się dalej. In manus tuas, Domine, commendo spiritum meum... w ręce Twoje, Panie, polecam ducha mego...

Śmierć zamilkła i słuchała słów modlitwy.

— Nunc dimittis servum tuum, Domine... teraz puszczasz sługę Twego, Panie... odmawiał staruszek kantyk Symeona, potem modlitwę, antyfonę — Salve Regina, jeszcze Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę w Boga — zaraz będzie koniec.

Gdy proboszcz odmawiał już Wierzę w Boga, śmierć wstała i podeszła do niego.

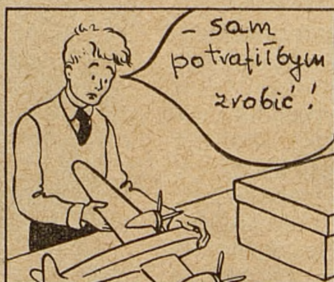
— ...grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny. Amen. — głośno dokończył proboszcz.

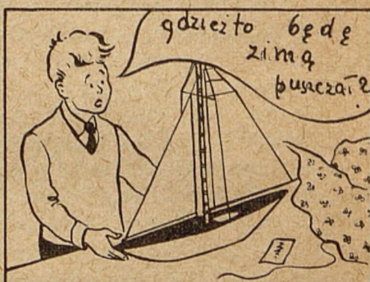
Zamknął brewiarz i chciał spojrzeć na śmierć. W tym samym momencie zegar stęknął i zaczął wybijać dziewiątą. Śmierć poruszyła się z ożywieniem. Bicie zegara przypomniało jej, kogo Pan Bóg polecił jej zabrać.

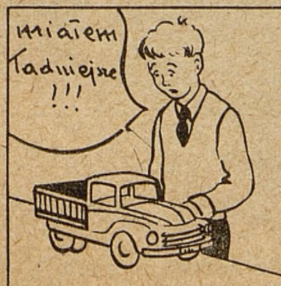
— Już wiem, kto... szepnęła.

Lekko dotknęła ramienia proboszcza. Siwa głowa głęboko opadła na piersi...

















SCHRONISKO W TATRACH



GÓRALE PODHALAŃSCY

PIERWSZA MIŁOŚĆ CHOPINA

Napisał Stefan GLINKA

NA małym, na ustroniu leżącym cmentarzu, w Babsku (pow. Rawa Mazowiecka), znajduje się zapomniany przez wszystkich grób Konstancji z Gładkowskich Granowskiej, która była pierwszą młodzieńczą miłością Fryderyka Chopina.

Na jesieni 1829 roku dziewiętnastoletni Chopin przebywał w Warszawie, gdzie stawiał pierwsze kroki na drodze do sławy.

Pewnego dnia podczas odwiedzin u swego znajomego Solivy, który był kierownikiem konserwatorium warszawskiego, został Chopin przedstawiony Konstancji Gładkowskiej, kształcącej się na śpiewaczkę.

W Gładkowskiej Chopin znalazł swój ideał, natchnienie. Pod wpływem tego uczucia tworzy walca Des-Dur.

Miłość młodych potęguje się z dnia na dzień. Chopin zapatrzony w swą Muzę pisze pieśni do słów Witwickiego: „Gdzie lubi" i owych jakże dobrze i dziś jeszcze znanych słów „Życzenia":

Gdybym ja była słoneczkiem na
niebie,
Nie świeciłabym, jak tylko dla
ciebie:
Ani na wody,
Ani na lasy,
Ale przez wszystkie czasy
Pod twym okienkiem i tylko dla
ciebie,
Gdybym w słoneczko mogła
zmienić siebie.

Nadchodzi rok 1830. Rodzina i znajomi Fryderyka usilnie namawiają go, by wyjechał za granicę. Chopin jednak opiera się projektowi, wstrzymywany głównie miłością do Gładkowskiej i obawą rozstania.

W liście do przyjaciela, Wojciechowskiego pisze Chopin: „Ileż to razy biorę ja noc za dzień, a dzień za noc. Ileż to razy żyję we śnie, a śpię w dzień, gorzej jakbym spał, bo zawsze jednakowo czuję. A zamiast sił brać w tym odurzeniu, tak, jak we śnie, jeszcze więcej się męczę i słabnę."

Pod wpływem tej miłości Chopin tworzy Adagio drugiego koncertu, rzewne nokturny i Andante spianato przy Polonezie Es-Dur.

Na początku roku Chopin daje dwa koncerty w Warszawie, które przynoszą mu duży rozgłos. W tymże czasie panna Gładkowska rozpoczyna swe występy na scenie, z powodu których wynikają pierwsze nieporozumienia z Chopinem. Jest on o Konstancję szalenie zazdrosny, czyni jej wyrzuty, że jest uprzejmą dla innych, że uśmiech jej zwraca się nie tylko ku niemu.

Hoesick w swojej monografii o Chopinie tak o nim mówi: „kapryśny, jak kobieta, rozkapryszony, jak dziecko, a zepsuty i rozpieszczony przez ludzi, był nadzwyczajnym egoistą w swojej miłości, nadzwyczaj bezwzględnym i niewyrozumiałym w swych uroszczeniach, co oczywiście spotykało się nie zawsze z pokorną uległością po stronie przeciwnej lecz wywoływało opozycję, chęć wyzwolenia się spod tej despotycznej i dręczącej miłości."

— — — —

Mija wiosna, lato, pełne dalszych chmur na horyzoncie miłości młodych. Nastaje jesień. Chopin wręcz zmuszony przez otoczenie, rozżalony na swój „ideał", decyduje się na wyjazd.

2 listopada wyrusza na Kalisz, poprzednio zamieniwszy z Gładkowską pierścionki.

Rok 1831 zastaje Chopina w Paryżu. Przez ten okres czasu ciągle myśli o Konstancji, pisuje do niej listy. Na listy te Gładkowska przestaje po pewnym czasie odpisywać. Napełnia to Fryderyka goryczą i niepokojem. Zwierza się z tym Wojciechowskie-

mu „jakieś przeczucie niedobre, niepokój, złe sny".

Tym razem serce jego przeczuło prawdę.

Panna Gładkowska bowiem w międzyczasie poznała wielce obiecującego, przystojnego i zamożnego młodzieńca, Józefa Grabowskiego, z którym się zaręczyła.

Dnia 31 stycznia 1832 roku panna Gładkowska zostaje panią Józefową Grabowską. Po roku młodzi przenoszą się do majątku Raducz, koło Skierniewic, gdzie żyją szczęśliwie i spokojnie aż do roku 1845, kiedy to pani Konstancja, czytając całą noc „Żyda wiecznego tułacza" Sue'go, nagle zaniewidziała. Książka ta była na indeksie kościelnym. Pani Grabowska uważając swoje kalectwo za dopust Boży, od tej pory oddaje się jedynie modlitwie.

1878 umiera Józef Grabowski. Po śmierci męża i sprzedaniu Raducza wdowa przenosi się do Skierniewic, gdzie mieszka do śmierci, która ją zabrała w 1889 r.

Pytana przez otoczenie, czy nie żałuje, że nie poślubiła Chopina, odpowiadała przecząco. Despotyczny i porywczy charakter muzyka nie dawał rękojmi trwałego szczęścia.

STRASZNE CHOROBY

— To musi być straszne, jeśli żyrafa ma ból gardła, wyobraź sobie przestrzeń bolącą.

— Przypuszczam, że jest gorzej, kiedy słoń ma katar.

— Albo odciski u stonogi, co?

W WIĘZIENIU

Dyrektor: Co, już znowu was przyprowadzono? Bardzo krótko trwała wasza wolność.

Więzień: Panie dyrektorze, wiedziałem zaraz, że długo nie będę na wolności, bo gdy ostatnio opuszczałem więzienie, to kot mi przeleciał przez drogę.

UCZCIWY

— Więc oskarżony zaprzecza, że włamał się do szopy świadka i skradł mu jedną z dwóch gęsi?

— Tak, panie sędzio. Przede wszystkim jestem uczciwym człowiekiem, a następnie zabrałbym mu na pewno nie jedną, lecz obie gęsi.

× o ×

— Jakże żałuję, że nie zabrałam palta!

— Bój się Boga, na taki upał?

— No właśnie, gdybym mogła palto zdjąć, byłoby mi chłodniej.

10 tematów w 5 minutach

PYTANIA

1. *Kogo nazywamy ojcem historii?*
2. *Jakie zdarzenie zapoczątkowało wędrówkę ludów?*
3. *Kim byli „augurowie"?*
4. *Do czego służą logarytmy?*
5. *Co to jest „Kodeks Napoleoński"?*
6. *Skąd pochodzi nazwa „fajans"?*
7. *Co to jest „mimikry"?*
8. *Kim byli Dekabryści?*
9. *Od czego pochodzi wyrażenie „Święty Graal"?*
10. *Który święty jest patronem straży pożarnej?*

ODPOWIEDZI

1. Ojcem historii nazywamy Herodota z Halikarnasu (500 — 424 przed Chrystusem).
2. Wędrówkę ludów zapoczątkowało zwycięstwo Hunnów nad Allemanami w r. 375.
3. Augurowie byli to kapłani w pogańskim Rzymie, których zadaniem było przewidywanie i przepowiadanie przyszłości z lotu ptaków i wydarzeń atmosferycznych.
4. Logarytmy służą do uproszczenia obliczeń, a zwłaszcza mnożenia i dzielenia wysokich liczb.
5. Kodeks napoleoński — to 5-ciotomowy zbiór ustawodawstwa cywilnego opracowany przez specjalną komisję na zlecenie cesarza Napoleona I i ogłoszony w roku obwołania go cesarzem (1804).
6. Nazwa „fajans" pochodzi od włoskiego miasta Faenza, które w średniowieczu słynęło z wyrobów ceramicznych.
7. Mimikry — to przystosowanie się (przeważnie zwierząt) barwą i kształtem do otoczenia roślinnego.
8. Dekabryści — to uczestnicy rewolty moskiewskiej w roku 1825.
9. Nazwa „Święty Graal" pochodzi od starofrancuskiego wyrażenia „Saig real" — „istotna krew".
10. Patronem straży pożarnej jest święty Florian.

HISTORIA WAKACYJNA

Napisał Albert LEAN, tłumaczyła C. W.,

— Powtórz, że mam oczy bez wyrazu! — krzyczał Stefan.

— Tak, masz oczy bez wyrazu! — krzyknęła Gaby.

Stefan podniósł rękę. Gaby również. Ser Camembert przeleciał przez jadalnię.

Cechą charakterystyczną tego miękkiego sera jest jego dokładne przylepienie się do napotkanej przeszkody. Stefan dusił się pod miękką, pachnącą masą.

— Zapłacisz mi to!

Gaby na to wydała okrzyk wojenny i zatopiła swe paznokcie w obrusie, pociągnęła. Cała góra salaterek, szklanek i solniczek zleciała z hałasem. Spaniel zwinięty w kłębek przed kominkiem, został gwałtownie zbudzony, a służba w kuchni z zadowoleniem stwierdziła:

— Patrzcie — nasi państwo mają znowu rozmówkę.

Tylko Adrian i Łusia, których ta kłótliwa para zaprosiła na wakacje do swej wiejskiej posiadłości, siedzieli nieporuszeni za zdemolowanym stołem.

Gaby pobiegła do drzwi jadalni.

— Idę spakować rzeczy — krzyczała.

— Dokąd chcesz pojechać? — zapytał nieśmiało Adrian.

— Gdziekolwiek.

Drzwi po tych słowach zatrzasnęły się energicznie. Łusia podała własną serwetkę Stefanowi.

— Zostało panu trochę sera w kąciku oka.

Lecz pan domu wzgardził uczynną pomocą.

— Teraz to już naprawdę mam tego dosyć!

Zerwał się i pobiegł w kierunku drzwi. Na znak Łusi, Adrian usiłował zastąpić mu drogę.

— Gaby jest dzieckiem — powinieneś mieć rozum za dwoje.

— Rozwód nie jest dla psów — odparł rozzłoszczony małżonek.

Na te słowa Łusia i Adrian spojrzeli na siebie z niepokojem.

— Rozwód?

— No tak! Sami widzicie, że ta sytuacja nie może trwać wiecznie! Mam dosyć pocisków z sera i kupowania co tydzień nowych serwisów. W tej chwili zatelefonuję do mego adwokata.

— Namyśl się najpierw.

—Już się namyśliłem... zresztą moje życie jest w niebezpieczeństwie!

— Przesadzasz!

— Wcale nie. Gdyby tak na przykład zamiast miękkiego sera był to ser twardy, powiedzmy litewski. Miałbym fizjognomię rozbitą, marmeladę zamiast twarzy!... Zależy mi jeszcze na mojej powierzchowności!

— Ale przecież kochacie się oboje z Gaby! — zawołał Adrian, wyczerpawszy wszystkie inne argumenty.

— Ty to nazywasz miłością? Ja nie.

Trzaśnięcie drzwiami, kopniętymi z całej siły, zrzuciło ze ściany ostatnie dwa talerze z Moustier, które się jakimś cudem oparły poprzednim burzom.

———

...Po wyjściu gospodarzy Łusia westchnęła:

— Nasze wakacje zdają się bardzo zagrożone!

— Dlaczego? Nie znasz naszych przyjaciół? To ich sposób spędzenia czasu.

— To prawda — lecz dziś po raz pierwszy Stefan mówił o rozwodzie.

Adrian zmarszczył czoło:

— Masz rację!

— A widzisz... A jeżeli Gaby i Stefan rozwodzą się, to nam nie pozostanie nic innego, jak spakować manatki i wracać do Paryża.

— To byłaby prawdziwa katastrofa — jęknął Adrian — tak tu doskonale karmią!

— A widok z naszego pokoju na morze taki cudowny!

— Te wakacje są poza tym bardzo oszczędne...

Łusia pokręciła zamyślona swą małą główką:

— Nigdyśmy się dotychczas nie mieszali do sprzeczek naszych przyjaciół, tym bardziej, że trzeba sobie przyznać bez ogródek — Stefan i Gaby zapraszają nas, bo nie mogą wytrzymać we wspólnym sam na sam. Jesteśmy dla nich pewnego rodzaju piorunochronem, rozrywką. Ale ta sytuacja stwarza obowiązki — nie możemy pozostawić tych dwoje nieszczęśliwców ich smutnemu losowi... Zajmij się ty Stefanem, ja porozmawiam z Gaby... Trzeba koniecznie przemówić im do rozsądku!

— A jeśli w żaden sposób nie będą się chcieli pogodzić?

— No to zawsze będzie jeszcze czas wrócić do Paryża — westchnęła Łusia.

———

...Wyniki najsławniejszych kongresów międzynarodowych i historyczne targi naokoło okrągłych stołów mogą dać słabe tylko wyobrażenie o cudach dyplomacji, jakich dokazywali Łusia i Adrian, aby uratować swe zagrożone wakacje.

Gaby była rzeczywiście nad wyraz krnąbrna, a Stefan nieugięty do najwyższego stopnia podczas tych pertraktacyj, trwających przeszło tydzień.

Pośrednicy przemawiali kolejno do ich rozsądku i uczu-

cia, przekładali, prosili, gniewali się, obmyślali argumenty i obalali ich obiekcje. Triumfowali dwadzieścia razy i wracali ponownie do punktu wyjścia. I — jak to zwykle bywa w tego rodzaju sprawach — gdy już dali prawie za wygraną, w sercu Gaby nastąpił nagły zwrot. Zwyciężona, padła w ramiona skruszonego Stefana.

Gdy na drugi dzień pogodzona para ukazała się rano w jadalni, Adrian i Łusia spodziewali się nagrody za owoc, jaki wydały ich namowy i perswazje.

— Ach, kochani moi, nigdy nie zapomnimy wam tego, coście dla nas uczynili — wołała Gaby z wylaniem... Gdy pomyślę o tym, że bez was, bez waszej serdecznej interwencji, możebyśmy się już rozeszli ze Stefkiem!

— Nic takiego nadzwyczajnego nie zrobiliśmy! — odparła Łusia — ułatwiliśmy tylko wasze wzajemne porozumienie się.

— Nadzwyczajnie wam się to udało! — zapewniał Stefan — Zdaje się nam obojgu, żeśmy się niedawno poznali! Rozpoczyna się dla nas dopiero teraz prawdziwy miesiąc miodowy.

— Brawo! — zawołali pośrednicy jednym głosem.

— No, a ponieważ miodowy miesiąc nie może się obyć bez podróży, będziemy was musieli prosić, moi kochani, żebyście skrócili wasze wakacje u nas. Jutro mamy zamiar pojechać do Włoch.

Stanisław Trembecki

POTOK I RZEKA

Potok szybko płynący po pięknej dolinie
Wymawiał wielkiej rzece, że pomału płynie.
Rzekła rzeka: Nim zejdą porankowe zorza,
Ty, prędko, ja pomału wpadniemy do morza.

UŚMIECHNIJ SIĘ

MODLITWA

Pięcioletni Tadzio leży już w łóżeczku i jest bardzo zmęczony. Wtem przypomina sobie, że zapomniał odmówić pacierz. Szepce więc: „Kochana Boziu, to samo co wczoraj, amen" — i zaczyna chrapać.

ROZMOWA Z DZIECKIEM

— Mamusiu, dlaczego tatuś nie ma wcale włosów na głowie?

— Dlatego, że jest mądry, dużo myśli.

— A dlaczego mamusia ma wszystkie włosy?

UBEZPIECZENIE

Jan Nowobogacki ubezpieczył się od ognia i otrzymawszy polisę zapytuje agenta ubezpieczeniowego:

— Ile bym dostał, gdyby mój dom spalił się jutro?

— Pięć lat więzienia — odpowiada agent.

W DOMU LOTNIKA

Pokojówka: — Pani kazała powiedzieć, że poleciała na śniadanie do Paryża a obiad zje o szóstej w Rzymie. Prosiła, aby pan po nią przyleciał, bo nie chciałaby wracać sama po ciemku do domu.

SZCZĘŚLIWE MAŁŻEŃSTWO

Mamusia wraca z dwuletnim synkiem z ogrodu zoologicznego.

— Wiesz co, tatusiu, — mówi — Bobuś zaczyna mówić. Gdyśmy przechodzili koło hipopotama, powiedział wyraźnie dwa razy: tata, tata.

W KOSZARACH

Podczas śniadania do izby żołnierskiej wchodzi sierżant.

— Czemu macie takie skwaszone miny? — zapytuje, rozglądając się.

Jeden z żołnierzy podsuwa menażkę:

— Proszę, niech pan sierżant skosztuje

— Wcale dobra zupa — mówi sierżant.

— Hm... a kucharz mówi, że to kawa.

W SAMOLOCIE

Pilot: — O rety! Motor się popsuł! Spadniemy lada chwila na ziemię!

Jeden z pasażerów: — Panie pilot, postaraj się pan przynajmniej, żebyśmy spadli blisko jakiegoś szpitala.

DOBRA PROPOZYCJA

— Mamusiu, chodźmy do jadalni i będziemy się bawić w ogród zoologiczny. Ja będę słoniem.

— No, a czymże ja będę?

— Ty, mamusiu, będziesz publicznością, która podaje słoniowi cukierki i owoce.

Zygmunt Krasiński

ZNÓW WRACA WIOSNA

Znów wraca wiosna — przeszłe wraca życie
I dawna radość i dawna podnieta:
Patrz, w śnie pamięci razem po błękicie
Znów płyniem w stronę Mola di Gaeta!

Rankiem schodzimy w cytrynne ogrody
I, przechadzając się nad morza tonią,
Róż i cyprysów upojeni wonią,
Dziękujem Bogu za świat ten urody.

Każda nam chwila dobra i szczęśliwa,
Milczenie nawet nam pieśnią, co śpiewa.
Z skał zstępujemy na wodne lazury
I z barki naszej znów patrzym na góry.

I, patrząc, pijem z przestrzeni pucharu
Złotym powietrzem gór błękitnych zdrowie;
Słońca promieńmi wieńczeni na głowie,
Pierś poim w świetle i falach nektaru.

W wieczór wracamy pod rozkwitłe gaje;
Po nich błyszczące w rój wiją się muszki
Jakby róż śpiących uwolnione duszki...
Na zmierzchnim niebie Mars i Wenus wstaje.

Mars krwawą zbroją błyska i czerwieni
I z giermkiem-gwiazdką sunie się w przestrzeni,
Aż księżyc wejdzie i czarem spojrzenia
Świat dnia przebłędni w świat złoty marzenia.

Ty, patrząc w górę, pytasz się żałośnie:
„Duch nasz na miarę bezmiaru czy wzrośnie
Czy będziem kiedy, my smutni, wiedzieli,
Jacy mieszkają po gwiazdach anieli?"

Skrą ciekawości czoło twoje płonie —
Wspinasz się wzrokiem w eterowe tonie...
I drżysz, i pragniesz — to ufna — namiętna,
To znów w zwątpieniu, trwóg pełna i smętna.

A ja cię pieśnią kołyszę nadziei,
Ja ci zwiastuję lot ducha przepłynny
Przez ciąg podstępnych wszechświata kolei,
I świat nareszcie wieczny — Boży — inny.

O, pojmiesz kiedyś i obaczysz okiem,
Jak wieczność płynie tych fal — gwiazd potokiem;
Z słońca na słońce, coraz wyżej trzeba
Tym, co umarli, wdzierać się do nieba!

Bóg, co nas stworzył, stworzył nas na bogi
I stopom naszym poddał mleczne drogi —
Duch, co nam dzisiaj już tu w piersiach gości,
Nie duchem ziemi, lecz nieskończoności!

I przez te wschody świata diamentowe
Wstępować będziesz na królestwo nowe...

ZBIERACZE NALEPEK

Pierwsze zapałki zostały wynalezione w roku 1825 w Londynie przez J.T. Coopee'a. Równocześnie jednak Francja i Niemcy uzurpują sobie także prawo do wynalazku zapałek. W każdym razie zapałki są znane od przeszło stu dwudziestu lat. W czasie tego jednego stulecia zmieniało się bezustannie opakowanie zapałek, a ściślej biorąc nalepki na pudełkach, według których doskonale można osądzić postęp grafiki i zmianę sposobów reklamy. W początkach istnienia zapałek nalepki pudełek służyły wyłącznie w tym celu, żeby zaznaczyć, co się w pudełku znajduje. Z biegiem czasu zaczęto używać do pudełek nalepek z rozmaitymi obrazkami i wizerunkami.

Wielkie wymagania mają pod tym względem kraje azjatyckie, a w szczególności Japonia. Największym powodzeniem cieszą się tam zapałki z nalepkami, wyobrażającymi bożków, smoki, sceny z życia ludowego i wizerunki sławnych ludzi.

W Niemczech były przez pewien czas w obiegu pudełka, posiadające wysoce oryginalne i ładne nalepki.

Sowiety mają — prawdopodobnie ze względów propagandowych — tylko jeden gatunek nalepek. Towar przeznaczony na eksport ma zawsze etykietę z „młotem i sierpem".

W Polsce fabrykacją zapałek zajmował się rząd (Monopol Zapałczany), który używał do pudełek z zapałkami nalepek jednolitych ze zwyczajnym napisem. To też u nas kolekcjonowanie nalepek od zapałek było pasją całkiem nieznaną. Natomiast w innych krajach zbieranie nalepek jest tak samo rozpowszechnione, jak kolekcjonowanie znaczków pocztowych, lub starych monet.

Niektóre kraje europejskie posiadają w swych muzeach ludoznawczych jedyne w swoim rodzaju zbiory nalepek od zapałek. — W Anglii i w Ameryce istnieją specjalne związki zbieraczy nalepek. Zbieracze ci są jednak skazani przede wszystkim na handel wymienny, gdyż wielu ciekawych nalepek otrzymać już w handlu nie można.

Kolekcjonowanie nalepek najbardziej jest rozpowszechnione w Indiach, a jeszcze więcej amatorów jest w Japonii. Fantazja i pomysłowość Japończyków nie zna po prostu granic. Ponieważ w Japonii pudełko zapałek stanowi bardzo często bezpłatny dodatek do kupionego towaru, więc nalepki bywają wyzyskiwane przez kupców w celach reklamowych. Nie ma tam ciekawszego tematu, od najstarszego do współczesnego, ani koloru, który by nie znalazł zastosowania. Wyzyskanie zaś małej przestrzeni na pudełku jest wprost idealne, a wykonanie artystyczne.

Teofil Lenartowicz

KALINA

Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu liście kąpała.
W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła jak dziewczę młode
I jak w lusterko patrzyła w wodę.
Wiatr co dnia czesał jej długie włosy,
A oczy myła kroplami rosy.
U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny,
I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie,
I śpiewał sobie: Dana! oj dana!
A głos po rosie leciał co rana.
Kalina liście zielone miała
I jak dziewczyna w gaju czekała.
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale wrzuciła w wodę,
Z żalu straciła swoją urodę.

NASZE KOŚCIOŁY

W UJARZMIONYM KRAJU OSTATNIĄ REDUTĄ POLSKOŚCI I WIARY KATOLICKIEJ SĄ ŚWIĄTYNIE PAŃSKIE, W KTÓRYCH GROMADZĄ SIĘ OLBRZYMIE, JAK NIGDY DOTĄD, TŁUMY WIERNYCH, BY BŁAGAĆ O POMOC BOŻĄ I O KRES NIEWOLI KOMUNISTYCZNEJ

ŁĄCZMY SIĘ Z NIMI W MODLITWIE!



KATEDRA
NA WAWELU
W KRAKOWIE

KATEDRA
NA OSTROWIU
TUMSKIM
W POZNANIU



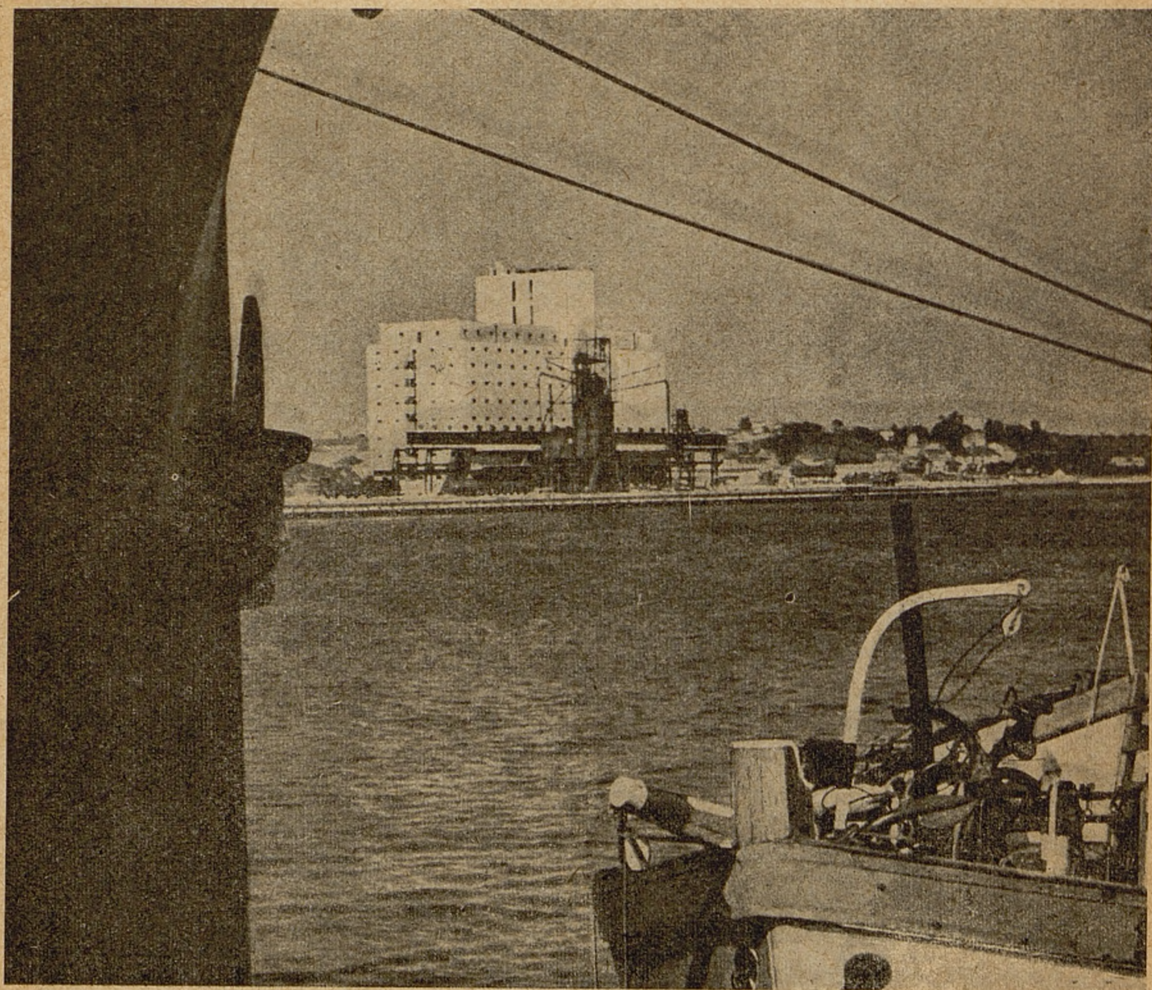
KATEDRA W PELPLINIE

KATEDRA W GNIEŹNIE

KOŚCIÓŁ BERNARDYNÓW WE LWOWIE

KOŚCIÓŁ MISJONARZY W WILNIE

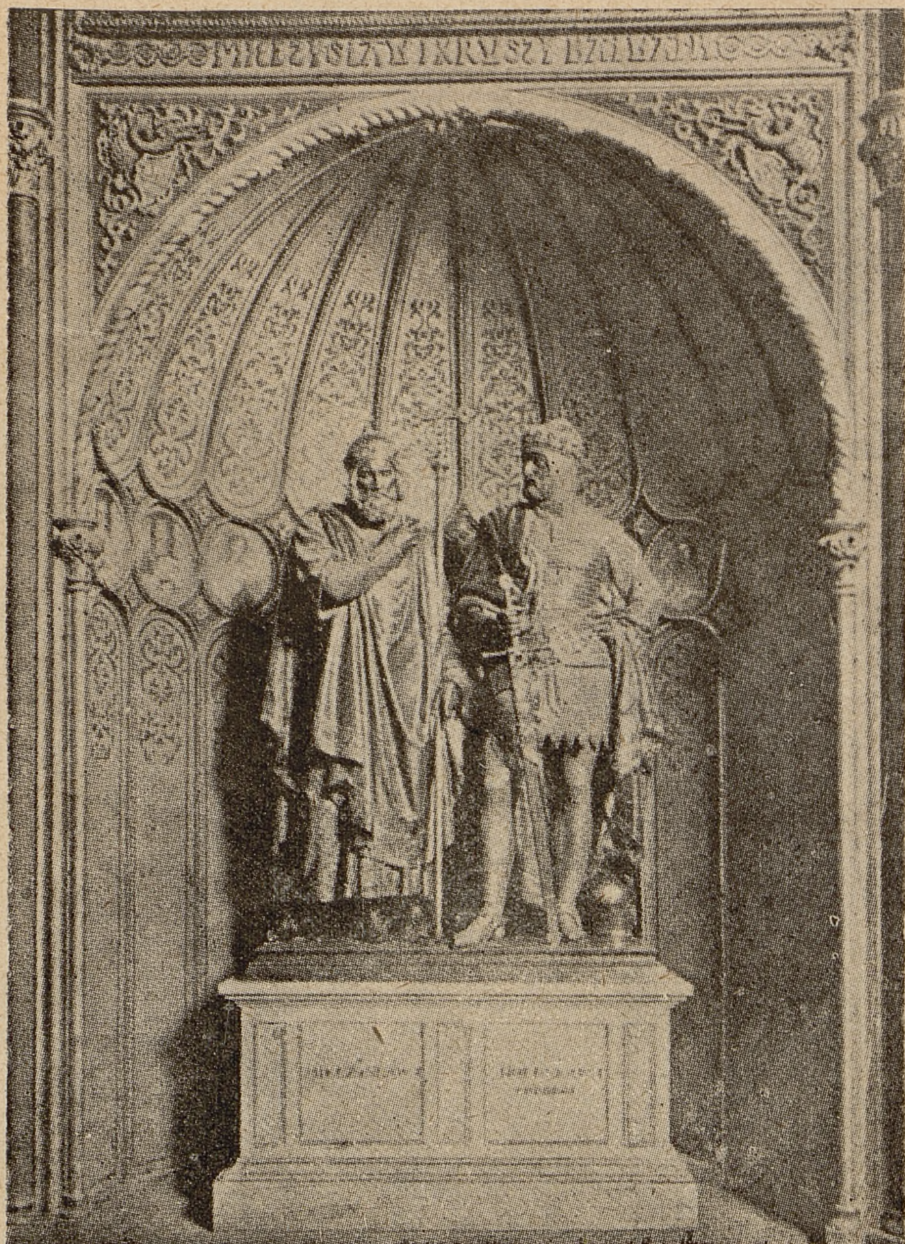
OD BAŁTYKU PO KARPATY, OD



FRAGMENT PORTU W GDYNI



RATUSZ W POZNANIU



POSĄG MIESZKA I i BOLESŁAWA CHROBREGO
W KATEDRZE POZNAŃSKIEJ



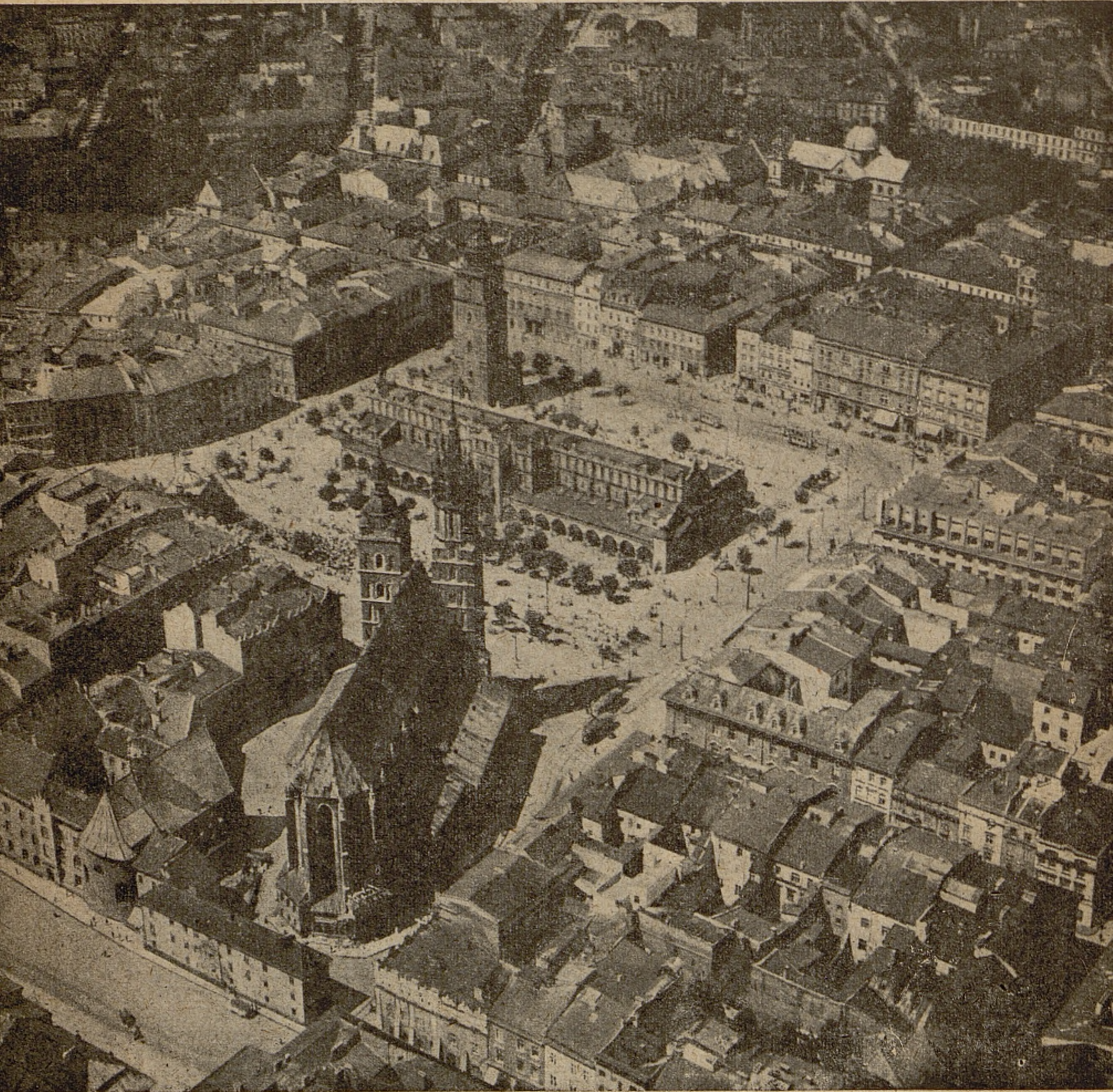
WYSPA TUMSKA Z KATEDRĄ I KOŚCIOŁEM ŚW. KRZYŻA WE WROCŁAWIU



ŻUBRY W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.



ZAMEK KRÓLEWSKI I KOLUMNA ZYGMUNTA W WARSZAWIE.



RYNEK KRAKOWSKI Z LOTU PTAKA Z WIDOCZNYM KOŚCIOŁEM MARIACKIM
I SUKIENNICAMI



TATRY I ZAKOPANE

Kącik dzieci






Kochane Dzieci!

Ci, którzy robili ten kalendarz, „Kalendarz Rodziny Polskiej", długo myśleli nad tym, by nikogo z rodzin naszych nie ominąć na tych kartkach. I od razu zobaczyli, że trzeba w nim trochę miejsca przeznaczyć dla was, dla dzieci, bo wy przecież jesteście ważną, choć małą i młodą częścią polskiej rodziny. I tak, jak tatuś, mamusia, babcia czy dziadziu, ciocie i wujciowie znajdą w tym kalendarzu takie rzeczy, które ich będą zajmować, i które oni będą czytać, — tak samo trzeba, żeby i dla was coś tu zostało.

I oto macie tu swoją własną, dla was specjalnie zrobioną część kalendarza. Ma ona was bawić, ale i uczyć zarazem, ma być rozrywką, ale i pożytkiem, ma wam, dzieciom polskim na obczyźnie, które nie mogą jeszcze pojechać do Polski dać polskie słowo, którego nie słyszycie i nie czytacie w szkołach angielskich i wśród angielskich dzieci. Czytajcie to wszystko pilnie i uważnie. Czytajcie opowiadania, bajki, czytajcie wierszyki a tych, które wam się najbardziej będą podobać nauczcie się na pamięć. Wasi rówieśnicy w Polsce, gdy kiedyś do nich pojedziecie, będą chcieli widzieć w was takie same polskie dzieci, jakimi oni są. Rozwiązujcie zagadki, śmiejcie się ze śmiesznych rzeczy na tych stronach, ale i myślcie poważnie o tym, co na nich jest poważne.

Rodzice wasi ciężko pracują i nie zawsze mają możność dać wam naukę w polskiej szkole, bo takich szkół jest tu za mało, żeby mogły pomieścić wszystkie polskie dzieci. Uczycie się na kursach języka polskiego, historii i geografii polskiej, a najważniejsze — uczycie się religii katolickiej. Macie wyrość na dobrych katolików i dobrych Polaków. Niech więc tych niewiele stronnic, jakie mogliśmy w kalendarzu przeznaczyć dla was, dla dzieci i dla waszych dziecinnych spraw, będzie przez was czytane z przyjemnością i niech wam pomoże rosnąć i rozwijać się na chwałę Boga i naszej ojczyzny — Polski.



KATECHIZM MAŁEGO POLAKA

Zacznijmy od katechizmu małego Polaka, na którym wychowali się wasi rodzice. Macie go tu w całości, choć obecnie nie mieszkacie „w polskiej ziemi". Ale, jeżeli będziecie tak jak mówi katechizm „w Polskę wierzyć", to ta wiara doprowadzi was do polskiej ziemi.

Kto ty jesteś? — Polak mały.
Jaki znak twój? — Orzeł Biały.
Gdzie ty mieszkasz? — Między swymi.
W jakim kraju? — W polskiej ziemi.
Czym ta ziemia? — Mą ojczyzną.
Czym zdobyta? — Krwią i blizną.
Czy ją kochasz? — Kocham szczerze.
A w co wierzysz? — W Polskę wierzę.

O PANU WŁADYSŁAWIE

Zapewne wszystkie, kochane dzieci, znacie już wierszyk umieszczony tu na początku, pod tytułem „Katechizm małego Polaka". Może nawet umiecie go wszystkie na pamięć i deklamujecie we dwójkę na uroczystościach polskich w Anglii — dziewczynka stawia pytania a chłopczyk odpowiada. Jeśli które jeszcze tego prześlicznego wierszyka nie umie, niechże go się czym prędzej nauczy, bo to wstyd być polskim dzieckiem i nie znać katechizmu polskiego dziecka. Opowiemy wam tutaj o autorze tego wierszyka.

Było to bardzo dawno temu. Nie miałem jeszcze wtedy siwych włosów, jak dziś i dopiero co nauczyłam się czytać. Mieszkaliśmy wtedy we Lwowie, przy ulicy Zimorowicza. Nie będę wam przecież opowiadał o Lwowie, bo o tym mieście, którego dzieci, jak wy, broniły, pewnieście wiele słyszały. Dużo tam na Zimorowicza przychodziło osób w odwiedziny do moich rodziców. Przychodził także jeden pan, wysoki, siwy, w okularach. Rozmawiając z ojcem przechadzał się po gabinecię, a do mnie i do mojej siostrzyczki, Jadwisi miło się uśmiechał, głaskał nas po głowach, a w kieszeniach surduta często dla nas znajdował cukierki. Bardzośmy szanowali tego pana, wiedząc, że to on napisał wiersze o wszystkich królach polskich, które nam mamusia czytywała.

Pewnego razu pan Władysław Bełza (tak się ten pan nazywał), przyniósł ze sobą i podarował nam małą książeczkę. Było na niej piórem wypisane, że książeczka jest dla mnie a poniżej odsylabizowałem tytuł: „Katechizm polskiego dziecka". Bardzo byłem z tego podarku dumny i prędko nauczy-

łem się tych wierszy na pamięć. Deklamowałem je wtedy na głos, aż do uprzykrzenia. A kiedy pewnego razu przyszedł do nas znowu pan Bełza, zagadnęła go dosyć obcesowo Jadwisia: „Ale ten katechizm to tylko dla chłopców, bo tam napisano:

„Kto ty jesteś? — — — Polak mały".

Stropił się zrazu dobry pan Władysław, pomyślał chwilkę, a potem powiedział

„Kto ty jesteś? — — —Polka mała.
A czyś zdrowa? — — — Bogu chwała."

Potem, kiedy już dorosłem i czytałem dużo książek polskich pisarzy, często chodziłem do pana Bełzy. Czasem odwiedzałem go w takim dużym gmachu, który się nazywa „Ossolineum" i w którym jest mnóstwo książek. Tam pan Bełza pracował. Zawsze się od niego czegoś nauczyłem, zawsze czegoś ciekawego i pożytecznego dowiedziałem. Kochał on gorąco polskich poetów, a z nich najwięcej Mickiewicza.

Może będziecie kiedyś we Lwowie. Pójdźcie wtedy na piękny cmentarz łyczakowski, gdzie spoczywa sporo chłopców i dziewcząt, po żołniersku poległych w obronie Lwowa. Skoro skręcicie od głównej bramy w aleję w lewo, zobaczycie grób, na którym widnieje napis:

Tu spoczywa WŁADYSŁAW BEŁZA autor „Katechizmu polskiego dziecka"

Połóżcie na płycie grobowej parę kwiatów. Bo pan Władysław bardzo kochał dzieci. Widział w nich swymi słabymi, a tyle widzącymi oczyma, przyszłą Polskę.

A. RIVET

STONOŻNE KŁOPOTY

Nad kałużą, obok drogi,
Siedziały raz dwie stonogi,
I tak rzekły: Boże drogi,
Takie mamy piękne nogi,
Każda z nas ma ich aż sto!
Ho, ho, ho! Ho, ho, ho!

A więc siostro ma, kochanie,
Może by urządzić pranie?
Bo już brudne są nogawki,
Zdobne w koronkowe wstawki.
Każda z nas ma ich aż sto —
Ho, ho, ho! Ho, ho, ho!

Nas natura wprost wybrała:
Tyle zgrabnych nóżek dała,
I możemy, Bogu dzięki,
Nogą zrobić pracę ręki,
Więc możemy rąk mieć sto —
Ho, ho, ho! Ho, ho, ho!

Jako rzekły, tak zrobiły,
Lecz tak nogi pomyliły,
Że ze trzy lub cztery prały,
A te inne próżnowały.
Próżnowało prawie sto —
Ho, ho, ho! Ho, ho, ho!

I to powiem wam z tej racji:
Trzeba tu organizacji,
By obmyśleć rzecz z początku,
I nie tracić przy tym wątku.
Nie pomoże nóg i sto,
To nie to! To nie to!

NAUKA GEOGRAFII

— Oglądajcie dzieci atlas — mówi mama — może przestaniecie mi dokuczać.

Więc Zbyszek i Dziunia przerzucają kartki dużej książki, a Zbyszek na odmianę nudzi siostrzyczkę.

— To gdzie teraz Wituś jest? — pyta Zbyszek.

— W De-tro-it — on jest tam z ciocią Helą, swoją mamusią, — mówi Dziunia, kiedy już z trudem wysylabizowała nazwę dalekiego miasta w Ameryce. Ale Zbyszek nie wie, gdzie to jest, więc Dziunia mu tłumaczy, że to daleko, na drugiej półkuli, za morzem, w Ameryce.

— Czy to dalej niż do Londynu? — pyta Zbyszek, który nigdy jeszcze dalej nie wyjeżdżał z hostelu.

— Dalej — odpowiada Dziunia — dalej niż... i Dziunia marszczy czoło, by znaleźć odpowiednie porównanie, — niż do Polski.

— A Januszek gdzie pojechał? — pyta dalej Zbyszek. Na to Dziunia pokazuje miejsce całkiem na dole mapy, na innej stronie, gdzie jest Południowa Afryka otoczona morzem. Do Jo-ha-nes-bur-ga — czyta z wysiłkiem, — to jest w Afryce.

— To tu jest ta Afryka Południowa? — dziwi się Zbyszek — a gdzie jest duża Ala? — wypytuje dalej.

Dziunia znowu odwraca kartki i szuka tam takiej głowy u góry, na której jest dużo jezior czyli niebieskich oczu. Ala jest w Kanadzie — mówi, gdyż już znalazła i pokazuje paluszkiem Zbyszkowi. A w ogóle niebieski kolor oznacza w atlasie wodę — morze, albo jezioro.

I mama jest zadowolona, a dzieci grzecznie się bawią, bo na każdej kartce atlasu odnalazły swoich znajomych.

O DICKU I JEGO KOCIE

Działo się w Anglii. Był tam sobie bardzo biedny chłopczyk imieniem Dick. Nie miał ani rodziców, ani przyjaciół.

Pewnego dnia Dick usłyszał, jak ktoś mówił: „Londyn to wielkie miasto a ulice jego brukowane są złotem. W Londynie wszyscy są bardzo bogaci".

Dick postanowił pojechać do Londynu, aby być bogatym. No i powędrował trochę na piechotę, trochę na wozie, jak się dało.

Gdy wreszcie przywędrował do Londynu, okazało się, że ulice wcale nie są wykładane złotem tylko zwykłymi kamieniami, tak jak wszystkie inne. Ale za to było tam dużo domów. Z tej i tamtej strony — setki domów.

Dick stanął samotnie na ulicy. Nie miał ani domu, ani chleba, ani przyjaciół. Zaczął padać śnieg, który wkrótce pokrył ulice i domy białym puchem. Ślicznie to wyglądało, ale było bardzo zimno. Dick, pokryty śniegiem marzł okropnie i myślał, że już chyba umrze.

Biedny chłopczyk spostrzegł nagle światło w oknie jakiegoś domu. Zbliżył się tam i usiadł na kamiennym stopniu. W tej chwili otworzyły się drzwi i wyjrzała służąca.

— Idź precz, ty włóczęgo, co tu robisz! — krzyknęła ze złością.

Dick był tak zmarznięty, że nie miał siły podnieść się. Wówczas zła kobieta wylała na niego dzbanek zimnej wody, ale biednemu chłopcu było nawet za zimno, żeby płakać.

Dom ten był własnością bogatego pana, nazwiskiem Warren. Pan Warren miał córeczkę Alicję. Dziewczynka widziała całą scenę przez okno i rozgniewała się bardzo na służącą.

Na drugi dzień pan Warren zaproponował Dickowi, aby został w jego domu i pomagał w kuchni. Dick zgodził się chętnie.

Ciężka to była służba. Kucharka była bardzo niedobra. Dawała mu dużo roboty i mało do jedzenia, a przy tym obrzucała go wyzwiskami i biła po twarzy. Pokoik chłopca mieścił się na poddaszu, był mały, brzydki i pełen myszy. Setki myszy rzucały się na jego jedzenie i spacerowały mu po twarzy, gdy spał.

Biedny Dick nie był zbyt szczęśliwy, ale nie skarżył się nigdy ani Alicji, ani jej ojcu. Kochał bardzo dobrą Alinkę i nie chciał, żeby wiedziała, jaki jest nieszczęśliwy. Pewnego dnia Dick spotkał na ulicy małego chłopca z kotkiem na ręku.

— Dokąd niesiesz tego kotka — spytał Dick chłopca.

— Niosę go do rzeki. Utopię go.

Dick lubił bardzo koty, więc wyciągnął parę groszy, wszystkie jakie miał i kupił kotka od chłopca. Kotek od razu okazał się pożyteczny. Pierwszej nocy zaczął polowanie i wyłapał tyle myszy, że inne ze strachu pouciekały.

A tymczasem Alicja, czując, że Dick jest nieszczęśliwy prosiła ojca, aby mu dał inną pracę. Pan Warren pomyślał i powiedział:

— Dick to miły chłopak, umie pracować i ma zawsze czyste ręce. Dam mu pracę w moim biurze.

Już następnego dnia Dick zaczął praktykę w wielkim domu towarowym pana Warrena, gdzie pracowało mnóstwo ludzi. Pan Warren był właścicielem kilku statków, które wywoziły i przywoziły różne towary z obcych krajów.

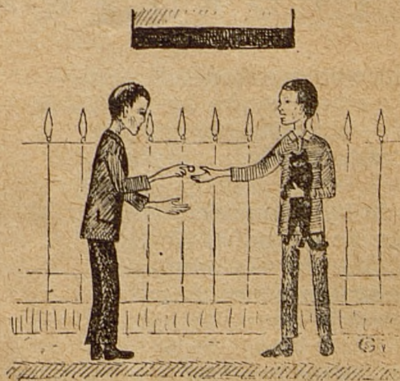
Pewnego dnia pan Warren wysyłał statek w daleką podróż i powiedział do swoich ludzi:

— Jeżeli macie coś do sprzedania, to możecie załadować na statek a po powrocie okrętu z podróży dostaniecie swoje pieniądze.

Naturalnie każdy przyniósł, co miał do sprzedania, tylko Dick nie miał nic prócz kotka.

— Poślij swego kotka — poradziła mu Alicja. Dick zgodził się i kotka zabrali.

Chłopiec został zupełnie sam. Smutno zrobiło się w małym pokoiku i myszy znowu zaczęły swoje harce. Pewnej nocy, nie mogąc już dłużej wytrzymać, Dick postanowił opuścić Londyn. Wyszedł na ulicę i szedł długo, długo, aż wreszcie zmęczony siadł na przydrożnym kamieniu — daleko za miastem. Po chwili niebo zaczęło się różowić i słońce wzeszło. I zaraz



...i kupił kotka od chłopca.

rozdzwoniły się dzwony w Londynie a Dickowi wydało się, że go wołają: „wra-caj, wra-caj, swe-go dnia do-cze-kasz".

— To do mnie — myśli Dick — wrócę i będę czekał.

Tymczasem statek płynął długo, aż przybił do jakiegoś nieznanego lądu. Król tej ziemi zaprosił całą załogę do pałacu i powiedział:

— Przynieście mi do sprzedania to, czego chcę, to wam złotem wypełnię statek.

Potem kazał podać wszystkim obfity obiad. Gdy tylko jedzenie postawiono na stole, pojawiły się setki myszy, które bezczelnie skakały po głowach ludzi i przed ich oczami i zjadały im wszystko sprzed nosa.

— Widzicie sami — mówi król — otóż potrzebuję czegoś, co by zniszczyło te nieznośne myszy. Nie mogę sobie z nimi poradzić.

— A czy w tym kraju nie ma kotów? — zapytał ktoś z załogi.

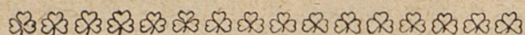
— Kotów? A co to jest kot? Nigdy nie widziałem kota — odpowiedział król.

Więc zaraz przyniesiono ze statku Dickowego kota, który w tej chwili rzucił się na myszy i narobił takiego popłochu, że wszystkie myszy uciekły.

Strasznie się król ucieszył. Naturalnie kupił kota i tak, jak obiecał, wypełnił złotem statek. Możecie sobie wyobrazić radość Dicka, gdy po powrocie statku pan Warren powiedział mu, że to wszystko złoto jest jego i że jest teraz dużo bogatszy niż pan Warren sam.

Mimo to Dick pracował nadal u pana Warrena, z którym się serdecznie zaprzyjaźnił, a po kilku latach poślubił swoją kochaną Alinkę.

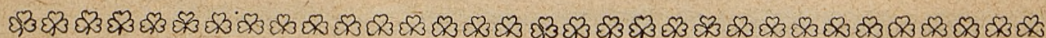
I tak Dick stał się najbogatszym człowiekiem w Londynie, a Alicja najszczęśliwszą z kobiet.

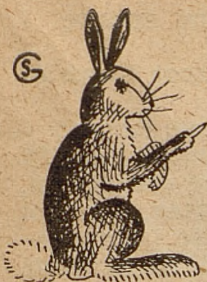


HISTORYJKA DLA BRUDASÓW

Był raz sobie chłopczyk Józio
Wraz z siostrzyczką swoją Rózią.
Rózia — dziecko przyzwoite:
Grzeczne, czyste i umyte.
Józio — istne przeciwieństwo,
Dziw, że było to rodzeństwo.
Brudas, że się pożal Boże,
Nawet kij mu nie pomoże.
Posłuchajcie teraz dzieci:
Raz niedobra mucha leci,
Widzi Rózię, widzi Józia,
Patrzy, gdzie brudniejsza buzia.

Musze bardzo brud smakuje,
Gdzie brud widzi, zaraz kłuje,
Jak więc Józia w nos nie utnie!
Nos mu zaraz spuchł okrutnie,
Buzia spuchła, Józio chory —
Bieda; zeszły się doktory:
Nos mu krają, jeść nie dają,
Za brud codzień się gniewają.
Odtąd trudno poznać Józia:
Nos czyściutki, czysta buzia.
Koniec zatem oczywisty:
Chcesz być zdrów — bądź zawsze czysty





O zajączku sprawiedliwym

Napisał Adolf DYGASIŃSKI

Dzień był majowy, prześliczny. Pod dzwonnicą siedział siwiutki staruszek, Kuba Malwa, otoczyła go gromada dzieci, słuchających z ciekawością jego historii o „zajączku sprawiedliwym".

— Był tu ongi w Morzelanach chłop Maciek, człowiek dobry, jeno nędzarz i głupi. Raz poszedł do lasu, zbiera tam susz, okrzesuje sęki uschłe, gałązki, składa sobie to na kupkę. Wtem słyszy, coś opodal jęczy, jak by prosiło o miłosierdzie. Miał lęk, ważył się. — iść, nie iść, zobaczyć. Ano poszedł ostrożnie, patrzy, co być może. to sosna ogromna się zwaliła i przygniotła srodze nieźwiedzia, aż mu ślepie na wierzch wylazły.

— Zlituj się nade mną człowiecze, ocal mi życie! — mówi żałośnie to niedźwiedzisko. Chłopa zdjęła litość, zabrał się do roboty: z biedą podsadził pod kłodę drąg jeden, drugi. Wysilał się potem i co który drąg podniósł, zaraz podstawił pod niego soszkę — podstawkę taką. Kapał mu pot z czoła, ale zwierzę ocalił i sam wrócił do domu.

Upłynął jakiś czas, Maciek zapomniał o swoim uczynku, idzie znowu na zbiórkę do lasu, spotyka jak raz tego samego niedźwiedzia, który wręcz pyta:

— Tyżeś to chłopie ocalił mi niegdyś życie?

— Jużci ja, albo co?

— Bo widzisz, przyjacielu, chciałbym ci dać koniecznie nagrodę, jako mnie to okrutnie korci, żem ci winien wdzięczność.

— Co znowu za nagrodę?

— Kochanku, ja cię zjeść muszę — nie ma rady!

— Śmiałbyś, kudłaczu jakiś, dobroczyńcę swego zabijać?

— Przecie każdy na tym świecie za dobre złym płaci, to i ja nie mogę ci się inaczej wywdzięczyć.

— Gadanie! Tylko podły tak robi! Sprawiedliwość, wdzięczność były, są i będą na świecie.

Więc niedźwiedź w śmiech.

— Jeszczem też takiego głupca jak żyję nie widział — powiada — ale słuchaj, ja ci przyznam słuszność, jeżeli znajdziesz sędziego, który sprawę między nami rozsądzi według ciebie.

— Znajdę! — zawołał Maciek i poszedł szukać sędziego.

Spotyka chłopa.

— Pójdźcie — mówi mu — zrobicie sąd między mną a niedźwiedziem!

Chłop poszedł, niby to słucha, a Maćka łokciem trąca, mruga do niego i do ucha mu szepce:

— Powiedz najprzód ile mi zapłacisz, jeśli sprawę osądzę na twoją korzyść? A nie, to przegrasz.

Niedźwiedź zaraz zmiarkował zmowę i ryknął:

— Sprawiedliwości nie można ani kupić ani sprzedać. Tym mi oczu nie zamydlicie!

Maciek podrapał się w głowę. Źle, kiedy człowiek jest takim sędzią! — biegnie szukać innego. Napotkał wołu, wiedzie go, zaprasza, żeby sądził.

— Czym ja głupi? — wół odrzeknie. — Widzę przed sobą dwóch swoich rzeźników i rad będę, jeśli choć jednego z was licho weźmie... Jeszcze tego brakuje, żebym takim sprawiedliwość dawał — ryknął, zadarł ogon i uciekł.

Zbierało się na płacz Maćkowi: myślał, że sprawiedliwość, wdzięczność

są rzeczy zwyczajne, razem ze światem stworzone. Idzie znowu, szuka sędziego, a tu jaskółeczka siedzi na gałązce i świergota:

— Ani zbyt wielkiego, ani zbyt małego nie bierz Maćku!

Uhm! pomyślał chłop. Trzeba będzie wziąć barana. Znalazł barana, prowadzi, pyta:

— Jakież twoje zdanie?

Ten beknął, klnie się: — Ja tam nie znam żadnej sprawiedliwości, wdzięczności ani niewdzięczności. Mogę tu pobeczeć i na tym koniec... Jeżeli wam o zgodę chodzi, nasz pies owczarski doskonały sędzia: jednego baranka za łeb, i my, tysiąc owiec, musimy żyć w zgodzie. Oho, nasz kundel jest sędzia!

Niedźwiedziowi oczy zaświeciły się z radości.

— Chłopie — powiada — wdzięczność dla ciebie gryzie mnie, truje coraz bardziej. Zjeść cię koniecznie muszę, żeby się wywdzięczyć.

— Zaczekajże — chłop mówi — ten baran jest głupi i jak świat światem baran sędzią nie bywał; ale poczciwca tu jednego sprowadzę. Bieży Maciek i psa wzywa:

— Wierneś jest zwierzę, pewnie masz w sobie wdzięczność i sprawiedliwość. Opowiedzieli mu sprawę i nastają:

— Sądź według wiecznej sprawiedliwości świata!

Pies się zamyślił a potem rzecze:

— Wczoraj w nocy zbóje napadli mego pana, ja go w porę ostrzegłem, ocaliłem mu życie, majątek, a on mi dzisiaj przez wdzięczność i sprawiedliwość wsypał takie kije, że oto łazić nie mogę.

Maciek w rozpaczy pędzi i myśli sobie: Głupi jestem, że jaskółki słucham! Ani zbyt duży ani zbyt mały — niemądre słowa... Konia przyzwę, to jest zwierzę poczciwe ze skórą i kośćmi.

Przyszedł koń i powiada:

— Ja znam wybornie wdzięczność i sprawiedliwość, gdyż, wożę, noszę swojego pana i zarabiam się w pługu dla niego.

— No i cóż? — pyta Maciek uradowany.

— Za to mnie pan głodem morzy i biciem srogo płaci!

— O mocny Boże! — wykrzyknął Maciek strapiony — czy już z Twojego ślicznego świata zginęła wdzięczność i sprawiedliwość?

A jaskółeczka świergoce: ludzie nauczyli swojskie zwierzęta niewdzięczności, niesprawiedliwości... Twój sędzia Maćku ani zbyt wielki, ani zbyt mały, ale dziki być musi!

— Pewnie mądralę lisa przyzwać mi trzeba — rzekł sobie Maciek i sprowadził lisa. Kita ogonem na prawo, na lewo macha, oczyma strzyże, sprawy wysłuchuje i nareszcie powiada:

— Ogromnie mi dziwno, żeś ty, niedźwiedziu do tego czasu jeszcze nie schrupał głupiego Maćka... Sumienie musi cię gryźć ogromnie, gdyż najgorsza to rzecz mieć dług wdzięczności, a nie spłacić go niewdzięcznością. Zjedz chłopa bez ceregieli, a nie, to powiem żeś ty głupi.

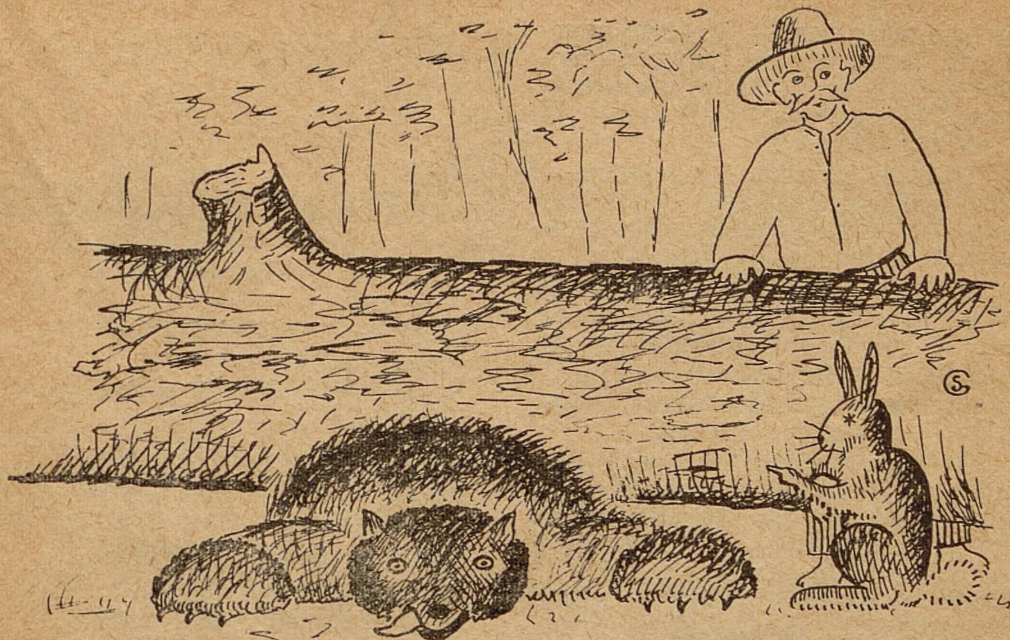
Dopiero niedźwiedź aż się pokłada, tarza od śmiechu i powiada:

— Lis dobrze radzi, bo ty Maćku schudniesz mi przez to szukanie sprawiedliwości, a ja nie lubię jeść chudego.

Chłopa mrowie przeszło kiedy wi-



...a jaskółeczka przed nim usiadła i zaświergotała...



—Ulżyjcie, bo mnie ta kłoda zgniecie!

dział, że się niedźwiedzisko oblizuje i poszedł zaprosić wilka na sędziego, chociaż już i w niego nie bardzo wierzył.

Wilk coś kręcił, na brzuch niedźwiedzia spoglądał, a Maćkowi się wydawało: on widać o sprawiedliwości rozmyśla. Tymczasem wilk przemówił w te słowa:

— Tobie, niedźwiedziu głód pewnie nie dokucza, skoro pozwalasz takiemu chłopu ciągać się na sądy! Chcesz, ja go oprawię, a zjemy do spółki? Ale niedźwiedź zgrzytnął, mruknął:

— Nie chcę z wilkami spółek! Do Maćka zaś się zwrócił i powiada:

— Tak czy owak na moje wychodzi i zjeść cię muszę, żeby dług wdzięczności raz spłacić.

Chłop sobie wyprosił, że jeszcze jednego sędziego sprowadzi. Idzie, odmawia pacierze, Bogu się poleca, a jaskółeczka przed nim usiadła i zaświergotała:

— Maćku, Maćku! Sprawiedliwość zna tylko taki, któremu niesprawiedliwość dniem i nocą doskwiera, który nikomu najmniejszej krzywdy nie czyni, a kryć się musi, żeby wyżył.

— Gdzież ja nieszczęśliwy takiego znajdę?

— Pod krzem, niedaleczko stąd przycupnął, kryje się przed człowiekiem, psem, lisem, wilkiem. Ostrożnie podchodź do niego, aby nie pomyślał, że go chcesz zabić i nie uciekł.

— Jakże z nim mówić?

— Idź, a powtarzaj te słowa: Pana Boga chwalę, nikomu źle nie czynię, mam w sercu wdzięczność i sprawiedliwość.

Zabrał się Maciek, idzie, powtarza to, co mu jaskółeczka nakazała. Nagle spod krza zajączek wypada, kic, kic i mówi:

— Słyszałem ja o twej przygodzie z niedźwiedziem i myślałem o tym właśnie jak by ci pomóc.

— Oj zajączku, żeby cię też Bóg dobrą myślą natchnął! Niedźwiedź mi oto dowodzi, że na świecie nie ma ani wdzięczności, ani sprawiedliwości.

— Wdzięczności nie ma, bo ona musi od stworzeń wychodzić, a te są niewdzięczne; ale sprawiedliwość pochodzi od samego Boga i ona nigdy nikogo nie minie.

Zaczęło się sądzenie, niedźwiedź

mówi, że tak a tak. — Zjeść go powinienem, jeno chcę się naprzód przekonać, jako na świecie nie ma wdzięczności ani sprawiedliwości. Maciek też wykłada swoje.

— Dobrze to jest co wy mówicie — powiada zajączek — tylko ja koniecznie muszę widzieć jak wszystko było, zanim ta wasza sprawa powstała.

— Leżałem pod kłodą — rzecze niedźwiedź — a ten głupi chłop kłodę dźwignął i mnie wyswobodził; niechże ma za to nagrodę!

— Ja muszę widzieć, jakeś ty wyglądał! — powtarza zajączek.

— Bo możeś ty jest za wdzięcznością? — pyta niedźwiedź. — Nie znam wdzięczności na tym świecie, znam tylko grzeszne istoty. — Widzę, że z ciebie sędzia całą gębą.

Poszli, znaleźli to miejsce, gdzie kłoda przywaliła niedźwiedzia: drągi i soszki podpierały jeszcze kłodę. Tak zajączek mówi:

— Właźże misiu, pokaż mi jak leżałeś.

Niedźwiedź wlazł i, kiedy się już położył, zając mrugnął na chłopa:

— Powyjmuj prędko drągi i soszki.

Chłop tak zrobił, a niedźwiedź zaraz jęknął, stęknął i prosi:

— Ulżyjcie, bo mnie ta kłoda zgniecie!

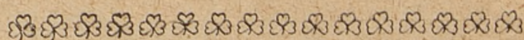
Zajączek mu zaś odpowie:

— Teraz jest tak, jak było z początku żaden z was obu nic nie winien. Nie ma na świecie wdzięczności. A sprawiedliwość na ciebie oto spadła.

Potem się zwrócił do Maćka i rzecze:

— Umykaj żwawo do domu, chwal Boga, nie czyń źle nikomu, a wdzięczność i sprawiedliwość miej w sercu, choć byś tylko taki sam jeden był na świecie.



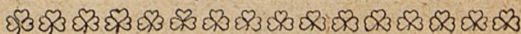


Muszka i pająk

(Bajdurka)

Pająk czarny i kosmaty,
nawet ładny i niestary —
w cienkiej sieci siadł na czaty;
ciemne ubrał okulary.
A młodziutka muszka złota,
elegancka, cienka w pasie.
z ciekawością i ochotą,
słodko brzęcząc, zbliżała się.
„Dawno było mą ochotą,
szczerze mówić z tobą, dziecię,
— wierzysz ty, co o mnie plotą?!
Złych much nie brak na tym świecie!“
„O! To świetnie, bo ja wcale
nie uznaję kłamstwa, zdrady,
więc w sekrecie się pochwalę,
żem wysłana od gromady
much, bo czuję się na siłach,
abym ciebie przerobiła.
A że nie lubię obłudy,
więc... słyszałam no i... przyjmę
gdy dasz za me szczere trudy...
ładne futerko na zimę“
„Jestem na twoje usługi“
rzekł poważnie pająk na to,
wprowadził ją w pokój długi,
zamknął drzwi wybite watą. —
Nie wiem, kto przerobił kogo,
muszka nigdy nie wróciła.
U pająka pod podłogą
para skrzydeł się odkryła.

Adolf Dygasiński



Szarady i zagadki

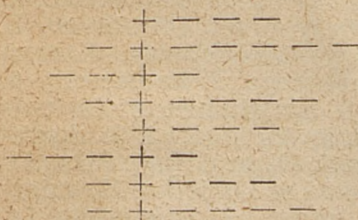




SZARADA

Pierwsze — zwierz dziki, okrutny srodze,
Nie życzę spotkać go na swej drodze.
Drugie - też zwierzę, lecz łagodniejsze,
Ciągnie ciężary większe lub mniejsze.
O trzecim mówić dużo nie będzie
Ten, kto skromności cnotę posiędzie,
Całość zaś kwiecie jest woniejące,
Zawsze w ogrodzie, nigdy na łące.

ZADANIE GEOMETRY



Nazwy różnych miar długości tak ułożyć, aby litery, które zajmą miejsce krzyżyków dały jeszcze jedną, często używaną miarę długości.

ZADANIE POWIEŚCIOWE

Wstawić odpowiednie imiona albo nazwiska osób występujących w jednej ze znanych powieści i przeczytać jej tytuł, wstawiając w miejsce krzyżyków stosowne litery:

1) . A . I E . + A
2) . U + . .
3) . . Y . + . O
4) . + . . . A .
5) + A . I . . A
6) . + . . O
7) . I + . . E . . . EI .
8) . + . .

ZADANIE CYFROWE

Napisać tysiąc za pomocą pięciu jednakowych cyfr.

CO TO JEST?

Tkwił w kuli żołnierza,
Ale gdy się odwrócił
I o „O“ się skrócił,
Przybrał postać zwierza.

ŻARCIK LITERACKI

Jaką powieść można czytać zarówno od początku do końca jak i od końca do początku?

ŁAMIGŁÓWKA

1 x x x x x
2 x - - - -
3 x - - - -
4 x - - - -
5 x - - - -

1. imię żeńskie zdrobniałe
2. imię męskie
3. imię męskie
4. imię biblijne
5. imię znanego polskiego malarza

Z podanych liter ułożyć pięć wyrazów, których początkowe litery czytane pionowo utworzą ten sam wyraz, co pierwszy rząd poziomy.

Litery: e, b, i, i, z, r, u, n, z, a, a, a, z, n, u, o, a, r, u, t, a, k, r, n, z.

KONIKÓWKA

	two	ta	trzy	
święt	maj	gdyś	ja	ma
przy	mo	być	sło	do
	wa.	rzekł,	wa:	

SZARADA

Pierwsze — początek wszystkich
kopaczy,
Drugie-trzecie jest celem biegaczy.
Pierwszego-trzeciego myszka się boi.
Przed żarem wszystkiego nic się nie
ostoi.

ZADANIE KONIKOWE

Czytaj według skoku konika, a otrzymasz dwuwiersz Ignacego Krasickiego.

	praw	rząd	się	
czło	dów	są	dę	ka
ra	czci	wie	u	wy
wzglę	dzi	wiel	lecz	mó
kró	ty	wi	rze	bi
	ka	la	sa	

SZARADA

Pierwsze — w polskim alfabecie
Nie z początku i nie w końcu.
Drugie — włókna daje, wiecie,
I niebieskie kwitnie w słońcu.
Trzecie zaś pewnego słowa
Trybem jest rozkazującym.
Wszystko — rzecz już dziś nie nowa,
Zginie z rokiem nam gasnącym.

POLSKIE JEZIORA

. . . . . x .
. . . x . . . .
. . . x . .
. . . x . .
. . . . x . . . . .
. . . . x .
. . x . .
. . . . x . . .
. . . . . x . . . .
. . . . x . . . . .
. x . . .

Wynaleźć i ułożyć nazwy jezior w Polsce tak, aby otrzymać zamiast krzyżyków nazwę jednej z zatok Bałtyku.

ZAGADKA

Kiedy mam W na końcu, jestem straszne zwierzę,
Gdy zaś K, człowiek w usta niechętnie mnie bierze,
A gdy N, to roślina, która tym się szczyci,
że ma najlepsze włókno do wyrobu nici.

CO TO JEST?

Przez k ścina trawy, zioła,
Przez r rankiem lśni dokoła.

SZARADY I ZAGADKI

ŁAMIGŁÓWKA HISTORYCZNA

Z następujących sylab ułożyć 17 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół utworzą imię króla polskiego.

Sylaby: wicz, łu, dą, ciech, brów, woj, ży, au, ka, y. ło, an, wie, kie, na, gu, ki, tek, ce, sie, nek, ja, rzy, da, styn, dwi, grun, i, ga, al, wald, gna, bert, el, ło, ste, o cy, ra, zien, ła, ciech.

Znaczenie wyrazów: 1. męczennik, 2. kraj zdobyty przez Chrobrego, 3. imię obrońcy Częstochowy, 4. żona Mieszka pierwszego, 5. koniec ery, 6. wojewoda, 7. przydomek króla polskiego, 8. imię Jagiellonki, 9. skarbnik krakowski, 10. królowa polska, 11. wójt krakowski za Łokietka, 12. miejsce słynnej bitwy, 13. imię poety, 14. rzeka pamiętna śmiercią wodza, 15. pałac królewski, 16. miasto nad Bzurą, 17. imię drugiej żony Mieszka pierwszego.

ŁAMIGŁÓWKA ZNACZENIOWA

Znaleźć jeden wyraz, który miałby cztery następujące znaczenia: 1. kolor, 2. drzewo, 3. rodzaj pocisku, 4. kamień półszlachetny.

BILET WIZYTOWY

RENA LIMBACH

Przestawiwszy odpowiednio litery na powyższej wizytówce ułożyć nazwisko polityka jednego z państw europejskich w okresie Monachium.

Rozwiązanie zagadek na str. 199,

ALICJA W KRAINIE CZARÓW

Angielskie dzieci mają bardzo dużo ładnych i zajmujących książek do czytania. Rozmaite to książki: są opowieści o chłopcach i dziewczynkach, o szkole, o dzieciach, które żyły w dawnych czasach, są niezwykłe przygody w dalekich krajach i czarujące opowieści o zwierzętach.

Może najlepiej znają wasi rówieśnicy angielscy Alicję — tę z krainy czarów. Przemówi ona teraz do was po polsku — właśnie zjadła czarodziejskie ciastko u Królika i stała się bardzo duża: głową dotyka sufitu i, biedaczka nie może się zorientować, co właściwie z nią się dzieje. Resztę pewno sami potraficie przeczytać po angielsku, ale opowiemy wam to także po polsku.

Alicja odłożyła wachlarz i rękawiczki i, ponieważ w halu było bardzo gorąco, zaczęła się wachlować, nie przestając powtarzać:

„O jej! Jakie to wszystko jest dziwaczne dzisiaj. A wczoraj przecież wszystko było jak zwykle. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie zostałam zaczarowana w nocy? Zaraz — niech pomyślę: Czy BYŁAM taka sama. gdy szłam tu dziś rano? Coś tak, jakby mi się wydawało, że czułam się troszeczkę inaczej. Ale, jeżeli nie jestem taka sama, to następne pytanie brzmi: Kimże ja, na Boga, jestem?“

I zaczęła myśleć o wszystkich dzieciach, które znała, a które były w tym samym wieku co ona, aby zobaczyć, czy mogła się zamienić na jedno z nich. „Jestem pewna, że nie jestem Adą, ponieważ jej włosy spływają w takich długich pierścieniach a moje wcale się nie zwijają. Nie jestem Mabel, ponieważ umiem tyle rzeczy, a ona umie tylko bardzo mało. Poza tym ONA jest ONA, a JA jestem JA — i, o jej! Jak zagadkowe jest to wszystko!“

„Spróbuję, czy pamiętam to wszystko, co zawsze umiałam. Zobaczymy: cztery razy pięć jest dwadzieścia a cztery razy sześć — trzynaście — a cztery razy siedem jest — O jej! Ja nigdy nie dojdę do dwudziestu w ten sposób.“

„Chociaż — tabliczka mnożenia nic nie znaczy — spróbujmy geografii. Londyn jest stolicą Paryża, Paryż jest stolicą Rzymu, a Rzym — nie, to wszystko chyba źle! Jestem pewna! A gdybym spróbowała powiedzieć: „Patrzcie dziateczki, jak...“ I Alicja skrzyżowała ręce na brzuszku i zaczęła powtarzać wiersz, ale głosik jej brzmiał obco i szorstko i słowa nie były takie jak zwykle.

Bo ten wierszyk, znany dobrze dzieciom w Anglii brzmiał tak:

Patrzcie, dziateczki, jak pszczółka mała
Trudzi się cały dzień,
Już rankiem leci, gdzie kwieciem biała,
Łąka w słoneczku nabiera lśnień.

A jakże zręcznie komórkę tworzy,
Jak rozprowadza wosk,
Wkłada tam miodek — słodki dar Boży,
Jak się pozbywa trosk.

I ja chcę tak, jak ten owad Boski,
Żyć z pracy moich rąk,
Uczciwie zwalczać trudy i troski,
Wejść w towarzyszy przyjazny krąg.

Alicja była rzeczywiście nieswoja, jeśli mogła deklamować:

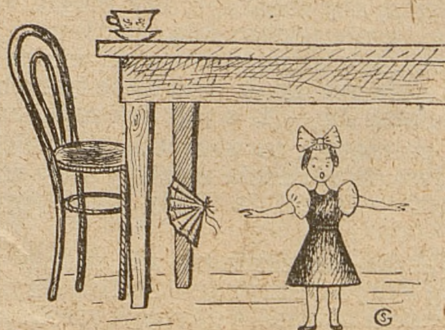
„Patrzcie, dziateczki, jak krokodylek,
Trudzi się cały dzień,
Otwiera paszczę: rząd strasznych szpilek
Obmyty Nilem, — nabiera lśnień.

Jak skręca ogon w szerokie łuki,
Pazury czyści — i tłumi jęk;
Śle zwinnym rybkom, robiącym sztuki,
Uprzejmy uśmiech stalowych szczęk.

— Jestem pewna, że to nie są właściwe słowa — powiedziała biedna Alicja i oczy jej napełniły się łzami. Nagle popatrzyła na swoje ręce i zdumiona ujrzała, że w czasie deklamacji ubrała jedną z malutkich, białych, jelonkowych rękawiczek Królika.

— Jak ja to mogłam zrobić? — pomyślała — musiałam stać się znowu mała.

Wstała i podeszła do stołu, aby się zmierzyć i oceniła, tak na oko, że ma teraz około dwu stóp wysokości i że kurczy się dalej gwałtownie: wreszcie zrozumiała, że przyczyną tego był wachlarz, który trzymała w ręce i odrzuciła go pospiesznie, — właśnie w porę, aby nie skurczyć się zupełnie.



K R A K O W I A C Z E K

Jestem Kasia krakowianka,
mam fartuszek po kolanka,
mam spódniczkę w jasne kwiatki,
a we włosach mam bławatki.

A jam Jasio od Bronowic,
zgrabny chłopak — prawda? — powiedz,
błyszczy na mnie pas szeroki
kiedy w tańcu stawiam kroki.

Czapeczka czerwona,
kółka pobrzękują,
podkóweczki żwawo
piosence wtórują.

Zatańczymy w lewo, w prawo,
zaraz też nam dadzą „brawo" —
pójdą drzazgi aż z podłogi,
tylko Jasiu, nie zmyl nogi!

G O H O

Wyspa Formoza, położona w pobliżu brzegu chińskiego, jest teraz jedynym obszarem wielkiego kraju — Chin, niezajętym przez komunistów, którzy opanowali całą ziemię chińską i trzymają ją w niewoli.

Dwieście lat temu, w osiemnastym wieku wyspę Formozę zamieszkiwały dzikie plemiona „poławiaczy głów" a wśród nich znajdował się pewien Chińczyk imieniem Goho.

Goho zżył się z dzikimi, nauczył się ich języka, oswoił się ze zwyczajami, a nawet był przez dzikusów kochany i szanowany. Wpływ jego na „poławiaczy głów" był tak wielki, że rząd chiński dał mu pewną władzę nad nimi.

Od niepamiętnych czasów istniał wśród tych plemion zwyczaj składania bożkowi raz do roku ofiary z życia ludzkiego. Goho sprzeciwił się temu barbarzyńskiemu zwyczajowi i starał się przekonać dzikich, że bożkowi wystarczy ofiara z życia zwierzęcia. I tak przez lat czterdzieści składano ofiarę z krowy, konia lub prosięcia.

Aż pewnego dnia dzicy przyszli do Goho i oświadczyli, że bożek żąda ofiary ludzkiej.

— Dobrze — powiedział Goho — w dniu ofiary pójdziecie do lasu. Znajdziecie tam człowieka w czerwonym płaszczu, czerwonym kapeluszu i z czerwoną płachtą na twarzy. To będzie wasza ofiara. Możecie go zabić.

Tak się też stało.

Dzicy przyszli do lasu i gdy spostrzegli ubranego w czerwień człowieka — ścięli mu głowę.

Kiedy głowa tajemniczej ofiary spadła z ramion i potoczyła się po ziemi, zsunęła się płachta zakrywająca twarz. Wtedy dzicy zobaczyli z przerażeniem, że była to głowa ukochanego przez nich Goho. Fakt ten poruszył tak silnie serca całego plemienia, że od tego dnia nigdy już nie zabijali ludzi na ofiarę krwawemu bożkowi.



. . . gdy spostrzegli ubranego w czerwień człowieka — ścięli mu głowę.

Tak się dzielny Chińczyk poświęcił idei.

Ku czci szlachetnego Goho zbudowano świątynię, w której umieszczono napis z takim zakończeniem: „Niech ten kamień mówi o Goho tak długo, jak długo wzgórza Formozy będą się zielenić." A u wejścia do świątyni generał-gubernator Sakuma zawiesił w roku 1913 tablicę z napisem: „Świeca wprawdzie sama się spala, ale daje światło innym."

PIASTOWA ZAGADKA

Wśród lip i brzęku pszczół widać było jasną, modrzewiowią chatę. W chacie mieszkało troje ludzi: Piast, Rzepicha i synaczek ich, na którego wołali Ziemowit, bo się okrutnie w polach kochał, a co wyszedł na próg chaty to mówił: Ziemio! Witaj!

A i bożęta mieszkały w modrzewiowej chacie i dobrze im się działo, gdyż i ojciec, i matka i synaczek co mogli to im podawali: a to miodu złotego, a to prześnego kołacza, a to najbielszych twarogów, bo tam przy pracy obfitość była wszelkiego dobra i mienia. Więc i w królewskim pałacu nie mogło być krasnoludkom lepiej, niż w tej cichej, jasnej, żywicznej chacie.

Aż przyszedł czas, że synaczkowi miano pierwszy raz ostrzyc włosy. Zaraz też się schodzić zaczęli, kto na wozie, kto pieszo, aż się w Piastowej zagrodzie uczyniło gwarno. Krzątała się Rzepicha, żeby gości uczcić, a i domowe bożęta pomagały pilnie dzień cały. Aliści, gdy słońce zapadać zaczęło, rozległo się w powietrzu śpiewanie tak cudne, że ludzie podnieśli ku niebu oczy mniemając, że stamtąd głos idzie.

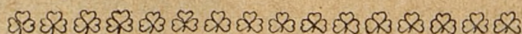
Tymczasem od zachodniej strony ukazali się w wielkich zorzowych światłach dwaj jaśni wędrowcy, którzy właśnie ku chacie Piastowej z owym śpiewaniem szli.

A było to śpiewanie tak mocne a słodkie, jakoby wszystkie słowiki zawiodły na topolach w sądzie i jakby wszystkie krople rosy zabrzęczały po ziołach i po kwieciu polnym i jakby wszystkie lipy w Piastowej pasiece zaszumiały drobnym liściem a wszystkie liście i trawy wydawały głos srebrny, dźwięczący.

I śpiewali dwaj jaśni wędrowcy, jako się czas kończy nad tą krainą, a inszy zaczyna. Śpiewali, jako zginą i w proch upadną dawne bogi, których sobie ludzie po świętych gajach czynili, a na ich miejsce przyjdzie Pan wielki i mocny, Pan nieba i ziemi.

I słuchali ludzie śpiewania tego a na wszystkich twarzach malowała się moc i nadzieja.

Maria Konopnicka



Bajka o rybce, co pragnęła zmiany

Jedna złota rybka mała
Choć tęczowy domek miała
Z wody i ze srebrnej piany,
Wciąż pragnęła jakiejś zmiany.
„Ten świat godny jest uznania,
Gdzie malutki Stach ugania,
Gdzie w słonecznym, złotym blasku
Sterczy jego pałac z piasku.“
— Gdy Stach wody z morza czerpał,
Plums! Skoczyła do wiaderka.

Stach z radości się zakrztusił,
Grubą łapką pac! przydusił,
„Rybta — woła — rybta, tata,
Rybce muszę dać buziaka!“
Na piaseczku ją usadził,
Tulił i po grzbiecie gładził,
Aż jęknęła zapłakana:
„Oj, niedobra jest ta zmiana!“
Bo, jak wiecie, są przeszkody,
By rybka żyła bez wody.

ROZWIĄZANIE SZARAD I ZAGADEK

ze str. 193 i 194

ŁAMIGŁÓWKA HISTORYCZNA

1. Wojciech, 2. Łużyce, 3. Augustyn, 4. Dąbrówka, 5. Y, 6. Sieciech, 7. Łokietek, 8. Anna, 9. Wierzynek, 10. Jadwiga, 11. Albert, 12. Grunwald, 13. Ignacy, 14. Elstera, 15. Łazienki, 16. Łowicz, 17. Oda — Władysław Jagiełło.

ŁAMIGŁÓWKA ZNACZENIOWA

Granat

KONIKÓWKA

Święta ma być twoja mowa:
Gdyś przyrzekł, dotrzymaj słowa.

BILET WIZYTOWY

CHAMBERLAIN

SZARADA

LEW - KON - JA.

ZADANIE GEOMETRY

*K*rok, w*i*orsta, mi*l*a, łokieć, *m*etr, sążeń, s*t*opa, a*r*szyn. *Kilometr*

ZADANIE POWIEŚCIOWE

Jagien*k*a, Ju*r*and, Zbys*z*ko, Z*y*ndram, *Z*awisza, M*a*ćko, Li*c*htenstein, Z*y*ch — *Krzyżacy*.

ZADANIE CYFROWE

999 9/9

CO TO JEST?

Ołów — wół.

ŻARCIK LITERACKI

Potop (powieść Henryka Sienkiewicza, druga część Trylogii).

ŁAMIGŁÓWKA

Zuzia, Urban, Zenon, Izaak, Artur (imię Grottgera).

SZARADA

Ko — me — ta.

ZADANIE KONIKOWE

Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka, wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka.

W PACANOWIE

Ciocia Frania, ta z „Gazety“,
Bardzo liczne ma zalety:
Lubi pączki, lubi kwiatki,
Lecz najbardziej lubi dziatki.

Nasze dzieci w Pacanowie,
To gromadka co się zowie,
Która, wiecie moi złoci?
Ciągle biega, ciągle psoci.

Bobuś, że to nie fajtłapa,
Wie, gdzie stara jest kanapa,
Która, choć nikt nie wie o tym,
Beduińskim jest namiotem.

Bobuś z Olkiem zbiera dzieci,
Pod namiotem ogień nieci,
Cieszy się z tego co czyni,
Bo tak czynią Beduini.

No i wiecie co się stało?
Brakowało bardzo mało,
By kanapa i dom cały,
Pastwą się płomieni stały.

W korytarzu ciemność głucha —
Spod kanapy ogień bucha.
Nagle ciocia Frania wchodzi:
Co wy tu robicie młodzi?

Lecz niedługo się pytała,
Bobusiowi w skórę dała —
Chociaż lubi pączki, kwiatki
I nad wszystko lubi dziatki.

Bobuś do dom uciekł z wrzaskiem,
Ojciec mu dołożył paskiem. —
Lecz ognia już nie roznieci —
Nie igra się z ogniem, dzieci.

SZARADA

Ka — len — darz.

POLSKIE JEZIORA

Wdzydze, Śniardwy, Świteź, Narocz, Morskie Oko, Przedni Staw, Gopło, Zatoka Pucka, Smereczyńskie, Wielki Staw, Mamry — ZATOKA PUCKA.

ZAGADKA

Le-*w*, le-*k*, le-*n*.

CO TO JEST?

*K*osa, *r*osa.

Testament

Synkowie moi, poszedłem w bój,
Jako wasz dziadek a ojciec mój.
Jak ojca ojciec i ojca dziad,
Co z legionami przemierzył świat,
Szukając drogi przez krew i blizny
Do naszej wolnej Ojczyzny.

Synkowie moi! Da nam to Bóg,
Że wreszcie spadną kajdany z nóg
I, nim wy męskich dojdziecie sił,
Jawą się stanie, co pradziad śnił.
Szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny
Łan naszej wolnej Ojczyzny.

Synkowie moi! Lecz gdyby Pan
Nie dał wnijść zorzy z krwi naszych ran,
To jeszcze w piersiach waszych jest krew
Na nowy świętej wolności siew,
I wy pójdziecie, pomni spuścizny,
Na bój, dla naszej Ojczyzny.

Jerzy Żuławski





D R O G A

SPIS TREŚCI

ILUSTRACJE

OGŁOSZENIA

Wszystkie wiadomości personalne zawarte w Kalendarzu, cyfry i wszelkie informacje oraz inne dane są aktualne w chwili rozpoczynania druku Kalendarza, czyli w dniu 1 października 1953.

„Kalendarz Rodziny Polskiej na Rok Pański 1954“ opracował Tadeusz Borowicz. Okładkę projektowała Lela Pawlikowska. Winiety miesięcy oraz winiety i ilustracje Kącika Dzieci wykonał Stefan Gruca. Wydrukowano na papierze „TDB Bleached“, 31 lbs. Składali linotypiści: S. Habas, Ł. Miszczak, W. Podgórski, Z. Sochocki i S. Wojtowicz. Metrampaż: F. Rutkowski. Tłoczyli: S. Pawłowski, S. Czepil i J. Lintner. Wydano w drukarni Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas“ pod zarządem Zygmunta Kotkowskiego.

